

KOBIETA ZNIKAŁ



MARY KUBICA

Mary Kubica

Kobieta znikąd

Tłumaczenie:

Jan Kabat

Dla Pete'a

NIEDZIELA

QUINN

Kiedy teraz o tym myślę, wiem jedno: od razu powinnam się zorientować, że coś jest nie tak. Zgrzytliwy hałas w środku nocy, otwarte okno, puste łóżko. Później tłumaczyłam sobie tę nonszalancję na różne sposoby, począwszy od bólu głowy i zmęczenia, a skończywszy na bezdennej głupocie.

Mimo wszystko...

Powinnam od razu wiedzieć, że dzieje się coś niedobrego.

To budzik wyrywa mnie ze snu. Budzik, który należy do Esther i wrzeszczy dwa pokoje dalej.

- Wyłącz go - zrzędzę, przykrywając głowę poduszką. Przekręcąm się na brzuch i wsuwam głowę pod jeszcze jedną poduszkę, żeby stłumić ten dźwięk, nakrywam się też kocem.

Nic z tego. Wciąż go słyszę.

- Do diabła, Esther - rzucam wściekle, spychając nogami pościel na koniec łóżka, i wstaję.

Tuż obok rozbrzmiewają mamroczące skargi, ślepe oczy szukają koca, słychać pełne złości westchnienie. Po moich wnętrznościach już pełźnie smak alkoholu z minionej nocy, coś, co się nazywa cranberry smash, wyczuwam też kwaśność bourbona i smak mrożonej herbaty. Pokój wiruje wokół mnie jak hula-hoop i nagle pojawia się wspomnienie brudnego parkietu, na którym kręciłam się szaleńczo z jakimś facetem, który zwał się Aaron albo Warren, London albo Brandon. Z tym samym facetem, który zaproponował wspólny powrót taksówką do domu i który teraz leży w moim łóżku, kiedy go trącam i mówię mu, że musi już iść, wyrywając koc z jego dłoni.

- Moja współlokatorka się obudziła. - Szturcham go w żebra. - Zbieraj się.

- Masz współlokatorkę? - pyta, siadając na łóżku, wciąż jednak nękany sennością.

Trze oczy i wtedy dostrzegam w blasku, który uliczna latarnia rzuca przez okno na zmiętą pościel, że jest dwa razy starszy ode mnie. Włosy, które wyglądały na kasztanowe w przyćmionym barowym świetle - i przy zdrowej dawce alkoholu - są teraz ołowianoszare. Dołeczki to nie dołeczki, tylko kurze łapki, zmarszczki.

- Do diabła, Esther - mamroczę pod nosem, wiedząc, że stara pani Budny, która mieszka piętro niżej, zacznie niedługo walić kijem od szczotki w sufit, żeby uciszyć awanturę. - Musisz iść - mówię do Aarona, Warrena czy jak mu tam, a on wstaje

posłusznie.

Podążam do pokoju Esther śladem tego hałasu, odgłosu budzika, zawodzącego dźwięku niczym pieśń cykady. Mruczę coś, wodząc dłonią wzdłuż ściany i posuwając się ciemnymi korytarzami. Słońce nie wzejdzie przez najbliższą godzinę. Nie ma jeszcze szóstej rano. Alarm drze się na Esther jak w każdy niedzielny poranek. Czas wybrać się do kościoła. Odkąd pamiętam, Esther, obdarzona tym swoim srebrzystym i kojącym głosem, śpiewa co niedzielę rano w chórze katolickiego kościoła przy Catalpa Avenue. Święta Esther, jak ją nazywam.

Kiedy wchodzę do jej sypialni, od razu wyczuwam chłód. Od strony okna napływają powiewy mroźnego listopadowego powietrza. Plik papierów na biurku, przyciśnięty ciężkim akademickim podręcznikiem – „Wprowadzenie do terapii zajęciowej” – porusza się, wydając głośny dźwięk. Szybę po wewnętrznej stronie pokrywa szron, spływają po niej strużki wilgoci. Okno jest otwarte na oścież. Ktoś zdjął ekran ochronny z włókna szklanego i postawił na podłodze.

Wychylam się na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy Esther stoi na schodach pożarowych, ale świat zewnętrzny – nasz mały kwartał mieszkalny w Chicago – jest cichy i ciemny. Wzdłuż ulicy parkują samochody oblepione ostatnią partią liści z pobliskich drzew. Wozy pokrywa szron, tak samo jak żółknącą trawę, która szybko więdnie, a niebawem umrze do końca. Z otworów wentylacyjnych sąsiednich domów dobywają się kłęby dymu, umykając w poranne niebo. Prócz mnie cała Farragut Avenue pogrążona jest we śnie.

Schody pożarowe świecą pustką, Esther tam nie ma.

Odwracam się od okna i widzę pościel zrzuconą na podłogę, jasnopomarańczową kołdrę i niebieską narzutę.

- Esther? - Przechodzę przez maleńką sypialnię, w której ledwie się mieści duże podwójne łóżko i trochę innych mebli. Potykam się o stos ubrań ciśniętych na podłogę, stopy zaplątują się w dzinsy. - Pora wstawać! - Zamierzam walnąć dłonią w budzik, żeby go uciszyć, ale zamiast tego włączam radio i oto pokój wypełnia kakofonia dźwięków, poranna rozmowa na tle monotonnego alarmu. - Do diabła - przeklinam i dodaję, tracąc cierpliwość: - Esther!

I w tym momencie, kiedy już oczy przyzwyczajają się do ciemności panującej w pokoju, widzę, że święta Esther nie leży w swoim łóżku.

Udaje mi się w końcu wyłączyć budzik, a potem zapalić światło. Krzywię się, gdyż jasny blask przyprawia mnie o ból głowy, efekt zbyt rozrywkowej nocy. Chcę się upewnić, czy jakimś cudem nie przeoczyłam Esther, i najpierw zaglądam pod górę pościeli leżącej na podłodze. Śmieszne, ale nawet gdy to robię, wiem, że jej tam nie

ma, ale i tak robię. Zaglądam do szafy, potem do łazienki, przesuając wzrokiem po bogatej kolekcji zbyt drogich kosmetyków, którymi się dzielimy, a które stoją bezładnie na toaletce.

Lecz Esther nigdzie nie ma.

Rozsądne decyzje nie są moją mocną stroną, to domena Esther. I pewnie dlatego nie wzywam od razu policji, po prostu Esther jest nieobecna i nie może mi tego przekazać, polecić. Jednak tak zupełnie szczerze, moją pierwszą myślą nie jest to, że coś się stało Esther. Nie jest moją drugą myślą ani trzecią, ani nawet czwartą. Ulegam kacowi, zamykam okno i wracam do łóżka.

Kiedy budzę się po raz drugi, jest już po dziesiątej. Słońce stoi wysoko i ludzie, jak Farragut Avenue długa i szeroka, odwiedzają bistra i piekarenki, żeby kupić coś na śniadanie czy lunch, po prostu to wszystko, co się je i pije o dziesiątej rano. Są okryci kurtkami puchowymi i długimi płaszczami wełnianymi, ręce trzymają głęboko w kieszeniach, na głowach noszą czapki. Nie potrzeba szczególnej domyślności, by się zorientować, że jest zimno.

Ja jednak siedzę w saloniku na małej kanapie o barwie płatków różanych i czekam, aż Esther zjawi się z kawą orzechową i bajgłem. Bo to właśnie robi każdej niedzieli, kiedy już zaśpiewa w kościelnym chórze. Przynosi mi do domu kawę i bajgla, a potem siedzimy przy kuchennym stole i jemy, rozmawiając o wszystkim, począwszy od dzieci, które przepłakały całą mszę, i dyrygenta, który zgubił kartkę z nutami, a skończywszy na banalnych rzeczach, które robiłam poprzedniego wieczoru – wypiliśmy za dużo i przyprowadziłam do domu przygodnie poznanego faceta, jakiegoś pozbawionego twarzy mężczyznę, którego Esther nigdy nie widzi na oczy i tylko słyszy przez cienkie jak papier ściany naszego mieszkania.

Wyszłam zeszłego wieczoru, ale ona nie poszła ze mną. Chciała zostać w domu i wypoczywać. Powiedziała, że leczy przeziębienie, ale teraz, kiedy o tym myślę, uświadamiam sobie, że nie zauważyłam żadnych symptomów choroby, czyli kaszlu, kichania, załzawionych oczu. Leżała na sofie pod kocem, w tej swojej wygodnej bawełnianej piżamie.

- Chodź ze mną - błagałam ją.

Przy Balmoral otworzyli nowy bar, bardzo chcieliśmy go odwiedzić, jeden z tych modnych, pełnych przyćmionego światła lokali, które serwują tylko martini.

- Chodź ze mną - błagałam.

Ale powiedziała:

- Nie. - I dodała: - Popsuję ci tylko przyjemność, Quinn. Idź beze mnie. Będiesz się lepiej bawić.

- Chcesz, żebym została z tobą w domu? - spytałam, ale bez wielkiego przekonania. - Zamówimy coś na wynos.

Ale nie miałam na to ochoty. Włożyłam już sukienkę typu babydoll i szpilki, uczesałam się i umalowałam, nawet ogoliłam nogi. Nie było mowy, żebym została w domu. Ale przynajmniej zaproponowałam, że zostanę.

Esther powiedziała:

- Nie, idź beze mnie i zabaw się.

I tak właśnie zrobiłam. Poszłam bez niej i zabawiłam się. Ale nie wybrałam się do tego baru martini. Koniec końców wylądowałam w jakimś tandetnym barze karaoke; wypłam za dużo i wróciłam do domu z nieznanym facetem.

Kiedy wróciłam na noc, Esther była w łóżku, za zamkniętymi drzwiami. Albo tak mi się wtedy tylko wydawało.

Ale teraz, kiedy siedzę na sofie, rozważając wydarzenia tego ranka, zastanawiam się siłą rzeczy również i nad tym, z jakiego powodu, u licha, Esther miałyby zniknąć za oknem wychodzącym na schody pożarowe?

Rozważam to bez końca, ale moje myśli skupiają się tylko na jednym: na obrazie Romea i Julii, na słynnej scenie, kiedy to Julia stoi na balkonie i wyznaje Romeowi miłość (co jest z grubsza jedyną rzeczą, jaką pamiętam ze szkoły średniej, no i jeszcze to, że oprawka do długopisu stanowi doskonałe narzędzie do strzelania papierowymi kulkami).

Czy to właśnie kazało Esther wygramolić się przez okno w środku nocy? Facet?

Oczywiście pod koniec opowieści Romeo wypija truciznę, a Julia przebija się sztyletem. Czytałam sztukę. Co więcej, widziałam film, adaptację z 1996 roku, z Claire Danes i Leonardem DiCaprio. Wiem, jak się kończy. Romeo wypija truciznę, a Julia strzela sobie w głowę z jego pistoletu. I przemyka mi przez głowę myśl: „Mam tylko nadzieję, że historia Esther ma lepsze zakończenie niż historia Romea i Julii”.

Chwilowo nie można robić nic innego, jak tylko czekać, więc siedzę na małej różanej sofie, wpatrując się w pusty stół kuchenny i czekając, aż Esther wróci do domu bez względu na to, czy spędziła noc w swoim łóżku, czy też wylazła przez okno na drugim piętrze naszego budynku bez windy. To bez znaczenia. Wciąż czekam w piżamie-topie oraz flanelowych bokserkach i wełnianych skarpetach, które upiększają z miernym skutkiem moje stopy - na dostarczenie kawy i bajgla. Ale dzisiaj nie ma dostawy, a ja winię za to Esther. Za fakt, że dzisiejszy dzień upłynie mi bez śniadania i kofeiny.

Nim nadchodzi południe, robię to, co mogłaby zrobić każda szanująca się i dorosła osoba, czyli zamawiam jedzenie w fast foodzie. Upływa dobre czterdzieści pięć minut, nim dowożą mi kanapkę z indykiem, a przez ten czas nabieram przekonania, że mój żołądek zaczął już sam siebie trawić. Minęło bite czternaście godzin od czasu, kiedy miałam cokolwiek w ustach, i pomijając nadmiar alkoholu, jestem pewna, że brzuch mi pęcznieje jak u tych wygłodzonych dzieci, które widzi się w telewizji.

Nie mam nawet odrobiny energii. Śmierć jest nieuchronna. Być może umrę.

Wtedy na parterze odzywa się dzwonek, a ja zrywam się na nogi. Dostawa! Witam w drzwiach faceta od fast foodów, płacę mu kilka nędznych dolarów, które udało mi się znaleźć w kopercie włożonej przez Esther do szuflady kuchennej i opatrzonej adnotacją „Czynsz”.

Pochłaniam lunch zgarbiona nad żelaznym stolikiem do kawy w stylu industrialnym, a potem robię to, co każdy szanujący się człowiek mógłby zrobić, gdyby jego współlokatorka zniknęła bez uprzedzenia. Węszę. Wchodzę do pokoju Esther bez najmniejszych wyrzutów sumienia, bez podszeptu winy.

Jej pokój jest mniejszy od mojego, ma z grubsza wielkość szafy chłodniczej. Podwójne łóżko zajmuje prawie całą przestrzeń od ściany w kolorze popcornu do ściany w kolorze popcornu, udało się tu wcisnąć tylko biurko z IKE-i i jeszcze jakieś drobne sprzęty. Trudno się tu w ogóle poruszać. To właśnie dostaje się w Chicago za jedenaście setek miesięcznie: ściany w kolorze popcornu i szafę chłodniczą.

Przesuwam się obok tylnej części łóżka, potykając się o pościel, która wciąż leży na porysowanej drewnianej podłodze, i wyglądam na schody pożarowe, zbiorowisko drabin i podestów w stalowym okratowaniu przylegającym do okna Esther. Kiedy wprowadzałam się tu lata temu, żartowałyśmy, że dostała mniejszy pokój, ale dzięki dostępowi do tych schodów to ona przeżyłaby pożar, gdyby pewnego dnia budynek stanął w płomieniach. Nie przeszkadzało mi to. I w gruncie rzeczy nadal nie przeszkadza, ponieważ mam w swoim pokoju nie tylko łóżko, biurko i komódkę, ale też fotel. Poza tym budynek nie zapalił się ani razu.

Ponownie się zastanawiam, co, u diabła, mogło skłonić Esther do tego, by w środku nocy zejść po schodach pożarowych, a nie skorzystać z drzwi frontowych. Trudno powiedzieć, że się martwię, bo w gruncie rzeczy się nie martwię. Esther zdarzało się już tam wychodzić. Kiedyś wysiadywałyśmy na tych schodach cały czas, jakby to był balkon. Patrząc na Księżyc i gwiazdy, popijałyśmy mieszane drinki i majtałyśmy nogami nad paskudną chicagowską alejką. To było coś w rodzaju naszej prywatnej sprawy, kiedy tak rozwalaliśmy się na niewygodnych stalowych

kratownicach obskurnych i czarnych schodów pożarowych, dzieląc się sekretami i marzeniami, podczas gdy azur bezlitosnego metalu wbijał się w naszą skórę, aż w końcu drętwiały nam tyłki.

Ale nawet jeśli Esther była tu zeszłej nocy, to teraz z pewnością jej nie ma.

Gdzie może być?

Zaglądam do szafy. Zniknęły jej ulubione wysokie buty. Już widzę, jak je wkłada, otwiera okno i wychodzi na zewnątrz w jakimś określonym celu.

Tak, mówię sobie, to właśnie zrobiła, i to założenie pozwala mi żywić niejaką pewnością, że nic jej nie jest. Nic jej nie jest, powtarzam uparcie.

Ale mimo wszystko... dlaczego?

Patrząc przez okno na ciche popołudnie. Poranny szał pod tytułem „kawiarz na głodzie” został stłumiony przez kofeinowego kopa, a do mnie dociera, że nigdzie nie widać żywej duszy. Wyobrażam sobie, że połowa mieszkańców chicagowskiej krainy siedzi przed telewizorami i patrzy, jak Niedźwiedzie zaliczają kolejną sromotną porażkę.

Odwracam się od okna i zaczynam przeszukiwanie sypialni Esther. Znajduję niedożywioną rybkę w akwarium. Stertę brudnych rzeczy wysypujących się z plastikowego kosza w garderobie. Cienkie džinsy. Legginsy. Spodnie do biegania. Staniki i bieliznę w babcinym stylu. Stosik białych koszulek na ramiączkach, poukładanych starannie obok kosza. Buteleczkę ibuprofenu. Butelkę wody. Wysoką piramidę podręczników obok składanego samodzielnie biurka z IKE-i i jeszcze jeden podręcznik, który leży na blacie, służąc za przycisk do papierów. Kładę dłoń na uchwycie szuflady, ale nie zaglądam do środka. Byłoby to niewłaściwe, po prostu nieeleganckie, jeszcze bardziej nieeleganckie niż buszowanie pośród przedmiotów pozostawionych na biurku w postaci laptopa, iPoda, słuchawek i innych rzeczy.

Na ścianie znajduję przyklejone pineską nasze wspólne zdjęcie z zeszłego roku. Było Boże Narodzenie, a my stoimy obok sztucznej jodły, robiąc sobie selfie. Uśmiecham się na to wspomnienie i nadal wspominam, jak wędrujemy, ja i Esther, przez wzgórki śniegu, żeby przynieść to drzewko. Na zdjęciu przywieramy do siebie, gałęzie choinki dźgają nas w głowy, sreberko czepia się naszych ubrań. Jesteśmy rozbawione, na mojej twarzy widnieje pełen zarozumiałości uśmieszek, na twarzy Esther uśmiech towarzyski. Jodła należy do niej, przechowuje ją w wynajętym schowku – to klitka trzy na półtora metra – w magazynie przy końcu ulicy, gdzie za sześćdziesiąt dolców miesięcznie może trzymać stare gitary, lutnię i wszystko, co nie mieści się w jej maleńkiej sypialni. Na przykład rower, no i oczywiście drzewko.

Wybrałyśmy się tam w grudniu zeszłego roku, w misji, której celem było przyniesienie drzewka. Brnęłyśmy przez zwały świeżo spadłego śniegu, nasze stopy utykały w nim jak w ruchomych piaskach. Wciąż prószło, to takie płatki, które spływają z nieba niczym wielkie, tłuste, puszyste kłaczkę bawełniane. Samochody parkujące wzdłuż ulicy były głęboko zagrzebane. Albo właściciele je odkopią, albo będą musieli poczekać na odwilż. Połowa miasta była zamknięta na głucho z powodu zamieci, tak więc na ulicach panował tak rzadki w naszym mieście spokój, kiedy wlekłyśmy się przed siebie, śpiewając na cały głos kolędy. Na cały głos, bo w pobliżu nie było prawie nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Tylko pługi śnieżne odważyły się tego dnia wypuścić w miasto, ale nawet one ślizgały się zygzakowato. Nie kazano nam przychodzić do pracy, miałyśmy wolne, Esther i ja.

I tak z trudem zawędrowałyśmy do magazynu, żeby w schowku odszukać to małe plastikowe drzewko i przytargać je do domu na święta. Zatrzymałyśmy się w betonowym korytarzu, żeby odstawić zwariowany taniec przed kamerą monitoringu, dostając przy okazji ataku histerycznego śmiechu. Wyobrażałyśmy sobie, jak pracownik magazynu – budzący lęk milczący introwertyk – siedzi przy biurku i ogląda na ekranie monitora naszego irlandzkiego jiga. Chichotałyśmy bez końca, aż wreszcie, kiedy już nam przeszło, Esther otworzyła kłódkę przy drzwiach swojego schowka i zaczęłyśmy poszukiwania właściwego pudła, a ja bezustannie paplałam o ironicznym wydźwięku pewnej liczby. Moi rodzice mieszkali przy David Drive 203, i taki też miał numer magazynek Esther.

- Los - skomentowała.

Ale ja powiedziałam:

- Raczej głupi zbieg okoliczności.

Ponieważ drzewko było rozebrane i wsadzone do pudła, poszukiwania nastroczały trudności, bo leżało tu mnóstwo innych pudeł. A ja natknęłam się nieumyślnie na niewłaściwe, jak się okazało, bo kiedy podniosłam wieko i odsłoniłam stos zdjęć przedstawiających jakąś szczęśliwą rodzinę przed przysadzistym domem, po czym wzięłam jedno do ręki i spytałam Esther, kto to jest, ona wyrwała mi je szybko z dłoni i odparła bez ogródek:

- Nikt.

Nie miałam czasu dokładnie przyjrzeć się temu zdjęciu, ale ci ludzie nie wyglądali mi na nikogo. Jednak nie drążyłam tematu. Esther nie lubiła mówić o swojej rodzinie. Tyle wiedziałam. Kiedy ja biadoliłam i narzekałam bezustannie na własną, ona dusiła wszystko w sobie.

Wrzuciła zdjęcie do pudła i umieściła wieko na swoim miejscu.

Znalazłyśmy drzewko i przytargałyśmy je do domu, ale najpierw wstąpiłyśmy do ulubionej knajpki, gdzie siedziałyśmy niemal same, jedząc w środku dnia naleśniki i popijając kawę. Patrzyłyśmy, jak pada śnieg, i śmiałyśmy się z ludzi, którzy próbowali się z nim zmagać albo wydobyć samochody spod piramid bieli. Ci, którym się udało odkopać swoje wehikuły, anektowali natychmiast to miejsce. Ustawiali na ziemi przypadkowo wybrane przedmioty – wiadro, krzesło – aby nikt inny nie mógł tam zaparkować. Wolne miejsca parkingowe były tu niczym złoto, zwłaszcza w zimie. Tamtego dnia siedziałyśmy przy oknie i też to obserwowałyśmy, to znaczy jak nasi sąsiedzi taszczą krzesła z domów, żeby przejąć na własność jakiś odśnieżony kawałek, który miał niebawem znów wypełnić się śniegiem, cały czas dziękując przy tym Bogu za transport publiczny.

A potem zaniósłyśmy drzewko do domu i przez cały wieczór wieszałyśmy lampki i niezliczone ozdoby, na koniec Esther usiadła po turecku na różanej sofie i zaczęła brzdąkać na gitarze, a ja nuciłam do taktu „Cichą noc” i „Jingle Bells”. To było w zeszłym roku, tym samym, w którym Esther kupiła mi parę wełnianych skarpet, żeby było mi ciepło w stopy, ponieważ marzłam w naszym mieszkaniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu. Z trudem mogłam się rozgrzać. Był to przemyślany i troskliwy prezent, taki, który dowodził, że Esther słuchała mnie, gdy skarżyłam się na zimne stopy. Spoglądam na nie teraz i widzę wełniane skarpety.

Ale gdzie jest Esther?

Kontynuuję poszukiwania, nie bardzo wiem czego, ale znajduję porozrzucane długopisy i ołówki automatyczne. Na półce beznadziejnej garderoby, której drzwi nie przesuwają się już po swoich szynach, kryje się pluszowy zwierzak z czasów dzieciństwa, rozwalający się i złachany. Na podłodze stoją w rzędzie pudełka z butami. Zaglądam do nich, a każda para obuwia jest sensowna i nudna – na płaskim obcasie, mokasyny, adidas.

Absolutnie nic na wysokim obcasie.

Absolutnie nic w kolorze innym niż czarny, biały albo brązowy.

I list.

List na blacie biurka z IKE-i, w stosie papierów pod podręcznikiem terapii zajęciowej, między rachunkiem za komórkę a pracą pisemną na studia.

List był niewysłany i złożony potrójnie, jakby Esther zamierzała wsunąć go do koperty i wrzucić do skrzynki pocztowej, ale coś jej w tym przeszkodziło.

Zakręcam butelkę z wodą, zbieram długopisy. Jakim cudem nigdy się nie zorientowałam, że Esther to taki niechluj? Zatrzymuję się dłużej nad tym, co z tego

wynika: czego jeszcze nie wiem o swojej współlokatorce?

A potem czytam ten list, bo jak mogłabym go nie przeczytać? To list pod każdym względem prześladowczy. Został wystukany na maszynie - coś w stylu świętej Esther, czyli takim, co to przyprawia o zatwardzenie - i opatrzony dopiskiem:

Z miłością.

Obok widnieją litery:

EV

Z miłością, EV

Esther Vaughan...

I wtedy coś do mnie dociera. Może święta Esther nie jest wcale taka święta?

ALEX

Mówię otwarcie: nie wierzę w duchy.

Istnieje w każdej sytuacji jakieś logiczne wyjaśnienie: niedokręcona żarówka.

Wadliwy kontakt. Problem z instalacją.

Stoję w kuchni, połykając resztki mountain dew, jeden but na nodze, drugi jeszcze nie, wsuwam właśnie stopę w czarną tenisówkę, kiedy widzę po drugiej stronie ulicy spazm światła. Zapala się. Gaśnie. Zapala się. Gaśnie. Jak odruchowy skurcz mięśni. Drgnienie, tik.

Zapala się. Gaśnie.

A potem jest po wszystkim, a ja nawet nie wiem, czy tak rzeczywiście było, czy też moja wyobraźnia splątała mi figła.

Tata leży na sofie, kiedy wychodzę, ręce i nogi ma bezładnie rozrzucone. Na stoliku do kawy stoi otwarta butelka kanadyjskiej whiskey marki Gibson's Finest. Zakrętka zagubiła się gdzieś pośród poduszek sofy lub też ściska ją lepka dłoń. Tata chrapie, gra mu w piersi, jakby tkwił w niej grzechotnik. Ma otwarte usta, głowa zwiesza się z oparcia, więc kiedy się w końcu obudzi - bez wątpienia z kacem - będzie miał kręcz szyi. Pokój wypełnia smród porannego oddechu, który dobywa się jak samochodowe spaliny spomiędzy rozchylnych warg - azot, tlenek węgla, tlenek siarki, wszystko to bucha wprost w powietrze, które robi się czarne. Niezupełnie, ale tak to widzę, na czarno, przysuwając dłoń do nosa, by nie czuć tego zapachu.

Tata wciąż ma na nogach buty, ciemnobrązowe i skórzane, poza kostkę, lewy niezwiązany, postrzępione sznurowadła zwieszają się wzdłuż boku sofy. I ma na sobie też płaszcz, zapinane na zamek błyskawiczny nylonowe odzienie koloru igieł świerkowych. Odór starej klasycznej wody kolońskiej przekazuje mi szczegóły jego nocy, kolejnej żalosalnej nocy, która przebiegłaby o wiele lepiej, gdyby przyszło mu do głowy zdjąć obrączkę. Ten facet ma więcej włosów, niż powinien ich mieć ktoś w jego wieku, są krótko obcięte, a mimo to gęste, rdzawego koloru, który współgra z rumianą cerą. Inni mężczyźni w jego wieku łysieją, mają rzadkie włosy albo w ogóle. I tyją. Ale nie tata. To nieźle wyglądający gość.

A jednak nawet kiedy śpi, dostrzegam klęskę. Jest defetystą, a to w przypadku czterdziestopięcioletnich mężczyzn stanowi gorsze nieszczęście niż wałki tłuszczu i zakola.

Jest także pijakiem.

Telewizor gra od poprzedniego wieczoru, teraz lecą poranne kreskówki. Gaszę go i wychodzę na dwór, patrząc na opuszczony dom po drugiej stronie ulicy, gdzie przed kilkoma minutami widziałem światło. Zapalało się, gasło. Jest to dom w tradycyjnym minimalistycznym stylu, żółty jak autobus szkolny, zamiast ganku betonowa płyta, siding aluminiowy, zniszczony dach.

Nikt w tym domu nie mieszka. Nikt nie chce tam mieszkać, tak jak nie chce zaaplikować sobie leczenia kanałowego czy wycięcia wyrostka robaczkowego. Wiele lat temu zamarzyła tam w zimie rura i pękła – albo tak tylko słyszeliśmy – zalewając wewnątrz budynku wodą. Niektóre okna są zabite sklejką, którą naśladowcy gangów pokryli napisami. Dziedziniec zarastają chwasty, dusząc trawnik. Od paska architrawy odstaje rynna dachowa, a jej część pionowa leży bezużytecznie na ziemi. Niebawem pokryje ją śnieg.

Nie jest to na tej ulicy jedyny dom, który opuszczono, ale tylko o nim wszyscy mówią. Za los innych zniszczonych i zapomnianych domów odpowiedzialne są gospodarka i rynek nieruchomości, zaraza, która obniżyła ich wartość i sprawiła, że idylliczna niegdyś okolica przemieniła się w coś brzydkiego.

Ale nie dotyczy to tego domu. Ten ma własną historię do opowiedzenia.

Wsuwam dłoń w kieszenie szarej kurtki i podążam przed siebie.

Jezioro tego ranka jest niespokojne. Fale tłuką plażę, taplając piasek w wodzie. Zimnej wodzie. Panująca temperatura to najwyżej półtora stopnia powyżej zera. Jest dostatecznie ciepło, by woda nie zamarzyła, w każdym razie jeszcze nie teraz – nie jak podczas ostatniej zimy, kiedy latarnia morska oblepiona była lodem, a fala jeziora Michigan zamarzyła w powietrzu, przywierając do krawędzi drewnianego mola. Ale to było tamtej zimy. Teraz jest jesień, więc jezioro ma jeszcze mnóstwo czasu, by zamarznąć.

Idę, trzymając się od wody na odległość mniej więcej ludzkiego ciała, żeby nie zamoczyć sobie butów. I tak się moczą, bo woda bryzga na boki, wznosząc się na wysokość co najmniej półtora metra. Gdyby to było lato, sezon turystyczny, plaża zostałaby zamknięta ze względu na niebezpieczne warunki i wiry.

Ale to nie jest lato. Na razie turystów nie ma.

Miasto tchnie spokojem, niektóre sklepy zamknięto do wiosny. Niebo jest ciemne. Słońce w tych dniach wschodzi późno, a zachodzi wcześniej. Spoglądam w górę. Nie widać gwiazd, nie widać Księżyca. Kryją się pod masami szarych chmur.

Mewy są hałaśliwe. Krążą nad głową, widoczne jedynie w obracającym się blasku latarni morskiej. Wiatr chłosta powietrze, niepokoi jezioro, utrudnia mewom lot, przynajmniej w linii prostej. Unoszą się bokiem. Uderzają z uporem skrzydłami,

a jednak tkwią w miejscu, zmierzając absolutnie donikąd, tak jak ja.

Naciągam kaptur, by chronić włosy i oczy przed piaskiem.

Kiedy przemierzam park, oddalając się od jeziora, mijam starą zabytkową karuzelę. Wpatruję się w nieożywione oczy konia, żyrafy, zebry. Rydwan w kształcie węża morskiego, w którym sześć lat temu doświadczyłem pierwszego pocałunku. Leigh Forney, teraz studentka pierwszego roku na University of Michigan, na wydziale biofizyki czy molekularnego czegoś tam, albo tak mi się wydaje. Nie tylko Leigh odeszła. Nick Bauer i Adam Gott też odeszli, Nick do słynnego Caltechu, Adam zaś do Wayne State University, gdzie jest rozgrywającym w drużynie koszykarskiej. No i jeszcze Percival Allard, zwany Percym, który wybrał się na jakąś ekskluzywną uczelnię w New Hampshire.

Wszyscy odeszli. Wszyscy prócz mnie.

- Spóźniłeś się - mówi Priddy, kiedy dźwięk dzwonka nad drzwiami donosi o mojej niepunktualności.

Stoi przy kasie, licząc banknoty jednodolarowe, które odkłada następnie do szuflady. Dwanaście, trzynaście, czternaście... Nie podnosi głowy, gdy wchodzę do lokalu. Włosy ma rozpuszczone, zwarte srebrne loki kręcą się na ramionach wykrochmalonej praktycznej bluzki. Jest jedyną osobą w tym miejscu, której wolno rozpuszczać włosy. Kelnerki, które kręcą się pośpiesznie w czarno-białych uniformach, napełniając solniczki i pieprzniczki, a także dzbanuszki do śmietanki, mają je związane w koński ogon, dredy albo warkocze. Ale nie pani Priddy.

Raz spróbowałem zwrócić się do niej per Bronwyn. Tak ma w końcu na imię, które widnieje na jej plakietce: Bronwyn Priddy. Ale nie wyszło mi to za dobrze.

- Korki - mówię, a ona chichoce.

Nosi na palcu serdecznym obrączkę, którą dostała od zmarłego męża, pana Priddy'ego. Istnieje podejrzenie, że przyczyną śmierci małżonka było jej bezustanne zrządzenie. Trudno mi oceniać, czy to prawda, czy nie. Ma na twarzy pieprzyk, dokładnie w ziemistych fałdach skóry między ustami a nosem - wydatny pieprzyk, ciemnobrązowy i doskonale zaokrąglony, z którego zawsze sterczy pojedynczy szary włoszek. Pieprzyk, który budzi w nas pewność, że Priddy jest czarownicą. Pieprzyk i jej złośliwość. Krążą plotki, że ta kobieta trzyma swoją miotłę w zamkniętym schowku na zapleczu kuchni. Miotłę, kociołek i wszystko to, co nieodzowne w jej fachu, czyli nietoperza, kota i kruka. Są tam, za zamkniętymi metalowymi drzwiami, ale wszyscy bez wyjątku jesteśmy pewni, że słyszymy od czasu do czasu owe stworzenia, dociera do nas miauczenie kota, krakanie kruka, łopot skrzydeł nietoperza.

- O tej godzinie? - dziwi się Priddy, mając na myśli korki. Ale na jej twarzy błąka się uśmiech ukryty gdzieś pod brzoskwiniowym meszkiem, który naprawdę powinno się wydepilować woskiem. Rekompensuje to po swojemu, znaczy się ten meszek, malując brwi - na ciemnobrązowo, co ma przypominać szarość - żeby odwrócić uwagę od wąsika.

Priddy przerywa na chwilę liczenie i odrywa wzrok od banknotów, gdy staje w wejściu, zdejmując zapiaszczoną kurtkę.

- Te naczynia same się nie umyją, Alex. Bierz się do roboty.

Myszę, że lubi mnie w głębi duszy.

Poranek nadchodzi i przemija, jak zawsze. Każdy dzień jest powtórką poprzedniego. Ci sami klienci, te same rozmowy, jedyną różnicę stanowi zmiana ubioru. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jako pierwszy zjawi się pan Parker, który o świcie wyprowadza swoje dwa psy, bordera collie i berneńskiego psa pasterskiego. Pewne jest też to, że przywiąże je na zewnątrz, do słupa latarni, po czym wejdzie do środka, a jego podeszwy pozostawią przy oszklonej ladzie resztki liści i błotniste ślady, które później każą mi wytrzeć. Że zamówi czarną kawę na wynos, a potem da się namówić Priddy na jakieś ciasto, które błędnie określa się jako „domowe”, że powie dwukrotnie „nie”, nim się zgodzi, próbując wyczuć w powietrzu woń drożdży i masła, którego nawet tam nie ma.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że przynajmniej jedna kelnerka upuści tacę pełną jedzenia. Że niemal wszystkie będą narzekać na wysokość napiwków. Że podczas weekendu poranni goście będą się snuć, pochłaniać niezliczone filiżanki kawy i gadać bzdury, aż śniadanie przerodzi się z wolna w lunch, a oni w końcu wyjdą. Jednak w zwykłe dni tygodnia jedynymi klientami kręcącymi się jeszcze po dziewiątej rano są emeryci albo kierowcy autobusów szkolnych, którzy parkują za budynkiem na wcisk i przez cały ranek narzekają na niegrzeczne zachowanie osób powierzonych ich opiece, mianowicie wszystkich dzieci w wieku od pięciu do osiemnastu lat.

O tej porze roku nie ma niewiadomych. Każdy dzień jest taki sam, w przeciwieństwie do letnich miesięcy, kiedy pojawiają się przypadkowi turyści. Czasem dochodzi do sytuacji kryzysowej. Kończy się nam bekon. Jakiś jajogłowy chce wiedzieć, co tak naprawdę znajduje się w czekoladowych croissantach, więc Priddy wysyła kogoś na zaplecze, żeby wygrzebał opakowanie ze śmietnika i sprawdził. Urlopowicze fotografują nazwę restauracji w oknie frontowym, robią sobie zdjęcia z kelnerkami, jakby chodziło o jakąś turystyczną atrakcję, modne

miejsce docelowe, i rozwodzą się bez końca o tym, jak to jakiś przewodnik po Michigan twierdzi, że w naszym lokalu serwują najlepszą kawę w mieście. Pytają, czy mogą nabyć tanio kubki z naszą nazwą w staromodnej czcionce, a Priddy podnosi pierwotną cenę hurtową - dolar pięćdziesiąt za sztukę - do \$ 9.99. Zdzierstwo.

Nic takiego jednak nie dzieje się poza sezonem, kiedy to każdy dzień jest powtórką poprzedniego, co odnosi się także do dnia dzisiejszego. I do jutra. I do wczoraj. Tak się przynajmniej zapowiada ten dzień, kiedy zjawia się pan Parker z dwoma psami i zamawia kawę, czarną, na wynos, a Priddy pyta go, czy ma ochotę na croissanta, na co on dwukrotnie odpowiada przecząco, nim się w końcu zgadza.

Jednak wraz z upływem poranka coś się dzieje, coś nienormalnego, i sprawia, że ten dzień jest inny niż wszystkie poprzednie.

Do Najdroższej Osoby.

Jest to jedno z ostatnich wspomnień dotyczących ciebie, twoje ręce przywierające do jej dekoltu, łagodne zaokrąglenie jej piersi przylegające do twojej skóry przez cienką bawełnę delikatnej białej bluzki. Była piękna bez żadnej przesady, a jednak to od ciebie nie mogłam oderwać oczu – od połyskliwości twojej skóry, od promienistości twoich oczu, łagodnego łuku twoich ust, kiedy wodziła po nich poduszczką palca wskazującego, a potem przywarła do nich ustami. Pocałunek.

Widziałam was przez okno. Stałam tam, pośrodku ulicy, nie chowając się w cieniu ani za drzewami. Dokładnie na środku ulicy, nieświadoma strumienia samochodów. Jestem zaskoczona, że nikt mnie nie widział, nie usłyszał buczenia klaksonu, który sugerował, bym się odsunęła. Który tego żądał. Ale ja się nie poruszyłam. Nie miałam zamiaru. Byłam zbyt zajęta obserwowaniem, jak przytulacie się do siebie w gorącym uścisku. Zbyt zaintrygowana i zbyt zagniewana.

Może jednak było inaczej. Może jednak ktoś w tym domu mnie widział, udając tylko, że nie widzi ani nie słyszy.

Był już wieczór, tuż po zmroku, kiedy przycisnęłam twarz do szyby, żeby zajrzeć do środka. Zastłony były odsunięte, wszystkie światła w domu zapalone, jakby ktoś chciał, żebym widziała. Jakby triumfował, robił to złośliwie, napawając się swoim zwycięstwem. A może to ona wpadła na ten pomysł: zostawić zapalone światło, żebym widziała. W końcu to było jej zwycięstwo. Miałam wrażenie, że widzę tancerzy na scenie w blasku jupitera; śmiech na twoich ustach, uśmiech na jej ustach, nikt nie dostrzegał mojej nieobecności, bo już zostałam zastąpiona, jakby mnie tam nigdy wcześniej nie było.

Tyle że to nie była scena, tylko salon domu, który miałam z tobą dzielić.

Muszę wiedzieć: czy mnie widziano? Czy to wszystko było po to, by zapłonął we mnie gniew? Czy o to chodziło?

Z miłością,

EV

ALEX

Jej włosy są ciemnobrązowe. Tak jakby. Ciemny brąz, który rozjaśnia się równomiernie, tak że kiedy dociera się wzrokiem do ich końcówek, stają się niemal blond. Czyli ombre. Są nieznacznie pofalowane, ale to jakby niedopowiedzenie. Nie ma się pewności, czy to pofalowanie, czy może skutek wiatru. Włosy, które sięgają poza ramiona. Brązowe włosy współgrające z brązowymi oczami, które – tak jak włosy – zdają się zmieniać kolor, im dłużej na nie patrzę. Zjawia się sama, przytrzymując drzwi dla dwojga starych pierników, którzy depczą jej po piętach, niemal zawadzając nogami o jej obuwie o zawyżonej cenie. Cofa się i czeka, aż usiądą, choć nie ulega wątpliwości, że to ona weszła tu pierwsza. Stoi w progu, sprawiając wrażenie pewnej i jednocześnie nieśmiałej. Jej postawa świadczy o klasie: wyprostowana sylwetka, żadnych nerwowych ruchów, po prostu czeka na swoją kolej.

Jednak w jej oczach nie maluje się żadna celowość, żaden zamiar, premedytacja, nic.

Nigdy jej tu nie widziałem, ale od lat sobie wyobrażałem, że się zjawi.

Kiedy nadchodzi jej kolej, zostaje zaprowadzona do stolika obok okna, więc może obserwować tych samych przewidywalnych klientów, którzy wchodzą i wychodzą, wchodzą i wychodzą, choć można bez trudu zauważyć, że są dla niej wyłącznie nieprzewidywalni. Patrzę, jak zsuwa z siebie dwurzędową kurtkę w czarno-białą kratę. Na głowie ma czarną czapkę. Zdejmuje ją i kładzie na krześle obok płóciennej torby, potem ściąga z szyi robiony na drutach szalik i też odkłada na krzesło. Jest drobna, choć nie tak jak te superkościste modelki, które widuje się w magazynach poświęconych modzie i zalegających półki supermarketów. Nie, nie tak. Nie jest chuda jak szczapa, ale odznacza się wiotką budową. Bardziej niska niż wysoka, bardziej chuda niż nie chuda. A jednak nie niska i nie chuda. Po prostu „przeciętna” albo „normalna”, jak sądzę, ale żadne z tych określeń tak naprawdę nie może się do niej odnosić.

Pod dwurzędową kurtką, czapką i szalikiem kryją się dżinsy i wysokie buty marki Ugg. I bluza z kapturem. Niebieska. Z kieszeniami.

Na zewnątrz właśnie zaczął się dzień. Jeszcze jeden pozbawiony słońca dzień. Na chodniku zalegają liście, kruche łamliwe liście. To, co pozostało na drzewach, spadnie przed końcem popołudnia, jeśli zachodni wiatr będzie miał w tej sprawie

cokolwiek do powiedzenia. Omiata narożniki budynków z czerwonej cegły, czai się pod kalejdoskopem markiz wejściowych, gdzie czeka na okazję, by porwać czyjś kapelusz albo ukraść świstki papieru z okrytych rękawiczkami dłoni.

Nie ma groźby deszczu, no, przynajmniej na razie. Ale chłód i wiatr zatrzymują mnóstwo ludzi w domach, ubiegając zimę.

Zamawia kawę. Siedzi przy oknie, popijając z przecenionego ceramicznego kubka i wyglądając na zewnątrz. Patrzy na ceglane budynki, kolorowe markizy, spadłe liście. Nie widać stąd jeziora Michigan, ale ludzie i tak lubią siedzieć przy oknie i puszczać wodze fantazji. On gdzieś tam jest, wschodni brzeg jeziora Michigan. Portowy Kraj, jak nas nazywają, wianuszek małych miasteczek z plażami, jakieś sto dwadzieścia kilometrów za Chicago, sto dwadzieścia kilometrów stanowiących odpowiednik trzech stanów i innego, dalekiego świata. Stamtąd w każdym razie pochodzi większość naszej klienteli. Chicago, czasem też Detroit, Cleveland albo Indianapolis, ale najczęściej Chicago. Weekendowa ucieczka, bo trudno znaleźć tu coś, czym człowiek mógłby się zajmować dłużej niż dwa dni.

Ale tak jest głównie latem, kiedy ludzie masowo się zjeżdżają, a teraz nikt nie przyjeżdża. Nikt prócz niej.

Nasza restauracja jest oddalona od utartej drogi i tu, gdzie się znajdujemy, na dalekim krańcu miasta, sklepy i knajpy ustępują miejsca domom. Tak naprawdę to spora mieszanina: sklep z pamiątkami na północy, pensjonat *bed-and-breakfast* na południu. Po drugiej stronie brukowanej ulicy usadowił się gabinet psychologa, a w ślad za nim szereg domów jednorodzinnych. Ogrodzone osiedla. Stacja benzynowa. Kolejny sklep z pamiątkami, zamknięty aż do wiosny.

Obok przechodzi kelnerka, pstrykając mi przed twarzą palcami.

- Stolik numer dwa - mówi. Nazywam ją Red. Wszystkie są dla mnie przezwiskami: Red, Braids, Braces. - Stolik numer dwa, trzeba go uprzątnąć.

Nie poruszam się jednak, tylko wciąż patrzę. Też jej nadaję przezwisko, bo wydaje mi się to czymś właściwym. Kobieta patrząca przez okno buduje zamki w powietrzu, śni na jawie. To naprawdę wielka rzecz, że dzieje się tu coś innego, kiedy nigdy nie dzieje się nic innego. Gdyby Nick i Adam wciąż tu byli, a nie gdzieś daleko na studiach, zadzwoniłbym do nich i opowiedział o dziewczynie, która się dzisiaj pojawiła. O jej oczach, o jej włosach. Zaciekawieni podpytywaliby o szczegóły: czy naprawdę jest inna niż niezliczone dziewczyny, które widzimy codziennie, te same dziewczyny, które znamy od pierwszej klasy. A ja bym im powiedział, że tak.

Mój dziadek zwykł nazywać moją babkę - także brunetkę, choć zawsze

postrzegałem ją jako masę pajęczej szarości – Cappuccetta. To przezwisko rzekomo miało jakiś związek z zakonem kapucynów, przynajmniej tak twierdził mój dziadek. Ponoć chodziło o mnisie kaptury, które odznaczają się pewnym podobieństwem do kawy cappuccino. Tak w każdym razie mówił dziadek, kiedy patrzył mojej babce w oczy i nazywał ją Cappuccettą.

Jeśli o mnie chodzi, podoba mi się brzmienie tego słowa. I wydaje się dobrze pasować do tej dziewczyny – ciemnawe włosy z dodatkiem blond, dwuznaczność, która otacza ją niczym kaptur mnisiego habitu. Ale nie pijam kawy, więc mój wzrok skupia się na jej wąskim nadgarstku i perłowej bransoletce, która sprawia wrażenie zbyt małej nawet jak na jej małą dłoń. Bransoletka jest naprężona, między kremowymi paciorkami widać elastyczną opaskę. Wyobrażam sobie, że zostawia odcisk na skórze. Perły na brzegach, utraciwszy swój połysk, są wytarte. Obserwuję, jak dziewczyna skubie odruchowo opaskę, jak odciąga elastyczny materiał od skóry, a potem puszcza go, by znów owinął się wokół nadgarstka. To niemal hipnotyzujące, ten prosty ruch. Skubnięcie, skubnięcie, skubnięcie. Obserwuję to przez chwilę, nie mogąc oderwać oczu od bransoletki i płynnych ruchów dłoni dziewczyny.

I to właśnie przeważa. Nie Cappuccetta, postanawiam. Będę ją nazywał Perłą.

Perła.

W tym momencie pojawia się grupa ludzi regularnie uczęszczających do kościoła, ci sami, którzy przychodzą co tydzień o tej samej porze. Zajmują swój ulubiony stół o dużym prostokątnym blacie, przy którym mogą się wszyscy pomieścić, a jest ich dziesięcioro. Dostają dzbanki z kawą, jedna o obniżonej zawartości kofeiny, druga mocna, choć nikt nie musiał o to prosić. Ale to rozumie się samo przez się, bo tak właśnie robią w każdy niedzielny poranek: zbijają się w gromadkę wokół tego samego stołu i z zapalem rozmawiają o kazaniach, pastorach, Biblii i tym podobne.

Kelnerka Braids znika na trzy kolejne przerwy nikotynowe, więc kiedy wraca, cuchnie fabryką papierosów. Zęby ma bladożółte. Wrzuca do kieszeni fartucha kolejny niezadowolający napiwek i jęczy, bo to ledwie półtora dolara, w ćwierćdolarówkach.

Przeprasza i idzie do toalety.

W restauracji pojawia się z wolna nastrój normalności, choć biorąc pod uwagę obecność Perły – damy z włosami ombre, patrzącej przez okno na barwne domy i budynki z czerwonej cegły – tak naprawdę nic nie jest normalne. Je z talerza, który przed nią postawiono. Zamówiła jajecznicę, obok bułeczka drożdżowa na ciepło z masłem i dżemem truskawkowym. Drugi kubek kawy, do której wlewa dwie

śmietanki z małych pojemniczków i dosypuje opakowanie słodziku, tej różowej substancji. Pije, nie zwracając sobie głowy mieszaniem. Patrzą uparcie, nie mogąc oderwać oczu od jej dłoni, a ona podnosi kubek do ust i sączy napój.

W tym momencie wzywa mnie po imieniu cienki, metaliczny głos Priddy, ingerując w moje myśli.

- Alex - mówi do mnie.

Gdy się odwracam, widzę jej długi, zakrzywiony palec, którym mnie przywołuje. Paznokcie ma pomalowane na pomarańczowo w odcieniu kantalupy. Przed nią, na oszklonej ladzie, stoi kartonowe pudełko i plastikowy kubek z napojem gazowanym z automatu, a także góra frytek i pikle. Czyli to co zwykle. Nie prowadzimy dostaw, ale dla Ingrid Daube robimy wyjątek, a dzisiaj przypada moja kolej. Zazwyczaj wyczekuję z niecierpliwością wyprawy do domu Ingrid - ucieczki od przyziemnej rutyny restauracyjnej - ale dzisiaj jest inaczej. Dzisiaj wolałbym zostać.

- Ja? - pytam głupawo, gapiąc się na karton.

- Tak, ty, Alex. Ty - mówi Priddy.

Wzdycham.

- Zanieś to Ingrid - dodaje Priddy bez żadnych „proszę” czy „dziękuję”, za to z nakazem: - Jazda.

Zwlekam przez ułamek sekundy, wpatrzony w kobietę z włosami ombre - Perłę - gdy Red przechodzi tuż obok i po raz trzeci napełnia kawą jej kubek.

Perła siedzi tu już od godziny, może dwóch, i choć dawno skończyła posiłek, nie wychodzi. Upłynęło dobre trzydzieści minut od chwili, w której Red położyła obok kubka rachunek. Kelnerka spytała trzykrotnie, czy czegoś sobie jeszcze życzy, ale Perła za każdym razem kręci głową i mówi, że nie. Red się irytuje, gotowa zgarnąć kolejny nędzny napiwek, na który będzie mogła narzekać, gdy tylko klientka się zmyje, ale się nie zmywa. Tkwi przy oknie, wyglądając na zewnątrz, popijając kawę i nie mając zamiaru wyjść.

Mówię sobie, że się pośpieszę. Że wrócę, zanim zniknie.

Dlaczego? Nie wiem dlaczego. Z jakiegoś powodu chcę tu być, kiedy Perła zacznie zbierać się do wyjścia, patrzeć, jak wkłada czarną czapeczkę, zakrywając włosy ombre. Patrzeć, jak owija szyję szalikiem i bierze do ręki płócienną torbę. Patrzeć, jak wkłada dwurzędową kurtkę. Patrzeć, jak wstaje z krzesła, zobaczyć, w którą się uda stronę.

Mówię sobie, że się pośpieszę, wrócę, nim wyjdzie. Powtarzam to. Jeśli odmierzę czas odpowiednio, to może Perła będzie wychodzić, kiedy wrócę z dostawą dla Ingrid. Może.

Przytrzymam jej drzwi, powiem:

- Życzę miłego dnia.

Spytam ją o imię, dodam:

- Po raz pierwszy w naszym mieście?

Może. Jeśli zdążę.

I jeśli nie okażę się tchórzem, którym prawdopodobnie się okażę.

Nie wkładam nawet kurtki przed tą krótką wyprawą na drugą stronę ulicy.

Chwytam kartonowe pudełko i drinka, po czym wycofuję się tyłem przez oszklone drzwi, otwierając je pośladkami. Wiatr niemal wyrywa mi pojemnik, kiedy wychodzę na zewnątrz, i myślę, że właśnie w takich chwilach żałuję, że nie mam włosów, no, więcej włosów. Dłuższych niż ta szczecina na mojej głowie, która nie ogrzewa czaszki ani uszu. Przydałyby mi się czapka i płaszcz, ale mam na sobie tylko strój restauracyjny: tanie plisowane spodnie, zapinaną na guziki białą koszulę i czarną muszkę. Jest tandetny, coś, w czym nie chciałbym być widziany w publicznym lokalu, ale Priddy nie pozostawia mi wyboru. Rękawy koszuli furkoczą na wietrze, wiatr wdziera się pod poliester, wydymając go niczym spadochron albo balon na przyjęciu urodzinowym. Jest zimno na zewnątrz, temperatura osiąga ledwie cztery i pół stopnia. Wychłodzenie z powodu wiatru to inna historia. Wychłodzenie - znane także jako coś, o czym wszyscy będą mówić przez najbliższe cztery miesiące. Jest dopiero listopad, a meteorolodzy już przewidują mroźną zimę, jedną z najmroźniejszych, jakie odnotowano, mówią, że z temperaturami poniżej zera, rekordowymi wichrami i obfitym śniegiem.

To zima w Michigan, na litość boską. Czy jest w tym coś niezwykłego?

Ingrid Daube zajmuje dom w tradycyjnym stylu Cape Cod, dokładnie naprzeciwko restauracji. To mały budynek wzniesiony około 1940 albo 1950 roku. Jest jasnoniebieski i ma ciemnoniebieskie okiennice, a także dach niemal równie wysoki jak szeroki. To dobry dom, czarujący dom. Urokliwy i idylliczny, pomijając zgiełk i gwar głównej ulicy, która o tej porze roku nie ma nic wspólnego ze zgiełkiem i gwarem. Panuje tu spokój. Ingrid ma z okna mansardowego na piętrze widok z lotu ptaka na restaurację, i tam właśnie ją widzę. Stoi niczym zjawą, jej oczy wlepiają spojrzenie w moje oczy, kiedy czekam, aż przejedzie samochód, a potem przebiegam truchtem ulicę. Ingrid macha do mnie zza szyby. Odpowiadam jej tym samym gestem i patrzę, jak znika z pola widzenia.

Zaczynam się wspinać po schodach na szeroki biały ganek Ingrid i w tym momencie słyszę wysoki pisk skrzypiących zawiasów oraz trzask drzwi z siatką ochronną, dobiegające od strony sąsiedniego domu, niebieskiej wiejskiej chaty

przerobionej na gabinet doktora Gilesa, miejscowego terapeuty. Przeniósł tu swoją praktykę niespełna rok temu. Kiedy zerkam przez ramię, stoi w drzwiach, żegnając się z pacjentką, a potem z rękami w kieszeniach rozgląda się po ulicy, jakby czekał, aż pojawi się ktoś inny. Obejmuje ją? Jestem pewny, że tak, niezgrabny jednoręczny uścisk, jaki nie powinien się zdarzyć na widoku publicznym. Dlatego jest to takie dziwne. Sprawdza godzinę na zegarku. Patrzy w lewo, patrzy w prawo, wzdłuż całej ulicy. Ktoś się spóźnia, a doktor Giles nie chce czekać. Wydaje się poirytowany, że musi czekać. Widzę to w jego zmrużonych oczach, w wyprostowanej postawie, w skrzyżowaniu rąk.

Nie lubię tego człowieka ani trochę.

Pacjentka, która się oddała, zarzuca gwałtownym ruchem kaptur na głowę – to obszyty futrem kaptur od grubej czarnej kurtki – choć czy tak robi, bo jest jej chłodno, czy ze względu na prywatność, nie potrafię powiedzieć. Nie wiem. Ani przez moment nie dostrzegam jej twarzy, nim oddała się pośpiesznie ulicą w przeciwną stronę. Nie widzę jej, ale słyszę ją. Połowa miasta ją słyszy. Słyszę jej płacz, rozpaczliwy szloch, który rozbrzmiewa daleko stąd. To on sprawił, że płacze. Doktor Giles sprawił, że ta dziewczyna płacze. Dodać do listy powodów, dla których nie lubię tego faceta.

Doszło do wielkiego skandalu, kiedy doktor Giles przeniósł swój gabinet do tej małej niebieskiej chaty. Panie z miasta zaczęły się kręcić wokół restauracji, przechadzać tam i z powrotem po ulicy, żeby obserwować klientelę doktora Gilesa i ustalić, którzy obywatele miejskiej społeczności spotykają się z psychologiem i dlaczego. Tym samym potwierdziły to, czego ludzie najbardziej nienawidzą, jeśli chodzi o życie w małym mieście: nie ma tu czegoś takiego jak prywatność.

Nasze miasto uosabia wszelkie cechy małego miasta. Mamy jedno skrzyżowanie ze światłami i jednego pijaka, no i wszyscy wiedzą, kto jest miejscowym pijakiem: mój ojciec. Wszyscy plotkują. Nie ma nic lepszego, niż rzucić kogoś na pożarcie wilkom. I tak też czynimy.

Ingrid otwiera drzwi, jeszcze zanim pukam. Otwiera drzwi, a ja wchodzę do środka i wycieram buty o tkaną matę. Uśmiecha się. Ingrid jest mniej więcej w tym samym wieku co moja matka, gdyby wciąż tu była. Wiem, wiem, głupio to zabrzmiało, więc powiem inaczej. Nie o to chodzi, że matki w ogóle nie ma, że jest martwa. Ona nie jest martwa (choć czasem tego żałuję), ale po prostu jej tu nie ma, a ja mam w pamięci jej obraz sprzed lat i umiem policzyć jej obecny wiek. Ingrid ma jedną z tych fryzur, jakie noszą czasem czterdziesto- czy pięćdziesięcioletnie kobiety, włosy koloru mokrego piasku. I przyjazne oczy. I miły uśmiech, ale to

smutny uśmiech. Nie ma w mieście ani jednej osoby, która mogłaby powiedzieć o Ingrid coś złego; już prędzej to, że mnóstwo złego spotkało Ingrid. O tym mówią. Bo życie Ingrid to definicja tragiczności. Zawsze była niesprawiedliwie traktowana, to pewne, i w rezultacie stała się miejscową bidulą, pięćdziesięcioletnią kobietą, która jest zbyt przerażona, żeby wyściubić nos z domu. Ma ataki paniki o każdej porze, ucisk w klatce piersiowej, kłopoty z oddychaniem. Widziałem to na własne oczy, na jedno oko i drugie oko, choć nie znam całej jej historii. Moją zasadą jest nie wtrącać się w cudze sprawy, a mimo to byłem świadkiem, jak wsadzano Ingrid do karetki i zawożono czym prędzej na oddział nagłych przypadków, bo sądziła, że umiera. Okazało się, że nic jej nie jest. Nic. Zwykły przypadek agorafobii, jakby było czymś zwyczajnym, że pięćdziesięcioletnia kobieta siedzi w domu, bo boi się śmiertelnie świata zewnętrznego. Nie opuszcza domu, nic jej do tego nie skłoni – ani żeby odebrać pocztę, ani podlać kwiatek, ani wyrwać chwast. W obrębie gipsowych ścian czuje się doskonale, ale poza nimi to zupełnie inna sprawa.

Ale poza tym Ingrid nie jest szalona. Jest tak samo normalna jak inni.

– Cześć, Alex – mówi do mnie.

– Cześć – odpowiadam jej.

Ingrid ubiera się tak, jak powinna to robić pięćdziesięcioletnia kobieta: coś w rodzaju jasnopomarańczowej bluzy i czarne spodnie z dzianiny. Na szyi medalion na łańcuszku. W uszach kolczyki. Na stopach buty na płaskim obcasie.

Nim Ingrid zamyka drzwi, odwracam się, by szybko zerknąć. Tam, za szybą restauracji, widzę Perłę, której obraz jest rozmazany przez zwierciadlane odbicie tego wszystkiego, co znajduje się po drugiej stronie ulicy. To, co wewnątrz, i to, co na zewnątrz, miksuje się z powodu szkła, więc nic dziwnego, że czasem ptaki wpadają na nie z impetem, by runąć ku śmierci na porowatym betonie.

Mimo wszystko jednak widzę ją przez markizę drzew i odwzorowanie połowy świata na szybie.

Perłę.

Jej oczy spoglądają przez okno, ale nie na mnie. Podążam za wzrokiem Perły ku tabliczce, która wisi na ozdobnych mocowaniach na sąsiednim domu: „Dr Giles, psycholog dyplomowany”. I tam właśnie stoi we własnej osobie on, doktor Giles – ciemne, starannie przycięte włosy i wyszukany styl – czekając na kolejnego pacjenta.

Niech mnie diabli. Ona go obserwuje.

Czy umówiła się na wizytę u doktora Gilesa? Może. Może właśnie o to chodzi. Moja percepcja skupia się na czymś innym, ale nie na tyle, bym przestał myśleć

o włosach Perły czy jej oczach, bo nie przestają. Na dobrą sprawę widzę je za każdym razem, gdy tylko mrugnę.

Ingrid zatrzaskuje drzwi i zwraca się do mnie z prośbą:

- Możesz je zamknąć?

Dom Ingrid jest niewielki, ale jak najbardziej odpowiedni dla jednej osoby. Przekręcam zamek przy drzwiach i zanoszę lunch do stołu kuchennego. Na marmurowym blacie stoi otwarte kartonowe pudło, obok niego niewielki zapas książek. Coś, co pozwala zabić czas. Leży tam też nóż, profesjonalny nóż do krajania mięsa, wykorzystywany do przecinania taśmy samoprzylepnej.

Niewielki telewizor jest włączony, ale Ingrid nie patrzy na mały płaski ekran, choć mogę się zorientować, że słucha, i domyślam się, że dźwięk głosu aktorów i aktorek daje jej złudne wrażenie, że nie jest sama. Że ktoś tu jest, nawet jeśli stanowi tylko fantazję. To psikus, który robi samej sobie. Człowiek musi czuć się samotny, kiedy nie może wyjść z własnego domu.

Poza tym panuje cisza. Kiedyś słyhać tu było hałaśliwe dzieci i tupot stóp, ale już nie. Te odgłosy dawno umilkły.

- Pomyślałam sobie, że wyświadczysz mi przysługę, Alex - mówi Ingrid, odciągając mój wzrok od jakiejś pani na ekranie telewizora.

Jej dom jest orzeźwiająco biały: białe ściany, białe szafki. Podłogi stanowią kontrast z resztą domu, bejcowane deski, tak ciemne, że niemal czarne. Meble i ozdoby są skromne, w neutralnych i szarych odcieniach, niewiele bibelotów czy akcesoriów, w przeciwieństwie do mojego domu; tata zbiera wszystko, co popadnie, nie mogąc się rozstać z czymkolwiek. Nie znaczy to, że gromadzi latami rupiecie, które tworzą na środku pokoju stos sięgający sufitu, albo że bezdomne koty rozmnażają się w każdym zakamarku naszego lokum, więc roi się tam od zdziczałych kociąt, żywych i martwych. Nie, nic w tym rodzaju, inaczej niż w przypadku tych ludzi, których pokazują w telewizji. Ale jest sentymentalny - to ktoś, kto nie potrafi się rozstać z moimi świadectwami gimnazjalnymi i zębami mlecznymi. Podejrzewam, że powinienem być z tego zadowolony. W głębi serca sędzę, że tak właśnie jest.

Ale to też bolesne przypomnienie, że tata nie ma na świecie nikogo prócz mnie. Gdybym miał stąd odejść, gdzie by się podział?

- Zrobiłam listę zakupów - mówi Ingrid.

A ja, nie czekając, aż wypowie słowa „Załatwisz to?”, mówię:

- Jasne. Jutro, okej?

A ona mówi, że tak.

Z okna kuchni mam przyzwoity widok na wnętrze gabinetu doktora Gilesa. Dom Ingrid wznosi się wyżej, okno zapewnia doskonały kąt widzenia. Nie jest to widok idealny, ale zawsze coś. Kiedy Ingrid szuka w torebce dwóch dwudziestodolarowych banknotów i wręcza mi je, dostrzegam coś mrocznego i niewyraźnego, ruch kształtów za szybą. Ktoś tam jest. Wytężam wzrok, ale niezbyt długo. Nie mogę, nie chcę, żeby Ingrid wzięła mnie za podglądacza. Więc napotykam jej wzrok, wsuwam dwa dwudziestodolarowe banknoty do kieszeni i mówię, że przyjdę jutro. Wybiorę się do sklepu spożywczego z samego rana. Robiłem to już wielokrotnie; rutyna.

Biorę listę sprawunków, żegnam się i wychodzę.

W chwili, gdy wyłaniam się z domu Ingrid i schodzę po szerokich stopniach ganku na chodnik, widzę to.

Na miejscu przy oknie restauracji nikt już nie siedzi.

Dziewczyna zniknęła.

QUINN

Często sądziłam, że Esther jest przezroczysta jak szyba. Widzisz to, co widzisz. Teraz jednak, kiedy siedzę na podłodze jej pudełkowatej sypialni, ze skrzyżowanymi nogami, które drętwieją, trzymając w dłoni list do Najdroższej Osoby, myślę sobie, że może się myliłam, i to od początku do końca.

Może Esther mimo wszystko nie jest przezroczysta. Nie szyba, ale raczej kalejdoskop-zabawka, ukazujący przy najdrobniejszym ruchu zawile mozaiki i wzory.

Do Esther sprowadziło mnie ogłoszenie zamieszczone w „Readerze”.

- Nie mówisz chyba poważnie? - oznajmiła moja siostra Madison, kiedy pokazałam jej ten anons: „Kobieta szuka współlokatorki do mieszkania z dwiema sypialniami w Andersonville. Doskonała lokalizacja, blisko do autobusu i pociągu”. - Widziałas ten film „Sublokatorka”, prawda? - nie dawała za wygraną, siedząc na brzegu łóżka z mnóstwem pomocy dydaktycznych, które rozmnażały się na narzucie niczym króliki.

Wzięłam do ręki jeden z kartoników.

- Te bzdury nigdy ci się nie przydadzą, wiesz? - powiedziałam, wpatrując się w kulawą definicję na odwrocie. - W każdym razie nie w prawdziwym życiu.

Wtedy Madison posłała mi to swoje spojrzenie, jak to ona.

- Mam jutro sprawdzian - odparła, jakbym o tym nie wiedziała.

- Co ty nie powiesz. - Rzuciłam kartonik na rosnący stosik. - Jak skończysz szkołę, te bzdety nie będą ci już potrzebne.

Jestem ostatnią osobą na Ziemi, która powinna udzielać innym rad, a już najmniej w kwestiach edukacji. Pięć miesięcy wcześniej ukończyłam college, z rodzaju tych kiepskich college'ów, a mówiąc delikatniej, taki, co to nie zalicza się do najlepszych uczelni w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Ale chesne było niskie, w każdym razie niższe niż w podobnych college'ach. Poza tym mnie przyjęli, czego nie można powiedzieć o innych college'ach, do których próbowałam się dostać, a to za sprawą pewnej drobnostki, znanej jako „trudności w nauce”. Cierpiąc na coś pośredniego między ADHD a dysleksją, z góry znalazłam się na straconej pozycji. W każdym razie tak wynikało z niezliczonych listów odmownych, które otrzymywałam z uczelni, gdzie starałam się o przyjęcie. Nieodmiennie na odesłanych podaniach czerwieniła się wielka pieczęć z jednym słowem: „Odrzucono”.

Dobre dla poczucia własnej wartości. Naprawdę.

Albo i nie.

Pierwsze dwa semestry z ośmiu zaliczyłam warunkowo, ale kiedy dziekan zagroził, że wywali mnie z uczelni, wzięłam się w garść i sięgnęłam po książki. Pamiętałam też, żeby brać od czasu do czasu ritalin, a także przyznałam się do trudności w nauce, choć nie bardzo chciałam robić.

Mimo wszystko zdołałam jakoś ukończyć college z wynikiem dostatecznym. A jednak nikt nie potrzebuje ode mnie akademickiej porady, a już najmniej Madison, moja młodsza siostra, która ukończy studia z wyróżnieniem. Więc się przymknęłam, przynajmniej w kwestii tego tematu.

Tak przy okazji, widziałam film „Sublokatorka”. Oczywiście, że tak. Jednak trudne czasy wymagają trudnych decyzji, a ja byłam w trudnym położeniu. Miałam dwadzieścia dwa lata, przed pięcioma miesiącami ukończyłam studia i pragnęłam za wszelką cenę uciec z podmiejskiego domu rodziców, gdzie mieszkali z moją genialną siostrą i jej śmierzącą świnką morską. Madison wciąż chodziła do szkoły średniej, naukowa maniaczka, którą czekała kariera medyczna. Albo może kariera balsamistki, biorąc pod uwagę jej niezdrową fascynację wszystkim, co martwe. Miała wypchaną wiewiórkę, którą kupiła przez internet za kieszonkowe, zresztą to samo zamierzała zrobić ze świnką morską, kiedy ta już kopnie w kalendarz – obedrzeć ze skóry i wypchać żalotne stworzenie, a potem postawić na półce.

Madison była szczęśliwa jak skowronek, mieszkając w rodzicielskim domu. Nie potrafiła zrozumieć mojego pragnienia ucieczki. Nie chodziło tylko o nudę; chodziło o ciągłe pouczanie, o to, że na podmiejskiej stacji Barrington witał mnie po wyjściu z pracy minivan matki, która siedziała za kierownicą i zawsze chciała wiedzieć, jak upłynął mi dzień.

- Zaprzyjaźniłaś się z kimś dzisiaj? - spytała pierwszego dnia mojej nowej kariery jako asystentki projektu w znamienitej firmie prawniczej zlokalizowanej w dzielnicy biznesowej, jakby chodziło o pierwszy dzień w przedszkolu, a nie w robocie. Dostałam tę posadę dzięki małemu kłamstewku, zapewniłam mianowicie, że interesują mnie studia prawnicze, podczas gdy w ogóle mnie nie interesowały.

- Nauczyłaś się czegoś nowego? - spytała mnie matka tamtego dnia, kiedy siedziałam na przednim fotelu jej samochodu.

- Nie, mam. Niczego.

Ale nauczyłam się, czyż nie? Nauczyłam się, jak bardzo ta robota dołuje.

A potem pojechałyśmy do domu, gdzie byłam zmuszona wysłuchiwać rodzicielskich tyrad, w których bez końca był wałkowany temat, jaka to Madison

jest, och, bystra, jak zaliczyła celująco kolejny egzamin, jak Madison została już przyjęta do jakiegoś mądralińskiego college'u, podczas gdy ja wybrałam inny, w oparciu o prosty fakt, że był tani, a przyjęli mnie, bo wszędzie mnie odrzucali z powodu kiepskich wyników egzaminu decydującego o przyjęciu na studia.

Musiałam się stamtąd wydostać. Czułam się duszona, tłamszona. Nie mogłam oddychać.

I właśnie wtedy to się stało. Jechałam kolejką z pracy do domu, kiedy otworzyłam gazetę na stronie z ogłoszeniami drobnymi i zobaczyłam anons Esther, promyk światła na ciemnym niebie. Już wcześniej szukałam czegoś do wynajęcia, ale moje stanowisko najniższego szczebla ledwie zapewniało minimalną płacę i choć próbowałam iść na łatwiznę - kawalerka, mieszkanie w bloku, mieszkanie po stronie południowej miasta - pozostawało niezaprzeczalnym faktem, że nie stać mnie było na wynajęcie w pojedynkę czegoś w Chicago. A mieszkanie poza miastem nie wchodziło w rachubę, bo wtedy potrzebowałabym nie tylko mieszkania, ale też samochodu, jakiegoś środka transportu, który - zamiast najdroższej mamusi - dowoziłby mnie na stację i odwoził ze stacji.

Kobieta szuka współlokatorki do mieszkania w Andersonville z dwiema sypialniami. Doskonała lokalizacja, blisko do autobusu i pociągu.

Byłam zachwycona! Od razu zadzwoniłam i umówiliśmy się na spotkanie.

W dniu, w którym miałam się po raz pierwszy spotkać z Esther, w myślach szykowałam się na spotkanie z Jennifer Jason Leigh. Prawdę mówiąc, Madison trochę mnie speszyła tą uwagą na temat „Sublokatorki”. Co gorsza, powtórnie obejrzałam film przed naszym spotkaniem i widziałam, jak Jennifer Jason Leigh, alias Hedy, zamienia się w wariatkę czy Bóg jeden wie kogo jeszcze, i pocieszałam się jedynie myślą, że jako osoba wprowadzająca się do mieszkania Esther, to ja w tej sytuacji jestem Jennifer Jason Leigh, a ona czarującą Bridget Fondą.

I rzeczywiście była czarująca.

Spóźniła się tego dnia, musiała dłużej zostać w pracy z powodu koleżanki, która zachorowała. Zadzwoniła, kiedy szłam do mieszkania, i umówiliśmy się w księgarni przy Clark, gdzie pracowała, jak się niebawem dowiedziałam.

- Fucha na pół etatu w trakcie robienia magisterium z terapii zajęciowej - wyjaśniła.

Śpiewała też trochę, taka piosenkarka przez małe „p”, która czasami występuje w jednym z lokalnych barów.

- Pomaga zapłacić rachunki - powiedziała bagatelizująco.

Ale z czasem zorientowałam się, że chodzi o coś więcej. Esther pragnęła w głębi

duszy zostać drugą Joni Mitchell.

- Co to jest terapia zajęciowa? - spytałam, kiedy prowadziła mnie między stosami książek do spokojniejszego miejsca na zapleczu.

Usiadłyśmy na zjadliwie pomarańczowych pufach przeznaczonych dla małoletnich słuchaczy. Przeprosiła mnie za zmianę pierwotnego planu i za to, że musiałam przyjść do księgarni. Była akurat sobota, w środku roiło się od kosmopolitów, którzy przeglądali półki i wybierali książki. Wyglądali na mądrych, każdy bez wyjątku, podobnie jak Esther, choć w chłodny i nowoczesny sposób. Ona miała sarnie oczy i emanowała grzecznością, jednak wyczuwało się w niej jakąś wewnętrzną diabelskość czy to z powodu srebrnego ćwieka w nosie, czy włosów o stopniowanej barwie. Od razu mi się to spodobało. Ubrana w wygodny sweter na guziki i bojówki, Esther była naprawdę *cool*.

- Uczymy ludzi, jak o sobie zadbać. Ludzi niepełnosprawnych, z ociężałością umysłową, z obrażeniami fizycznymi. Starszych. To jak rehabilitacja. Wzajemna pomoc i psychiatria w jednym.

Zęby miała idealnie równe, olśniewająco białe. Oczy różnobarwne, jedno brązowe, drugie niebieskie. Nigdy wcześniej się z tym nie spotkałam. Miała na nosie okulary, choć dowiedziałam się, że tylko na pokaz, taki rekwizyt sprzedawczyni książek. Powiedziała, że dzięki nim wygląda na mądrą. Esther jednak nie potrzebowała fałszywych szkieł, żeby wyglądać mądrze. I bez nich była mądra.

W dniu, w którym się spotkałyśmy, spytała mnie o moją pracę i czy stać mnie na zapłacenie połowy czynszu. Był to z jej strony jedyny wymóg względem mojej osoby - żebym pokrywała swoją część.

- Mogę - zapewniłam, pokazując na dowód ostatni przelew. Pięćset pięćdziesiąt za miesiąc wysupłałabym bez trudu. Pięćset pięćdziesiąt za własną sypialnię w mieszkaniu po północnej stronie Chicago, w budynku bez windy. Zaprowadziła mnie tam, kawałek dalej, niedaleko księgarni, gdy tylko skończyła czytać maleńkim szkrabom, które podkradły nam krwistopomarańczowe pufy. Słuchałam jej, kiedy czytała, wchodząc w rolę niedźwiedzia, wrony, kaczki; jej głos był kojący i słodki. Zwracała baczną uwagę na szczegóły - czy dzieciaki słuchają i są spokojne, czy odwraca strony wielkiej książki w odpowiedni sposób, by każdy mógł zobaczyć ilustracje. Nawet ja przycupnęłam na podłodze, zasłuchana w opowieść. Esther potrafiła oczarować.

Kiedy już znalazłyśmy się na miejscu, pokazała mi pomieszczenie, które mogłoby być moim pokojem, gdybym się zdecydowała.

Nigdy nie wyjaśniła, co stało się z osobą, która mieszkała w tym pokoju przedemną, w pokoju, który miałam niebawem zająć, choć przez kilka następnych tygodni znajdowałam ślady jego lub jej egzystencji w niewielkiej garderobie dużej sypialni: nieczytelne imię nabazgrane ołówkiem na ścianie, fragment fotografii porzuconej na podłodze tego pustego pomieszczenia; na błyszczącej powierzchni zdjęcia zachował się jedynie kosmyk cienistych włosów Esther.

Pozbyłam się tego skrawka, gdy tylko tam zamieszkałam, ale ze ścianą garderoby nic nie mogłam zrobić. Wiedziałam, że to włosy Esther są na zdjęciu, bo podobnie jak tych dwubarwnych oczu, nigdy w życiu nie widziałam takich włosów, które farbowała od dołu ku górze, by osiągnąć efekt stopniowego płowienia, ciemny brąz u góry, blond u dołu. Linia rozdarcia też była wymowna – nierówna biała krawędź papieru fotograficznego, usunięty wizerunek; pozostała tylko Esther.

Nie wyrzuciłam zdjęcia, tylko podczas rozpakowywania swoich rzeczy podałam je Esther ze słowami:

- Jest chyba twoje.

To było niemal rok temu. Wyrwała mi zdjęcie z ręki i cisnęła w kąt. Wtedy ten gest nie miał dla mnie żadnego znaczenia.

Teraz jednak, co oczywiste, zastanawiam się, czy miał jakieś znaczenie. Choć jakie, to już nie bardzo wiem.

ALEX

Czekam godzinami, aż Perła wróci, starając się przy tym przeniknąć wzrokiem zasłony w oknie gabinetu doktora Gilesa, ale ona się nie pokazuje. Zastanawiam się, czy nie przemknąć chyłkiem w to miejsce między domem Ingrid a domem doktora Gilesa i stanąć na palcach, by zajrzeć do środka. Rozważam ponowną wizytę w domu Ingrid – udając, że czegoś zapomniałem, że czegoś potrzebuję – by dostrzec coś przez okno kuchenne. Wyobrażam sobie, że jest tam Perła, w wiejskiej chacie doktora Gilesa, i robi to, co robią ludzie w gabinecie psychologa: siedzi na kanapie i zwierza się człowiekowi, którego rajcuje słuchanie o problemach innych ludzi.

Ale potem czas upływa – trzydzieści minut, godzina, dwie godziny – aż w końcu mówię sobie, że za długo, by tam siedziała, omawiając sprawę z doktorem Gilesem. Żadna wizyta u terapeuty nie trwa dwie godziny. A może tak? Skąd mam wiedzieć?

W końcu daję sobie spokój. Nie ma jej tam, mówię sobie. Ale oczywiście nie jestem tego pewien, mogę się tylko domyślać.

W środku popołudnia idę do domu. Pokonuję tę samą drogę, jaką przebyłem rano, ulicami miasta, obok małych sklepów, które zamyka się na noc, wywieszki z napisem „Otwarte” obraca się na drugą stronę z napisem „Nieczynne”, drzwi się rygluje. Jestem zmęczony, bołą mnie stopy. W głowie kręci mi się od obrazu dziewczyny przy oknie. Była tam, a potem już jej nie było.

Ulice wyłożono kostką, uformowanym w sześcian granitem. Dwie restauracje wciąż są otwarte, ale butiki – ten milutki z dziecięcym towarem w witrynie i drugi, oferujący tylko tanie drobiazgi i ograniczony wybór tandetnych kart z życzeniami po zawyżonych cenach – też zostaną niebawem zamknięte. Ulice sprawiają wrażenie sennych, szare niebo kontempluje deszcz. Na poboczu przycupnęła duża czarna wrona, racząc się truchłem królika, ofiary ruchu drogowego. Wszyscy o tej porze roku ulegają przygnębieniu. Po drucie telefonicznym przemyka wiewiórka, modląc się, by nie zauważyła tego wrona. Nieco dalej zmierza do domu grupka nastoletnich chłopców w szortach i podkoszulkach, jakby niepomnych na zimno. W jesiennym powietrzu rozbrzmiewa ich śmiech. Jeden z nich zaciąga się petem; ma dwanaście, najwyżej trzynaście lat.

Naciągam kaptur na głowę. Wsuwam dłonie do kieszeni spodni i zgarbiony idę szybko przez miasto, obok karuzeli, w stronę plaży.

Miasto jest samotne, a ja czuję się przybity.

Myszę o kumplach, Nicku, Adamie i Percym, którzy studiują i przeżywają najlepszy okres swojego życia. Jednocześnie myślę o pewnej dziewczynie, której nawet nie znam, której może więcej nie zobaczę. Niewykluczone, że też ma nie po kolei w głowie.

Jezioro wali o brzeg, jest takie samo jak rankiem. Tylko za dnia widzę wzburzone fale w dali, nieubłagany napływ spienionych szczytów, które atakują piasek, wściekle i szybko jak rycerze na koniach, jak szarżująca kawaleria. Piasek ma barwę splukanego brązu. Jezioro ma też swój zapach, który nie jest nieprzyjemny, ale ma w sobie rozmiękłość, mokość i zimno. Do czarnych tenisówek przywiera piasek, kiedy przechodzę obok wysokiej nadbrzeżnej trawy, gęstych skupisk, które wyłaniają się z gruntu. Trawa stała się brązowa i krucha, nie jest już zielona. Niebawem zniknie, wyrwana z korzeni przez zimno, wiatr i śnieg. Mój wzrok, jak zawsze zwykł to czynić, błądzi po plaży w poszukiwaniu łodyg liliowców, maleńkich krążków, które znajdują pośród grudek żwiru i na piasku. To w moim przypadku obsesja, słabość, nawyk. Liliowce, indiańskie paciorki, morskie lilie. Nieważne, jak się nazywają te skamieliny prehistorycznych istot, które niegdyś zamieszkiwały jezioro Michigan. Podnoszę z piasku łodygę liliowca i podziwiam, trzymając w dłoni. W moim przekonaniu te łodygi są piękniejsze niż łupek czy bazalt, o wiele bardziej znaczące niż granit czy żużel wulkaniczny, chociaż, na dobrą sprawę, nie za bardzo jest na co patrzeć. Ludzie nawlekają je na sznurek, robiąc z nich biżuterię, ale ja zbieram je do plastikowych torebek z zamknięciem, chowam do kieszeni spodni i trzymam mocno, żeby nie zgubić.

Na molo stoją jacyś ludzie, mężczyzna i kobieta. Zapuscili się niezbyt daleko, ale na tyle, by zasmakować żywiołów, zarazem nie ryzykując, że zostaną strąceni przez wiatr do wody. Trzymają się za ręce – podtrzymują nawzajem w uporczywej wichurze – chłonąc widoki niespokojnego jeziora i apokaliptycznego nieba, a potem odwracają się i odchodzą, maszerując w stronę samochodu zaparkowanego na pobliskim placu i otrzepując piasek z butów.

Ale ja nie odchodzę. Zostaję, żeby też chłonąć ten obraz.

Dopiero po ich odjeździe, kiedy już zobaczyłem, jak ich czarny samochód opuszcza parking i miasto, widzę ją, jak siedzi samotnie na huśtawce na placu zabaw, a jej stopy szorują o piasek. Dłonie trzymają się łańcuchów, choć nie porusza nogami, pozwalając, by wiatr kołysał huśtawką. To w najlepszym razie miarowy ruch, zamierzony i nieśpieszny, jak w przypadku kogoś, kto myśli o czymś innym, a nie o huśtaniu.

Perła.

Ma na sobie kurtkę, ma na sobie czapkę. Dłonie nie są okryte rękawiczkami i wyglądają na zmarznięte. Szalik owija szyję, choć wiatr chwyta za oba końce i ciągnie, przez co podłużny kawałek materiału unosi się w powietrzu raz tu, raz tam, w powiewach kapryśnego wiatru. Zaczęło padać – drobna mżawka – na co Perła wydaje się uodporniona, jakby była nieprzemakalna. Nie zwraca uwagi na deszcz, który atakuje moje gałki oczne i przenika pod ubranie. Nie znoszę deszczu, ledwie go wytrzymuję. Mógłbym pomknąć do domu; powinienem tak zrobić, powinienem pobiec. Ale nie robię tego, tylko przesuвам się ku bardziej osłoniętemu zakątkowi, miejscu na piknik, gdzie znajdują się drewniane stoły, a także, co o wiele ważniejsze, daszek. Siadam na blacie dobre piętnaście metrów od miejsca, w którym siedzi Perła.

Nie widzi mnie.

Ale ja ją widzę.

QUINN

Kiedy dochodzę do końca listu, zaczyna mnie trapić jedna, prosta i nieodparta myśl: kim, u diabła, jest Najdroższa Osoba? Muszę spytać o to Esther. Muszę... i już. Ostatnia linijka krzyczy mi w uszach raz po raz:

Muszę wiedzieć: czy mnie widziano? Czy to wszystko było po to, by zapłonął we mnie gniew? Czy o to chodziło?

Chcę spytać Esther:

- Kto? Powiedz, kto?

Przemykam z powrotem do sypialni, żeby sprawdzić, czy Esther wróciła już do domu, czy wśliznęła się po cichu, kiedy siedziałam w jej sypialni. Jestem niemal pewna, że zobaczę ją na różanej sofie, jak sobie siedzi ze skrzyżowanymi nogami, tak samo jak wtedy, gdy czytała brzdącom w księgarni. Widzę sama siebie, jak pokazuję jej list, podsuwając pod nos kartkę z tekstem napisanym na maszynie:

- Kim jest Najdroższa Osoba? - pytam.

Wyobrażam sobie, jak potrząsam tym kawałkiem papieru przed skruszoną Esther i pragnę wiedzieć:

- Kto to jest?

Przez głowę przebiegają mi słowa:

A może to ona wpadła na ten pomysł: zostawić zapalone światło, żebyś widziała.

W końcu to było jej zwycięstwo.

W wyobraźni potrząsam Esther za ramiona i pytam raz za razem:

- Kto to jest? Kto to jest, Esther?

A ona krzywi się i zaczyna płakać.

Ale nie. Nie zrobiłabym tego Esther. Nie chciałabym patrzeć, jak płacze.

Wciąż chcę jednak wiedzieć:

- Kto to jest, Esther?

Ale to i tak bez znaczenia, bo kiedy wypadam z sypialni, nie ma jej. Oczywiście, że nie ma. Tylko ja i pusty pokój. Telewizor jest wyłączony i pomijając szum kaloryfera, nic nie słychać. Sam pokój wręcz krzyczy o Esther, całe to niedobre umeblowanie, które już tu było, już je kupiła i tu wstawiła, zanim się wprowadziłam: sofa w różanym kolorze, żelazny stolik w industrialnym stylu, nowoczesne krzesło w czarno-białą kratę, poduszki w kolorze mchu, żółci i błękitu. No i oczywiście chodniczek z ratyny, który przyniosłyśmy razem z podwórkowej wyprzedaży przy

Summerdale – mój jedyny wkład w wystrój wnętrza, pomijając mnie samą, ma się rozumieć. Musiałyśmy pokonać trzy przecznice z tym chodniczkiem, Esther z przodu, ja z tyłu, śmiejąc się przez całą drogę z tego ciężaru, z przyprawiającego o mdłości zielonego koloru. Patrzą na ściany mieszkania, oślepiająco białe, obarczone zakazem wieszania obrazów wydanym przez panią Budny. Pani Budny, osiemdziesięciodziewięcioletnia Polka, która mieszka pod nami i od której wynajęłam swój kąt. Więc ściany pokryte są wieszakami na płaszcze, świecznikami i tablicą ścieralną, na której ja i Esther zostawiamy krótkie wiadomości, liściki i inne formy komunikacji między nami.

Kup mleko.

Zjadłaś mój ser?

Kiedy życie podsuwa ci okazję, korzystaj z niej.

Wyszłam. Niedługo wracam.

Jest pusto, jak sobie znów uświadamiam. W mieszkaniu jest pusto, kiedy nie ma Esther.

Biorę komórkę, żeby zadzwonić do Bena, kolegi z pracy i przyjaciela. Ben jest właściwie jedyną osobą, z którą rozmawiam w biurze, chyba że mi płacą za to, żebym z kimś rozmawiała. Prawnicy, którzy mnie wzywają, żebym przyniosła akta albo zrobiła fotokopie – rozmawiam z nimi tylko dlatego, że muszę z nimi rozmawiać. Tego się ode mnie oczekuje, na dobrą sprawę to jeden z moich obowiązków.

Ale z Benem rozmawiam, bo chcę. Bo go lubię. Bo jest miły.

Jest także superprzystojny, dwudziestotrzyletni asystent tak jak ja, tyle że naprawdę planuje studia prawnicze. Ma jednak dziewczynę. Poznali się w college'u, i ona, podobnie jak on, też liczy na karierę prawniczą. Kiedy tylko skończy studia przygotowawcze na University of Illinois, oboje pójdą na wydział prawa w Waszyngtonie. Jakie to romantyczne. Dziewczyna Bena ma na imię Priya. Nawet ono brzmi pięknie.

Nigdy nie spotkałam osobiście Priyi, ale widziałam kolekcję zdjęć, które Ben trzyma w swojej mikroskopijnej biurowej klitce: zdjęcia samej Priyi, zdjęcia, na których są oboje, zdjęcia ich psa, jednookiego chihuahua, który wabi się Chance (i jeśli nie świadczy to o rozmiarach serca Bena, to nie wiem, co jeszcze może o tym świadczyć).

Wyszukuję numer Bena w komórce i dzwonię, a potem słucham pięciu przeraźliwych sygnałów, nim zostaję odesłana do poczty głosowej. Wysłuchuję komunikatu Bena, prostego, robotycznego, a mimo to bezbrzeżnie czarującego

brzmienia jego głosu, kiedy mówi:

- Tu Ben. Zostaw wiadomość.

Mogłabym słuchać tego w kółko przez całą noc, nie robię tego jednak. Po sygnale spełniam jego polecenie i zostawiam niejasną wiadomość:

- Hej - mówię - tu Quinn. Muszę z tobą porozmawiać. Oddzwoń, dobra?

Nie wspominam o Esther. Takich informacji nie przekazuje się za elektronicznym pośrednictwem, to zbyt tandetne. Ważne wiadomości nie pasują do poczty głosowej. Wiem, bo nacięłam się już kilka razy. Wyjaśnię wszystko Benowi, jak już oddzwoni, i zastanawiam się, kiedy to zrobi, ale potem wyobrażam ich sobie razem, Bena o Priyę, i zastanawiam się, kiedy oddzwoni, albo czy cokolwiek będzie miało jeszcze znaczenie, gdy oddzwoni. Esther na pewno pojawi się niedługo w domu. No, tak sądzę, choć już nie jestem tego taka pewna.

Siedzę sama na kanapie i patrzę, jak mieszkanie pogrąża się z wolna w czerni. Pora nocna. Jedyne światło płynie z latarni za oknem - a nawet te latarnie są nieliczne i stoją w dużych odstępach - nasza mała dzielnica chicagowska jest zbyt oddalona od centrum biznesowego, by korzystać z iluminacji oferowanej przez Willis Tower, ekskluzywny hotel Donalda Trumpa czy coś w tym rodzaju. Kiedy ciemność przejmuje rządy, zaczyna mnie wypełniać uczucie niepokoju. Gdzie jest Esther? Owszem, robiła już wcześniej dziwne rzeczy, nie zrozumcie mnie źle, ale nigdy nie zostawiła mnie na cały dzień, nie wspomniawszy nawet, dokąd się wybiera albo kiedy wróci do domu. Nigdy nie wyszła przez okno prowadzące na schody pożarowe i nie zniknęła w nocnej ciemności. Patrzę na zegar ścienny i uświadamiam sobie, że upłynęło długich dwanaście godzin od chwili, gdy jej budzik wyrwał mnie ze snu, a jej wciąż tu nie ma.

Zaczynam się martwić. A jeśli coś się stało Esther? Coś złego?

Tak więc zaczynam rozważać kolejny telefon. Nie do Bena tym razem, ma się rozumieć, tylko na policję. Powinnam zadzwonić na policję? Mój umysł oscyluje bezustannie między „zadzwoń na policję” a „nie dzwoń na policję”, niczym w zabawie „raz dwa trzy, wychodź ty”. W końcu pada na „zadzwoń na policję”. I tak też robię. Wystukuję 311, numer niealarmowy, w przeciwieństwie do 911. Bo nie jest to sytuacja alarmowa, tak w każdym razie uważam. Modlę się, by nie była to sytuacja alarmowa. Odbiera jakaś kobieta, a ja wyobrażam ją sobie, tę jakąś tam telefonistkę, która siedzi przy biurku ze słuchawkami na uszach, a słuchawki przyciskają jej włosy.

Na jej prośbę wyjaśniam charakter sytuacji niealarmowej.

- Moja współlokatorka zaginęła - mówię, a potem przekazuję szczegóły

szybkiego zniknięcia Esther: okno, wyjęta rama z ekranem ochronnym, schody pożarowe.

Słucha uważnie, ale kiedy kończę, w jej słowach wyczuwa się ostrożność.

- Sprawdziła pani w pobliskich szpitalach? - pyta.

- Nie - przyznaję, czując się nagle jak idiotka. - Nie sprawdziłam.

Nawet przez ułamek sekundy nie pomyślałam o tym, że Esther może być ranna.

- Najlepiej zacząć od tego - mówi, a ja rozumiem, że na razie nie należy powiadamiać policji. - Dowiadywała się pani u bliskich swojej współlokatorki? U przyjaciół? - pyta, na co kręcę w milczeniu głową.

No cóż, zadzwoniłam do Bena, krok we właściwym kierunku, ale nie przyszło mi nawet do głowy skontaktować się z rodziną Esther... co wcale jeszcze nie znaczy, że znam numer telefonu czy mam choćby blade pojęcie o tym, gdzie go szukać. Nie znam nawet imion jej matki i ojca, wiem tylko, że to pan i pani Vaughan, no, w każdym razie tak zakładam. I domyślam się, że na świecie żyją tysiące ludzi o nazwisku Vaughan. Poza tym, jak tłumaczę sobie w myślach, Esther nie jest zbyt blisko ze swoją rodziną. Nie lubi o niej mówić, ale przypuszczam, że ojciec w ogóle nie istnieje, natomiast z matką nie utrzymuje żadnych relacji. Skąd o tym wiem? Stąd, że gdy moja matka przysyła mi mnóstwo paczek i pojawia się bez uprzedzenia pod naszymi drzwiami, mama Esther nawet nie zadzwoni, żeby się dowiedzieć, co u córki. Raz spytałam Esther o jej rodzinę, ale odparła, że nie chce o niej rozmawiać, a ja już nie spytałam ponownie. Raz przyszła kartka, ale schowana w kopercie leżała przez cztery dni na stole kuchennym, nim Esther wyrzuciła ją do kosza.

- Jest może jakiś powód, by podejrzewać, że doszło do przestępstwa? - pyta telefonistka, a ja mówię, że nie. - Czy zaginiona osoba cierpi na schorzenie zagrażające życiu? - pyta, a ja znów mówię, że nie.

Głos ma obojętny i nieprzyjazny, jakby nic jej to nie obchodziło. Prawdopodobnie nie obchodzi, ale z drugiej strony człowiek uważa, że ktoś obsługujący linię alarmową czy niealarmową powinien wykazać się choćby odrobiną współczucia. Jestem bliska tego, by coś zmyślić, powiedzieć tej kobiecie, że Esther cierpi na cukrzycę i że zostawiła insulinę w domu, albo że ma astmę i nie wzięła ze sobą inhalatora. Może wtedy ta kobieta okazałaby troskę. Może powinnam jej powiedzieć, że ekran chroniący okno został wyrwany, a szyba stłuczona. Że była krew, cała kałuża, dostatecznie dużo, by Esther wykrwawiła się na śmierć. Niewykluczone, że wtedy połączono by mnie z 911 i zniknięcie Esther zyskałoby status sytuacji alarmowej.

A może telefonistka próbuje coś mi przekazać: że to nie jest sytuacja alarmowa, że Esther ma się dobrze.

Mówi:

- Blisko siedemdziesiąt procent ludzi zaginionych wychodzi z domu dobrowolnie i wraca w przedziale czasowym od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin, też dobrowolnie. Może pani udać się na posterunek policji i zgłosić zaginięcie współlokatorki, ale policja w takim przypadku tylko przyjmie zgłoszenie. Nie dysponując dowodami świadczącymi o dokonaniu przestępstwa, nie możemy z góry zakładać, że doszło do złamania prawa. Ludziom wolno zniknąć ni stąd, ni zowąd, skoro mają na to ochotę. Jeśli jednak zgłosi to pani na policję, dane pani współlokatorki trafią do bazy danych osób zaginionych, a funkcjonariusze zajmą się sprawą. Czy pije, zażywa narkotyki? - pyta, a ja kręcę pośpiesznie głową, a potem zapewniam, że nie. No cóż, Esther popija czasem a to margaritę, a to daiquiri, ale nie jest alkoholiczką ani nic w tym rodzaju.

Wtedy telefonistka pyta o stan umysłowy Esther, pada to najważniejsze pytanie:

- Czy cierpi na depresję?

Ja zaś widzę w wyobraźni wielkoduszny uśmiech Esther i myślę sobie, że to niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

- Nie - odpowiadam bezzwłocznie. - Oczywiście, że nie.

- Czy pokłóciłyście się ostatnio? - pyta, a mnie przychodzi do głowy jedno: próbuje insynuować, że zrobiłam coś, co zraniło Esther.

Czy się pokłóciłyśmy? Jasne, że nie. Ale czy Esther nie czuła się dotknięta faktem, że ostatniego wieczoru wyszłam bez niej, choć sama mnie do tego namawiała? Nie wiem. Powtarzam sobie, że namawiała mnie, bym poszła sama:

- Popsuję ci tylko przyjemność, Quinn. Idź beze mnie. Będziesz się lepiej bawić.

Tak właśnie powiedziała. Więc jakim cudem mogła być wściekła?

- Nie pokłóciłyśmy się - mówię, a telefonistka przedstawia mi dwie opcje: mogę zawiadomić o zaginięciu albo poczekać.

Czuję się głupio, że zadzwoniłam pod ten numer, więc postanawiam poczekać. Nie mam najmniejszej ochoty patrzeć funkcjonariuszowi policji w oczy i czuć się jak idiotka. Mam w tym bogate doświadczenie. Obdzwońnię szpitale, a także spróbuję odnaleźć rodzinę Esther i skontaktować się z nią. Zaczekam, aż odezwie się Ben, i przy odrobinie szczęścia Esther wróci do domu z własnej i nieprzymuszonej woli, tak jak mówiła telefonistka, w przedziale czasowym od czterdziestu ośmiu godzin do siedemdziesięciu dwóch. Dwa do trzech dni. Dwa do trzech dni, myślę sobie. I naprawdę nie wiem, czy dam radę czekać tak długo, aż Esther wróci do domu.

Rozłączam się i staram się nakłonić w duchu Bena, żeby zadzwonił. Proszę, Ben, proszę, błagam w duchu. Ale on nie dzwoni. Szukam w internecie numerów najbliższych szpitali, zaczynając od metodystów, a potem dzwonię, pytając kolejnych recepcjonistek, czy Esther tam jest. Podaję jej nazwisko, a potem ją opisuję - cieniowane włosy, dwubarwne oczy, niewymuszony uśmiech - wiedząc, że Esther ma twarz, którą wystarczy raz zobaczyć, by nigdy więcej jej nie zapomnieć. Lecz Esther nie ma w Szpitalu Metodystów ani w Weiss, ani w żadnym lokalnym ośrodku opieki medycznej. Z każdą apatyczną odpowiedzią tracę nadzieję. Nie ma tu żadnej Esther Vaughan.

Czuję się samotna i zagubiona, kiedy słyszę, jak dzwoni komórka. Nie moja, ale mimo wszystko komórka. Komórka Esther, nagranie jakiegoś hitu z lat osiemdziesiątych, którego już nikt nie słucha.

Melodyjka Esther. Komórka Esther.

Esther tu nie ma, więc dlaczego jest jej telefon?

Wstaję, żeby go znaleźć.

ALEX

Zastanawiam się, czy w ogóle się orientuje, że jest obserwowana.

Patrzę, jak dziewczyna zaciska nerwowo dłonie i drapie się po głowie. Patrzę, jak zakłada jedną nogę na drugą – potem odwrotnie – na huśtawce parkowej, próbując przyjąć wygodną postawę. Po chwili rozkrzyżowuje nogi i kopie piasek. Patrzy w lewo, w prawo, wreszcie spogląda w górę i otwiera usta, żeby schwytać krople deszczu spadające z nieba.

Nie mam pojęcia, jak długo tak patrzę. Dostatecznie długo, by moje dłonie zdrętwiały od zimna i deszczu.

Upływa trochę czasu, nim Perła stawia stopy na ziemi i wstaje. Jej stopy, w butach koloru kasztanów, zapadają się w piasku, kiedy kroczy w stronę plaży. Coraz bliżej wody. Trudno jej iść po piasku, bo jest bardzo grząski, a także z powodu wiatru. Pcha jej drobne ciało to w tę, to w tamtą stronę, a ona rozkłada szeroko ręce jak linoskoczek. Stawia ostrożnie jedną stopę przed drugą. Krok za krokiem.

Jakiś metr przed linią wody przystaje.

A ja patrzę.

I oto co się dzieje.

Zaczyna się od wysokich butów, które ściąga, próbując zachować równowagę, najpierw jeden, potem drugi. Ustawia je obok siebie na piasku. Potem przychodzi kolej na skarpetki, a ja sobie myślę: czy ona zwariowała? – podejrzewając, że zanurzy nogi w zimnych wodach listopadowego jeziora Michigan. W wodzie o temperaturze nieprzekraczającej czterech stopni. Lodowatej. Takiej, która może przyprawić o hipotermię.

Skarpety zostają wsadzone do butów, żeby nie porwał ich wiatr. Patrzę i czekam, aż dziewczyna zbliży się do krawędzi jeziora i wejdzie dalej, ale nie robi tego. Upływa chwila – albo wiele chwil, nie wiem, straciłem poczucie czasu – nim sięga do górnego guzika kurtki i zaczyna ją rozpinać, od góry do dołu. Kurtka zostaje ściągnięta. Ułożona obok butów i skarpetek. A kiedy zaczyna ściągać z nóg spodnie, myślę sobie: to się nie dzieje naprawdę. Szukam wzrokiem innego świadka, kogokolwiek, nieważne kogo, żeby mi powiedział, że to jest coś rzeczywistego, a nie wytwór mojej wyobraźni. Czy to się naprawdę dzieje? Nie, niemożliwe! To nie może być rzeczywiste.

Wstaję i przysuwam się bliżej, o pięćdziesiąt centymetrów, może o metr,

schowany za drewnianymi kolumnami, które podtrzymują zadaszenie. Otaczam te kolumny rękami i mrużę oczy, by widzieć dokładnie, jak Perła rozpina guzik i zamek błyskawiczny dzinsów, jak siada na mokrym piasku i ściąga spodnie z nóg, a potem układa je obok kurtki i butów. Deszcz się nasilił, pada o wiele mocniej gnany bokiem przez wiatr. Przenika do niezbyt szczelnego schronienia i moczy mnie na wskroś. Perła wstaje w tym momencie, trzymając dłonie w kieszeniach niebieskiej bluzy z kapturem i nie mając na sobie nic więcej. Tylko tę bluzę i majtki. Czapkę i szalik.

Potem jednak zdejmuję też bluzę.

I wchodzi do wody. Tylko w bieliźnie, szaliku i czapce. Wchodzi bez wahania, beztroska na zimno jak pingwin królewski, który nurkuje w arktyczne odmęty. Nie zatrzymuje się, kiedy zanurza stopy w jeziorze. I kostki. I kolana. Idzie przed siebie. Myślę sobie, że mogłaby zejść tak do samego Chicago, przesuając dłońmi po powierzchni wody, podczas gdy fale unoszą się i ją ochlapują, mocząc od stóp do głów bezdusznymi bryzgami.

Nawet sobie tego nie uświadamiając, wydostałem się spod zadaszenia, i teraz sam stoję na piasku. Jak się tu dostałem? Nie wiem. Rozsądek mówi, że powinienem wezwać kogoś na pomoc. Policję? Doktora Gilesa? Ile upłynie czasu, nim lodowata woda jeziora wywoła u Perły hipotermię? Piętnaście minut? Trzydzieści minut? Nie mam pojęcia. Ale nie mogę wezwać pomocy, sprowadzić tu kogoś, bo jestem kompletnie osłupiały i oniemiały, stopy mam przyrośnięte do piachu, nie jestem w stanie wygrzebać telefonu z kieszeni spodni. Bo nie potrafię oderwać wzroku od Perły, jak tam, w wodzie, płynie na boku, i płynie dostatecznie długo, by już koniecznie należało wezwać pomoc. Patrzą, jak jej ręce wynurzają się nieśpiesznie z wody, raz jedna, raz druga, a potem znów opadają. Widzę łagodny, rytmiczny ruch stóp, niewywołujący żadnego plusku. Widzę, jak się oddala, nie obracając głowy dla złapania oddechu, niczym ryba ze skrzelami i płetwami.

Gdybym miał coś lepszego do zrobienia ze swoim czasem, zapewne bym tu nie stał i nie obserwował, jak Perła płynie. Ale nie mam nic lepszego do zrobienia ze swoim czasem, więc stoję tutaj i obserwuję, jak płynie.

I gdy tak tkwię w miejscu i gapię się, dziewczyna staje na nogi i zaczyna wychodzić z wody. Podczas gdy każdy normalny człowiek pobiegłby przed siebie, trzęsąc się i szukając jakiegoś ciepłego, suchego miejsca, ona tego nie robi. Nie śpieszy się. Wyłania się powoli z wody, cała jest mokra, a to, co ma na sobie, całkowicie prześwituje. Do jej stóp przywiera piasek, przywiera aż do kostek, jest ziarnisty i zmieniający barwę na moich oczach, staje się coraz ciemniejszy.

Chcę odwrócić wzrok. Powinienem odwrócić wzrok.

Ale nie mogę.

Nie należy mnie za to winić. Jaki osiemnastolatek odwróciłby głowę, nie chciałby patrzeć? Nie ja, to pewne. Ani nikt, kogo znam.

Wydaje mi się w każdym razie, że ona chce być widziana.

A potem się zatrzymuje na mokrym piasku, a woda najprawdopodobniej przymarza do jej nagiej skóry w zimnym jesiennym powietrzu. Nie próbuje się wytrzeć ani ubrać. Jest obrócona do jeziora plecami i chłonie wzrokiem wszystko, co znajduje się po drugiej stronie: plac zabaw i karuzelę, trawę na plaży i bezbarwne drzewa.

I mnie.

Obraca się do mnie i macha.

A ja udowadniam światu, że naprawdę jestem cholernym tchórzem, bo odwracam się i odchodzę, udając, że niczego nie widzę.

QUINN

Wstaję i podążam za dźwiękiem telefonu do kuchni, przekonana, że zobaczę komórkę Esther na blacie szafki, między pojemnikami na mąkę, cukier i pierniki. Ale nic z tego. Nie powinnam odbierać ani nawet zwracać uwagi na dzwonek, ale się martwię. Może Esther ma kłopoty, może potrzebuje mojej pomocy. Może to ona dzwoni do mnie po pomoc na numer swojego telefonu. Zgubiła się, nie ma dość pieniędzy na taksówkę. Coś w tym rodzaju.

Z drugiej strony mogłaby przecież zadzwonić na moją komórkę. Oczywiście, że tak. To miałyby większy sens. Ale mimo wszystko. Może...

Włączam światelko przy piecyku i kontynuuję poszukiwania, podążając za przytłumionym dźwiękiem, tak jak Jaś i Małgosia podążali przez gęsty i ciemny las za okruszkami chleba. Wydaje się odległy i trudny do wychwycenia, jakbym miała zatyczki bawełniane w uszach. Otwieram i zamykam piecyk, lodówkę, szafki, choć wydaje się to całkowicie absurdalne, tak sobie szukać telefonu w lodówce. Ale i tak to robię.

Kontynuuję poszukiwania. Telefon dzwoni raz, dwa razy, trzy. Jestem niemal pewna, że włączy się poczta głosowa i wszystko okaże się na darmo, kiedy znajduję komórkę wetkniętą w kieszeń czerwonej i zapinanej na zamek błyskawiczny bluzy z kapturem, która wisi na wieszaku w naszej mikroskopijnej garderobie.

Chwytam telefon, ściągając przy tym bluzę z wieszaka, i widzę, jak spada na podłogę, kiedy odbieram, a na ekranie pojawia się komunikat, że to numer nieznany.

- Halo? - mówię, przyciskając telefon do ucha.

- Czy to Esther Vaughan? - sonduje głos po drugiej stronie.

Wtedy wypowiadam trzy słowa, których za trzynaście sekund pożałuję:

- Nie, nie ona. - I już jestem zła na siebie, że nie powiedziałam: „Tak, to ja”.

Właściwie dlaczego miałabym tak powiedzieć, skoro moje zainteresowanie nie zostało jeszcze pobudzone? Trzeba czegoś znacznie więcej niż niezidentyfikowanego numeru, by zwrócić moją uwagę. Cały czas dostaję takie telefony, głównie od windykatorów, którzy dzwonią w sprawie zaległych rachunków. W sprawie starych kart kredytowych, których nie spłacam od lat. Pożyczek studenckich.

- Jest tam? - pyta ktoś burkliwym męskim głosem, który dowodzi, że ten ktoś nie będzie się bawił w uprzejmości, żarty czy pogawędki.

- Nie - mówię, a potem pytam: - Mam jej coś przekazać? - i posuwam się przez niemal ciemność ku tablicy ścieralnej i flamastrowi, macając przed sobą dłonią. Dryfuję przez pokój i staję przy tablicy, która wisi lekko przekrzywiona na ścianie; po chwili jestem gotowa zapisać nazwisko i numer telefonu pod tajemniczą wiadomością: „Wyszłam. Niedługo wracam”, pod frazą, która niespodziewanie nabiera mnogich znaczeń.

Wyszłam. Niedługo wracam.

Esther to nabazgrała. Wiem, że tak. To nie mój charakter pisma, tylko jej. Zbitka liter nakreślonych kursywą i drukowanych, dużych i małych. Żeńskich i męskich jednocześnie.

Kiedy jednak zostawiła tę wiadomość? - zastanawiam się. I dlaczego?

Czy to było w zeszłym tygodniu, kiedy pobiegła z powrotem do księgarni po swoje fałszywe okulary, które tam zostawiła? Czy też dwa dni temu, kiedy popędziła do filii Publicznej Biblioteki Chicago przy Edgewater, żeby zwrócić książkę przed zamknięciem? Esther jest pedantką, jeśli chodzi o oddawanie w terminie pożyczonych książek.

Albo, zastanawiam się, czekając, aż facet po drugiej stronie zdecyduje, czy mam coś przekazać, może zostawiła tę adnotację zeszłej nocy, zanim otworzyła okno i wyostała się na zewnątrz? Właśnie wtedy, jak sobie mówię. Nie ma powodu do zmartwień. Esther zostawiła mi wiadomość, że niedługo wróci do domu. Tak jest napisane na tablicy, czarno na białym.

Wyszłam. Niedługo wracam.

Wtedy, ku mojej konsternacji, mężczyzna po drugiej stronie odpowiada zwięźle:

- To sprawa poufna. - Głos ma wkurzony. - Mielіśmy się spotkać dziś po południu. Nie przyszła.

Najwyraźniej ta właśnie informacja - nonszalanckie, niepoważne zachowanie Esther - nie jest tak poufna jak to, kim jest ten człowiek i dlaczego dzwoni. W tle słychać odgłosy, które staram się zidentyfikować: samochody, pluskający dźwięk fal oceanu, mikser. Nie jestem pewna. Wszystko to zlewa się ze sobą, by w końcu przemienić się w jedno: w hałas. Zgiełk. Harmider. Wielką wrzawę.

- Mogę jej przekazać, że pan dzwonił - podsuwam, chcąc wydobyć od niego nazwisko. I powód, dla którego dzwoni.

- Zadzwoń ponownie - mówi tylko i się rozłącza.

Stoję w kuchni, gołe stopy dotykają zimnych czarno-białych płytek, i patrzę, jak komórka w mojej dłoni przygasa z wolna. Znów włączam telefon i przesuwam palcem po ekranie. Pojawia się żądanie hasła. Hasła? Serce zaczyna mi bić jak

szalone. Cholera!

Zaczynam wciskać na ślepo klawisze, aż blokuje komórkę i muszę czekać całą minutę - sześćdziesiąt długich, doprowadzających do obłędu sekund - aż znów mogę to zrobić. I znów. I znów.

Nie jestem najbystrzejsza na świecie, żaden ze mnie orzeł. Tyle wiem. Więc nie powinno mnie dziwić w najmniejszym stopniu, że nie mam pojęcia, jak włamać się do telefonu Esther bez hasła albo odcisku kciuka. A jednak mnie dziwi.

Uspokajam się prostym faktem, że ten facet obiecał ponownie zadzwonić. Opryskliwy głos po drugiej stronie oznajmił, że jeszcze się odezwie.

Następnym razem pójdzie mi lepiej, mówię sobie. Na pewno.

ALEX

Wieczór w moim domu. Gotuję. Tata ogląda telewizję, stopy opiera o stary stolik do kawy, w rękę trzyma butelkę piwa. Jest pijany, ale nie zalany. Potrafi odróżnić prawą dłoń od lewej, co niekiedy bywa ogromnym osiągnięciem. Był przytomny, kiedy wróciłem z pracy. Też ogromne osiągnięcie. Wydaje się, że zdołał też wziąć prysznic. Zdjął koszulę w paski i nie śmierdział już tą swoją koszmarną wodą kolońską, a także nie roztaczał woni wstrętnego porannego oddechu jak wtedy, gdy wychodziłem rano do pracy. Teraz cuchnie tylko wodą.

W telewizji leci mecz futbolowy. Grają Lwy z Detroit. Tata wrzeszczy na ekran.

W piecyku są nuggety z kurczaka, a na palniku grzeje się puszka zielonej fasolki. Tata zachodzi do kuchni po następne piwo i pyta, czy też chciałbym się napić. Patrzę mu w przymulone oczy i mówię:

- Mam osiemnaście lat - choć nie sądzę, by to dla niego wiele znaczyło.

Na drzwiach lodówki wisi obrazek kosmosu, który narysowałem jakieś dwanaście lat temu: Słońce, Księżyc, gwiazdy, Neptun i Jowisz, wszystko kredkami. Podniszczony wzdłuż krawędzi, z urwanym narożnikiem, ponieważ wysunął się spod magnesu tysiąc razy. Kolory są wyblakłe. Wszystko w tych dniach zdaje się blaknąć.

Ten sam magnes przytrzymuje pocztówkę od matki. Wrzuciłem ją do kosza na śmieci, kiedy przyszła z pocztą, ale tata znalazł ją tam, pośród skrawków mięsa z lunchu i ziaren kukurydzy, i wyjął. Przesłano ją z San Antonio. Jest tam napisane „The Alamo”.

- Nie powinieneś być dla niej taki surowy - powiedział, kiedy znalazł tę pocztówkę w koszu na śmieci.

A po tych słowach pojawiły się inne, te, które zawsze się pojawiają, kiedy tata mówi o mamie:

- Starła się z całych sił.

- Skoro tak twierdzisz - odparłem, a potem wyszedłem z pokoju. Zastanawiam się, czy to możliwe nienawidzić kogoś i jednocześnie mu współczuć? Współczułem jej, to pewne. Nie nadawała się na matkę.

Ale też jej nienawidzę.

Tata to koszmarny pijak, a im więcej pije, tym więcej myśli o mojej matce. O tym, jak nas opuściła wiele lat temu, nawet się nie żegnając. O tym, że on sam wciąż trzyma ich zdjęcie ślubne, oprawione i wiszące na ścianie sypialni, o tym, że wciąż

nosi obrączkę, choć matki już nie ma całe trzynaście lat. Od chwili, gdy skończyłem pięć. Gdy byłem małym chłopcem ze swoimi klockami lego i zabawkami z „Gwiezdných wojen”. Wtedy odeszła.

Gdyby to ode mnie zależało, wywaliłbym tę obrączkę dawno temu. Nie dlatego, bym żywił jakąś urazę czy coś w tym stylu, bo nie żywię. Po prostu myślę, że wyrzuciłbym tę obrączkę. Albo ją zastawił, tak jak tata zastawił mój pamiątkowy sygnet, który dostałem na zakończenie szkoły średniej, dzięki czemu zdobył pieniądze na wóde. A tak owa obrączka stanowi temat gorących dyskusji podczas wielu spieprzonych randek, na jakie tata umawia się z samotnymi paniami z miasta – rezerwar, który wysycha szybko i niebawem wyczerpie się do cna. Niewykluczone, że spotykał się już ze wszystkimi, być może z wyjątkiem cierpiącej na agorafobię Ingrid, z przyczyn, których nie muszę wyjaśniać. Tata spędza swoje randki w knajpie, gdzie nawala się i gada o tym, jak moja matka zostawiła go i mnie, kiedy miałem pięć lat. Jest to w zamierzeniu katalizator współczucia, ale koniec końców tata wychodzi na frajera. Płacze i odstrasza panie jedna za drugą, a one przypominają stare, stojące w rzędzie puszek, do których się strzela dla wprawy.

Nie ma bladego pojęcia, dlaczego wciąż jest sam.

To żałosne w gruncie rzeczy. Ale nadal jest moim tatą i żal mi go.

Przekładam nuggety i fasolkę na poobtłukiwany talerz i wołam go na kolację. Gramoli się z piwem w dłoni i zajmuje miejsce u szczytu stołu, na jedynym krześle, z którego wciąż ma widok na telewizor.

- Złap tę pieprzoną piłkę! - wrzeszczy, waląc spoconą dłonią w blat, widelec frunie w powietrze, a potem spada z brzękiem na podłogę. Schylając się, żeby go podnieść, uderza głową o kant drewnianego stołu i przeklina. A potem się śmieje, podczas gdy czoło mu puchnie i pokrywa się jasną czerwienią.

Kolejny wieczór w naszym domu.

Dzisiaj nie oddajemy się pogawędce. Dzisiaj jestem uosobieniem właściwego zachowania – jak należy trzymać nóż, żeby rozsmarować masło, jak należy jeść fasolkę: widelcem, a nie palcami. Patrzą na tatę, gdy przesuwają połówką bułki po kostce margaryny, i myślę: nic dziwnego, że ten facet wciąż jest sam. Miał o wiele więcej matce do zaoferowania, kiedy był młody, pracował i zachowywał trzeźwość. Rzecz jasna, wszystko to jest już nieaktualne. Zresztą jej odejście i tak nie miało z tym nic wspólnego. Powód, dla którego odeszła?

Macierzyństwo. Ja.

Staram się nie dopuszczać do siebie tej myśli.

- To nie frytki – mówię, kiedy bierze zmyślnie przycięte pałeczki fasolki, podnosi

je do ust i żuje, rozwierając szczęki. – Posłuż się widelcem.

Nie zwraca na mnie uwagi i wrzeszczy na telewizor, bryzgając śliną na wszystkie strony. Zieloną śliną, jak fasolka.

Wstaje z miejsca i pomstuje:

– Falstart! – wskazując palcem sędziów na ekranie, jakby mogli go słyszeć. – Co z tobą, dupku, ślepy jesteś? To był falstart.

Potem znowu siada.

Patrzę, jak siedzi przy stole, jedząc swój posiłek. Zauważam, że trzęsą mu się dłonie. Tata cierpi na drżenie bez względu na to, czy wie o tym, czy nie. Jego dłonie trzęsą się, to drobne szybkie ruchy, kiedy próbuje posłużyć się nimi w jakimś celu, do podnoszenia nuggetów czy zdejmowania kapsla z kolejnej butelki piwa. Przypominają mi dłonie mojego dziadka, chociaż jemu drżały tylko dlatego, że był stary. Czasem dłonie taty drżą tak mocno, że muszę otwierać mu butelkę piwa. Na czym polega w tym wypadku osobliwość? Im więcej pije, tym mniej drżą mu ręce, coś w rodzaju paradoksalnej reakcji. Wydaje mi się, że powinno być na odwrót, ale mimo wszystko drżące dłonie to dla mnie miernik tego, ile zdołał już wypić. Nigdy nie warto pytać, ile już wypił; jest albo zbyt pijany, żeby sobie przypomnieć, albo skłamanie. Dziś wieczór nie wypił jeszcze dostatecznie dużo.

Znów podnosi się szybko, żeby złączyć trenera, który zmienia taktykę gry. Potem znowu siada. I znowu wstaje, kiedy pomocnik traci piłkę i dochodzi do jej przechwycenia – tym razem udaje mu się przewrócić krzesło. Patrzy z trwogą, jak Giganci pędzą po boisku z piłką. Nie muszę nawet odwracać głowy, żeby spojrzeć na telewizor. Relacjonuje mi wszystko, a potem rzuca połówką bułki w ekran. I wstaje, żeby wziąć kolejne piwo, posyłając do diabła każdego gracza Lwów.

Nic więc dziwnego, że kiedy mówi „squatter”, nie zwracam na to szczególnej uwagi. Chodzi mu o telewizję. To czyjeś nazwisko albo jakiś epitet, którym obdarza jednego z trenerów albo zawodników. „Pieprzony squatter”.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – pyta, a ja uświadamiam sobie, że mówi jednak do mnie. Ma mokrą koszulę, bo w którymś momencie wylał na siebie piwo. Do brody przywiera mu kawałek fasolki. Prawdziwa klasa.

Dostrzegam, że tata nie patrzy na mnie, i obracam się na krześle, mój wzrok podąża za jego spojrzeniem, w kierunku okna frontowego, ku przeciwległej stronie ulicy.

I znów to widzę. Światło. Zapala się, gaśnie.

Jak odruchowy skurcz mięśni. Drgnienie, tik.

Zapala się, gaśnie.

Tata mówi:

- Cholerni squatterzy znowu tam mieszkają.

Ma na myśli dom w żółtym kolorze szkolnego autobusu, stojący naprzeciwko naszego. Ten z własną historią do opowiedzenia, historią, której nikt nie chce opowiadać, ale którą wszyscy znają. Nie po raz pierwszy zajmują go squatterzy. W takim czy innym momencie gnieździ się w nim szkodnicy wszelkiego rodzaju. Wiadomo, że wprowadza się tam czasem ten lub ów włóczęga i pomieszkuje jakiś czas za darmo. Zazwyczaj odchodzą z własnej woli, tak że nie trzeba wzywać policji ani nic w tym rodzaju, ale i tak jest to denerwujące, kiedy człowiek wie, że w pustym domu naprzeciwko zaszył się jakiś tramp.

Na podwórzu wisi porzucona huśtawka zrobiona z opony, zapomniana wraz z samym domem. Z parapetu okna zwieszają się firanki, staromodnie ażurowe, niegdyś białe. Teraz są żółtawe i wykrzywione pod dziwaczными kątami, jakby ktoś poobcinał nożyczkami ich końce. Bardziej prawdopodobne, że to myszy przegryzały się przez koronkę. Z całego domu odpada beton, niczym okruchy ciastka, kawały, które zaśmiecają trawnik. Są tam tabliczki, na które i tak nikt nie zwraca uwagi: „Wstęp wzbroniony” i „Nie nadaje się do zamieszkania”. To czarne tabliczki z jasnopomarańczowymi literami, trudno nie zauważyć. A jednak ludzie nie zauważają. Ignorują ostrzeżenia i od razu wchodzą do budynku.

Mieszka tam jakiś włóczęga albo... Nie. Kręcę głową. To nie to. Już mówiłem. Nie wierzę w duchy.

No tak, ale to ja. Inni ludzie w mieście wierzą.

Każde miasto w Ameryce ma swój nawiedzony dom.

Nasz znajduje się akurat po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mojego.

Nigdy nie znałem rodziny, która tu mieszkała. Wszystko, co mówi się teraz o tym budynku, to „ten dom”. Stoi pusty od lat, od czasów przed moim urodzeniem, ale nigdy nie obchodziło mnie to na tyle, bym spytał, kto kiedyś tu mieszkał. W moim przekonaniu ci ludzie dawno już odeszli, pozostawiając po sobie śladowe wspomnienia szczęśliwej niegdyś rodziny i walące się siedlisko. Jediną mieszkanką, o której ludzie mówią, jest martwa Genevieve, choć zawsze jest określana jako „ona”, a czasem w sposób mniej ludzki, jako „to”. Podobno ludzie ją widują jako zjawę. Porusza się po domu, jej dusza uwięziona jest w nim na wieczność.

Ale jestem za mądry, by wierzyć w takie rzeczy. To tylko stek bzdur. Nie ma czegoś takiego jak duchy.

- Pieprzeni squatterzy - mówi tata po raz ostatni, podnosząc się z krzesła, żeby powlec się do lodówki po następną butelkę piwa.

Zostawia kapsel na blacie szafki i idzie do salonu, żeby znów oglądać mecz.
Zostawia mi brudny talerz do umycia i serwetkę na podłodze.

QUINN

Nie muszę czekać zbyt długo, by ponownie poddać się próbie.

Kiedy stoję w kuchni, komórka w mojej dłoni znów się odzywa. Komórka Esther. Tym razem nie jest to nieznany telefon, ale jakiś miejscowy numer 773. Osoba, która dzwoni, ma beztroski, optymistyczny głos, może jest w tym samym wieku co ja, choć trudno mi się zorientować przez telefon, ponieważ oczywiście nie widzę kobiety, z którą rozmawiam. Pyta, czy to Esther, a ja tym razem zapewniam z dumą:

- Tak.

To zabawne występować jako Esther. Mam do niej ogromny szacunek. Jeśli istnieje na świecie jedna jedyna osoba, którą chciałabym być, to mam na myśli właśnie Esther. Jest piękna, inteligentna i miła. Nieustraszona, czasem potrafi się wykazać ikrą. No i dobra współlokatorka na dodatek.

Ale wszystkie te myśli idą w zapomnienie, gdy osoba po drugiej stronie oznajmia:

- Chodzi mi o pani ogłoszenie zamieszczone w „Readerze”.

- Jakie ogłoszenie? - pytam, zapominając na krótką, przelotną chwilę, że mam być przecież Esther. Próbuje coś sprzedać, jak się domyślam, może chce się pozbyć tych gratów ze schowka w magazynie. Komu potrzebna stara lampa? I tak już dawno wyszła z mody.

Gdy jednak ta kobieta po drugiej stronie wyjaśnia, że chodzi o ogłoszenie w sprawie współlokatorki, opada mi szczęka. Niemal mnie zatyka.

- Znalazła już pani kogoś? - pyta i upływa mnóstwo czasu, nim odzyskuję zdolność mowy.

W mojej głowie dziko kłębi się tysiąc myśli, ale ich jądro stanowi jedno pytanie, które wraca do mnie raz po raz: Dlaczego? Dlaczego Esther zamieściła to ogłoszenie w „Readerze”, dlaczego szuka nowej współlokatorki, dlaczego chce się mnie pozbyć? Jestem zraniona. Moje uczucia są zranione, jakbym dostała w plecy sztyletem Romea. Rozumiem, że jestem niechlujem i że pokrywam z własnej kieszeni nędzne czterdzieści pięć procent czynszu zamiast uzgodnionych pięćdziesięciu, że nie zawsze mam gotówkę na opłaty albo że nie gaszę po sobie światła i zapominam zakręcić wodę w kranie.

- Ale mimo wszystko, Esther... - pomrukuje gniewnie, zastanawiając się nagle, kto jest paskudniejszą współlokatorką: Esther czy ja. Jak mogłaś mi to zrobić?

Dokąd miałabym pójść, gdyby mnie wykopała? Z powrotem na amerykańskie przedmieścia, żeby żyć pod jednym dachem z ojcem, matką i idiotką Madison? Nie ma mowy. Esther mogła przecież wypomnieć mi moje niedostatki; porozmawiałybyśmy na ten temat. Mogła przekazać mi ostrzeżenie przed podjęciem decyzji o wywaleniu mnie z mieszkania. Dać trochę czasu, żebym miała szansę znaleźć sobie nowe lokum, nową współlokatorkę. Serce we mnie zamiera. Myślałam, że Esther jest moją przyjaciółką, ale może się myliłam. Może była od początku do końca tylko moją współlokatorką, nikim więcej.

- W porządku, jeśli już pani kogoś znalazła. Nie ma sprawy - mówi moja rozmówczyni.

Odchrząkuję, starając się stłumić przygniatające poczucie zdrady.

- Nie, nie znalazłam. Cieszę się, że pani zadzwoniła - odpowiadam i umawiam się z młodą damą, która ma mnie zastąpić, która ma przejąć moje miejsce przy kuchennym stole i na różanej sofie, która niebawem zajmie mój pokój i stanie się najlepszą przyjaciółką mojej najlepszej przyjaciółki, podczas gdy ja zostanę wyrzucona jak resztki jedzenia z posiłku.

Myślę o sobie, o sobie samej w wielkim mieście, bez Esther. Nie stać mnie na płacenie czynszu za mieszkanie; nigdy w życiu. Za to tutaj płaci się tysiąc sto dolarów miesięcznie, co w Chicago oznacza bezcen. Esther mieszka tu od lat, a powód, dla którego jest taniej niż w innych budynkach bez windy w tej dzielnicy, jest taki: czynsz oficjalnie kontrolowany. Gdybym weszła dzisiaj do gabinetu pani Budny i powiedziała, że chcę własnego mieszkania, identycznego z tym, które dzielę z Esther, zażądałaby tysiąca sześciuset dolarów za miesiąc, a ja nie mam za Boga takiej sumy.

Umawiam się na spotkanie ze swoją następczynią jutro po pracy, w niewielkiej kawiarni przy Clark. Żegnamy się, a ja wchodzę na internetową stronę „Readera” i oczywiście jest to ogłoszenie:

Kobieta poszukuje współlokatorki do mieszkania z dwiema sypialniami w Andersonville. Wspaniała lokalizacja. Prosić Esther.

I numer telefonu obok zdjęcia naszego domu z zewnątrz: jesienne liście spadają z drzew, jakby Esther pstryknęła fotkę zaledwie wczoraj albo może kilka dni temu.

Dlaczego, Esther? - pytam błagalnie w myślach. Dlaczego?

PONIEDZIAŁEK

ALEX

Wstaję wcześnie, dobrze przed wschodem słońca, i wychodzę na zimne poranne powietrze, by wyruszyć w długą wędrówkę do miasta i załatwić zakupy dla Ingrid, tak jak obiecałem. Jest mroźno, trudno oddychać. Powietrze pali płuca, szczypie w dłonie i uszy, kiedy zamykam za sobą drzwi i przy okazji śpiącego w środku tatę. Trzymam w dłoni rachunki, które mam wrzucić do skrzynki na listy. Opłaciłem je za swoje wynagrodzenie z ostatniego tygodnia. Rachunek za gaz przysłało z ostrzeżeniem, że niebawem wyłączą nam ogrzewanie. Przyszedł tydzień temu, a ja zbeształem tatę, mówiąc mu, że powinien wziąć się do kupy i znaleźć sobie jakąś robotę.

Cieszę się, że wziął to sobie do serca.

Kiedy idę do skrzynki, zerkam na ten stary opuszczony dom po drugiej stronie ulicy, wypatrując potencjalnych squatterów albo innych oznak życia. Przedstawia sobą paskudny widok, jedna z nielicznych skaz na skądinąd znośnej ulicy. Stoją tu puste domy, nieruchomości przejęte przez banki, a także nowe siedziby, których budowę przerwano, na zachwaszczonych trawnikach wciąż leżą deski, sklejka i inne materiały. Znak czasów, kryzys mieszkaniowy naszej generacji, następne pokolenia będą czytać o tym w podręcznikach historii. Jestem tym w osobliwy sposób podekscytowany, wiedząc, że te porzucone, podniszczone, niekochane domy tworzą na moich oczach historię.

Ludzie zamieszkujący tę okolicę to w większości pracownicy fizyczni, wielu dojeżdża aż z Portage, Indiany albo Hobart, żeby zarobić i zapłacić rachunki. Pracują głównie w fabrykach, jeśli nie są zatrudnieni w jakimś sklepie detalicznym. Trudniej tu o pieniądze niż gdzie indziej, ale i tak jesteśmy w lepszej sytuacji niż ci ze slumsów przy Emery Road, subsydiowanych osiedli mieszkaniowych dla najuboższych, opłacanych częściowo przez rząd USA.

Ale bez względu na to, ile takich znękanym domów jest w tej okolicy albo w samym mieście, o tym jednym wszyscy zawsze mówią: o tym żółtym jak szkolny autobus, minimalistycznym tradycyjnym domu z aluminiowym sidingiem i zapadniętym dachem, który znajduje się dokładnie naprzeciwko mojego domu.

Nie zawsze stanowił skazę na krajobrazie. Choć sam nigdy nie widziałem go pod postacią inną niż ruina, słyszałem, co mówią sąsiedzi, którzy ze skrzyżowanymi ramionami zatrzymują się od czasu do czasu na swoich trawnikach frontowych,

zdziwieni tym, czym się stał przez te wszystkie lata. Nie zawsze wyglądał jak szkaradzieństwo, mówią mi. Cholerna szkoda, powiadają. Kiedyś był zamieszkanym i ładnym. Sąsiedzi chcą, żeby go zburzono, ale bank, który jest właścicielem tej nieruchomości, nie chce za to zapłacić. Bo to oczywiście kosztuje, więc zostawia dom w spokoju. To jak blizna po ospie, cały czas drażni i niepokoi, choć zawsze tak wyglądał, od kiedy byłem małym szkrabem. Tak jak reszta świata, chciałbym, żeby ktoś zrównał go z ziemią i uwolnił od męki trwania.

No i oczywiście są jeszcze te opowieści o duchu Genevieve.

Jest rzeczą wiadomą, że dzieciaki (odważne, głupie czy jeszcze jakieś) podkradają się pod okna i zagląдают do środka, szpiegując upiora przez szyby. Ale nie tylko dzieciaki. Nie, dorośli też twierdzą, że ją widzieli, małą zjawę w bieli sunącą od pokoju do pokoju, zagubioną i samotną, wołającą mamę.

W gimnazjum to rytuał inicjacyjny - zdobyć się na odwagę i spędzić noc w tym nawiedzonym domu. Sam tego doświadczyłem, kiedy miałem dwanaście lat. No, powiedzmy. Wytrzymał w najlepszym razie dwie godziny. Już samo wyjście z domu w tak sprytny i przemyślany sposób, żeby rodzice tego nie zauważyli, stanowiło duże wyzwanie, choć akurat nie dla mnie. Mój stary był tak nawalony, że nie miał pojęcia, czy jestem tutaj, czy tam, czy jeszcze gdzie indziej. Ale inni chłopcy musieli łączyć rodzicom, że śpią u kolegów, albo wyłazić przez okno sypialni długo po tym, jak już zapadli rzekomo w kamienny sen.

No, ale była to jakaś inicjacja, przejście z grupy kujonów do elity, a wszystko dzięki spędzeniu nocy z duchem.

Więc tak robiliśmy. Albo przynajmniej próbowaliśmy. Wraz z grupą kumpli wzięliśmy torby pełne latarek, scyzoryków, lornetek i jedzenia, a potem rzucaliśmy sobie nawzajem wyzwanie, by spędzić noc w tym żółtym domu w towarzystwie ducha. Dlaczego? Nie pytajcie mnie dlaczego. Po prostu tak robiliśmy.

Mieliśmy ze sobą też aparat jednorazowego użytku, żeby zrobić zdjęcia i popisywać się nazajutrz w szkole. Dowód, że tego dokonaliśmy. Spędziliśmy noc z duchem i przeżyliśmy. Jeden koleś wziął ze sobą noktowizor, inny kamerę wideo. Jeszcze inny twierdził, że ma coś, co jest kamerą termowizyjną (ale nie było). Wgramoliliśmy się do środka przez wybite okno - zadrapałem sobie gołęń kawałkiem szkła - i rozbiliśmy obóz w niegdysiejszym salonie szczęśliwej rodziny, ze śpiworami, poduszkami i całą resztą. Potem robiliśmy sobie zdjęcia, chłopaki i ja, obok pokrytego pajęczynami kominka, siedząc na starej zapadniętej kanapie, która roiała się od robactwa, albo przekraczając próg wiadomego pokoju. Jej pokoju.

Pokoju Genevieve.

Jak wynikało z opowieści, których się przez lata nasłuchiwałem, Genevieve była małą niegrzeczną dziewczynką. W ciągu pięciu lat poprzedzających jej śmierć niejedną raz przyłapano ją na niszczeniu ptasich gniazd i wyrywaniu odnóży z tułowi schwytych owadów. Takie właśnie zdarzenia ludzie pamiętają, jeśli chodzi o Genevieve, małą dziewczynkę, która wspinała się na drzewo, żeby zrzucić pisklęta drozdów na ziemię, a potem je deptała, podczas gdy ptasia mama patrzyła na to bezbronna i bezradna, nie mogąc nic zrobić, by ocalić swoje potomstwo. Dorośli z sąsiedztwa, ci, którzy byli wtedy dziećmi, wspominają, że nikt nie chciał się z nią bawić. Genevieve była okrutna. Genevieve była podła. Ciągnęła inne dzieci za włosy, wyzywała je, doprowadzała do płaczu, a one udawały ból brzucha, mówiąc, że nie chcą iść do szkoły, bo Genevieve będzie tłukła je pięściami i kopała po goleniach. Miała szczególne usposobienie, paskudne usposobienie, albo tak też słyszałem, i nie chodziło o typowe dąsy, płacze czy marudzenie pięcioletniej dziewczynki, ale o pięciolatkę, której przydałby się kaftan bezpieczeństwa albo przynajmniej leki stabilizujące nastrój.

Nie dziwi więc przekonanie żywione przez licznych mieszkańców miasta, że wróciła jako duch, by prześladować ich nawet po śmierci.

Razem z kumplami wytrzymałem w tym starym domu co najwyżej kilka godzin, nim się zorientowaliśmy, że nie jesteśmy sami, i zwialiśmy. Nie miało to w ogóle nic wspólnego z duchem. Załatwiły nas szczury, cholerne szczury dachowe. Przetrwaliśmy zaledwie do dwudziestej trzeciej, kiedy wylazły w poszukiwaniu żarcia.

Nawet obecnie, po tylu latach, mówi się o dziwnych nocnych hałasach. O dziecku śpiewającym kołysanki, o jego płaczu.

A ja? Jestem przekonany, że to tylko wiatr.

Inni jednak nie mają takiej pewności. Niektórzy są dostatecznie przesądni, by nie zbliżać się do tego domu, więc przechodzą przez ulicę na moją stronę. Inni przez całą cholerną drogę wstrzymują oddech, tak jak się robi, mijając cmentarz, by człowiek nie mógł wchłonąć w siebie duszy zmarłego. Zaciskają pięści, chowając w nich kciuki, ale nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że tak robią. Przesady związane ze śmiercią to tutaj norma.

Jeśli twój cień jest pozbawiony głowy – umrzesz.

Zobaczysz sowę za dnia – śmierć nadchodzi.

Ptaka rozbija się o okno – też oznacza, że śmierć jest blisko.

Śmierć chadza trójkami.

A zwłoki zawsze powinny być wynoszone z domu nogami do przodu. Zawsze.

Nie wierzę w to wszystko. Jestem na to zbyt sceptyczny.

Dziwna rzecz, ona nawet nie umarła w tym domu. Tu mieszkała, to pewne, tu mieszkała Genevieve, ale nie tu umarła. Więc jakim cudem przebywa tu jej duch?

Ale może chodzi o to, że jestem po prostu zbyt pragmatyczny.

QUINN

Noc nadchodzi i przemija, lecz Esther nie wraca do domu. Następnego dnia z trudem zmuszam się do tego, by wyjść przez drzwi frontowe i powlec się do pracy, ponieważ chciałabym za wszelką cenę posiedzieć w domu i poczekać na Esther. Od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin, zapewniła mnie telefonistka pod 311, a Esther nie ma dopiero od dwudziestu czterech. Siedemdziesiąt procent ludzi zaginionych odchodzi dobrowolnie; to także mi powiedziała. Wiem też, że Esther szuka nowej współlokatorki - na moje miejsce - tak więc łączę fakty i bez trudu wyciągam dość oczywisty wniosek, że zniknięcie Esther ma coś wspólnego ze mną i moim niedbalstwem. Jestem kiepską współlokatką, rozumiem to. Mimo wszystko, bez względu na to, czy to moja wina, czy nie, wcale nie czuję się lepiej. To, że Esther chce się mnie pozbyć, odbieram jak kopniak w zęby.

Nie mogę jednak siedzieć w domu przez następne dwa dni i czekać, aż Esther pojawi się w magiczny sposób. Muszę pracować i mieć nadzieję, że gdy się pojawi - jeśli się pojawi - będziemy mogły o wszystkim pogadać.

Rano w poniedziałek jadę autobusem linii 22 do dzielnicy biznesowej, mając na sobie z jakiegoś bezbożnego powodu krótką spódniczkę. Na każdym przystanku - na każdym skrzyżowaniu - drzwi otwierają się na oścież i do środka wdziera się ostre listopadowe powietrze, by zaatakować moje gołe nogi. Noszę rajstopy, nie zrozumcie mnie źle, ale ten cienki materiał nie chroni przed bezlitosnym wichrem Wietrznego Miasta. Trzymam czółenka w torebce, na stopach mam buty sportowe: image pracującej kobiety.

Gdyby tylko mogła mnie teraz widzieć moja matka! Byłaby ze mnie taka dumna.

Założyłam słuchawki, laptop leżący na moich kolanach gra muzykę, tak że skutecznie tłumię litanię pokasywania, kichania i oddechu tych, którzy mnie otaczają. Mogę więc udawać, że ich tu nie ma, choć zawodzący głos Sama Smitha, błagający mnie, bym została, nie jest złym początkiem dnia.

Jakiś idiota uchylił odrobinę okno, więc temperatura w autobusie nie przekracza pewnie szesnastu stopni Celsjusza. Otulam się szczelniej płaszczem i rzucam wściekle do włóczęgi, który za mną siedzi, żeby przestał dotykać moich włosów, bardzo proszę. Nie pierwszy raz siedzi ze mną w autobusie. To wagabunda, typ człowieka, który wyda każdy grosz na jazdę autobusem. Nie dlatego, by miał się dokądkolwiek udać, tylko dlatego, że nie ma się dokąd udać. Robi to, by się ogrzać.

Podróżuje tak daleko, jak pozwala mu na to kierowca, a potem wysiada. Zebrze o pieniądze, a kiedy znów uzbiera ze dwa dolary, płaci za bilet i znowu wyrusza w drogę. Trochę mu współczuję. Odrobinę.

Ale jeśli jeszcze raz dotknie moich włosów, przesiądę się.

Pojawia się Loop, czyli centrum biznesowe, budynki wznoszą się ku niebu coraz wyżej, kiedy opuszczamy Andersonville i przejeżdżamy przez Uptown, Wrigleyville, Lake View, Lincoln Park.

I wtedy to do mnie powraca, kiedy autobus linii 22 przebija się z mozołem przez Clark Street, i czuję gęsią skórę, dreszcz wspina się po moich plecach, aż do długich złotych loków. Jestem wściekła. Esther próbuje wymienić mnie na kogoś innego.

To jak uderzenie się w duży palec u nogi albo wydalenie kamienia nerkowego. Boli. Czy może trafniej, jak zmiżdżenie sobie palca drzwiami samochodu. Chcę krzyczeć i wrzeszczeć. W moim sercu tkwi to wydrążenie, ta wiedza, której nie do końca potrafię ogarnąć. Słyszę dziewczynę, z którą rozmawiałam zeszłego wieczoru przez telefon – telefon Esther – pamiętam wiarygodność w jej pogodnym głosie, kiedy oświadczyła radośnie:

- Chodzi mi o pani ogłoszenie w „Readerze”. To dotyczące współlokatorki.

Nie wie, że być może za niespełna rok Esther też da jej kopa.

Wysiadam z autobusu i pomykam do swojego biurowca, drapacza chmur przy North Wabash Avenue. To wysoki czarny budynek z pięćdziesięcioma piętrami nie do odróżnienia, biuro za biurem. Wspaniały widok, jaki niegdyś zapewniał, jest teraz zasłonięty przez najnowszą i największą strzelistą monstrualność: dziewięćdziesiąt osiem kondygnacji stalowego szkieletu i ścian osłonowych, a wszystko to wyrosło w centrum biznesowym niemal z dnia na dzień, dokładnie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mojego miejsca zatrudnienia. Prawnicy, dla których pracuję, ci, którzy mają panoramiczny widok ze swoich gabinetów wielkich jak dom moich rodziców, są z tego powodu wkurzeni, z powodu faktu, że nie mogą już patrzeć na jezioro Michigan, bo jakiś biznesowy potentat i jego superbudowla pozbawili ich wspaniałej perspektywy wizualnej.

Problem krajów wysoko rozwiniętych.

Jadę windą na czterdzieste trzecie piętro, uśmiecham się do recepcjonistki, która uśmiecha się do mnie. Jestem pewna, że nie wie, jak się nazywam, ale przynajmniej nie prosi mnie już o okazanie identyfikatora. Pracuję tutaj od całych trzystu sześćdziesięciu dni. To mnóstwo poniedziałków. Nie lubię tej roboty ani trochę, tej funkcji asystenta projektu, która w hierarchii totemicznej stoi niżej od dozorców,

mężczyzn i kobiet wycierających podłogi i zmywających mocz z toalet.

Powód, dla którego chciałam tej pracy, był taki, że się opłacała. Nie bardzo, ale mimo wszystko. Poza tym niewiele mogłam zdziałać z dyplomem nauk humanistycznych kiepskiej uczelni. Tu jednak się nadawałam.

Kiedy zjawiam się w robocie, od razu zaczynam szukać Bena. Bena, który nie oddzwonił zeszłego wieczoru, ponieważ był zbyt zajęty tym, co robił ze swoją dziewczyną Priyą. Nie pozwalam sobie jednak na myślenie o tym; nie mogę. Nie chcę w tej chwili myśleć o Benie i jego dziewczynie; o Benie, jego dziewczynie i swojej nienasyconej zazdrości. Skupiam się na aktualnym zadaniu. Muszę znaleźć Bena. Muszę pomówić z Benem o Esther.

Tak więc prześlizguję się do klatki schodowej i ruszam w górę, do gabinetu Bena. Nasza firma, międzynarodowa kancelaria prawnicza zatrudniająca dobrze ponad czterystu prawników, zajmuje jedenaście pięter powierzchni biurowej w tym czarnym budynku. Każde piętro jest zasadniczo takie samo, wszędzie siedzą praktykanci adwokaccy i asystenci projektu tacy jak ja, wtłoczeni w małe boksy we wnętrzu każdej kondygnacji, zmuszeni przebywać pośród półek, teczek i fotokopiarek. Tu, gdzie rezydujemy, nie ma czegoś takiego jak oświetlenie naturalne, są tylko lampy fluorescencyjne, których światło nie jest korzystne dla odcienia mojej skóry czy barwy włosów. Ta iluminacja sprawia, że wyglądam żółto i niezdrowo, więc ktoś mógłby pomyśleć, że mam ostrą postać żółtaczką spowodowaną jakąś chorobą wątroby albo dróg żółciowych. Nieźle.

Pracuję na czterdziestym trzecim piętrze. Ben na czterdziestym siódmym. Zaczynam pokonywać stopnie, jeden za drugim, starając się ze wszystkich sił ignorować niesamowitość klatki schodowej. Nie korzystam z niej tak często, ale bywają chwile, kiedy dziewczyna nie chce tłoczyć się w małej windzie z trzema, pięcioma czy nawet jednym wziętym prawnikiem, a dzisiaj jest właśnie jeden z takich dni.

Kiedy docieram do klitki Bena na czterdziestym siódmym piętrze, nikogo w niej nie ma. Komputer jest włączony, a obok obrotowego fotela widzę skórzaną aktówkę i czarne buty do biegania. Wiem, że gdzieś tu jest - w budynku - a jednak nie ma go tutaj, w jego boksie. Rozpytuję się, czy ktoś nie widział Bena, starając się zamaskować dręczący mnie niepokój słabym uśmiechem.

- Był tutaj - mówi mi jakaś praktykantka adwokacka o blond włosach, przemykając z pudłem w rękach, a jej buty z odkrytą piętą stukają hałaśliwie o drewnianą podłogę. - Ale teraz go nie ma.

Nie ulega wątpliwości.

Znajduję kawałek papieru i sporządzam pośpiesznie notatkę, najstaranniej jak umiem, choć moje dłonie drżą z tysiąca powodów, a może z tysiąca i jednego:

Musimy pomówić. Jak najszybciej.

Zostawiam tę wiadomość na plastikowej klawiaturze, nim wracam zawiedziona do swojej klitki.

Tego ranka otrzymuję niezwykle ważne zadanie związane z oznaczaniem dokumentacji za pomocą określonej metody. Brzmi poważnie, naprawdę. Ma to nawet swoją nazwę, znakowanie metodą Batesa; na tej samej zasadzie mają też swoją nazwę te mikroskopijne kropeczki nad małymi literami „i” i „j” – znaki diakrytyczne, prosty fakt, o którym się dowiedziałam, kiedy grzebałam w internecie, poświęcając swój czas dla jednego z bogatszych klientów firmy – albo gdy drugi palec u nogi jest najdłuższy i wtedy nazywa się to stopą Mortona. Ważne rzeczy warte swoich nazw. Jak znakowanie dokumentów metodą Batesa. Kwestie życia i śmierci.

Ale nie. Ostatecznie umieszczam setki tysięcy ponumerowanych naklejek na rosnącym stosie papierów, nim otrzymuję zlecenie ich kopiowania, trzy, pięć albo dziesięć razy. To całe pudła dokumentów, co gorsza, nie zawierają nawet skandalicznych szczegółów, z jakimi mają do czynienia specjaliści od spraw rozwodowych. Wszystkie dotyczą kwestii finansowych, ponieważ pracuję dla prawników zajmujących się transakcjami handlowymi, dla nudnych mężczyzn, którzy się podniecają na widok takich papierów i rozmawiają o pieniądzach przez cały boży dzień, wynagradzając mnie trochę powyżej płacy minimalnej.

Kiedy już to robię, moje ruchy stają się pośpieszne i powtarzalne, a myśli błądzą daleko od stosu dokumentacji finansowej, która przede mną leży. Jestem w pracy, ale z pewnością nie potrafię się na niej skupić. Mogę myśleć wyłącznie o Esther. Gdzie jest Esther? Nie umiem skupić się choćby na jednej rzeczy, nie na oznaczaniu dokumentów metodą Batesa ani na przeglądaniu góry korespondencji i pisemnego orzecznictwa, raz za razem umieszczając obok nazwiska naszego klienta czerwone kartki samoprzylepne, aż w końcu słowa zaczynają mi się zlewać przed oczami. Odtwarzam w myślach naszą ostatnią rozmowę. Czy nie dostrzegłam czegoś ukrytego w tonie głosu Esther albo znużonym uśmiechu? Była chora; nie czuła się dobrze.

- Popsuję ci tylko przyjemność, Quinn. Idź beze mnie. Będziesz się lepiej bawić.

Teraz jednak zastanawiam się siłą rzeczy: czy był to sprawdzian? Czy Esther poddawała mnie testowi? Chciała się przekonać, jaka ze mnie współlokatorka i czy jestem gotowa przedkładać jej potrzeby nad własne.

Jeśli rzeczywiście tak było, to chyba oblałam. Poszłam bez niej, bawiłam się. Nie pomyślałam nawet o tym, żeby zatrzymać się przy jej pokoju, kiedy wróciłam do domu, i sprawdzić, jak się czuje i czy nic jej nie jest. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Nie zaproponowałam jej, że przyniosę koc albo podgrzeję zupe. Inna współlokatorka, lepsza współlokatorka, przyrzadziłaby zupe. Inna współlokatorka odpowiedziałaby na nalegania Esther, żebym poszła w miasto sama:

- Nie ma mowy. Z tobą będę się bawiła lepiej.

Ale to nie ja. Ja powiedziałam:

- Okej - i wyszłam czym prędzej z domu. Nie zastanawiałam się nad podjętą decyzją... żeby nie zostać.

- Cholera - mówię głośno, kiedy kartka papieru prześlizguje się po wrażliwej skórze palca wskazującego, a na jego powierzchnię wypływa krew i zostawia ślad na sprawozdaniu z przepływu środków pieniężnych. - Cholera, cholera, cholera - powtarzam, wiedząc, że moja narastająca frustracja w znacznie większym stopniu dotyczy osoby Esther niż tej pozbawionej znaczenia utraty krwi. Boli mnie palec, ale serce boli jeszcze bardziej.

Esther próbuje mnie kimś zastąpić.

Mój umysł rozważa przez ułamek sekundy świat bez Esther, i to mnie zasmuca.

- Zły dzień? - pyta ktoś, a ja podnoszę wzrok znad skaleczenia i widzę Bena stojącego w drzwiach, z rękami na biodrach; patrzy na krople krwi na mojej dłoni i dodaje: - Pokaż, pomogę ci.

Ben nosi wąskie, brązowoszare bawełniane spodnie i koszulkę polo z piki koloru pawich piór. Jest nieskazitelnie ubrany i wygląda zachwycająco, choć niewykluczone, że jechał do pracy na motorze, jak robi to często, na hybrydowej maszynie, którą przypina do galwanizowanego stalowego stojaka przed budynkiem. Odznacza się budową biegacza, jest szczupły, ale muskularny, zawsze w obcisłym ubraniu - w szytym na miarę podkoszulku i cienkich spodniach - więc widać każdy mięsień pośladkowy i brzuszny. Albo tylko sobie wyobrażam, że widać.

To żaden sekret, że durzę się w Benie. Jestem pewna, że wiedzą o tym wszyscy na świecie, prócz niego.

Ben chwytą chusteczkę z pojemnika i przyciska ją mocno do mojej dłoni. Jego ręce są ciepłe, ruchy zdecydowane. Trzyma moją dłoń w swojej, kilka centymetrów nad sercem. Uśmiecha się, podnosząc moją rękę wyżej.

- Podobno to ogranicza krwawienie - mówi.

Po raz pierwszy od jakiegoś czasu też się uśmiecham, bo oboje wiemy doskonale, że nikt się nie wykrwawił na śmierć z powodu takiego skaleczenia. Jedyным

skutkiem będzie spalenie tych głupich dokumentów finansowych – nic, czego nie można by usunąć przy pomocy odpowiednich środków – ale ja sama wyjdę z tego bez szwanku.

– Przepraszam, że nie oddzwoniłem wczoraj wieczorem – mówi do mnie. – O co chodzi?

Ma w ręku moją wiadomość:

Musimy pogadać. Jak najszybciej.

Mam ochotę od razu wywnętrzyć się Benowi, tutaj i teraz, powiedzieć mu wszystko: Esther, schody pożarowe, dziwaczny list, Najdroższa Osoba i jeszcze więcej. Chcę tak dużo powiedzieć Benowi, ale nie robię tego. W każdym razie jeszcze nie, nie tutaj. Nie chcę tu rozmawiać. Plotka rozprzestrzenia się w tym miejscu lotem błyskawicy, więc ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to wścibska asystentka parę pokoi dalej, opowiadająca wszystkim o tym, jaka to ze mnie beznadziejna współlokatorka albo jak Esther się mnie wyrzekła.

Ben, Esther i ja jesteśmy jak partnerzy, jak trzej muszkieterowie. To ja spiknęłam nas ze sobą. Znałam Bena z biura – zaczęliśmy pracować w firmie tego samego dnia i razem przesiedzieliśmy osiem bolesnych godzin, wypełniając stosy formularzy dotyczących zasobów ludzkich, oglądając bezmyślne filmiki, starając się przetrwać zawodową inicjację. Byłam nieprawdopodobnie znudzona, kiedy po dwóch godzinach Ben obrócił się do mnie na swoim fotelu, przy stole w wypasionym pokoju konferencyjnym, i sparodiował panią od zasobów ludzkich, która najwyraźniej zaaplikowała sobie zbyt dużą dawkę botoksu. Jej twarz zastygła w sztywności, nie mogła się uśmiechać.

Śmiałam się tak bardzo, że omal nie parsknęłam kawą przez nos.

Od tamtej pory jesteśmy przyjaciółmi. Jemy razem lunch niemal każdego dnia, rozrzutnie spędzamy przerwy na kawę i dzielimy się plotkami o prawnikach.

A potem nadszedł dzień, kiedy wprowadziłam się do Esther, mniej więcej dwa tygodnie przed tym, jak nasza para zamieniła się w trójkę. Esther zaproponowała przyjęcie z okazji mojego przybycia. Przystroiła mieszkanie; zrobiła przystawki. Oczywiście, bo to w końcu Esther. Ona robi takie rzeczy. Zaprosiła mnóstwo znajomych: ludzi z księgarni, ze studium podyplomowego, z naszego domu i sąsiedztwa, w tym Cole’a, fizykoterapeutę z parteru, oraz Noaha i Patty, którzy mieszkają nieco dalej.

Ja zaprosiłam Bena.

Wszyscy przyszli, a potem wyszli, ale pod koniec nocy zostałam tylko ja, Esther i Ben, trajkocząc o niczym szczególnym, aż w końcu nadszedł ranek i Priya

zadzwoń, żeby wrócił do domu, i tym samym przerwała nam zabawę. Zmył się niechętnie, a w następny weekend, kiedy Priya była zbyt zajęta nauką do egzaminu śródsemestralnego, żeby spędzać czas z Benem, wrócił.

- Podoba ci się, prawda? - powiedziała Esther domyślnie, kiedy już wyszedł.

- Aż tak to widać? - spytałam, po czym wyraziłam coś oczywistego: - Zresztą to bez znaczenia. Ma dziewczynę.

Siedziałyśmy obok siebie na kanapie, wpatrując się w czarny ekran telewizora.

- No cóż - odparła Esther w ten swój nieegoistyczny sposób, innymi słowy cała Esther. - Traci coś naprawdę wspaniałego. Wiesz o tym, prawda, Quinn?

A ja powiedziałam, że tak, choć oczywiście nie wiedziałam.

- Jego strata - powiedziała Esther i kazała mi to powtórzyć, tak że z czasem zaczęłam w to wierzyć.

W następny weekend Ben wrócił, żeby wyluzować się z Esther i ze mną.

Jeśli ktokolwiek na świecie może pomóc mi znaleźć Esther, to właśnie Ben.

Tak więc teraz, w mojej małej klitce, kiedy Ben pyta:

- Co się stało?

To ja odpowiadam pytaniem, przyciskając do dłoni tę chusteczkę, żeby zatamować prawie nieistniejącą krew:

- Masz ochotę na lunch?

Choć nie ma jeszcze nawet jedenastej, Ben się nie sprzeciwia.

- Chodźmy - mówi.

A ja podnoszę się z krzesła i wychodzimy.

Udajemy się do Subwaya, jak zawsze, i jak zawsze zamawiam to samo: kanapkę z chleba pszennego z rostbefem, a on sałatkę z kurczaka. I gdy zajmujemy miejsca w boksie obok okien, obserwując, jak ulicą płynie życie miasta, wyznaję Benowi:

- Esther nie wróciła zeszłej nocy do domu. - Po czym dodaję cicho i ze skruchą, a mój głos wznosi się nieledwie ponad szept: - Esther nie wróciła też w sobotę wieczorem.

Przy Wabash trwa budowa, więc jest głośno: młoty pneumatyczne, piły, szlifierki i tego rodzaju sprzęt. Próbuję stłumić ten hałas, cały hałas, wewnętrzny i zewnętrzny. Hałas budowy i hałas, jaki robi kilkunastu gości obok nas, wystających w długiej, coraz dłuższej kolejce, niecierpliwych, głodnych, rozmawiających przez komórki. Tak zwana artystka od kanapek zadająca to samo pytanie, raz za razem, jak słowa na zdartej płycie:

- Ciemne czy pszenne? Ciemne czy pszenne?

Udaję przez jedną nanosekundę, że jesteśmy w tym pomieszczeniu sami, tylko ja

i Ben, że nie jesteśmy otoczeni wonią warzyw, sera czy świeżo wypieczonego chleba, że jesteśmy w jakimś romantycznym miejscu, powiedzmy w Trattorii No. 10 przy Dearborn czy na Evereście, na samym szczycie budynku chicagowskiej giełdy (miejsce, do którego prawdopodobnie nigdy nie zawitam), racząc się żeberkami jagnięcymi albo polędwicą z sarniny i patrząc na dzielnicę biznesową z wysokości czterdziestego piętra. Kelnerzy i kelnerki, którzy zwracają się do nas per sir i madame, którzy przynoszą nam szampana i pojedynczy sorbet z dwiema łyżeczkami – z rodzaju tych, na które prawdopodobnie nie byłoby mnie stać. To dopiero byłoby romantyczne. Wyobrażam sobie, jak kolano Bena napiera pod stolikiem na moje kolano, a mocna dłoń przesuwając się pewnym ruchem po wykrochmalonym białym obrusie, by dotknąć mojej, kiedy wyznaję mu ze smutkiem:

- Esther nie wróciła też w sobotę wieczorem.

Ben podnosi widelec do ust, a potem go odkłada, nie zwracając uwagi na talerz z sałatką, który przed nim stoi.

- Co masz na myśli, mówiąc, że Esther nie wróciła do domu? – pyta.

W fałdach i zmarszczkach na jego czole i skroniach ujawnia się troska. Dłonie sięgają do kieszeni w poszukiwaniu telefonu, potem sprawdza kontakty, szukając Esther.

- Może jest na mnie wściekła – mówię.

- Dlaczego miałyby być na ciebie wściekła?

Mówię mu, że nie wiem, ale prawda jest taka, że wiem, i nie chodzi o jedną konkretną rzecz samą w sobie, ale o mnóstwo rzeczy, które składają się wszystkie na fakt, że jestem kiepską współlokatorką.

- Nie wiem – mówię. – Chyba ją zawiodłam.

Ale Esther też mnie zawiodła i teraz jestem wściekła i smutna jednocześnie. Patrzę, jak Ben próbuje dodzwonić się ze swojej komórki do Esther, ale kładę mu dłoń na ramieniu i mówię, że to na nic.

- Jej telefon jest w domu – informuję go ze skrucą.

A ponieważ Ben jest bystry, logiczny, systematyczny (czego o sobie nie mogę w żaden sposób powiedzieć, co sprawia, że jego yin pasuje doskonale do mojego yang), przenosi swoje odczucia na drugi plan i skupia się bez reszty na aktualnym zadaniu.

- Zadzwoń do księgarni. Sprawdź, czy przyszła dziś do pracy. – I po chwili pyta: – A jej rodzice?

- Jest tylko matka – odpowiadam albo przynajmniej sądzę, że jest tylko matka.

Esther nigdy nie wspominała o tacie, bracie, siostrze, psie, śwince morskiej, choć

oczywiście była fotografia rodziny – jakiejś rodziny, jej rodziny? – w składziku, ta, z powodu której Esther omal nie amputowała mi palca w grudniu tamtego roku, kiedy zajrzałam do pudła.

– Kto to jest? – spytałam.

I otrzymałam zwięzłą odpowiedź, gdy niemal przytrzasnęła mi dłonie wiekiem:

– Nikt.

A teraz Ben pyta dalej:

– Próbowłaś zadzwonić do jej mamy?

Kręcę bezradnie głową, po czym wyznaję:

– Nie znam jej imienia. Ani numeru telefonu. – Dodaję jednak, że dzwoniłam na policję. Jeden krok we właściwym kierunku, ale już bardziej prawdopodobne, że jeden krok do przodu, dwa do tyłu. Wydaje się, że w ogóle nie poczyniłam żadnych postępów.

– Sprawdź telefon Esther – radzi.

– Nie mogę do niego zajrzeć. – Wzruszam ramionami. – Nie znam hasła.

Jeśli rodzina Esther sama nie zadzwoni do nas, to jest to ślepa uliczka. Ben jednak nie chce zaakceptować porażki.

– Sprawdzę, co mi się uda wydobyć. – Puszczą do mnie oko. – Mam znajomości.

Wątpię w to; bardziej prawdopodobne, że jest biegły w internecie i może się zalogować do LexisNexis. To chyba jedyny plus pracy w firmie prawniczej – dostęp do bazy danych, która umożliwia przeszukiwanie archiwów państwowych i danych osobowych.

Czuję się sfrustrowana, delikatnie mówiąc, jakbym niczego nie potrafiła załatwić we właściwy sposób. Nigdy nie płaczę, ale przez całe dwie sekundy myślę, że to właśnie mam ochotę teraz zrobić. Chciałabym wsunąć twarz w firmową serwetkę Subwaya i wypłakać oczy. Ale w tym akurat momencie Ben wyciąga rękę nad stołem i muska przelotnie moją dłoń. Staram się nie dopatrywać w tym czegoś więcej – to tylko przyjacielski gest – ale trudno się nie rozkleić całkowicie, kiedy mówi mi:

– Wątpię, czy Esther wścieka się na ciebie. Jesteście najlepszymi kumpelkami. – A ja sobie myślę, że tak sądziłam. Naprawdę byłam przekonana, że Esther i ja to najlepsze kumpelki, teraz jednak nie jestem już taka pewna. – Więc zadzwonisz do księgarni, a ja wytropię mamę Esther. Znajdziemy ją – obiecuje. – Na pewno.

W tym momencie uświadamiam sobie, że lubię brzmienie jego głosu, że podoba mi się to, jak konkretnie i kompetentnie zabrał się do całej sprawy; uśmiecham się, bo moje samotne poszukiwania Esther Vaughan przemieniły się w dwuosobowe

działania. I jestem niezwykle zadowolona ze swojego wspólnika w przestępstwie.

ALEX

Stoję pod drzwiami domu Ingrid Daube, dostrzegając, że podwórze zasłane jest spadłymi liśćmi. Odnotowuję sobie w myślach: przynieść grabie. Zagrabić liście Ingrid. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Nie jest to coś, co mogłaby zrobić sama, ponieważ wymagałoby to wyjścia na dwór, a to jest raczej wykluczone. Niebawem spadnie śnieg. Nie chcę, by jej trawa obumarła.

Trzymam dwie papierowe torby. W kieszeni jest reszta z gotówki Ingrid, dolar i siedemdziesiąt trzy centy. Trzymam torby w obu rękach. Podnoszę nogę i naciskam dzwonek kolanem, czekając, aż Ingrid odpowie.

Na zewnątrz świeci słońce. Nie jest ciepło – na dobrą sprawę jest zimno – ale świeci słońce. Dzień tchnie rzeźkością. Mewy są tego ranka hałaśliwe, czynią rwetes. Krążą nad głowami stadami, przysiadają na dachach budynków i markizach.

Kiedy Ingrid otwiera drzwi, sprawia wrażenie zaniedbanej. Włosy ma zmierzwiłone, wciąż jest ubrana w koszulę nocną i szlafrok. Jej skóra nie nosi śladu makijażu, jest pofałdowana, głębokie zmarszczki niczym niezakryte. Jedna, i tylko jedna myśl przychodzi mi do głowy: Ingrid wygląda staro.

- Dzień dobry – mówi.

- Dzień dobry – odpowiadam.

Ale dzisiaj jej głos jest stłumiony, a ona sama wprowadza mnie pośpiesznie do domu i zamyka drzwi, zmagając się z naporem wiatru. Robi to pośpiesznie, starając się za wszelką cenę zatrzymać powietrze na zewnątrz. Taka bywa czasem Ingrid. Niekiedy strach przed światem zewnętrznym zaczyna się i kończy na progu i dopóki jej stopy pozostają poza nim, wszystko jest w porządku. Ale kiedy indziej boi się samego powietrza: zarazków, pyłków, zanieczyszczeń, dymu, oddechu i wszelkich przerażających czynników, jakie kryją się w atmosferze. Dzisiaj jest najwidoczniej taki właśnie dzień. Wciąga mnie do domu za ramię – jej oczy omiatają szybkim spojrzeniem ulicę; chce się upewnić, że mnie nie śledzono, że wiatr nie skrada się za mną, gotów do ataku – i zatraskuje natychmiast drzwi, zamykając je na klucz i zasuwkę.

Potem bierze głęboki oddech, uwalnia powietrze z płuc i uśmiecha się.

Uff, mówi jej uśmiech. Niewiele brakowało.

Ingrid ma dobre dni i Ingrid ma złe dni, ale tak naprawdę to nie moja sprawa, który akurat wypada, więc udaję, że tego nie widzę albo że mnie to nie obchodzi. Nie wiem zbyt wiele o agorafobii, ale wiem, że listonosz przynosi jej pocztę pod same drzwi, kiedy przesyłka jest tak pękata, że nie mieści się w skrzynce. Mały chłopak z sąsiedztwa wlecze jej torby ze śmieciami do krawężnika. Ja albo jakiś inny pacan załatwiamy jej sprawunki. O ile się orientuję, zaczęło się to od ataku paniki na targowisku w mieście. Działo się to przed kilku laty, letnią porą, w sobotę. Panował niesamowity gwar, wszędzie było tłoczno i jak głosi wieść gminna, to właśnie wywołało ten publiczny atak paniki u Ingrid. Tłumy. Zawsze przy takich okazjach robi się gorąco, koszmarne gorąco, oddech wymaga wysiłku. Kolejki ciągnęły się w nieskończoność, roilo się od ludzi, których Ingrid nigdy nie widziała ani nie znała. Od turystów. Kilku przypadkowych świadków widziało, jak chwyta się za szyję, jak łapie spazmatycznie powietrze, a inni słyszeli, jak krzyczy:

- Odejdźcie! - A także: - Zostawcie mnie w spokoju!

I tak też zrobili, dzwoniąc pod 911 po pomoc.

- Nie dotykajcie mnie! - wołała rzekomo Ingrid.

To strach przed ponownym atakiem każe Ingrid siedzieć w domu. Strach przed utratą kontroli, perspektywa śmierci na lokalnym targowisku, kiedy wszyscy się przyglądają, patrzą, pokazują palcami. Nigdy o tym nie powiedziała, ale tak przypuszczam. Bo to ostatnie miejsce na świecie, gdzie chciałbym umrzeć, na lokalnym targowisku, otoczony zewsząd wonią filetów rybnych i turystów.

Ingrid bierze torbę z moich dłoni i ruszam za nią do kuchni, gdzie na dużym wiejskim stole leży rozłożona talia kart. Stawia pasjansa. Jakie to smutne. Obok trzyma papierowy bloczek, na którym odhacza każdą wygraną. Prowadzi trzy do jednego.

Na stole znajdują się też wszystkie paciorkowe precjoza Ingrid. Wstążki, sznurki i druty. Paciorki i klamerki. Puste pudełka tekturowe po biżuterii. Bibułka w kolorach tęczy. Odręcznie spisana lista zamówień, które należy zrealizować. Uwięziona w domu, a jednak zaskakująco przedsiębiorcza, Ingrid potrafi produkować własną biżuterię z paciorków i prowadzić sklep internetowy. Dostaje potrzebny materiał, a kurier zabiera paczki, maleńkie pudełeczka z naszyjnikami albo kolczykami w środku. Ingrid zarabia na życie, nie wyściubiając nosa na zewnątrz. Próbowaliśmy mi raz pokazać, jak się robi tę biżuterię, w tym przypadku naszyjnik, lecz nie dla kogoś konkretnego, nie tak, jakbym miał go komuś dać. Ale i tak moje niezgrabne dłonie nie potrafiły w żaden sposób zgiąć odpowiednio drutu i nawlekać paciorków. Ingrid uśmiechnęła się do mnie słodko - było to lata temu -

i przyznała, że jest ze mnie kiepski praktykant. Potem ograniczyłem się do załatwiania jej sprawunków i dostarczania posiłków. Mimo wszystko zrobiła dla mnie naszyjnik, nic dziewczęcego ani sugerującego zniewieściałość, tylko ząb rekina na elastycznym sznurku z kilkoma czarnymi i białymi paciorkami.

- Dla siły i ochrony - powiedziała, wsuwając mi go w dłoń.

Oznajmiła to tak, jakbym potrzebował jednego i drugiego. Przypuszczalnie to właśnie symbolizuje ząb rekina: siłę, ochronę. Stał się moim talizmanem, amuletem szczęścia.

Noszę go cały czas, ale jak dotąd nie podziałał.

Dzisiaj gadamy o byle czym. Rozmawiamy o wczorajszej porażce Lwów z Gigantami, powód, dla którego ma zamiar upiec po południu ciastka. Rozmawiamy o pogodzie, rozmawiamy o mewach.

- Nigdy nie słyszałam, by były tak głośne - mówi Ingrid.

A ja na to:

- Ja też nie.

Ale oczywiście słyszałem. Mewy są zawsze głośne. Zastanawiam się, czy nie powinienem wspomnieć o squatterach w żółtym domu naprzeciwko mojego, ale dochodzę do wniosku, że nie, to nie jest coś niezobowiązującego, co chciałaby albo nawet pragnęła usłyszeć. Pomagam jej rozpakować torby i kładę artykuły na stole, żeby mogła je pochować w szafkach. Wręcza mi kolejną dwudziestkę za fatygę. Próbuję odmówić, ale wsuwa mi banknot w dłoń. Tym razem go przyjmuję.

Powtarzamy ten rytuał co tydzień.

Ingrid, rozpakowując torby, nuci jakąś piosenkę. Nie znam jej, ale to posępna piosenka, ponura piosenka, nie mogę jej zidentyfikować, ale przyprawia mnie o smutek. Jest przygnębiająca. Ją też przyprawia o smutek. O zmęczenie i smutek. Jej ruchy są powolne, sylwetka przygarbiona.

- Mogę w czymś pomóc? - pytam, biorąc papierowe torby ze stołu i składając je na pół.

Ale Ingrid mówi tylko:

- Już prawie skończyłam. - Stawia na półce opakowanie z popcornem przyrządzanym w mikrofalówce i zamyka drzwi spiżarni. - Jadłeś lunch, Alex? - pyta, a potem proponuje, że zrobi mi kanapkę.

Kłamię, powiedziałem, że jadłem.

- Nie, dziękuję - mówię.

Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to być dla kogoś kłopotem, uciążliwością, obiektem

dobroczynności, czym zresztą już jestem. Trudno powiedzieć, czy to ja wiodę bardziej żałosny żywot, czy Ingrid.

A potem, nieważne z jakiego powodu, kiedy torby są już opróżnione, ja zaś wiem, że mogę się pożegnać z Ingrid i sobie pójść, biorę do ręki tę talię kart i zaczynam tasować.

- Grała pani kiedyś w remika? - pytam, i oto Ingrid na moich oczach odpręża się i uśmiecha.

Tak, grała wcześniej w remika. Wiem, bo grałem z nią któregoś dnia, takiego samego jak dzisiejszy.

Siadamy przy stole, ja rozdaję.

Pierwszą partię pozwalam jej wygrać. Wydaje się, że tak należy zrobić.

Przy drugiej partii podejmuję walkę, ale tym razem Ingrid też wygrywa. To niezła szulerka, dobiera i odrzuca kartę zwinnymi dłońmi. Patrzy na mnie ponad wachlarzem kart, starając się domyślić, co mam w ręku. Królową trefl, waleta karo. Asa.

Jest też biegła we wścibstwie, choć robi to z takim taktem, że trudno się o to wściekać.

- Pracujesz dla pani Priddy na pełnym etacie? - pyta, kiedy tasuję karty po raz trzeci.

- Tak, proszę pani - mówię.

Przesuwa dłońmi po włosach, ogarniając trochę własne niechlujstwo. Obciąga szlafrok, żeby się upewnić, że jest właściwie zawiązany. Odpręża się na krześle, a jednak oznaki stresu wciąż są widoczne w zmarszczkach na twarzy, w niespokojnych oczach. Wstaje i podchodzi do ekspresu na dwie filiżanki, pytając, czy mam ochotę na kawę. Mówię, że nie, a ona nalewa sobie do kubka, dodaje śmietankę w proszku i cukier, ja zaś znowu myślę o Perle, o jej ciele wyłaniającym się z jeziora Michigan i ociekającym wodą. Od wczoraj ten obraz tkwi uporczywie w mojej głowie.

- Inne dzieciaki wyjechały na studia - mówi, jakbym był w jakiś sposób nieświadomy faktu, że ci, z którymi dorastałem, odeszli. - Nie nadawałeś się? - pyta, kiedy rozkładam karty na stole. Dziesięć dla niej, dziesięć dla siebie.

- Nie stać mnie było.

Tak mówię, ale to oczywiście nieprawda. No cóż, poniekąd prawda - tata i ja nie mogliśmy sobie na to pozwolić, ale nie musieliśmy. Zaproponowano mi pełny zestaw, w tym chesne i zakwaterowanie. Powiedziałem, że dziękuję, ale nie. Jestem bystrym chłopakiem, wiem nie mniej niż inni. Co prawda nie w ostentacyjny, nadęty sposób,

bardziej w sprytny i dowcipny. Znam wielkie słowa, ale to nie znaczy, że zamierzam się nimi posługiwać. Choć czasem tak robię. Czasem się przydają.

- Jak tam twój ojciec? - pyta Ingrid porozumiewawczo.

- Wciąż pije - odpowiadam bez ogródek.

Tata od lat nie jest w stanie utrzymać się w jednej robocie. Wydawać by się mogło, że nie należy przychodzić do pracy kompletnie nawalonym i oczekiwać, że mimo wszystko zapłacą. Kiedy już bank niemal wszedł wiele lat temu na naszą hipotekę, zacząłem pracować na pół etatu dla Priddy, ponieważ przymykała oko na fakt, że mam dopiero dwanaście lat. Zmywałem naczynia na zapleczu, żeby nikt nie widział, a Priddy płaciła mi łaskawie pod stołem, żeby się urząd skarbowy nie skapował. Była to jeszcze jedna z tych rzeczy, o których wszyscy w mieście wiedzieli, ale nikt o tym nie wspominał.

Potem zmieniam temat, ponieważ nie chcę już rozmawiać o tacie. Albo studiach. Albo o tym, że reszta świata podążyła dalej, podczas gdy ja utkwilem w życiu pełnym stagnacji.

- Przypuszczalnie będzie mroźna zima - mówię, podczas gdy wiatr bierze ostre wiraże wokół domu niczym kierowca rajdowy, hamulce piszczą, opony wyją.

- Czy nie wszystkie zimy są takie? - pyta Ingrid.

- Owszem - przyznaję.

- Dostajesz jakieś wiadomości od mamy? - pyta, jakby nie mogła sobie odpuścić tej rozmowy o moim ojcu, o mojej matce.

A ja mówię:

- Nie.

Choć czasem tak, czasem dostaję przypadkową pocztówkę z miejsc, w których nigdy nie byłem: góra Rushmore, wodospad Niagara. Alamo. Dziwne, że nigdy niczego tam nie ma. Nawet się nie podpisuje.

- Niełatwo być matką - mówi pod nosem, nie patrząc mi w oczy.

Ingrid jest matką, choć jej dzieci już dawno umarły, tak jak mąż, za sprawą jakiegoś szczególnie zjadliwego szczepu grypy, który przemknął wiele lat temu. Tak przynajmniej obilo mi się o uszy, choć może było inaczej, ale nie pytam, nie dociekam. Najważniejsze jednak, że Ingrid jest o wiele lepszą matką, niż kiedykolwiek była nią moja mama, choć jej dzieci już tu nie ma. Ingrid musiała nią być. Wygląda jak matka, wyrozumiałe oczy i dobroduszny uśmiech. Wiotkie ręce, które wyglądają tak, jakby potrafiły zamienić się w wielkie objęcia. Choć sam tego nie doświadczyłem z jej strony.

Zastanawiam się nad słowami Ingrid:

- Niełatwo być matką.

Nic nie odpowiadam. W każdym razie nie od razu, ale potem mamroczę:

- Na pewno. - Bo ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to powiedzieć coś, co usprawiedliwiłoby matkę, która mnie porzuciła.

Nie ma wytłumaczenia dla czegoś takiego, że znika się w środku nocy i wskakuje do pociągu bez słowa pożegnania. Zostało zdjęcie, które tata przechowuje. Matka ma na nim dwadzieścia jeden lat. Byli ze sobą od niedawna, kiedy zrobiono to zdjęcie, moja matka i mój ojciec. Miesiąc, dwa miesiące. Trudno powiedzieć. Uśmiecha się na tej fotografii. Ale niewiele to mówi. Trudno sobie przypomnieć, by moja matka kiedykolwiek się uśmiechała. Jej twarz jest szczupła, zwięża się ku dołowi. Kości policzkowe są wysokie, nos pociągły. Oczy poważne, niemal surowe, może nawet wredne. Włosy ciemne, przycięte nad ramionami, rozchodzą się na kształt wachlarza wokół głowy, pozostałość pokoleniowa. To lata osiemdziesiąte, może wczesne dziewięćdziesiąte. Nosi sukienkę, co jest dziwne, bo nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział matkę w sukience. Ale na tym zdjęciu nosi sukienkę w kolorach bladoszarym i mgliście lawendowym. Sukienka jest przymarszczona, luźna, warstwowa, ale także prosta, jakby próbowała być czymś, czym nie jest. Jak moja matka.

- Wszyscy popełniamy błędy - mówi Ingrid.

A ja nic nie odpowiadam.

A potem, ni stąd, ni zowąd, znów rozmawiamy o budzącej grozę zimie. O chłodzie, wietrze, śniegu.

Po czwartej partyjce Ingrid mówi, żebym już sobie poszedł.

- Nie musisz tu zostawać i dotrzymywać mi towarzystwa - mówi, zbierając karty ze stołu. - Jestem pewna, że masz coś lepszego do roboty - zapewnia, choć nie jestem tego taki pewien.

Ale i tak odchodzę. Mogę się założyć, że Ingrid ma coś lepszego do roboty, niż przesiadywanie ze mną.

Żegnam się i wychodzę z domu, drzwi zatraskują się za mną. Stojąc na ganku, słyszę dźwięk zamka wpuszczanego. Zbiegam po schodach, a gdy znajduję się na środku ulicy, w zatoczkę parkingową tuż obok wjeżdża leniwie jakiś sedan, silnik gaśnie. Wysiada z niego młoda dama, w cienkich wargach ściska papierosa. Obchodzę samochód i w tym momencie dostrzegam cień samotnej postaci zmierzającej powoli w głąb ulicy. W kurtce w czarno-białą kratę, w czarnej czapeczce. Płócienna torba przecina na skos drobne ciało, dłonie wsunięte są w kieszenie spodni. Końcówki włosów unoszą się na wietrze.

Perła.

Znika w porannym powietrzu za wzgórzem na drugim końcu głównej ulicy - pochłonięta przez wielkie domy i ogromne drzewa, które wypełniają tę część miasta, połknięta i przetrawiona, więc nim mogę się zorientować, kiedy tak stoję ze stopami przymarzniętymi do betonu na środku ulicy, już jej nie ma.

I wtedy słyszę skrzypienie drzwi z siatką ochronną i widzę doktora Gilesa pod jego małym domkiem. On też obserwuje tę scenę.

Nie jestem sam. Doktor Giles i ja, obaj patrzymy, jak kobieta odchodzi, patrzymy, jak znika za wzgórzem w porannej mgle.

QUINN

Dzwonię do księgarni w trakcie jazdy do domu, przepraszając wylewnie za kiepski zasięg w autobusie. Staram się za wszelką cenę emanować szczerością. Naprawdę. Dobywam z siebie najserdeczniejszy głos, na jaki mnie tylko stać, istny miszmasz uprzejmości, szczerości i troski, takie wonne potpourri.

Kobieta, która odbiera, to ta o imieniu Anne, sztywna, nerwowa i zasadnicza – cechy, które z niej dobyłam, kiedy się widziałyśmy ten jeden jedyny raz, gdy przyszedłam do księgarni, żeby dotrzymać Esther towarzystwa podczas trzydziestominutowej przerwy. Jak tylko się tam zjawiłam i ujawniłam cel swojej wizyty, Anne natychmiast poinformowała mnie, że zjawiłam się za wcześnie, że choć jest już dwunasta dwadzieścia cztery, a księgarnia świeci pustkami, że jest wydrażona i spragniona życia, przerwa na lunch zaczyna się dopiero o wpół do pierwszej. Potem obserwowała niczym jastrząb, jak Esther układa książki na drewnianej półce – grzbietami do przodu – aż w końcu nadeszła dwunasta trzydzieści i pozwolono nam wyjść. W tym momencie pomyślałam sobie, że nie lubię Anne ani trochę.

Więc trzeba uznać za wyjątkowego pecha, że ze wszystkich sprzedawców w księgarni to właśnie Anne odebrała mój telefon. Mówię jej, kim jestem. Próbuję zachować zimną krew, nie wtajemniczając w swoją małą zagadkę, czyli w to, że upłynęło trzydzieści sześć godzin albo i więcej, a ja wciąż nie wiem, gdzie jest Esther.

Na drugim końcu panuje milczenie. W pierwszej chwili wyobrażam sobie starą, trupioblada kobietę, która przeszukuje księgarnię, by znaleźć Esther, i pojawia się we mnie nieznaczny cień nadziei, że ona rzeczywiście tam jest, w księgarni, i ustawia pieczołowicie książki grzbietami do przodu na drewnianych półkach. Taką przynajmniej żywie nadzieję przez te dziesięć czy dwadzieścia sekund martwej ciszy. Ale potem milczenie się przeciąga tak bardzo, że jestem pewna, że się rozłączyłyśmy, że nasza rozmowa została przerwana przez kiepski zasięg w autobusie. Odrywam telefon od ucha i patrzę na ekran, obserwując, jak wzrasta czas połączenia. Pięćdziesiąt trzy sekundy, pięćdziesiąt cztery...

Ona tam jest. Gdzieś jest.

- Halo? - mówię. - Anne?

Wydaje mi się, że to powtarzam. Otacza mnie zewsząd hałas, warkot

autobusowego silnika wysokoprężnego, rozmawiający ludzie w środku, buczenie klaksonów na zewnątrz. Godzina szczytu, wzmożony ruch. Niespodzianka, niespodzianka.

- Esther miała być o trzeciej. Wiesz, gdzie jest? - pyta opryskliwie Anne, jakbym to ja wykręciła jej numer, znaczy zrobiła na złość, a szczerść i wylewność mojej prośby całkowicie jej umknęły.

Nie patrzę nawet na zegarek, wiedząc doskonale, że już po piątej. Wieczorna jazda jest rojna i głośna. Napierają na mnie ciała w autobusie, kiedy stoję, próbując za wszelką cenę utrzymać się na nogach. Cuchnie. Ludzie cuchną potem i nieświeżym oddechem, tymi oznakami długiego dnia pracy. Napiera na mnie jakaś ręka, pozostawiając mokry ślad na mojej skórze.

To oczywiście wydaje mi się dziwne, to znaczy fakt, że Esther nie pokazała się w pracy. Ona zawsze chodzi do pracy, nawet w te dni, kiedy ledwie zwleka się z łóżka, narzekając, że nie chce iść. Mimo wszystko idzie. Pracuje ciężko, robi wszystko, żeby każdego zadowolić. Stara się za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie na swoim szefie i współpracownikach, nawet na Anne, choć powtarzam jej, że to strata czasu. Nigdy nie zadowoli Anne. Ale mimo wszystko to nie w stylu Esther nie pokazać się w pracy i bez względu na to, jak zła jestem na nią z powodu historii ze współlokatorką - ta zdrada wciąż boli - nie chcę, żeby Esther wpakowała się w kłopoty albo straciła pracę, więc postanawiam ją kryć.

- Jest chora - mówię do Anne. To jedyne, co mogę wymyślić na poczekaniu. Esther zrobiłaby to dla mnie, tyle przynajmniej wiem. - Bronchit - mówię. - Może zapalenie płuc. - I opisuję ze szczegółami kaszel krupowy. Mówię jej o flegmie żółto-zielonej i o tym, jak od dwudziestu czterech godzin Esther nie może wstać z łóżka. Jest gorączka. Są dreszcze. - Próbowała pójść dzisiaj do pracy - mówię, powołując się na jej sumienność i pracowitość. - Próbowała mimo gorączki, pomimo dreszczy. Musi czuć się naprawdę podle, skoro nie poszła.

Ale wbrew temu wszystkiemu Anne mówi, że Esther powinna była zadzwonić i uprzedzić, że jest chora, i oczywiście dodaje:

- O ile dobrze pamiętam, w sobotę była w doskonałej formie. - Czyli być może Esther w ogóle nie jest chora.

- To zaczęło się bardzo szybko - kłamię. - Od razu zważyło ją z nóg.

- Coś takiego - mówi Anne, ale wiem doskonale, co ma na myśli: „Łziesz jak z nut”.

Jeśli kawiarnia ma jakąś nazwę, to ja jej nie znam. Co do mnie, to po prostu

kawiarnia na rogu Clark i Berwyn. Tak ją nazywam. Miejsce, w którym ja i Esther lubimy przesiadywać. Niepotrzebna nam żadna nazwa.

- Spotkajmy się w kawiarni - mówimy.

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki obie się tam pojawiajemy. To w moim przekonaniu skondensowana definicja najlepszej przyjaciółki. Zawsze się wie, co ta druga myśli.

Z wyjątkiem chwili obecnej, kiedy to nie mam bladego pojęcia, co Esther myśli.

Dziewczynę widzę przez okno kawiarni, jeszcze nim wchodzę do środka, dostrzegając stopniowo farbowane rude włosy i alabastrową skórę. Jest wieczór, ciemniej na zewnątrz niż wewnątrz, więc mogę zajrzeć do środka, w tę industrialnie zaprojektowaną przestrzeń z jej śmiałym, minimalistycznym charakterem, stalowymi stolikami, ocalonymi i poddanymi recyklingowi elementami zawieszonymi pod sufitem i na ścianach. Siedzi przygarbiona na stołku barowym przy jednym z drewnianych kontuarów pod oknem, skubiąc nierówny brzeg papierowej podstawki kubka, patrząc przez szybę, czekając na mnie, a ja sobie myślę: wszystko nie tak. To nie w tym miejscu siadamy, Esther i ja, tylko przy jednym z mniejszych, bardziej dyskretnych stalowych stolików barowych w głębi, obok ceglanego kominka i gołych ścian ceglanych. I każda z nas czeka, aż zjawi się ta druga, i wtedy zamawiamy razem to samo, jakiś kofeinowy napój, wybierając go, gdy stoimy w kolejce. Ale ta dziewczyna podeszła do kontuaru z własnej woli i zamówiła swój napój, nie chcąc nawet zaczekać, by sprawdzić, co wezmę dla siebie. Usiadła przy niewłaściwym stole.

Ta dziewczyna nie jest odpowiednia dla Esther. Ani trochę. Tak sobie myślę.

Wchodzę do środka i ruszam przez salę, przemierzając łaciatą wypolerowaną betonową podłogę i wlepiając w nią wzrok. W ogóle nie patrzę na dziewczynę, jeszcze nie, dopiero kiedy jestem blisko. Trudno spoglądać w oczy osobie, która zamierza przejąć twoje życie - świadomie czy nieświadomie. To nie jej wina, rozumiem, a jednak nie umniejsza to mojej antypatii. Mogłabym jej nienawidzić.

Więc kiedy idę, skupiam się na swoich stopach, na zaokrąglonych czubkach wysokich skórzanych butów.

Jej jasne oczy przesuwają spojrzenie z okna na moje oczy i wtedy się uśmiecha, to miły uśmiech, tak, ale także pełen rezerwy.

- Ty jesteś Esther? - pyta, wyciągając drobną dłoń, a ja mówię, że tak, jestem Esther, choć oczywiście nią nie jestem. Jestem Quinn, ale w tej chwili nie ma to nic do rzeczy. Jestem Esther.

Mówi mi, że ma na imię Megan, a potem, jakby nie знаła nawet własnego imienia

albo nie mogła się zdecydować, kim jest, mówi:

- Meg.

Odznacza się letargicznym uściskiem dłoni, delikatnie mówiąc. Pruderyjnym. Nie mam nawet wrażenia, że się w ogóle dotknęliśmy.

Nie zawracam sobie głowy zamawianiem kawy, wiedząc, że sprawa będzie krótka. Nie wiem nawet, dlaczego zgodziłam się na to spotkanie, ale z jakiegoś powodu chciałam ją zobaczyć, przyjrzeć się jej. Wydaje mi się młoda i naiwna, taka, która nie ma pojęcia, jak zatrzymać taksówkę na ulicy. Taka, jaką ja kiedyś byłam. Sadowię się na stołku barowym obok niej i mówię:

- Jesteś zainteresowana tym mieszkaniem, tak?

A ona zapewnia mnie, że jak najbardziej. Właśnie ukończyła studia... czy też ukończy w grudniu... i szuka nowego lokum. W tej chwili mieszka z samotną mamą w Portage Parku, ale wolałaby gdzieś bliżej Loop, zależy jej na tym, by żyć w młodszym i modniejszym środowisku. Po studiach czeka na nią już praca w zachodniej części miasta. Potrzebuje mieszkania z dobrą komunikacją.

- Dojeżdżanie z Portage Parku trwałoby lata - mówi z przejęciem, zarzucając rudymi włosami.

Najbardziej irytuje mnie to, że przypomina mnie samą, albo mnie, jaką byłam przed wieloma miesiącami, kiedy zobaczyłam to wcześniejsze ogłoszenie Esther w „Readerze”, jej pierwszą propozycję dla współlokatorki. Szczęśliwy traf, pomyślałam wtedy, ale teraz nie jestem już taka pewna. Obecnie czuję się jak masowo produkowany towar, a nie ktoś wyjątkowy. Moje serca pęka odrobinę przy każdym kolejnym słowie Meg, kiedy opowiada, że jej pasja to projektowanie graficzne, że jako zagorzała obrończyni środowiska naturalnego, zamierza latem dojeżdżać do pracy rowerem. Że jeśli chodzi o wyprowadzkę z domu, najtrudniejsze będzie dla niej rozstanie z kotem. Że uwielbia gotować i ma obsesję na punkcie porządku. Moje serce pęka nie dlatego, że to wszystko przemawia do mnie, tylko dlatego, że Esther, jak sądzę, polubiłaby Meg. Myślę, że Esther naprawdę i szczerze polubiłaby Meg.

Pytanie jednak jest takie: czy polubiłaby Meg bardziej niż mnie?

- Szukasz nowej współlokatorki? - pyta Meg, a ja kiwam głową, patrząc przez szybę, gdy obok sunie morze ludzi, pasażerowie wysiadający z autobusu linii 22.

- Moja współlokatorka ma zamiar się wyprowadzić - mówię ze smutkiem.

A potem opowiadam, jak ta współlokatorka czasem ma problem z zapłaceniem swojej części czynszu. Jak czasem nie daje pieniędzy na media albo objada mnie bez pytania. I jest to prawda, robię to wszystko. Ale nie znaczy to, że jestem złą

współlokatorką. A może jednak?

Co zrobię, przebiega mi przez głowę, jeśli Esther każe mi się wyprowadzić?

Gdzie jest Esther? - zastanawiam się. Dlaczego nie chce wrócić do domu, żebyśmy mogły wszystko wyjaśnić?

Dlaczego nie chce ze mną rozmawiać?

Meg pyta o mieszkanie, zadaje logiczne pytania o czynsz, o depozyt, o to, czy w budynku jest pralnia. Pytania, które nigdy nie przyszły mi do głowy. Ale gdy pyta, czy może je zobaczyć, to znaczy mieszkanie, mówię, że nie. Jeszcze nie, ściślej rzecz biorąc.

- Najpierw muszę porozmawiać z innymi kandydatkami - kłamię, choć się zastanawiam, ile razy w ciągu następnych godzin i dni zadzwoni telefon Esther. Raz, dziesięć razy, dwadzieścia razy? Dwadzieścia młodych kobiet, które pragną przegnać mnie z mojego domu, przejąć moje łóżko, moją sypialnię, moją najlepszą przyjaciółkę. - Będziemy w kontakcie - dodaję na koniec, ale potem, wychodząc szybko z kawiarni na ulicę, mamroczę pod nosem, żeby nie usłyszała: - Ale nie sądzę, byś się nadawała, Meg.

Choć oczywiście mogłaby być Jane Adams albo Matką Teresą, albo Oprah Winfrey, a ja i tak uważałabym, że nie jest dość dobra dla Esther bez względu na to, czy Esther ściągnęła ją tutaj, bo sądziła, że to ja nie jestem dla niej dość dobra.

Cóż za ironia losu.

ALEX

Przemierzam ulice w poszukiwaniu Perły.

To ścieżka, która mnie prowadzi przez dzielnice miasta, od rezydencji zamieszkałych przez obrzydliwie bogatych ludzi, do mniejszych, bardziej prowincjonalnych domów, takich jak mój, niewiele lepszych od ruder. Oddalam się od brzegów jeziora Michigan w głąb lądu, gdzie okolica przybiera bardziej sielankowy charakter. Mijam szkoły, jedna za drugą, podstawówkę, gimnazjum i liceum, wszystkie w jednym rzędzie, wszystkie pod postacią nijakich budynków z jasnej cegły, dokąd dowozi się dzieciaki autobusami z okolicznych miast, by zapełnić klasy i korytarze. Przed każdą łopocze amerykańska flaga, furkocząc na kapryśnym wietrze jak błoniaste skrzydła nietoperza. Dźwięk jest głośny, to nie samotnik nietoperz, to cała kolonia nietoperzy. Na zewnątrz są dzieci, na placu zabaw, skupione w gromadkę, by się ogrzać. Klasy, które mają akurat WF, biegają wokół archaicznego boiska szkoły średniej. Obok przemyka wóz strażacki, migają światła, wyje syrena – ochotnicza straż pożarna. Stoję na poboczu drogi i patrzę, jak przejeżdża, szukając w dali śladów dymu, podczas gdy cztery wielkie koła wyrzucają w górę grudki żwiru. Mam nadzieję, że tata nie zdołał podpalić naszego domu. Na szczęście wóz kieruje się w przeciwną stronę.

Kontynuuję wędrówkę, przechodzę obok starego protestanckiego kościoła, starego cmentarza, nowego cmentarza, restauracji. Wlokę się pod liniami wysokiego napięcia, słuchając brzęczenia elektryczności, idę obok gospodarstw, obok wysuszonych łodyg kukurydzy, odartych z plonów i czekających na ścięcie, mijam farmy hodowlane z tłustymi krowami i chudymi krowami, i z tym wszystkim, co pośrednie. To Michigan, Środkowy Zachód, nasze miasto leży dokładnie na brzegu Pasa Kukurydzianego. Nie trzeba iść daleko w jakimkolwiek kierunku, żeby zobaczyć jakąś farmę. Krążę w kółko, nie mając tego dnia nic lepszego do roboty. Praca byłaby błogosławieństwem, pomyślną okazją. Ale dzisiaj nie pracuję.

Po jakimś czasie odnajduję drogę do starej nadbrzeżnej karuzeli, zamkniętej o tej porze roku. Zastanawiam się, czy być może jest tam Perła. Nie ma jej, w każdym razie jej nie widzę. Ale i tak pokonuję płot i zajmuję miejsce na rydwanie węża morskiego, jakiegoś mitycznego niebieskiego stwora, po części smoka, po części węża. Siedzisko jest twarde i zimne, zdobione w stylu wiktoriańskim, i choć jest cicho i spokojnie, w mojej głowie rozbrzmiewają takty Rodgersa i Hammersteina.

No i jest jeszcze pozostawiona sama sobie aluminiowa puszka, którą wiatr toczy po asfaltowym parkingu, a ona czyni mnóstwo rumoru. Trudno uwierzyć, że jedna puszka, uniesiona z przeładowanego śmietnika przez obłąkane listopadowe powietrze, może robić tyle hałasu. A jednak robi, poruszając się to w jedną, to w drugą stronę, zupełnie jak statek w czasie sztormu.

Istnieje dziewczyna, która żyje na peryferiach moich snów: to po trochu Leigh Forney, dziewczyna, która skradła moje dwunastoletnie serce, a po trochu wszystkie dziewczyny, w których się kochałem, jak sądzę, od hollywoodzkich gwiazd i gwiazdeczek w rodzaju Seleny Gomez, po prezenterkę pogody w wiadomościach telewizyjnych. Jest też częścią snu, ta kompozytowa dziewczyna o owalnej twarzy, jasnej skórze i blisko osadzonych orzechowych oczach tuż przy grzbiecie małego nosa. Jej włosy są jasnobrązowe jak karmel i gładkie. W moich snach prześlizgują się po powierzchni wiatru, zawsze w ruchu. Uśmiech jest szeroki i pełen wdzięku. Bez troski. Ta dziewczyna nie przebywa w najgłębszych stadiach snu, w fazie REM, gdzie gnieźdzą się moje najwyrazistsze koszmary, powracające obrazy, gdzie tata zapija się na śmierć albo puszcza nasz dom z dymem, z nami oboma uwięzionymi w środku. Nie, ona przebywa w lekkim śnie, gdzie granica między „snem” a „jawą” jest niejednokrotnie zamazana. Mieszka ze mną w chwilach tuż przed zaśnięciem i w chwilach, gdy się budzę, odzyskując świadomość, dźwigając się ze snu, ta eteryczna postać, która głaszcze mnie po policzku albo muska ramię, albo ciągnie za rękę, szepcząc:

- Chodźmy...

Jednak zawsze, ale to zawsze, gdy już powracam w pełni do realnego świata, ona postanawia odejść, dematerializując się na moich oczach. W stanie całkowitej przytomności nie sposób przywołać jej włosów, oczu albo bez troskiego uśmiechu, jednak gdy zamykam oczy, wiem, że będzie tam, wołając mnie i namawiając do odejścia:

- Chodźmy...

Kiedy miałem dwanaście lat, pocałowałem Leigh Forney po raz pierwszy. Po raz pierwszy i po raz ostatni, właśnie tutaj, na tym rydwanie w kształcie węża morskiego. Było lato, wieczór, a karuzela – tak jak teraz – tkwiła w bezruchu. Park był przed nocą opustoszały. Przyniosłem swoją lunetę, a potem usiedliśmy na piasku przy samej krawędzi plaży i patrzyliśmy przez okular. Wskazywałem podwójną galaktykę, Oriona, Plejady, a ona udawała, że ją to interesuje. A może naprawdę interesowało? Nie wiem. Leigh była przyjaciółką z dzieciństwa, taką, z którą grałem w puszkę, kiedy miałem pięć lat. Mieszkała nieco dalej, w domu z lat

pięćdziesiątych, tak jak ja. Targałem tę nieporęczną lunetę przez całą drogę z domu – ręce paliły mnie ogniem, nim dotarłem na miejsce spotkania – z obietnicą, że coś jej pokażę, coś niesamowitego. Coś, co jak mi się zdawało, spodoba jej się. Dlaczego nie patrzyliśmy przez lunetę w domu, nie wiem. Wydawało mi się, że tak będzie ciekawiej. I patrzyła przez minutę czy dwie, i podobało jej się, i powiedziała:

– Założę się, że dobiegnę pierwsza do karuzeli.

I po prostu pobiegliśmy, nasze stopy zapadały się w piasku, potem przez parking, potem pokonaliśmy pomarańczowe ogrodzenie i wskoczyliśmy na śpiącą karuzelę. Zapomnieliśmy na dobre o lunecie i nocnym niebie. Wskoczyliśmy ze śmiechem na rydwan. Pozwoliłem jej wygrać, jak wiele razy wcześniej, kiedy pędziliśmy z jej domu do mojego albo z mojego do jej domu.

I właśnie wtedy i właśnie tam mnie pocałowała. To był sztywny, drewniany pocałunek dwunastoletnich dzieciaków. Co do mnie, niewiele się od tamtego dnia zmieniło. Trudno w czymś nabrać biegłości, kiedy człowiek nie ćwiczy. Ale jestem pewien, że Leigh przez te lata nauczyła się tego i owego.

Potem siedzieliśmy w milczeniu, wiedząc, że już nie ma powrotu do dawnej przyjaźni. Coś się wraz z tym pocałunkiem zmieniło. Jeśli w ogóle można to nazwać pocałunkiem – siedzieliśmy najwyżej przez dwie sekundy, stykając się wargami.

Kiedy wróciliśmy na plażę, żeby zabrać moją lunetę, był tam ktoś jeszcze, kilku mięśniaków z koszykarskiej drużyny gimnazjum. Gapili się przez lunetę na parę, która migdałowała się kawałek dalej. Zerknąłem przez ramię na karuzelę, zastanawiając się, co jeszcze widzieli. Obrzucili mnie wyzwiskami, kiedy próbowałem zabrać im z rąk lunetę: „frajer”, „przygłup”, „pedał”.

Stali w odległości metra, zmuszając mnie, bym płaszczył się przed nimi, prosząc, by oddali mi moją lunetę. Powiedzieli Leigh, że może być lepsza ode mnie, a ona z jakiegoś powodu im uwierzyła, bo pamiętam tę noc, jak wracałem do domu smutny i samotny, z lunetą w dłoni, podczas gdy Leigh oddała się gdzieś z tymi chłopakami.

Już wtedy znałem swoje miejsce w hierarchii społecznej.

Sześć lat później niewiele się zmieniło.

Leigh nie ma, tamtych chłopaków nie ma. Ale ja wciąż tu jestem, siedząc samotnie na karuzeli i ścigając jakąś dziewczynę, która jest niedostępna. Jest poza moim zasięgiem, jak większość moich marzeń.

QUINN

Esther to wspaniała współlokatorka. No, przez większość czasu. Rzadko widywałam ją zagniewaną, z wyjątkiem tego dnia, kiedy poprzestawiałam wiktuały na półce w jej szafce. Wtedy się rozgniewała, naprawdę się rozgniewała, co należy rozumieć, że wkurzyła się na całego.

Nie poprzestawiałam jej celowo wiktuałów. Szukałam czegoś, koperku, żeby zrobić przyprawę do popcornu z mikrofali. Trochę soli, trochę cukru, trochę czosnku, trochę koperku i presto! Była to jedna z moich wielu obsesji. Esther poszła na uczelnię, wieczorne ćwiczenia z tej jej terapii zajęciowej, a ja byłam w domu i usiadłam, żeby obejrzeć jakiś show w telewizji.

Każda z nas ma swoje szafki kuchenne. Te z miseczkami i talerzykami dzielimy, ale nie te z artykułami żywnościowymi. Jedna jest moja, pękająca w szwach od śmieciowego jedzenia, i jest szafka należąca do Esther, pełna jednorazowych produktów i kulinarnych utensyliów: makaron z wodorostów i ziaren bazylii, suszony koperek, mąka orzechowa, *garam masala*, cokolwiek to znaczy, u licha. I cukrzane płatki śniadaniowe.

Przyrządzałam sobie popcorn. Mogłam ograniczyć się do soli, wiem, ale świadoma, że Esther ma składniki do mojej wyjątkowej przyprawy, zaczęłam grzebać w jej specjałach, makaronach i Bóg wie czym jeszcze w poszukiwaniu koperku.

Nie sądziłam, że narobię bałaganu, ale Esther tak sądziła. Siedziałam na kanapie ze smakowitym popcornem, kiedy wróciła z ćwiczeń, telewizor był ściszony, żeby nie przeszkadzać pani Budny na dole, starej pani Budny, która, jak często sobie wyobrażam, stoi pośrodku swojego mieszkania - ciastowata głowa owinięta chustą, skóra o anemicznym białym odcieniu - po czym podnosi kij od szczotki trzęsącymi się starczymi dłońmi i wali w sufit, żeby nas uciszyć, Esther i mnie.

Ale nie tego dnia. Tego dnia telewizor był tak ściszony, że ledwie go słyszałam. Esther wróciła do domu w doskonałym nastroju, który niebawem prysł, kiedy sięgnęła do swojej szafki po płatki śniadaniowe, a potem powiedziała:

- Quinn...

A jej głos trochę przypominał głos Hannibala Lectera... ta fraza „Witaj, Clarice”... gdy zjawiała się w salonie i wyłączyła telewizor.

- Hej! - rzuciłam oskarżycielsko. - Oglądam to - dodałam, kiedy cisnęła pilota na

nowoczesne krzesło z siedziskiem w szkocką kratę.

- Możesz przyjść tu na chwilę? - spytała, wychodząc z pokoju i nie czekając na moją odpowiedź.

Tak więc odstawiłam popcorn i poszłam za nią do kuchni, gdzie drzwiczki jej szafki były uchylone. Nie mogłabym nazwać tego bałaganem. Nie bardzo nawet wiedziałam, czy coś zostało przesunięte. Suszony koperek stał na swoim miejscu, między kminem a koprem włoskim. Porządek niemal alfabetyczny.

- Dotykałaś mojego jedzenia? - spytała z dziwnym drżeniem w głosie, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam.

- Wzięłam trochę koperku - odparłam, a widząc, jaka jest poruszona, dodałam: - Przepraszam, Esther. - Zwykle się nie denerwowała, więc byłam zaskoczona. - Odkupię go - obiecałam, gdy jej twarz czerwieniała niczym pole maków, a mnie przyszło do głowy, że z jej uszu pójdzie dym jak z parowozu. Była wściekła.

Podeszła zdecydowanym krokiem do szafki.

- Koperek ma stać tutaj - oznajmiła, po czym podniosła pojemnik i postawiła dokładnie w tym samym miejscu co ja wcześniej. - A mąka orzechowa tutaj - dodała, robiąc z torebką to samo co z koperkiem, i gdy uderzyła nią o półkę, mąka rozsypała się wszędzie.

Nie dotknęłam mąki. Chciałam jej to powiedzieć - powiedzieć Esther, że nigdy nie brałam mąki, ani razu, to po prostu się nie zdarzyło - ale zauważyłam, że nie jest w nastroju do racjonalnej rozmowy na temat mąki orzechowej.

- Popatrz, co zrobiłaś - rzuciła oskarżycielsko Esther. - Zobacz, co zrobiłaś, Quinn. Spójrz na ten bałagan - powiedziała, mając na myśli białe kropeczki, które pstrzyły blat, po czym wymaszerowała z kuchni, ja zaś zostałam, by posprzątać prawdziwy bałagan, który sama zrobiła w odpowiedzi na ten mój fikcyjny.

Człowiek uczy się przez całe życie, powiedziałam sobie, i nazajutrz kupiłam koperek.

Wracam do domu z kawiarni, przemierzając zniszczony korytarz, który prowadzi do mojego mieszkania. Postrzępiona i wytarta wykładzina jest w kolorze henny, który maskuje błoto, brud i wszelkie paskudztwa nanoszone na podeszwach butów. Ściany są porysowane, a jedna z żarówek się przepaliła, co sprawia, że korytarz tonie w półmroku. Jest ponury, posępny. Nie brudny czy niebezpieczny, czy jakikolwiek inny, jak to bywa z miejskimi lokalami, ale właśnie posępny. Zużyty. Nadmiernie zużyty jak tkanka, która nie funkcjonuje już prawidłowo. Korytarze w tym domu wymagają nowej farby, nowej wykładziny, odrobiny czulej troski.

Choć gdyby nie bezdomowość tego korytarza, nie doceniałabym należycie domowości naszej przestrzeni, mojej i Esther. Przytulnej i wygodnej, miłej i ciepłej.

Kiedy wsuwam klucz w zamek i przekręcam gałkę, w głębi duszy spodziewam się, że zobaczę Esther po drugiej stronie stalowej płyty drzwi, jak przyrządza kolację w ulubionym zapinanym swetrze i dżinsach. Zapachy, które mnie witają, są smakowite i boskie. Gra telewizor – jakiś program kulinarny – albo stereo, jakaś muzyka folkowa dobiegająca ze zbyt drogich głośników, a Esther wtóruje. Jej legato i skala robią jeszcze większe wrażenie niż głos, któremu się płaci, żeby śpiewał.

Jeśli grzejnik jeszcze nie działa, Esther powita mnie przy drzwiach z moim wysłużonym polarem i parą kapci. Bo to jest Esther. Święta Esther. Współlokatorka, która wita mnie pod drzwiami, która przyrządza kolację, która przynosi kawę i bajgle w każdy dzień tygodnia, jeśli ją o to poproszę.

Ale Esther tu nie ma, a ja jestem już nieco zniechęcona, mówiąc delikatnie.

Ale i tak, choć bez Esther, znajduję swój polar. Znajduję swoje kapcie. Włączam wieżę stereo.

Dokonuję najazdu na zamrażalnik w poszukiwaniu czegoś do jedzenia i decyduję się na zamrożoną pizzę pełną tłuszczu wieprzowego i mechanicznie rozdrobnionej wołowiny. Nie słynę ze zdrowych nawyków żywieniowych, ale raczej z zamiłowania do tłustych kalorycznych potraw – i lodów. To akt rebelii, ma się rozumieć, sposób, by się odegrać na matce za lata chudych kurczaków, zapiekane i niezmiennie kopiastych zamrożonych warzyw, zbieranych latem: groszku, kukurydzy, ciętej zielonej fasolki. Zawsze kazała mi siedzieć przy stole i zjeść wszystko do ostatka. Nie miało znaczenia, czy mam lat osiem, czy osiemnaście.

Pierwsza rzecz, jaką zrobiłam po wprowadzeniu się do Esther, to wykosztowałam się w sklepie spożywczym na to wszystko, czego według mojej matki nie powinnam jeść. Potwierdziłam swoją niezależność, przejęłam kontrolę. Przywłaszczyłam sobie szafkę kuchenną i półkę w zamrażarce w naszej niemodnej kuchni, mojej i Esther, i obładowałam je chrupkami ziemniaczanymi, słodyczami marki Oreo i tyłoma pizzami, że starczyłoby dla drużyny futbolowej.

Dopóki, oczywiście, Esther nie pomogła mi uświadomić sobie niewłaściwości takiego postępowania.

Esther jest dobrą kucharką, najlepszą, taką, która umie sprawić, że szparagi i kalafior dobrze smakują, może nawet lepiej niż dobrze. Dzięki niej stają się smakowite. Szuka w internecie przepisów, śledzi blogi kulinarne. Ale ja? Nie gotuję. A Esther tu nie ma, żeby zrobiła to za mnie. Więc znajduję formę do pieczenia i rozprowadzam na niej tłuszcz w spreju.

Kiedy moja pizza dochodzi, ruszam do pokoju Esther. Jest ciemno, gdy tam wchodzę, zapalam więc lampkę, która stoi na brzegu jej biurka. Pokój ożywa i znów pojawia się ona, ta rybka - dalmatyńska Molly - błagając mnie o jedzenie. Widzę to w jej paciorkowatych oczach: NAKARM MNIE. Rozsypuję na powierzchni wody garść płateczków i zaczynam wysuwać na chybił trafił szuflady biurka i komody. Podczas gdy wczorajsze poszukiwania stanowiły jedynie prosty rekonesans, teraz chodzi o poważną sprawę. Rewizję osobistą. Przeszukanie, w którym wszystkie chwytaki są dozwolone. To bardziej zbieranie danych wywiadowczych niż przypadkowy połów (aluzja do ryby niezamierzona).

I kiedy bez ładu i składu wyciągam z szuflad papiery, uświadamiam sobie, że ta ryba i ja mamy coś ze sobą wspólnego: Esther porzuciła nas obie. Pozbyła się nas, pozostawiła na pastwę losu.

Znajduję jakieś bazgroły. Menu z różnych restauracji. Esej na temat reakcji adaptacyjnej, inny o dyspraksji. Notatki o kinestezji, pełne wyrażen w rodzaju koordynacja ruchowo-wzrokowa i świadomość ciała, widniejących wzdłuż linijek notatnika i nakreślonych charakterem pisma Esther. Kartka z życzeniami od babki ciotecznej Lucille. Słowa hymnu kościelnego. Karteczki samoprzylepne z przypomnieniem w rodzaju „odebrać rzeczy z pralni” i „kupić mleko”. Przypadkowy numer telefonu. Pudełko ze szklami kontaktowymi, kolorowymi szklami kontaktowymi, które wprawiają mnie w osłupienie.

Zaczynam penetrować zawartość opakowań. Są niebieskie, olśniewająco niebieskie, jak napisano na pudełku. I wyobrażam sobie cherubinową twarz Esther, jedno oko brązowe, drugie niebieskie, cecha fizyczna, dzięki której wydawała się kimś wyjątkowym. Wybranym.

Czy to oznacza...? - zastanawiam się.

A także: Czy to możliwe...?

Czy jedno oko Esther to oszustwo?

Nie, mówię sobie. Nie. Wykluczone.

A może.

Lecz są też inne rzeczy, które znajduję. I które wprawiają mnie w identyczną konfuzję. Notatki na temat smutku, procesu jego pogłębiania się, siedmiu faz smutku. Próbuję przekonać samą siebie, że ma to związek z jej specjalizacją w dziedzinie terapii zajęciowej - gdyby Esther była smutna, to czy nie zauważyłabym tego? - i że to nie jest prawdziwe życie. Nie życie Esther w każdym razie. Życie kogoś innego. Ale to przekonanie ulatnia się po chwili. Z pliku papierów wysuwa się i spada na moje kolana kartonik, monochromatyczny kartonik

z monogramem po wierzchniej stronie, a także nazwiskiem, adresem i numerem telefonu na odwrocie. To wizytówka specjalisty. Widnieje na niej „Psycholog dyplomowany”. Biorę ją do ręki i wpatruję się dobre trzy minuty, by się upewnić, że nie jest tu napisane „podiatra”, „pulmonolog”, „pediatra”. Jakiś inny lekarz, którego specjalność zaczyna się na „p”. Ale nie. Stoi jak wół: „Psycholog”. Esther była smutna. Esther jest smutna. Zmaga się z żalem, a ja nic o tym nie wiedziałam.

Ale dlaczego, zastanawiam się, dlaczego Esther jest smutna?

I czego mi jeszcze nie powiedziała?

I jest coś więcej. Kolejny dokument, który znajduję pośród plików innych dokumentów. Formularz, urzędowy formularz z nagłówkiem „Stan Illinois”. Sąd okręgowy hrabstwa Cook. Wniosek o zmianę imienia i nazwiska.

Jest wypełniony. Podpisany, z datą i pieczętą. Esther nie jest już Esther, tylko... Jane? Wydaje się to niedorzeczne - wyobrazić sobie, że Esther to coś równie banalnego jak Jane. Coś tak zwyczajnego w przypadku Esther, która nie jest ani odrobinę zwyczajna. Gdyby chciała zmienić sobie imię, to powinna zdecydować się na coś w rodzaju Portii, Cordelii, Astrid. Pasowałyby o wiele bardziej do Esther niż Jane.

Ale nie. Esther jest teraz Jane. Jane Girard.

Nagle powraca do mnie wspomnienie z przeszłości

Esther i ja siedzimy na naszej kanapie, oglądając telewizję. To było trzy miesiące temu, może cztery. Zniknęła na cały dzień i milczała uparcie na ten temat, nie chciała powiedzieć, gdzie była. A ponieważ nie chciała, mój umysł zaczął podsuwać brakujące szczegóły, wyobrażając sobie jakiegoś pozbawionego skrupułów mężczyznę, żonatego i dzieciatego, który spotyka się z Esther w jakimś podejrzanym hoteliku przy Ridge, takim, który oferuje łazienkę i kolorową TV, jakby chodziło o jakiś luksus. Esther by tego nigdy nie zrobiła, ale miałam ubaw, udając w myślach, że tak właśnie by się zachowała. Nie chciała mówić o tym, gdzie była, i udzielała mamroczących, zwięzłych odpowiedzi na każde cholerne pytanie, jakie zadawałam:

- Tak.

- Nie.

- Świetnie.

Powiedziała wtedy dwie osobliwe rzeczy, naprawdę osobliwe, które zapamiętałam. Najpierw spytała:

- Próbowalaś kiedyś sprawić, by coś było lepsze, a skończyło się na tym, że wszystko stało się gorsze?

Ale kiedy poprosiłam, by to wyjaśniła, nie chciała się zbytnio rozwodzić.

Odpowiedziałam więc:

- Tak. Ze mną zawsze tak jest. - Właśnie tak odpowiedziałam.

I spytała też, ni stąd, ni zowąd, siedząc obok mnie na kanapie, smutno i kontemplacyjnie:

- Gdybyś mogła zmienić swoje imię, co byś wybrała?

Wybrałam Belle. A potem zaczęłam się rozwodzić nad tym, jak uwielbiam imię Belle, a nienawidzę imienia Quinn.

- Bo co to za imię, to dziwaczne Quinn? Imię dobre dla chłopaka, ot co. Prędeż już jako nazwisko, sama nie wiem. Tak czy owak, nie jest to imię dla dziewczyny. - Tak oznajmiłam.

Nigdy się nie dowiedziałam, co Esther wybrałaby dla siebie - nie zdradziła tego - ale teraz już wiedziałam. Jane. Esther wybrała imię Jane.

Zmieniła je całkiem oficjalnie, zgodnie z prawem. Stała w jakimś sądzie przed sędzią i prosiła o zmianę imienia, a ja o tym nie wiedziałam. Jakim cudem nie wiedziałam?

Znajduję też niszczarkę podłączoną do kontaktu na białej ścianie. Podnoszę pokrywę i patrzę na miliony papierowych skrawków. Jest wypełniona po brzegi, nie sądzę, żeby Esther mogła wsadzić tam choć jeszcze jedną kartkę papieru. Ile czasu by mi zabrało sortowanie tych skrawków i sklejanie z powrotem? Czy w ogóle jest to możliwe?

Wracam do biurka i znajduję zakładkę do książki, jakiś kupon, bon towarowy i coś, co wygląda jak zdjęcie paszportowe, trzy zdjęcia paszportowe wetknięte w plastikową koszulkę. Czwartej fotografii nie ma, została równiutko wycięta z kartki nożyczkami. Nie ma paszportu, tylko zdjęcia, a ja się zastanawiam, do kogo należą, do Esther czy do Jane?

Zastanawiam się też, gdzie jest ten paszport.

Szukam wszędzie, ale nie ma go tu.

Gdyby Esther zmieniła imię na Jane i dostała paszport jako Jane, to inne dokumenty też musiałyby zmienić na Jane, takie jak prawo jazdy i kartę ubezpieczenia społecznego. Czy Esther chodzi gdzieś z prawem jazdy, na którym widnieje jako Jane Girard?

Wtedy jednak, kiedy już porzucam nadzieję, że uda mi się znaleźć coś więcej w szufladach, widzę kolejny list, napisany na maszynie i podpisany:

Z całą moją miłością.

I to samo *E*, i to samo *V*.

Z całą moją miłością, EV

Esther Vaughan.

Złożony potrójnie, tak jak ten pierwszy, i wciśnięty w najdalszy kąt szuflady biurka.

Czytam:

Do Najdroższej Osoby...

W tym momencie zaczyna się na mnie wydzierać minutnik piecyka, a smród przypalonego sera na pizzy grozi pożarem całego budynku.

Rzucam list na blat biurka i biegnę do kuchni.

ALEX

Nie istnieje nic, czego nie można by znaleźć w dzisiejszych czasach w internecie, zwłaszcza w przypadku osoby tak publicznej jak doktor Giles. Dzięki stronom w rodzaju HealthGrades i ZocDoc.com bez trudu uzyskuję dostęp do wszelkich opinii na temat psychiatrii. Na początek odkrywam, że naprawdę ma imię, coś innego niż tylko „doktor”. Joshua, tak ma na imię. Doktor Joshua Giles.

Z jakiegoś powodu fakt ten zmienia wszystko, kiedy wyobrażam go sobie jako bezradne dziecko, w ramionach matki, obdarzone imieniem. Joshua.

Co jeszcze?

Ma trzydzieści cztery lata.

Żonaty.

Ojciec dwojga dzieci.

Absolwent Northwestern University w Chicago, oceny ponadprzeciętne w kategoriach „czas oczekiwania”, „czystość gabinetu”, „umówienie wizyty”. Jak wynika z tego, co umieszczono na stronach HealthGrades i ZocDoc.com, ludzie go lubią.

Spędzam popołudnie w bibliotece miejskiej, zapoznając się z opiniami na komputerze, który sobie zarezerwowałem. W przeciwieństwie do reszty świata, tata i ja nie mamy komputera. Ten tutaj, przestarzały komputer stacjonarny HP, znajduje się w niewielkim terminalu w równie przestarzałej bibliotece. Biblioteka miejska, zabytek z lat dwudziestych, jest leciwa. Choć rozbudowywano ją dwukrotnie od czasu otwarcia budynku o powierzchni dwustu metrów kwadratowych w roku 1925, i tak jest niewielka. Zbiory są przerezedzone i nieaktualne, pozostałość po innej generacji. Książek tu niewiele. No i są wideokasety, filmy wciąż dostępne na VHS, a swą mnogością znacznie przewyższają płyty DVD.

Tutaj, przy terminalu (jestem zdziwiony, że mamy nawet komputery i procesory tekstu zamiast maszyn do pisania i liczydeł) nie ma drzwi ani ścian, tak więc bezustannie zerkam przez ramię, by się upewnić, że nie jestem obserwowany. Nie chcę, by jakiś podglądacz albo ciekawski śledził moje internetowe poszukiwania. Bo właśnie czymś takim zajmują się tutejsi ludzie. Odnotowuję sobie w pamięci, żeby usunąć historię poszukiwań, zanim wyjdę, by jakiś bibliotekarz nie zajrzał tu później i nie zobaczył tego, co ja zobaczyłem: entuzjastycznych opinii na temat doktora

Joshuy Gilesa, które ukazują się na ekranie jedna za drugą, jedna za drugą. Miły, głoszą. Dobry słuchacz. Podnosi na duchu. Kompetentny. Łatwo się z nim rozmawia.

Jest najlepszy!!! - głosi jedna opinia, opatrzona nadmiarem wykrzykników, co każe mi powątpiewać w zdrowie psychiczne autora i jego stan umysłowy.

Jeśli chodzi o życie prywatne doktora Gilesa, jest on żonaty z niejaką Molly Giles i ma dwoje dzieci, czteroletniego syna i dwuletnią córkę, jak można się dowiedzieć z krótkiej notatki w miejscowej gazecie. Nie ma wzmianki o ich imionach. Są zdjęcia doktora Gilesa - jego oficjalna fotografia, w granatowej sportowej marynarce, zrobiona na szablonowym szarym tle, taka sama, jaką może się pochwalić każdy lekarz na świecie - ale absolutnie nic o reszcie rodziny. Jego dom został kupiony półtora roku temu za 650 000 dolców. Wszystko tam jest: jego nazwisko, data nabycia, adres, wysokość podatku od nieruchomości. Nie istnieje już coś takiego jak prywatność.

- Dobrze ci idzie wyszukiwanie? - pyta przechodząca obok bibliotekarka, a ja aż podskakuję na krześle, minimalizując ekran.

Bibliotekarka to też relikw z lat dwudziestych, siwowłosa kobieta, która najlepsze lata ma już dawno za sobą. Mówię jej, że tak, że znajduję wszystko, czego potrzebuję. Tyle że nie bardzo. Nie wiem nawet, czego właściwie szukam, ale wiem, że tutaj tego nie znajdę. Żywiłem chyba gdzieś w głębi duszy nadzieję, że znajdę coś skandalicznego i złego. Głosy pacjentów twierdzących, że jest wrednym typem, świrem, zboczeńcem, kimś w tym rodzaju. Pozwy ze strony Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, naruszenia etyki zawodowej albo po prostu nieprzychylnie opinie. Nie zjawiał się na umówione spotkania, kazał swoim pacjentom zbyt długo na siebie czekać, zasypiał w fotelu podczas sesji.

Ale o ile mogę się zorientować, ludzie go lubią. Historia tego człowieka jest czysta jak łąza.

Wstaję z krzesła, stalowe nogi szorują po brzydkiej śliwkowej wykładzinie, zaplątując się w luźne włókna. Wkładam kurtkę na bluzę z kapturem i szykuję się do wyjścia. Upewniam się, że pozamykałem przeglądarki, potem sprawdzam pośpiesznie historię poszukiwań, by się przekonać, że niczego nie ma. Nie ma. Czyściuteńko.

Mam już wyjść, kiedy słyszę jakiś głos.

- Alex? - pyta. - Alex Gallo?

Odwracam się i widzę panią Hackett, nauczycielkę przedmiotów ścisłych ze szkoły średniej. Stoi przede mną, trzymając książkę w miękkiej oprawie, przez rękę ma przewieszony zimowy płaszcz. Prawie się nie zmieniła przez te sześć miesięcy,

od kiedy nie chodzę już do szkoły, i jestem zaskoczony niespodziewanym wrażeniem nostalgii. Tęsknię za szkołą, przyjaciółmi, przemierzaniem korytarzy starego budynku z jasnej cegły z nieskończonymi rzędami wiśniowoczerwonych szafek i winylowymi podłogami. Pani Hackett wciąż ma te same długie ciemne włosy, rozdzielone pośrodku i zebrane z boku w kucyk; te same ciemne oczy; te same grube brwi; ten sam miękki uśmiech. Tam, gdzie jej ciało kiedyś było wąskie i szczupłe, teraz wystaje jakby piłka plażowa, dokładnie na wysokości talii, którą oplata dłońmi. Ma na sobie coś w rodzaju długiej tuniki, która wybrzusza się pośrodku i zwiesza się nisko, zakrywając tę wypukłość. Dziecko. Pani Hackett spodziewa się dziecka, i to niebawem. Z jakiegoś powodu skłania mnie do uśmiechu, choć patrzy na mnie jednocześnie z głęboką dezaprobatą, krzyżując ramiona. Jej ładna twarz jest nadąsana.

- Powiedziałam im, że nie, z pewnością nie - mówi. - Powiedziałam, że nie uwierzę, dopóki nie zobaczę na własne oczy. I oto jesteś - dodaje, wymachując rękami w moją stronę.

Zmuszam się do uśmiechu.

- We własnej osobie - mówię.

Jej rozczarowanie zmienia się w smutek, kiedy pyta:

- Dlaczego, Alex? Dlaczego? Dlaczego zrezygnowałeś ze stypendium?

Wzruszam ramionami.

- Jestem domatorem, jak mi się wydaje. Nie potrafiłbym mieszkać gdzieś daleko.

To prawda, oczywiście, że prawda, ale i nieprawda. I każdy zna powód dlaczego, choć nikt nie ma ochoty powiedzieć tego głośno.

- Jak tam twój ojciec? - pyta.

- Świetnie - mówię.

Wzdycha.

- Kiedyś ciągle tu przychodziłeś - dodaje, mając na myśli bibliotekę.

Tak było. Przychodziłem tu cały czas i spędzałem dni wśród półek, z górą książek z dziedziny astronomii, i czytałem je, aż bibliotekarka mówiła mi, żebym już poszedł. Fascynuję się niebem od najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy jeszcze nie potrafiłem czytać. Tata kupił mi kiedyś lunetę, w czasach, gdy stać go było na lunetę. Ledwie pamiętam życie z tak dawnych czasów. Nie patrzyłem przez nią od lat, od tamtej nocy z Leigh Forney na plaży. To ostatnia rzecz, jaką pragnę zobaczyć, moje marzenia odpływające w przestrzeń wraz z chmurami międzyplanetarnego pyłu i mgławicami.

Zawsze sądziłem, że to właśnie będę robił, kiedy dorosnę - pracował jako

astronom albo gdyby to nie wypaliło, jako inżynier w przemyśle kosmicznym. Że będę projektował statki kosmiczne i samoloty. Badał kosmos, znajdował gdzieś tam ślady życia, potwierdzając to, o czym już byłem przekonany: nie jesteśmy sami. Z pewnością nie chciałem pracować na pełnym etacie dla Priddy, obsługując stoliki. Nigdy nie sądziłem, że będę to robił. Gdzieś w domu leży list, który to potwierdza, list z University of Michigan, na który odpowiedziałem odmownie dwa dni po tym, jak tata wypił tak dużo, że trzeba go było zabrać do szpitala na odtrucie. Wciąż płacimy za ten jego pobyt nieobciążone odsetkami raty, które zdołałem wynegocjować z działem finansowo-księgowym szpitala.

Moje oczy spoglądają w dal, ku grzbietom książek stojących w rzędzie, gdy pani Hackett mówi:

- Nie widuję cię tu od jakiegoś czasu.

- Byłem zajęty - wyjaśniam.

- Pracujesz?

- Pracuję - mówię, a potem wskazuję na jej duży, zaokrąglony brzuch. - Chłopiec czy dziewczynka?

Wszystko, bylebyśmy przestali rozmawiać o mnie i o tym, jak wielkim jestem rozczarowaniem, a ona potwierdza, że ta piłka plażowa we wnętrzu jej sukni to dziewczynka. Elodie będzie miała na imię. Elodie Marie Hackett.

Mówię, że mi się podoba. Pyta, czy chcę dotknąć jej brzucha, ale mówię, że nie.

A potem odchodzę, bo nie mogę znieść rozczarowania w jej oczach.

Jestem już na zewnątrz i oddalam się od biblioteki, ruszając w drogę powrotną do miasta, zdecydowany kierować się ku plaży i wrócić do domu, wzdłuż tej samej ścieżki, którą zawsze przemierzam. Jest niemal piąta, niedługo się ściemni. Tata jest zapewne głodny i zastanawia się, gdzie się podziewam i dlaczego nie szykuję obiadu. Dzisiaj zjemy SpaghettiOs i kukurydzę z puszki. Jestem zawodowym szefem kuchni. Może nawet podgrzeję kawałek kielbasy i dorzucę do posiłku.

Ale w tym momencie mój plan spala na panewce.

Idę główną ulicą, obok domu Ingrid i restauracji, żeby dotrzeć z powrotem do plaży. Myślę o Perle i o tym, czy się tam zjawi na kolejną wieczorną kąpiel - mając nadzieję, że będzie tam, tak bym tym razem mógł jej pomachać w odpowiedzi, a nie robić w gacie, kiedy się do mnie uśmiechnie - gdy słyszę trzask zamykanych drzwi z siatką, i oto pod swoim małym domkiem stoi doktor Joshua Giles.

Zamyka swoje lokum na noc.

Ma na sobie płaszcz i rękawiczki, w dłoni trzyma skórzaną torbę z paskiem.

Jego pacjenci przyszli i poszli, dzień dobiegł końca i doktor Giles wraca do domu.

Poza tym na ulicy panuje spokój. Większość sklepów jest już zamknięta, choć czasem przejeżdżają samochody, posuwając się wolno i zatrzymując na skrzyżowaniu, na którym nie ma świateł, tylko żółty znak drogi podporządkowanej. Przecznicę dalej jakaś kobieta wyprowadza psa, coś w rodzaju małego teriera, którego bierze na ręce, żeby przejść na drugą stronę ulicy, podczas gdy obok przejeżdża van. Niebo wypełnia się gwiazdami, najpierw Syriusz, najjaśniejsza gwiazda nocnego nieba. Przystaję na rogu ulicy i patrzę. W dali do miasta wjeżdża pociąg, a doktor Giles rozpoczyna wędrówkę ku domowi.

Wszystko to odznacza się nieskazitelnym sensem.

Bez sensu natomiast jest to, że podążam za doktorem.

Do Najdroższej Osoby.

Zapomniałam wielu rzeczy, ale jest więcej takich, które będę pamiętać: twój głos, twój uśmiech, twoje oczy. Twój zapach, to, co czułam, kiedy twoje dłonie dotknęły mnie po raz pierwszy.

Nie prosiłam o ciebie. Należało odejść, tak jak cię o to prosiłam. Jak ci to mówiłam. Ale tak się nie stało, a ja nie mogłam nic zrobić.

Ktoś został, aż w końcu to ja musiałam odejść.

Zastanawiam się czasem, czy w ogóle mnie pamiętasz.

Pamiętasz mnie?

Z miłością,

EV

QUINN

Jest kilka wartościowych lekcji, których udzieliła mi matka, jak sobie przypominam:

- Nie wyciskaj pryszczycy, zostają po nich blizny.

A także:

- Czyść zęby nicią dentystyczną. Nie chcesz ich chyba stracić przed trzydziestym piątym rokiem życia.

Tak powiedziała, wskazując na ubytki i zapalenie dziąseł jako przyczynę utraty zęba. Była też kwestia nieświeżego oddechu, jak ten nieświeży oddech odstrasza kawalerów do wzięcia, a przecież nie chcę zostać starą panną, prawda? O to właśnie pytała mama w te wieczory, kiedy tkwiła w drzwiach łazienki naszego wielopoziomowego domu na przedmieściach, nalegając, bym czyściła zęby nicią dentystyczną. Miałam około dwunastu lat, a ona już wyobrażała mnie sobie jako starą pannę, która mieszka samotnie z tysiącem kotów.

Ale jedna lekcja wyróżniała się spośród pozostałych. Jedna dobra lekcja. Miałam piętnaście lat. Pokłóciłam się z Carrie, z którą przyjaźniłam się od jedenastu lat, o coś tak głupiego jak chłopak. Uparłam się, żeby zaprosić jakiegoś futbolistę na potańcówkę w szkole średniej, ale mnie uprzedziła, zanim zdążyłam to zrobić.

- Zaspałaś, byłam pierwsza - powiedziała Carrie, i w tym momencie uznałam, że nie będziemy się już przyjaźnić. Miałam ochotę wrzeszczeć na nią, zwymyślać publicznie, wszcząć bójkę na zatłoczonym korytarzu naszej szkoły, chciałam, żebyśmy szarpały się za włosy, wysuwały kocie pazury i wydrapywały sobie oczy, podczas gdy tłum nastolatków przyglądałby się temu, obstawiał zwyciężczynię i dopingował nas.

Jednak moja matka ostrzegła mnie mądrze, że nic nie wskóram. Miała rację. Przede wszystkim Carrie była większa ode mnie. Wysoka lekkoatletka, w dodatku grała w koszykówkę i piłkę ręczną. Mogła mi skopać tyłek, gdyby tylko miała okazję, więc bałam się dać jej taką okazję.

Matka zasugerowała natomiast, żebym zaczęła pisać listy do Carrie, niegdysiejszej przyjaciółki, a teraz głównego wroga.

- Przelewaj swoje odczucia na papier. Powiedz jej, jak się czujesz. - I dorzuciła w formie postscriptum: - Ale nie wysyłaj tego. Nie dawaj jej tych listów, tylko zachowaj dla siebie. A gdy już wyrazisz na papierze swoje uczucia, będziesz mogła

podążyć dalej. Będiesz w stanie uporać się z własnymi emocjami. Znajdziesz ukojenie.

I nie myliła się. Napisałam listy, długie i pełne urazy epistoły na papierze w liliowe linie z notatnika, posługując się ulubionym flamastrem. I w tych listach przywołałam Carrie do porządku. Dorwałam ją, ukarałam i opieprzyłam. Wyzwałam od najgorszych. Powiedziałam, że jej nienawidzę. Powiedziałam, że życzę jej śmierci.

Nigdy jednak nie przekazałam tych listów Carrie. Napisałam je i wyrzuciłam. I w końcu poczułam się lepiej, znalazłam ukojenie. I znalazłam też nowe przyjaciółki, choć nie tak bliskie, jak bliska była mi niegdyś Carrie.

Aż do dnia, w którym poznałam Esther.

Siedzę na podłodze jej sypialni, jem pizzę, a mozzarella spływa mi po brodzie, i jestem absolutnie pewna jednego: powodu, dla którego Esther pisała te listy do Najdroższej Osoby. Taki był jej zamiar, przelać myśli i uczucia na papier, poczuć się lepiej, znaleźć ukojenie, gdy miotają nią emocje związane z tym kimś niewiernym, który złamał jej serce.

Tych listów nigdy nie miały oglądać cudze oczy.

Po przeszukaniu kilku jeszcze szuflad, dwóch pudełek na buty w obskurnej garderobie Esther i pod łóżkiem, daję sobie spokój. Nie zamierzam szukać tu więcej odpowiedzi, czegoś poza szklami kontaktowymi, informacjami o smutku i żalu, zdjęciu paszportowym, formularzu zmiany imienia i nazwiska, w ogóle wszystkich tych rzeczy, które rodzą więcej pytań niż odpowiedzi. Kim mianowicie jest Esther? Tak naprawdę?

Czuję się, delikatnie mówiąc, sfrustrowana. W głowie kłębi mi się od przypuszczeń: Esther alias Jane wzięła paszport, żeby uciec z kraju; albo może Esther alias Jane przebywa gdzieś tak bardzo przytłoczona żalem, że nie potrafi zmusić się do powrotu do domu. Nie wiem, ale ogarnia mnie smutek na myśl, że Esther jest smutna, a ja nie miałam o tym pojęcia. Więc odszukuję tę wizytówkę i wystukuję numer wytłoczony na jej powierzchni, numer telefonu psychologa. Sygnał rozbrzmiewa pięć razy, ale psycholog nie odbiera, tylko mam zostawić wiadomość. Robię to zatem, wyrażając zwięźle swój niepokój:

- Moja współlokatorka Esther Vaughan gdzieś zaginęła - mówię, a potem wyjaśniam, że znalazłam jego wizytówkę w jej rzeczach. Pytam, czy może wie, gdzie obecnie przebywa Esther Vaughan. Błagam go na dobrą sprawę, mając nadzieję, licząc na to, że Esther ujawniła mu jakieś miejsce, w którym zamierzała się ukryć, lub też planowała wyjechać z kraju bez telefonu. Może podała mu powody, dla których zamieściła w „Readerze” ogłoszenie w sprawie kolejnej

współlokatorce albo dlaczego chce mnie zastąpić jakąś Meg z Portage Parku. Może on wie. Może Esther siedziała naprzeciwko tego psychologa w jakimś pokoju o przyćmionym świetle i wyznawała mu, jaka to ze mnie beznadziejna współlokatorce. Że nie płaciłam przypadającej na mnie części czynszu, że nie gotowałam. Że zjadałam jej koperek. A on może ją zachęcał, jak przystało na dobrego terapeutę, żeby zerwała ze mną wszelkie więzi i zrobiła to w miarę szybko. By mnie załatwiła, by była gotowa na natychmiastowe odejście, gdyby moje nadużycia przekroczyły granicę zwykłego niechlujstwa i niemrawości. By nie pozwoliła mi już nigdy więcej się wykorzystywać.

Może to jego wina, że znalazłam się w takiej sytuacji.

A może moja.

Wtedy jednak uderza mnie kolejna wątpliwość: czy on w ogóle wie, kim jest Esther? Może dla niego to Jane. I to też mówię przez telefon. Mówię, że moja współlokatorce posługuje się także pseudonimem Jane Girard. Kiedy patrzę na wniosek o zmianę imienia i nazwiska, nagle uderza mnie, jakie to kompletnie dziwaczne, tak po prostu wyznawać komuś, że nic nie wiem poza tym, że moja współlokatorce prowadzi podwójne życie, o którym nie mam pojęcia. A do tego wyznawać za pośrednictwem automatycznej sekretarki, ni mniej, ni więcej.

Szczypię się w dłoń. Obudź się!

Nie budzę się. Jak się okazuje, jestem już przytomna.

Rozłączam się, zła na siebie za to, ile pytań sformułowałam: wiele, i ile odpowiedzi otrzymałam: żadnej.

Myślę i myślę. Gdzie jeszcze mogłabym szukać jakichś tropów? Dzwonię do Bena, żeby się przekonać, czy poszczęściło mu się w odszukaniu rodziny Esther, ale znów nie odbiera. Przeklęta Priya, która odciąga go od aktualnego zadania. Zostawiam mu wiadomość, a gdy to robię, mój wzrok spoczywa na zdjęciu nas obu, moim i Esther, przytwierdzonym do ściany szpilką. Ja i Esther pozujemy do selfie przed sztuczną choinką. Patrząc na to zdjęcie, wędruję myślą do schowka w magazynie, w którym znalazłyśmy drzewko, do zimy, kiedy przyciągnęłyśmy je po śniegu do domu. Co jeszcze prócz choinki skrywała tam Esther? Nie mam co prawda klucza do tego składziku, ale zastanawiam się, czy nie potrafiłabym namówić kogoś z pracowników, żeby mnie wpuścił do środka. Wątpliwe. Nie należę do kobiet, które potrafią zauroczyć kogoś pięknymi oczami i czarującym uśmiechem, to domena Esther.

Tego wieczoru przed położeniem się do łóżka gromadzę wszystkie ślady, jakie udało mi się znaleźć, i siadam przed łukowatymi oknami w salonie, przeglądając

każdy element, ponownie czytając listy do Najdroższej Osoby, zapoznając się z procesem pogrążania się w żalu, przesuwając palcami po wypukłych literach na wizytówce psychologa. Na zewnątrz jest ciemno, światła miasta przypominają milion migoczących złotych gwiazd. Sąsiedzi, którzy zaciągają zasłony w oknach, są w mniejszości. Większość, jak ja, siedzi przy pełnym świetle, w pokoju, do którego każdy może z łatwością zajrzeć. To nieodłączna część miejskiego życia, albo tak też słyszałam, to pozostawianie odsłoniętych okien, by umożliwić dostęp przeobfitej iluminacji, ale też ciekawskiemu wzrokowi. Moja matka w naszym wielopoziomowym domu na przedmieściach nigdy nie przystałaby na coś takiego. Zasłony i żaluzje szły w ruch przy pierwszych oznakach zmierzchu, gdy tylko można było dojrzeć gołym okiem planety i gwiazdy, a słońce zaczynało się zniżać. Patrząc przez okno i podziwiam to wszystko: iluminację budynków, gwiazdy, planety, migoczące światła ostrzegawcze na skrzydłach przelatującego odrzutowca, który sunie bezgłośnie na wysokości dziewięciu tysięcy metrów. Zastanawiam się, co widzą stamtąd pasażerowie. Dostrzegają mnie?

Potem moje spojrzenie znów skupia się na ulicy, ja zaś szpieguję samotną postać stojącą w cieniu zalegającym Farragut Avenue. Postać spogląda w kierunku okna, na mnie. To kobieta, jak sędzę. Kosmyki włosów trzepoczą wokół głowy jak tysiące motyli uderzających cieniuteńkimi skrzydłami. Tak mi się przynajmniej wydaje, że właśnie coś takiego dostrzegam, choć jest noc i nie widzę niczego dokładnie, ale mimo wszystko ta postać nie przyprawia mnie o strach czy dreszcz, raczej o nadzieję. Esther? Postać stoi dostatecznie daleko od źródeł ulicznego światła, nie rzuca się w oczy, jest właściwie niewidoczna, więc nie musi się dodatkowo kryć. Ale ktoś tam jest.

Niech to będzie Esther, błagam bezgłośnie. Jest w domu; wróciła do domu. No, nie do końca, bo nie jest na tyle pewna swej decyzji, by wejść do środka. Muszę ją przekonać. Wstaję, żeby być na widoku. Wiem, że ktokolwiek tam jest, widzi mnie dokładnie, dlatego macham. Nie boję się.

Wypatruję oznak ruchu, mając nadzieję, licząc na to, że ta postać też do mnie pomacha, że dojrzę na ulicy choćby drgnienie, ale nie, nic z tego. W każdym razie z początku. Ale potem coś się pojawia. Skinienie ręką, co prawda nieznaczne, ale jednak skinienie. Po prostu jestem tego pewna. Albo przynajmniej tak mi się wydaje.

Esther?

Wpuszczam z dłoni trzymane przedmioty i wybiegam szybko za drzwi mieszkania, po czym rzucam się w dół po koślawych schodach, nim ten ktoś ma

szansę zniknąć. Jeśli to Esther, to muszę ją przekonać, by została. Zostań, myślę sobie, nie odchodź. Potykam się nie raz, nie dwa, moje buty tracą przyczepność na podłodze, kiedy biegnę szybciej, niż biegłam kiedykolwiek w życiu. Niemal się przewracam, ale łapię za poręcz i odzyskuję równowagę, nim ląduję na tyłku. Wypadam przez główne wyjście i zbiegam po schodach wprost na spokojną ulicę, na sam jej środek, nie patrząc w lewo ani w prawo, czy nadjeżdżają jakieś samochody.

- Esther! - wołam dwukrotnie, za pierwszym razem to wymuszony szept, żeby nie obudzić sąsiadów, a za drugim to już krzyk.

Ale ani w pierwszym, ani w drugim przypadku nie pada żadna odpowiedź. Rzucam się ku przeciwległej stronie ulicy, ku czerniejącej połaci, gdzie przed trzydziestoma sekundami widziałam tę postać - albo tak mi się wydawało, tego nie mogę być pewna - ale nikogo tam nie ma. Tylko zaparkowane samochody, szereg mieszkań i niskich budynków, pusta ulica. Rozglądam się na wszystkie strony, ale nie dostrzegam nigdzie żadnych oznak życia. Niczego. Ulica jest wyludniona, jałowa. Cokolwiek widziałam albo wydawało mi się, że widziałam, już zniknęło.

Esther tu nie ma.

Odwracam się ze smutkiem ku swojemu budynkowi, ale nie idę wprost do domu, tylko wędruję po ulicach Andersonville, obok miejsc, w których lubiliśmy przesiadywać, i szukam Esther. Obok naszych ulubionych restauracji i kawiarni, obok odlotowych sklepików z upominkami i butików wzdłuż Clark i Berwyn; osłaniam dłonią oczy i zaglądam do ich wnętrza, by sprawdzić, czy nie ma tam Esther, ale nie ma jej nigdzie, w żadnym z tych miejsc.

Mijam teatr przy Clark Street, gdzie wystawiano jakąś satyryczną sztukę. Esther bardzo chciała ją obejrzeć, ale powiedziałam, że ja nie chcę.

- Lubię coś oglądać w systemie surround i z popcornem - oznajmiłam, a było to całe tygodnie temu, kiedy spytała, czy się z nią wybiorę na tę sztukę. - Z mnóstwem popcornu - dodałam, przynudzając bez końca o tym, jak beznadziejny jest teatr na żywo.

Teraz żałuję, że się nie przymknęłam i z nią nie poszłam.

Ze schodów teatru zbiega grupa mieszkańców miasta pozujących na znawców sztuki, a ja wyświatlam na swoim telefonie zdjęcie Esther i wciskam aparat w dłoń jednego z mężczyzn.

- Widział ją pan? - pytam, czując, jak drżą mi ręce. - Czy ta kobieta była w teatrze?

Mężczyzna kręci głową i oddaje mi komórkę. Nie widział Esther, a po chwili patrząc ze smutkiem, jak razem ze swoimi pretensjonalnymi przyjaciółmi odwraca

się i odchodzi, zadowolony i roześmiany, mówiąc o tym, jaka to była świetna sztuka, superzabawna.

Przemierzam tam i z powrotem cichnące ulice miasta, widzę, jak wyludniają się powoli wraz z nadejściem nocy, kroki zamierają, nikną w każdym ciemniejącym kierunku. Przechodzę obok kościoła katolickiego, gdzie Esther śpiewa w chórze, ogromnej neogotyckiej budowli, której wrota, nawet o tak późnej godzinie, pozostają otwarte. Ciągnę za poczerniałą klamkę i wchodzę do środka, wołając Esther, cicho, a jednak bez nadziei.

- Esther - syczę pod nosem, robiąc dwa ukradkowe kroki w głąb, wiedząc, że tu właśnie miała przebywać, tu właśnie powinna była przebywać, kiedy akurat nie spała w swoim łóżku.

Lecz kościół jest pusty i jedyne słowa, jakie do mnie wracają, to moje słowa, moje rozpaczliwe błaganie o Esther, odbijające się echem od ścian wykładanych drewnianą boazerią. Esther tu nie ma.

Wiem, że będę musiała po pewnym czasie wrócić sama do pustego lokum, bez Esther idącej obok mnie, i że kiedy tam dotrę, Esther nie będzie na mnie czekała. W każdym razie nie dzisiejszego wieczoru, choć znajduję pociechę w fakcie, że Esther może pojawi się w domu jutro. Jutro upłynie czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy zniknęła, tak jak powiedziała telefonistka pod 311. Wracają zazwyczaj do domu po nieobecności, która trwa od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin. A więc jutro, mówię sobie. Jutro Esther wróci do domu.

Może.

Nie mogę tej nocy zasnąć. Przynaglana bezsennością, przekradam się po cichu do sypialni Esther i zapalam światło. Z niewiadomego powodu moje stopy prowadzą mnie do niszcarki stojącej na podłodze. Podnoszę wieko i wywalam zawartość urządzenia na deski podłogowe, a potem cofam się o krok, szacując ten bałagan. Niektóre paski to tradycyjny biały papier komputerowy, podczas gdy inne są kolorowe - zielone, niebieskie, żółte. Niektóre są grube jak karton, inne skąpe i cienkie jak strzępy paragonu. Lecz mój wzrok przyciągają wstążki błyszczącego papieru fotograficznego, gdy przesuwam palcami po gładkiej, lśniącej powierzchni. Zastanawiam się, czyje to zdjęcie, przy założeniu, że to w ogóle jest zdjęcie. Zaczynam oddzielać fragmenty papieru fotograficznego od reszty, usypując na podłodze pokaźny stos.

Ile czasu zajmie mi wyszukanie tych wstążek papieru fotograficznego i ich sklejenie? Czy będzie to w ogóle możliwe? Nie wiem, ale jestem pewna jak diabli, że spróbuję.

ALEX

Porusza się w nienormalny sposób. Jego kroki są krótkie, ciężar ciała wspiera się bardziej na piętach niż na podbiciu stóp i palcach. Nie jest to na pierwszy rzut oka oczywiste, ale trudno tego nie dostrzec, gdy tak jak ja idzie się za doktorem Gilesem w odległości około dziesięciu metrów, żeby uniknąć zdemaskowania. Też zapewne poruszam się dziwnie, przemykając czujnie wzdłuż ulicy i chowając się za wysokimi i grubymi dębami, ilekroć ten człowiek choćby odetchnie głębiej. Trzymam w dłoni komórkę, wystukując niewidoczne cyfry na ekranie, żeby udawać zajętego, jeśli się odwróci i mnie zobaczy. Choć włączyłem wibrację, by nie odezwał się sygnał, gdyby ktoś do mnie zadzwonił.

Doktor Giles nie zamierzał dotrzeć do domu na piechotę. Zamierzał jechać swoim samochodem, funkcjonalnym sedanem zaparkowanym na podjeździe niebieskiego domku, w którym ma gabinet. Choć wielu ludzi w tej okolicy chodzi albo porusza się rowerem, nawet jeśli temperatura spada do nędznych siedmiu stopni, nie był to powód, dla którego doktor Giles ruszył do domu pieszo. A powód? Dziury w oponie samochodu, dętka bez powietrza. Przyglądałem się od strony ulicy, jak przesuwa dłonią po rozcięciach, jak wpatruje się z konsternacją w to spłaszczone koło. Prawdopodobnie gwóźdź albo jakiś kamień. A może ktoś przebił oponę. Kto wie?

Tak więc zawrócił i ruszył do domu na piechotę, zostawiając samochód na miejscu.

Doktor Joshua Giles to przystojny facet. Skłamałbym, gdybym powiedział, że jest inaczej. Nie chodzi o to, że tego rodzaju rzeczy mnie interesują, ale tak po prostu jest. Przystojny facet, który o tym wie. To właśnie wydaje się najgorsze. To właśnie mnie wścieka. Jest wysoki, mierzy sto osiemdziesiąt pięć albo i więcej centymetrów wzrostu. Ciemne włosy i oczy, jakie zapewne podobają się kobietom. Nosi modne grube okulary w czarnych oprawkach, które skrywają dobrotliwie spoglądające oczy. Zastanawiam się, czy są normalne, takie z urodzenia te oczy, czy też uczą tego w szkołach dla psychologów. Takiego spojrzenia. Współczującego uśmiechu. Rytmicznego, starannie odmierzonego kiwania głową. Mocnego uścisku dłoni. Domyślałem się, że to tylko fortel.

Ubiera się ładnie. Podczas gdy ja mam na sobie podarte džinsy i stalowoszarą bluzę z kapturem, rozerwaną na brzegu i bez ściągacza, on nosi eleganckie oliwkowe spodnie, jakie zwykle noszą mężczyźni w ojcowskim typie. Nie chodzi

o mojego ojca, tylko o ojców innych ludzi. Pracujących ojców. Nie mam pojęcia, co jeszcze znajduje się pod ciepłym czarnym płaszczem, ale cokolwiek to jest, na pewno odznacza się klasą. No i skórzana torba z paskiem, kołysząca się w jego dłoni całą drogę przez miasto, do sąsiednich osiedli, gdzie rezydują mieszczenie, zamożni ludzie, w starych, historycznych, ale odnowionych siedzibach w stylu Tudorów, a także w klasycznych, pozbawionych ozdobników domach, na jakie tata i ja nie moglibyśmy sobie pozwolić. Wszyscy wiedzą, że właśnie tam mieszkają bogaci ludzie, ukryci za ozdobnymi metalowymi ogrodzeniami i rozległymi trawnikami. To ledwie czterysta metrów od głównej ulicy w przeciwną stronę od mojego domu, a z niewielkiej skarpy rozciąga się widok na jezioro Michigan. Te domy na szczycie wzgórza spoglądają na śródmieście, obrzeża miasta, akwen.

Jest już ciemno, kiedy docieramy na miejsce. Obok nas przejeżdżają samochody, zmierzając powoli do domu. Mają włączone światła, kierując się ku celowi, jakby nawigowały. W którymś momencie dzwoni komórka – jego, nie moja – a ja zastygam w miejscu jak pręgowiec, całkowicie bez ruchu. Wiatr bardziej mnie przenika, niż owiewa. Wdziera się do mojego wnętrza, przyprawiając o chłód wszystko, łącznie z wątrobą i śledzioną.

- Halo – mówi doktor Giles, zatrzymując się na ulicy i odbierając telefon.

Głos ma łagodny, kiedy informuje osobę po drugiej stronie, że niebawem będzie w domu. Zasiedział się w pracy, ale niedługo wróci. Nie wspomina o oponie. Jego słowa w próżni wieczornej ulicy mają dziwne, jakby wydrążone brzmienie, gdy tak odbijają się od betonu i drzew. Rozmowa jest krótka i słodka, poprzetykana określeniami w rodzaju „kochanie” i „najdroższa”. Jego żona. Potem się żegnają, a on się rozłącza.

Idzie szybko, słyhać stopy odmierzające uporczywe kroki na chodniku. Ja też idę szybko, choć moje kroki są ciche. Doktor Giles przestępuje nad dziurą na wąskiej ulicy. Ja również. W pewnym momencie przystaje i odwraca się, jakby wiedział, że ktoś go śledzi, więc przypadam szybko do nawierzchni, brzuchem do dołu, za zaparkowanym samochodem. Robię to, choć czuję się jak idiota, a potem czekam, wstrzymując oddech. Psycholog daje sobie w końcu spokój i rusza dalej.

Gdy doktor Giles pcha skrzypiącą metalową furtkę i zdąża wzdłuż długiego podjazdu, ja tkwię po drugiej stronie ulicy za stojącym samochodem, poobijanym czarnym nissanem, który z pewnością nie pasuje do tej okolicy. Nie wiem za Boga, co mam zrobić albo zobaczyć, nie wiem, po co deptałem mu po piętach do samego domu. Co chciałem dzięki temu zyskać? Nie mam pojęcia. Ale przynajmniej wiem teraz, gdzie mieszka, w domku w stylu Cotswold, pasującym bardziej do starej

angielskiej wioski niż do tandetnego miasteczka w stanie Michigan. Wkracza do środka przez łukowate sklepienie wejście, a tam, w oknie skrzydłowym, pojawia się pani domu. Podbiega do niego drobnymi, precyzyjnymi kroczkami i rzuca mu się w ramiona z familiarnością, jaką wykazują się często mężowie i żony, którzy opanowali do mistrzostwa sztukę powitania – gdzie powinny znaleźć się ręce i usta, czyja głowa nachyla się w którą stronę w trakcie pocałunku, ile czasu im pozostało, nim pojawią się pełzaki. A potem, z nienacką, pełzaki pojawiają się, dwa bachory stojące u jego stóp unoszą ramiona i proszą, by wziął je na ręce. I robi to, po kolei bierze je na ręce, najpierw większego, potem mniejszego. Cała ta scena to coś, co wykracza poza moją świadomość, pojmowanie, wiedzę. Jest dla mnie tak osobliwa jak obcy język, ten obraz szczęśliwej, elementarnej rodziny – mama, tata, dwoje dzieci i bez wątplenia pies. Coś tak sprzecznego z moją rodziną, jak czerń jest spreczna z bielą. Biegunowe przeciwieństwa.

Moje dzieciństwo wyglądało inaczej niż to, co widzę tutaj. Matka i tata nigdy się nie kłócili, już prędzej dobiło ich milczenie. Fakt, że potrafili bez słowa trwać całymi dniami, zajmując tę samą przestrzeń, wdychając ten sam tlen i wydychając dwutlenek węgla. Nie przesadzam, bez jednego słowa, ale poruszając się bez końca w przepelnionych ciszą wyizolowanych sferach, jedna dla taty, jedna dla mamy, jedna dla mnie.

Z drugiej strony, nie tak jak w przypadku doktora Gilesa i jego żony, nie wydaje mi się, by tata i mama się kochali. No cóż, jedno w każdym razie nie kochało, podczas gdy drugie było zakochane po uszy.

Żona doktora jest ładna, ale w odpicowany sposób, który do mnie nie przemawia. Nawet z dużej odległości widzę, że jest przesadnie umalowana i nałożyła na płowe włosy za dużo lakieru. Nie chce, żeby ktokolwiek sobie pomyślał, że jest primadonną, ale raczej damą, która pragnie wyglądać dobrze w oczach męża, kiedy ten wraca do domu z pracy. Może nie ma w tym nic złego. Wtula się w niego, jego dłonie zsuwają się na jej talię, jej dłonie wędrują na jego ramiona, więc przez ułamek sekundy myślę sobie, że tam, za wielkimi oknami wykuszowymi, na oczach całego świata, zaczną tańczyć.

Nie słyszę pełzaków, ale widzę je przez szybę. Widzę szerokie uśmiechy na ich twarzach, kiedy chichoczą, patrząc, jak ich matka i ojciec się obejmują, i z jakiegoś powodu budzi to we mnie gniew, a właściwie zazdrość. Tak, jestem zazdrosny.

Nie mają pojęcia, że ich obserwuję. Gdyby mieli, to się zastanawiam, czy przejęliby się tym. Nie sądzę. Mimo wszystko dość się już napatrzyłem. Nie muszę patrzeć na to dłużej.

Odwracam się, żeby odejść, i kiedy to robię, jestem przekonany, że coś słyszę – kwilenie, jęk, skowyt. Płacz. Nie wiem. Jakiś dźwięk, który odbija się echem wzdłuż ulicy, między drzewami.

- Halo? – wołam, ale nikt mi nie odpowiada, słyszę tylko szelest liści na gałęziach.
- Jest tam kto? – pytam, znów czując się jak tchórz, podczas gdy moje serce zaczyna walić jak szalone, a w głowie się kręci.

Jest tu ciemno, panuje niemal czerń, blask świateł płynących z przydomowych ganków ledwie sięga środka ulicy, gdzie stoję. Wiatr znów wieje, a ja drzę, istna lawina dreszczy, które trzęsą mną od stóp do głów.

Czy ktoś tam jest? Czy coś tam jest? Niczego nie widzę, tylko domy i drzewa, domy i drzewa. Przejeżdża samochód, blask reflektorów oświetla scenę. Wpatruję się w ten zalew iluminacji, ale wciąż nic nie widzę.

Znów jednak słyszę ten dźwięk.

- Halo?

Nic.

To wiewiórka, mówię sobie. Pręgowiec, szop pracz. Ptak gnieźdzący się w drzewach. Śmiecie na ulicy. Odpadki. Jastrząb, sowa. Kilka ostatnich świerszczy, których nie dobił chłód, wyśpiewujących swą żalobną pieśń.

A jednak, bez względu na to, jak racjonalnie rozbrzmiewa to w mojej głowie, ogarnia mnie przedziwne wrażenie, że nie jestem sam.

Kiedy odchodzę, uświadamiam sobie jedno: ktoś tu ze mną jest, bezustannie dotrzymując mi kroku.

WTOREK

QUINN

Budzę się wcześnie następnego ranka i przez kilka minut dopasowuję na podłodze pokoju Esther elementy układanki. Robię postępy, co prawda niewielkie, wychodzi mi tylko kawałek błękitnego nieba i nic więcej. Pozostała część obrazu kryje się w bezładnym wzgórku. Biorę prysznic i ubieram się do pracy. Ben dzwoni, by się dowiedzieć, czy była jakaś wiadomość od Esther, a ja informuję go ze smutkiem, że nie. On też nie miał szczęścia w swoich poszukiwaniach.

Przed wyjściem z domu wyjmuję pośpiesznie gotówkę z koperty, do której ja i Esther wkładamy pieniądze na czynsz, a która jest schowana w szufladzie kuchennej – banknot dwudziestodolarowy i dwa jednodolarowe. Koperta jest teraz pusta za sprawą mojego lunchu z fast foodu i mojego dzisiejszego działania, tak więc stawiam stopę na pedale kubła od śmieci, gotowa wrzucić ją do środka.

I wtedy widzę wetknięte do kosza wydruki z bankomatu.

W innej sytuacji nie zwróciłabym na nie uwagi – nie mam w zwyczaju grzebać się w odpadkach – ale od razu dostrzegam symbol banku Esther i wiem, że nie są moje. To jej wydruki. Wkładam rękę do kubła, omijając starannie plamy keczupu na brudnej serwetce, pod którą leżą te karteczki. Wyciągam je, łącznie trzy, trzy popołudniowe wydruki z czwartku, piątku i soboty, każdy oznaczający pobranie pięciuset dolarów w gotówce. To razem piętnaście setek. Tysiąc pięćset dolarów. Kupa forsy, bez dwóch zdań.

Na co, u licha, Esther potrzebowała tysiąca pięciuset dolarów pobranych w ciągu trzech dni? Nie dam sobie ręki uciąć, ale do głowy przychodzi mi truskawkowe daiquiri w Punta Cana. Wydaje się, że to miłe miejsce wakacyjne dla Jane Girard, ale nie wierzę za Boga, że kiedykolwiek zdołam wyjechać do Punta Cana. Pięćset dolarów to limit wypłaty z bankomatu w przypadku większości banków, co nie znaczy, bym była w tym taka oblatana; nie mam nawet pięciuset dolarów na koncie. Wszystko, co zarabiam w pracy, od razu wędruje do Esther na pokrycie czynszu i opłat, a mnie zostają tylko drobne na jakiś wieczorny wypad czy nową parę butów.

Co Esther wyprawia, włócząc się po mieście z tysiącem pięciuset dolarami schowanymi w torebce? – zastanawiam się. Nie mogę teraz jednak o tym myśleć. W tej chwili trapią mnie inne sprawy.

Już mam wyjść z domu, ale kiedy otwieram drzwi, po drugiej stronie stoi konserwator, John, który ma z osiemdziesiąt lat i nosi granatowy kombinezon na

szelkach, choć nie wygląda na kogoś, kto potrzebuje stroju roboczego, żeby wymienić od czasu do czasu żarówkę albo stoczyć walnę z kolonią mrówek. Dłoń ma uniesioną, gotową do pukania. Obok jego stóp dostrzegam skrzynkę na narzędzia, w ręku trzyma przedmioty, których nie rozpoznaję, i przedmioty, które rozpoznaję: nowiutką klamkę do drzwi i na dodatek zamek wpuszczany.

- Co to jest? - pytam, wpatrując się w zamek, kiedy John wyjmuje go z plastikowego opakowania.

O ile nie lubię pani Budny, o tyle lubię Johna. Jest jak dziadek, jak mój dziadek, który umarł, kiedy miałam sześć lat, z tą burzą siwych włosów, okularami w drucianych oprawkach i sztucznoszczękowym uśmiechem.

- Prosiła pani o nowy zamek - mówi John.

A ja odpowiadam opryskliwie:

- Nie prosiłam - choć nie chcę być wobec Johna opryskliwa. Za bardzo go lubię, żeby tak go traktować.

John też odpowiada z miejsca:

- Więc to musiała być ta druga. - Wodzi lewą dłonią wokół twarzy. - Ta z włosami.

Od razu się domyślam, o co mu chodzi. Ma na myśli włosy Esther, rzucające się w oczy i wyraziste, częsty temat rozmów. W dniu, kiedy moi rodzice załadowali furgonetkę i pomogli mi przewieźć dwadzieścia dziewięć pudeł wraz ze mną do nowego mieszkania, byli, delikatnie mówiąc, skonsternowani widokiem włosów Esther. Zbulwersowały ich. W podmiejskiej Ameryce ludzie mieli blond włosy albo brązowe włosy, albo rude włosy, ale nigdy takich, które stanowiły dziwne połączenie tych trzech kolorów. Esther jednak miała ten stopniowany kolor, który się zmieniał jak próbki farby, od kasztanowego poprzez mokkę do złotawobrązowego, aż po piaskowy. Matka odciągnęła mnie za ramię na bok.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Masz jeszcze czas, żeby zmienić zdanie - powiedziała błagalnym tonem, nie odrywając spojrzenia od Esther.

Byłam pewna. Chciałam to zrobić.

Teraz jednak, oczywiście, zastanawiam się, czy nie należało okazać więcej rozsądku, a mniej pewności siebie.

Ponownie pytam Johna, czy jest przekonany, że to Esther poprosiła o wymianę zamków, a on mówi, że tak, jest przekonany. Pokazuje mi nawet dokument na dowód, polecenie pani Budny, by zmienić zamek w mieszkaniu numer 304. Data na dokumencie to trzy dni temu. Trzy dni temu Esther zadzwoniła do biura pani Budny, żeby poprosić o wymianę zamków.

Dlaczego, Esther, dlaczego?

Nie muszę się jednak nad tym długo zastanawiać. Odpowiedź pojawi się, nim John uruchamia elektryczną wkrętarkę i zaczyna demontować stary zamek wpustowy w stalowych drzwiach. Byłam złą współlokatorką i Esther chce, żebym odeszła. Chce mnie zastąpić Megan czy też Meg z Portage Parku, czy kimś pokrewnym Meg. Kimś, kto opłaca czynsz na czas, kto pomaga uregulować rachunki za media, kto nie zostawia włączonych świateł, kto nie gada przez sen.

Przed wyjściem z domu biorę z wyciągniętej dłoni Johna zapasowy klucz. Jestem pewna, że nie taki był plan Esther. Potem łapię taksówkę na Lincoln Square i kieruję się w stronę komendy policji, budynku z jasnej cegły, który ciągnie się od przecznicy do przecznicy w otoczeniu flag i radiowozów, białych fordów crown victoria z czerwonymi napisami i niebieskimi paskami po bokach. „Służymy i chronimy”.

Nie wiem, czy powinnam tu być, ale jednak jestem.

Stoję na chodniku przez dobre dziesięć minut albo dłużej, zastanawiając się, czy naprawdę chcę, by moja stopa postąpiła w komendzie policji. Owszem, Esther może zaginęła. Ale może też nie. Mogłabym jeszcze poczekać, dać sobie kilka dni, by się upewnić, czy nie wróci do domu. Telefonistka pod 311 powiedziała mi z grubsza, że policja nie może wiele zrobić bez względu na to, czy zgłoszę zaginięcie.

- Ludziom wolno wyjść i zniknąć - oznajmiła. - Nie ma w tym nic niezgodnego z prawem.

Pomijając umieszczenie nazwiska Esther w jakiejś bazie danych, nie przypuszczałam, by mogli wiele więcej zrobić.

A jeśli zgłoszenie o zaginięciu pomoże sprowadzić Esther do domu? Wobec tego naprawdę warto to zrobić.

A jeśli, z drugiej strony, Esther nie chce, żebym cokolwiek zgłaszała? Jeśli woli, by zostawiono ją w spokoju?

Tak więc jestem w kropce, kiedy stoję tam, przywierając plecami do jasnych cegieł i zastanawiając się, co robić: zgłosić zaginięcie osoby czy nie.

W końcu to robię. Zgłaszam.

Spotykam się z funkcjonariuszem i przedstawiam podstawowe fakty, o które prosi, nie wyłączając rysopisu Esther i okoliczności jej zniknięcia w cudzysłowie. Jestem oszczędna w szczegółach, pomijając wiele rzeczy, których Esther wolałaby, jak zakładam, nie podawać do publicznej wiadomości, na przykład to, że chodziła do psychologa. Dostarczam zdjęcie wyszukane przeze mnie w komórce, ja i Esther podczas Midsommarfest w naszej dzielnicy, letniego festiwalu ulicznego. Słuchamy muzyki na żywo i objadamy się kolbami kukurydzy, a za nami, w tle, zachodzące

słońce odbija się od budynków i przemienia świat w złoto. Poprosiłyśmy jakiegoś przechodnia, żeby zrobił nam zdjęcie, jakiegoś gościa, który ślinił się na widok Esther cholernie długo, zanim pstryknął nam fotkę. Miała ziarna kukurydzy na zębach, roztopione masło na brodzie i dłoniach, a jednak ten facet, tak jak ja, uważał, że jest piękna. Ona jest piękna. Magnetyczna, naprawdę, z rodzaju tych osób, które przyciągają uwagę za sprawą idiosynkratycznych włosów, bez względu na to, czy ich swoistość, niepowtarzalność to dzieło fryzjera - i za sprawą heterochromatycznych oczu, bez względu na to, czy ich dwubarwność to skutek oszustwa. Ale ważniejsza od jej włosów, oczu, nieskazitelnej skóry jest jej serdeczność, ta umiejętność sprawiania, że ludzie czują się przy niej wyjątkowi, bez względu na to, czy są zwyczajni, czy nie są... no cóż, czy są tak zwyczajni jak ja.

Podsuwam zdjęcie funkcjonariuszowi i nawet on przygląda mu się przez chwilę, po czym mówi:

- Ładna dziewczyna.

A ja mówię, że tak, i jestem niemal pewna, że oboje się czerwienimy.

Zgłoszenie zostanie przyjęte, ktoś będzie w kontakcie. Oczywiście Esther nie zostaje potraktowana z taką samą uwagą, jak dajmy na to jakaś czterolatka, która zaginęła. Nie bardzo wiem, czego miałabym się spodziewać: zespołu poszukiwawczego, który ustawiłby się przede mną w szeregu w pomarańczowych kamizelkach i z wyszkolonymi psami; radiowozów; helikopterów; ochotników na koniach, przemierzających ulice Chicago i wołających zgodnym głosem jej imię. Mam cichą nadzieję, że coś takiego się stanie, ale nic takiego się nie dzieje. Policjant mówi mi jedynie, że mogłabym porozwieszać plakaty, rozpytać się po mieście, rozważyć zatrudnienie prywatnego detektywa. Mówi też, bez uśmiechu na twarzy, że prawdopodobnie będą musieli przeszukać mieszkanie. Zapewniam go, że już przeszukałam i jej tam nie ma. Obrzuca mnie spojrzeniem, które przywodzi mi na myśl spojrzenie młodszej siostry - jakby był Einsteinem, a ja monstrualnym nieukiem - i znów mówi, że ktoś się ze mną skontaktuje. Mówię okej, potem ruszam do pracy, nie bardzo wiedząc, czy coś osiągnęłam, czy tylko pogorszyłam sytuację.

ALEX

Poranek zaczyna się jak każdy inny dzień. Wstaję o brzasku, wypijam mountain dew, przemykam obok nieprzytomnego ojca, by wyruszyć do pracy. Mój umysł próbuje na próżno pojąć te kroki, które mi towarzyszyły. Czy ktoś tam był – a jeśli tak, to kto? – czy też po prostu mój mózg splątał mi figła, a wszystko było wytworem mojej wyobraźni? Nie wiem. Już tego ranka przewiduję, jak przebiegnie dzień w restauracji, i boję się każdej czekającej mnie chwili, począwszy od Priddy, która będzie mnie łąć za moją uporczywą opieszałość, a skończywszy na sobie. Widzę w wyobraźni, jak uwalniam się od zapiaszczonej kurtki i biorę się do roboty, jak zmywam góry naczyń pozostawionych w zlewie przez kucharzy, a woda jest tak gorąca, że aż parzy w dłonie. Red i Braids narzekające na skąpość napiwków. Rozbite naczynia. Jedzenie na podłodze. Osiem godzin poczucia, że jestem frajerem.

Moją jedyną nadzieją, kiedy wlokę się wzdłuż niespokojnych brzegów jeziora Michigan, by powitać Priddy, jest to, że będzie tam Perła. Znow usiądzie przy oknie restauracji, znow ze wzrokiem skierowanym ku gabinetowi doktora Gilesa. Jest to jedyna rzecz, która pozwala mi odbyć monotonną, powtarzalną wędrówkę do pracy, zaakceptować ponurą perspektywę ośmiu godzin na nogach, biegania po lokalu, zbierania w dłoń brudnych widelców i noży innych ludzi. Zmywania naczyń. Wycierania resztek jedzenia ze stołów i podłogi. Dzień za dniem, i znow za dniem, wiedząc w głębi duszy, że to się nigdy nie skończy.

Kontynuuję wędrówkę wzdłuż jeziora, obok unieruchomionej karuzeli, i kieruję się do miasta.

Jest tam stacja linii kolejowej Amtrak, położona niedaleko plaży. Osiemset metrów, czterysta metrów, nie wiem. Trudno powiedzieć. Po prostu po drugiej stronie zapiaszczonego parkingu przy plaży. Jest niewielka, tylko poczekalnia i kasa, prócz tego stojak na kilka rowerów, pusty o tej wczesnej porze. Nie ma nawet kibla. Pociąg przejeżdża dwa razy w ciągu dnia, w jedną albo w drugą stronę, do Grand Rapids na wschód albo do Chicago na zachód. Dzisiaj to kierunek wschodni, pociąg pasażerski do Grand Rapids, Michigan. Nigdy tam nie byłem.

Na stacji panuje spokój, kiedy przechodzę w trakcie codziennej porannej wędrówki do pracy, tylko kilkoro pasażerów wchodzi do wagonu, by odbyć dwuipółgodzinną podróż. Ktoś wysiada, przyjechawszy właśnie z Chicago.

Niektórzy trzymają duże torby podróżne i walizki, ale są też puste ręce, tylko torebka przerzucona przez ramię albo portfel w tylnej kieszeni dżinsów. To krótka podróż w obie strony, taka, którą można odbyć w ciągu jednego dnia. Tam i z powrotem w jeden dzień.

I to właśnie, jak się zdaje, uczyniła Perła, kiedy widzę, jak zstępuje z wielkich stopni pociągu i pojawia się w mieście.

Znowu.

Wyjechała i wróciła, i wydaje się, że tylko ja o tym wiem.

Ale nie jestem dzięki temu wiele mądrzejszy, choć zastanawiam się siłą rzeczy, dlaczego tu wróciła.

Czekam w restauracji cały ranek, żeby się pojawiła.

Dzień jest względnie spokojny. Poranny tłum – słowo, którym tak łatwo się posługuję, „tłum” – składa się głównie ze starszych ludzi, tych, którzy nie muszą śpieszyć się do pracy albo szkoły. Z czasem znikają, a w ich miejsce pojawiają się kierowcy autobusów szkolnych; oni też z czasem znikną.

I właśnie wtedy pojawia się Perła.

Wszystko wygląda jak tamtego dnia, kiedy tu weszła po raz pierwszy. Stoi pewna siebie, czekając na wolny stolik, i gdy nadchodzi jej kolej, prosi o miejsce przy oknie, przez które może obserwować i patrzeć, obejmując wzrokiem gabinet doktora Gilesa znajdujący się naprzeciwko i nielicznych przechodniów, którzy przemierzają ulicę tam i z powrotem.

Śledzę ją ukradkiem, kiedy ściąga z szyi szalik i zdejmuje czapkę z głowy, a potem kładzie jedno i drugie na wolnym krześle po lewej stronie. Uwalnia się od kurtki i wiesza ją na oparciu krzesła, a ja myślę sobie: „Nie poprzestawaj na tym”, wyobrażając sobie, jak nad brzegiem jeziora rozbierała się do bielizny. Ale oczywiście poprzestaje na tym. Prosi o kawę, kiedy podchodzi do niej Red, potem siada na krześle i krzyżuje nogi na wysokości kostek, buty marki Ugg są mokre, jakby brodziła przez cały dzień w wodach jeziora. Jest na nich też piasek, wilgotny piasek, przylegający do owczej skóry jak rzep.

Red to duża dziewczyna, ma ręce mięsiste niczym ciasto na chleb, kredowobiałe, chronione przed blaskiem słońca przez ścierkę kuchenną, a drożdże w środku sprawiają, że rośnie. Jej głos, jej maniera, wszystko, co jej dotyczy, jest wredne i grubiańskie. No i ten jej zapach, coś, co przypomina woń stóp, brudnych stóp, odór stóp. Jej uda ocierają się o siebie, plaskają, kiedy idzie.

I jest Perła, antyteza wszystkiego, co charakteryzuje Red, bez względu na to, czy

ta dziewczyna ulega kompletnemu szaleństwu. Jest starsza ode mnie, ale nie ma to w dzisiejszych czasach znaczenia. O pięć, może o dziesięć lat starsza ode mnie. Dość, by odznaczać się pewnością siebie i finezją, której brakuje większości osiemnastoletnich dziewczyn.

Ale nie dość starsza, by uznać za coś dziwnego to, że się w nią wpatruję.

Kiedy Red znów przechodzi obok jej stolika, Perła zamawia posiłek. Jej głos jest spokojny, przypomina nieledwie szept. Red nachyla się, żeby spytać, o co prosiła. W miejscu, w którym stoję, wyciszam wszelkie dźwięki, więc słyszę senny głos Perły ponad dźwiękowym chaosem restauracji – brzękiem kasy, trzaskiem otwieranych i zamykanych drzwi, przyciszoną muzyką z odtwarzacza CD. Nie jest nieśmiała. Nie o to chodzi. To w jej przypadku akt niejakiej dyplomacji, subtelności, taktu. Żadnego przekrzykiwania hałasu, bo byłoby to prostackie.

Red znika, by wykrzyczeć zamówienie jednemu z kucharzy zajmujących się szybkimi daniami – jej głos jest chrapliwy i gardłowy jak u kogoś, kto pali za dużo, co odnosi się do niej, tak jak do Braids, obie przez cały dzień wychodzą na zewnątrz na rotacyjne przerwy papierosowe – podczas gdy Priddy posyła mi mordercze spojrzenia, każąc brać się do roboty. Ironia losu. Seksizm i tyle. Jestem nękany. Powinienem oddać sprawę do sądu. A mimo to wycieram stoliki, zbieram brudne naczynia i wsadzam je do zmywaka, gdzie stukają, szkło o szkło, srebro o srebro.

Przez okno świeci listopadowe słońce, jak mu się to często zdarza o tej samej porze każdego dnia, o dwunastej, kiedy przechodzi nad południkiem astronomicznym w swym najwyższym punkcie i wkracza w naszą przestrzeń. Obserwuję, jak spokojne twarze gości zaczynają błyszczeć, oczy mrużą się oślepione blaskiem, dłonie podnoszą do głów niczym w salucie.

Gdyby nie słońce, w ogóle bym się nie zbliżył do okna. Ale robię to, przechodząc przez całą salę, żeby chwycić za sznurki żaluzji i zaciągnąć je na tyle, by powstrzymać światło i jednocześnie nie pozbawić Perły widoku ulicy. To ostatnia rzecz, jaką pragnę zrobić. Zabrać jej widok. Wiem, jak bardzo go lubi, gdy tak spogląda przez okno, obserwując z tego miejsca gabinet doktora Gilesa.

Najpierw wyczuwam jej szampon – albo odżywkę, może lakier, skąd mam wiedzieć, u diabła? – jakąś mieszanekę grejpfruta i mięty, coś, co kłuje moje receptory węchowe. Prawdę powiedziawszy, przyprawia mnie także o słabość w kolanach. Nie jestem kimś, kto łatwo mdleje, ale tym razem chyba mi się to przytrafi. Moje ręce drżą, szklanki i kieliszki brzęczą na tacy, więc odstawiam ją, żeby nic się nie potłukło. Zastanawiam się, czy Perła może być tą kobietą, tą zwiewną postacią, która żyje na obrzeżach moich snów? Tą, która przychodzi do

mnie w nocy i błaga:

- Chodźmy...

A teraz, kiedy zbliżam się do niej, mówi:

- Widziałam cię już wcześniej. - Jej słowa wydają się wymuszone, wykrętne, oczy ani razu nie spoglądają w moją stronę.

Mówi do mnie? Rozglądam się, by zyskać pewność.

Obok mnie nikogo nie ma.

Znów to mówi, inaczej tym razem, ale sens jest ten sam:

- Widziałam cię dwa dni temu.

- Wiem. - Mój głos migocze jak żarówka, która lada chwila przepali się i zgaśnie.

A cichy, nienatrętny głos w mojej głowie przypomina, że jestem tchórzem. Frajerem. Ciotą. Piękne kobiety, z jakimi miałem kiedykolwiek do czynienia, to wyłącznie rozebrane dziewczyny w ilustrowanych magazynach. Żyją w mojej garderobie, żeby tata nie mógł ich zobaczyć. Spotykałem się w swoim życiu z trzema dziewczynami, ale za każdym razem trwało to nie dłużej niż dwa tygodnie.

- Na plaży - mówi Perła.

- Wiem. Ja też cię widziałem.

To wszystko, na co mnie stać.

Słyszę za plecami, jak matka małego chłopca każe mu siedzieć i jeść. Odwracam się w tamtą stronę. Kiedy dzieciak nachyla się nad stołem, żeby dotknąć matczynej dłoni, kobieta cofa się pośpiesznie i rzuca warkliwe:

- Nie dotykaj mnie.

Brzmi to kategorycznie, te słowa, proklamacja, która przypomina mi moją matkę.

- Nie dotykaj mnie, Alex.

Ale słowa tej matki są opatrzone postscriptum.

- Masz syrop na dłoniach. - Podaje chłopcu serwetkę.

Moja matka nigdy mi nie wyjaśniła, dlaczego nie chciała, bym jej dotykał. Było to po prostu:

- Nie dotykaj mnie.

Odrywając mnie od wspomnień o matce, Perła dodaje:

- Mógłbyś się chociaż przywitać.

Tym razem jej wzrok przesuwa się od dołu do góry, obejmując spojrzeniem moje czarne tenisówki, tanie plisowane spodnie, firmową koszulę i muszkę, a ja sobie myślę: co mam na to odpowiedzieć? Logika nakazywałaby spytać, dlaczego pływała w przejmująco zimnym jeziorze w środku listopada? Dlaczego nie miała kostiumu kąpielowego, ręcznika plażowego? Nie słyszała o hipotermii, o tym, że można

zamarznąć na śmierć? O odmrożeniach?

Ale byłoby to kulawe.

- Masz jakieś imię? - pytam natomiast, starając się za wszelką cenę zachować spokój, a ona odpowiada, nawet na mnie nie patrząc:

- Mam.

Potem czekam, jakbym siedział na przysłowiowych szpilkach, żeby mi powiedziała. Czekam tak długo, aż zaczynam tworzyć w swojej głowie różne koncepcje na temat tego imienia: Mallory, Jeniffer, Amanda.

Wtedy jednak zjawia się jej danie - Red odsuwa mnie na bok łokciem, żeby przejść z talerzem - a Perła zaczyna jeść ot, tak sobie, wyglądając przez upstrzone okno na przechodniów na ulicy, całkowicie nieświadoma słońca w jej oczach ani mnie, stojącego pół kroku za nią w oczekiwaniu na imię.

Ma imię.

Ale nie mówi mi, jak ono brzmi.

QUINN

W pracy przyłapuję się na tym, że potrafię się skoncentrować tylko na Esther. Nie wie o tym, ale zajmuje każdą wolną chwilę mojego czasu. Słyszę sygnał komórki i od razu myślę o Esther. Czy to Esther? Ale to nie Esther. Słyszę swoje nazwisko rozbrzmiewające w systemie nagłaśniającym, wzywają mnie do recepcji, dokąd biegnę czym prędzej po lśniącej drewnianej podłodze firmy prawniczej, pewna, że to Esther, że czeka na mnie przy biurku recepcji, ale zamiast niej widzę napuszonego adwokata, który wysyła mnie do biura jakiegoś rzeczoznawcy z dokumentami do przeanalizowania. Przystępuję pośpiesznie do wyznaczonego zadania, podczas gdy mój umysł wciąż jest pochłonięty przez Esther, ja sama zaś czuję się zraniona i jednocześnie zatroskana. Dociera to do mnie w przypadkowych momentach, ten fakt, że Esther próbuje się mnie pozbyć, ta zdrada przyćmiona chwilami przez wrażenie, że coś jest nie tak, że coś się jej stało.

Gdy tylko wracam do firmy po wykonaniu polecenia, odnajduję Bena i dowiaduję się, że też utknął w martwym punkcie swoich poszukiwań. Choć podejmował próby wytropienia pana albo pani Vaughan, niczego nie ustalił. Ben siedzi w swojej klitce, kiedy podchodzę do niego od tyłu, a on wzdyga się na krześle obrotowym. Pociera się po głowie i wzdycha, tracąc nadzieję tak samo jak ja. Na ekranie komputera widnieją dwa dręczące słowa: „Nie znaleziono”.

- Żadnych wiadomości od Esther? - pyta.

Kręcę głową i mówię:

- Nic.

Nie ja jedna zauważam, że nie sposób skupić się na nudzie i głupocie pracy. Nie obchodzi mnie w tej chwili coś takiego jak oznaczanie dokumentacji metodą Batesa, opracowywanie dokumentów albo ostateczny termin, który wyznaczył mi jakiś obłąkany prawnik, a który dotyczy skopiowania tysiący dokumentów. Wszystko to wydaje się śmieszne i mało znaczące wobec zaginięcia Esther.

Nie ja jedna czuję się sfrustrowana tym dziwnym obrotem spraw. Ben też tak to odczuwa i tu, w jego ponurej klitce, narzekamy, że nie sposób skupić się na pracy, kiedy praca jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślimy. Umawiamy się, że wychodzimy, i przed drugą piętnaście udajemy chorobę w miejscu zatrudnienia. To zatrucie pokarmowe. Trzymamy się za brzuchy, utrzymując, że zjedliśmy coś nieświeżego, zepsutego, zgniłego. Rostbef, mówię, a Ben wini sałatkę z kurczaka. Pojawia się

groźba wymiotów i każą nam w trybie natychmiastowym iść do domu. Po prostu się zmywajcie.

A my to robimy.

Bierzemy jedną taksówkę na mój koszt, ponieważ Ben też jedzie do mojego mieszkania w Andersonville, żeby pomóc mi rozgryźć tę tajemnicę. Proponuje, że dołoży się do taryfy – oczywiście, że tak, mój osobisty rycerz w błyszczącej zbroi (tyle że jeszcze o tym nie wie) – ale mówię nie. Taksówkarz ciska nas ulicami Chicago, rzucając to w jedną, to w drugą stronę na wytartym skórzanym siedzeniu. Opuszcza Loop i wskakuje na Lake Shore Drive, potem skręca w Foster. Obserwuję przez brudne szyby jezioro Michigan, kiedy je mijamy, woda jest niebieska, tak jak niebo, ale to nie oznacza ani trochę, że jedno i drugie jest choć odrobinę ciepłe. Dzień jest pogodny, jeden z tych dni, kiedy się mówi, że można ze szczytu Willis Tower sięgnąć wzrokiem aż do Michigan. Nie wiem, co można zobaczyć, najwyżej jezioro po drugiej stronie, wylewające się na wybrzeże jakiegoś nieistotnego miasta, jak przypuszczam. Na zewnątrz jest zimno, wiatr nie zna litości, i choć wiem, że nie ma to nic wspólnego z burzliwą aurą szalejącą w naszych duszach, ta nazwa, Wietrzne Miasto jest jak najbardziej na miejscu.

Taksówkarz, pędząc po Lake Shore Drive, osiąga dobre sto kilometrów na godzinę, i choć oboje jesteśmy wystraszeni jak diabli, śmiejemy się na tylnym siedzeniu, ja i Ben. Nie wydaje się to w porządku. Być może Esther znajduje się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Ale jest w tym też trochę desperacji, trochę bólu i cierpienia. Nie jest to bez troski śmiech.

Martwię się o Esther, oczywiście, a jednak w jakimś stopniu jestem przygnębiona tym jej wyrafinowanym planem, by zastąpić mnie kimś innym. Tak wiele tropów na nią wskazuje. To Esther napisała budzące niepokój listy do Najdroższej Osoby, to Esther zamieściła ogłoszenie w „Readerze”, to Esther zmieniła imię i nazwisko, to Esther zrobiła sobie zdjęcia paszportowe, to Esther poprosiła o wymianę zamka w drzwiach naszego mieszkania.

Esther, Esther, Esther...

Więc dlaczego miałabym się o nią martwić, kiedy to wszystko zrobiła ona i tylko ona?

Poza tym jeśli nie będę się śmiać, to mogę oszaleć.

Gdy wysiadamy z taksówki przy mojej małej Farragut Avenue z tymi wszystkimi domami mieszkalnymi, włosy chłoszczą mi wiatr, porywając je w stronę przeciwną do tej, w którą powinny mnie zaprowadzić stopy. Instynktownie chwytam Bena za ramię, a on mnie podtrzymuje, nim cofam rękę i go puszczam.

- W porządku? - pyta.

A ja odpowiadam:

- Tak, w porządku. Mocno wieje.

Wciąż jednak czuję jego dłoń na swojej skórze. Co on takiego widzi w Priyi? Dlaczego nie we mnie zamiast w niej?

Nie mogę jednak teraz o tym myśleć.

Ben rusza pierwszy, idę tuż za nim, pokonujemy betonowe stopnie, potem białe drzwi frontowe i wkraczamy do bezbarwnego holu. Nie ma tu nic z wyjątkiem szesnastu skrzynek na listy i brudnej szarej wycieraczki pokrytej zastarzałym tłuszczem i drobinkami tynku.

„Witajcie” - widnieje napis na wycieraczce, choć jest obrócona, więc widzi się to słowo, dopiero kiedy wychodzi się z budynku.

Nie mam pojęcia, co zamierzamy zrobić albo w jaki sposób spróbujemy odnaleźć Esther. Wiem jednak, że cholernie się cieszę, mając kogoś u swego boku, kogoś tak praktycznego i trzeźwego jak Ben, kto pomoże mi poradzić sobie z tymi wszystkimi głupimi pomysłami rojącymi się w moim mózgu. No i odczuwam samotność, więc jestem spragniona czyjejś obecności, spragniona dźwięku głosów innych niż te, które żyją w mojej głowie. Cieszę się, że to właśnie Ben.

Wyjmuję pocztę ze swojej skrzynki, po czym ruszamy schodami na górę, Ben idzie przodem, ja za nim. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie patrzę na jego tyłek.

Już przy drzwiach grzebię się z kluczami, zapomniawszy niemal, że mój klucz - mały miedziany wihajster, który mam niemal od roku - nie wchodzi już do zamka, więc szukam w kieszeniach tego nowego, tego, który wyjęłam ze starczych dłoni Johna konserwatora. Już w mieszkaniu zamykam nogą drzwi i rzucam stos korespondencji na szafkę, a potem ruszam dalej, nie myśląc o niej, dopóki Ben nie pokazuje mi jakiegoś katalogu.

- Muszę wiedzieć, która z was coś stąd zamawia - mówi. - Ty czy Esther?

Na jego twarzy jest uśmiech, żartobliwy uśmiech, ale ja nagle czuję się poirytowana i zmieszana. Widziałam już wcześniej ten katalog. Trafia regularnie do naszej skrzynki, druk z rodzaju tych, które z miejsca lądują w pojemniku na makulaturę, jak menu serwowanych przez delikatesy potraw na wynos, przez które nabawiłyśmy się niestrawności. Dlaczego wciąż przysyłają nam ten katalog? Na okładce jest zdjęcie młodej, niespełna dwudziestoletniej kobiety w jakimś okultystycznym stroju, długiej sukni, która uchodziłaby nawet za słodką, gdyby nie była przyozdobiona czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami, i gdyby nie była w platformach na wysokim obcasie najeżonych kolcami. Na szyi ma obrózkę

z czarnej skóry, koszmarne zaciśniętą, że aż dziw bierze, że się nie udławi.

Sięgam po katalog, wydaję go z dłoni Bena i z jakiegoś powodu obracam, żeby spojrzeć na okładkę na odwrocie i sprawdzić, dlaczego bezustannie wrzucają nam to do skrzynki. Czy ten katalog należy do Esther? Czy była w poprzednim życiu wampirem? Miłośniczką gotyku? Ubierała się na czarno i uprawiała clubbing pod pseudonimem Kruk, Burza albo Druzylla? Czy przejawiała dziwaczną fascynację śmiercią, maniackalne zainteresowanie zjawiskami nadprzyrodzonymi? Nie wiem. Towarzyszy mi to nieznośne uczucie, że nie mam już pojęcia, kim jest Esther.

Ale na naklejce z adresem zamiast jej nazwiska, które spodziewam się zobaczyć, widnieje Kelsey Bellamy, zamieszkała przy 1621 West Farragut Avenue.

Tak, to mój dom, ale kim jest Kelsey Bellamy?

Nigdy nie spytałam Esther o jej dawną współlokatorkę, a ona nigdy o niej nie mówiła. Jakby nie istniała, choć wiem oczywiście, że istniała. To był powód pustej przestrzeni, pragnienia Esther, by wypełnić obecnością pokój niegdyś pełen życia, ale nagle go pozbawiony.

Wtedy nawiedza mnie jedna myśl, jedno wspomnienie: imię wydrapane na ścianie garderoby w mojej sypialni, zapomniany fragment zdjęcia noszącego ślady włosów Esther, tego, które znalazłam w garderobie pustej sypialni, kiedy się wprowadziłam.

Wychodzę pośpiesznie z pokoju, kierując się do swojej sypialni. Ben depcze mi po piętach, dopytując się:

- Dokąd idziesz?

A ja mu pokazuję, a potem rozsuwam drzwi wbudowanej szafy i zaczynam wyjmować rzeczy na chybił trafił, rzucając na podłogę sukienki z wieszakami, odsuwając na bok walizkę z kółkami, której nigdy nie używałam, prezent od rodziców z okazji ukończenia studiów, na wypadek gdybym kiedykolwiek poczuła chęć, by „ruszyć tyłek i wyjechać”. W tej chwili mam chęć ruszyć tyłek i wyjechać. Ale dokąd?

- Czego szukasz? - pyta Ben, kiedy wskazuję drżącą ręką sześć znaczących liter na ścianie z płyty kartonowo-gipsowej, wydrapanych czymś, co może być nożem do mięsa. Jeszcze godzinę temu nic dla mnie nie znaczyły, ale teraz jest inaczej.

Kelsey.

Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

Tak brzmi to przysłowie?

Tak czy siak, ale nie mogłoby być bardziej trafne.

Siedzimy w moim mieszkaniu, Ben na różanej kanapie, ja na krześle w czarno-białą kratę, bo wydaje się, że tak trzeba, że tak jest odpowiednio skromnie. Mogłabym umościć się obok niego, skoro usiadł pierwszy i zrobił mi miejsce. Ale oczywiście taki pomysł wydał mi się zbyt lekkomyślny i zuchwały. I jeszcze coś: gdybym już usiadła, a on wstał i znalazł sobie inne miejsce, to byłoby fatalnie, prawda?

Dlatego siadam samotnie, na krześle, i w ten sposób zajmuję miejsce kierowcy, woźnicy, sternika. To ja sprawuję kontrolę. Zresztą z drugiej strony industrialnego stolika do kawy obraz jest dokładniejszy, bardziej szczegółowy. Tak na ciebie lepiej patrzeć, mój drogi – mogłabym powiedzieć, choć rzecz jasna tylko pomyślałam.

Jego jasnobrązowe włosy są ostrzyżone na jeża, fryzura, która wymaga wizyty u fryzjera co dwa tygodnie, dla podcięcia. Na jego twarzy pojawia się wyraz powagi, jak wtedy, gdy pracuje, zmagając się z niezwykle ważnym zadaniem, jakim jest numerowanie dokumentów systemem Batesa, podobnie jak w moim przypadku. Ale teraz jego palce przebiegają szybko po klawiaturze, potem patrzy z uwagą na ekran. Potem znów pisze i znów patrzy. Gdy unosi stopy na wysokość stolika, widzę, że nie ma butów. Skarpetki są czarne, krótkie i grube, podciągnięte do połowy goleni. Zdjął krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli w stylu Oxford. Nie nosi pod spodem podkoszulka, skórę ma opaloną i gładką.

Chcę jej dotknąć.

- To dziwne – mówi w nieco makabryczny i budzący grozę sposób i podnosi wzrok, by spojrzeć mi w oczy, a ja już i tak patrzę w jego oczy.

Dochodzi piąta. Niedługo nasi koledzy z pracy wyruszą do domu, uciekając z czarnego wieżowca jak szczury z tonącego okrętu. Za oknami mieszkania szybko zapada zmierzch. Koniec dnia. Podnoszę się z kratkowanego krzesła, żeby zapalić światło, rozświetlić wygiętą w łuk lampę podłogową, której żółty blask wypełnia przestrzeń.

- Co jest dziwne? – pytam.

- Posłuchaj tego. – Ben odchrząkuje i czyta:

Kelsey Bellamy, lat dwadzieścia pięć, zamieszkała w Chicago w stanie Illinois, zmarła we wtorek 23 września w Szpitalu Metodystów. Urodziła się 16 lutego 1989 roku i przeprowadziła do Chicago z rodzinnego domu w Winchesterze w stanie Massachusetts w 2012 roku. Ostatnie dwa lata przed śmiercią pracowała jako nauczycielka na zastępstwie w szkolnym okręgu Chicago. Pozostawiła narzeczonego, Nicolasa Kellera, rodziców, Johna i Shannon Bellamy, rodzeństwo Morgan i Emily, a także dziadków, ciotki, wujów i przyjaciół. Trumna będzie

wystawiona 26 września, w piątek, w godzinach od 15. do 18. w domu pogrzebowym Palmer w Winchesterze w Massachusetts. Zamiast kwiatów można przekazać dotację na rzecz Food Allergy Research and Education.

Ben szuka daty zamieszczenia nekrologu i ją znajduje, to wrzesień zeszłego roku, zaledwie kilka tygodni przed moim wprowadzeniem się do Esther. Kilka tygodni!

- Niech mnie diabli! - mówię, myśląc przy tym, jakie to smutne, ale też dodaję w duchu: „jasna cholera”.

- Jesteś pewien, że to o nią chodzi? Że to właśnie Kelsey Bellamy, która tu kiedyś mieszkała? - pytam, a potem coś przychodzi mi do głowy.

Mój Boże! - myślę w popłochu. Mam nadzieję, że nie umarła tutaj... I widzę martwą Kelsey Bellamy, martwą na podłodze mojej sypialni. Jak najszybciej wyrzucam ten obraz z umysłu.

- No, nie mam pewności - mówi Ben. - Ale to jedyna Kelsey Bellamy, jaką mogę znaleźć w całym Chicago. Wiek też się zgadza, bo trudno sobie wyobrazić, by Esther mieszkała z jakąś sześćdziesięciolatką.

- Nie mogę uwierzyć, że Esther mi o tym nie powiedziała - mówię, ale sęk w tym, że mogę. Dwa albo trzy dni temu powiedziałabym, że to niemożliwe, ale teraz już nie jestem taka pewna. Zaczynam odkrywać, że nie wiedziałam o wielu sprawach dotyczących życia Esther.

Esther, Jane czy kimkolwiek jest, do diabła.

- Jak umarła? - pytam.

- Nie piszą - mówi Ben. - Ale przypuszczam... - urywa, by po chwili dodać: - Spójrz tutaj.

Przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce na małej kanapie. Nie musi tego powtarzać, choć jestem nieco urażona, gdy wyszło na jaw, ile przestrzeni według niego potrzebuje mój tyłek. Pokazuje ekran tabletu, kiedy rzucam na podłogę poduszkę i sadowię się obok Bena. A na ekranie widzę Kelsey Bellamy.

Na tym wizerunku jest urocza. To pierwsza myśl, która pojawia mi się w głowie. Ale nie urocza za sprawą typowych blond włosów i niebieskich oczu. Bardziej urocza na modłę gotycką, z tymi kruczoczarnymi włosami i zasnutymi mgłą oczami, stąd gotycki katalog dostarczony tego popołudnia. Jej skóra jest popielatobiała. Bielsza niż biel, jakby pokryta grubą warstwą pudru dla niemowląt - albo jakby sama Kelsey Bellamy była duchem, już martwa. Nabieram pewności, że ubierała się jak wielbicielka gotyku, ale z pewnym rysem kobiecości - czarna spódniczka Lolity, marszczona bluzeczka, czarna szminka.

Z trudem wyobrażam sobie Kelsey Bellamy jako nauczycielkę na zastępstwie.

- To dziwne - mówię. - Naprawdę dziwne.

- Jakbym nie wiedział - mówi Ben, kontynuując swoje poszukiwania, by sprawdzić, czego jeszcze może się dowiedzieć.

Kiedy siedzimy - ściśnięci na małej kanapie, tak że nasze kolana dzielą zaledwie centymetry, a nasze oczy śledzą ten sam wiatraczek na tym samym ekranie, gdy tablet myśli, a ja wdycham świeżą cytrusową woń wody kolońskiej Bena - natrafiamy na stronę Kelsey na Facebooku, na której przyjaciele i bliscy umieszczają żałobne łzawe posty o ukochanej córce, wnuczce, siostrzenicy i przyjaciółce.

Niektórzy twierdzą, że to współlokatorka Kelsey była odpowiedzialna za jej śmierć.

Okropny wypadek.

Tak piszą inni, ale niektórzy nazywają to zaniedbaniem. Są też tacy, którzy uważają, że powinna być skazana za nieumyślne zabójstwo. To znaczy Esther. Współlokatorka, jak ją nazywają. Mówią, że Esther - moja Esther - to zrobiła. Że zabiła Kelsey.

- Nie sądzisz chyba... - zaczyna Ben, ale urywa, nie wyrażając tej myśli głośno.

Nie potrafię nawet opisać, co przechodzi mi przez głowę.

No i odzywa się mój żołądek, który nagle zjeżdża w dół, aż do moich stóp.

Wydaje mi się, że zaraz zwymiotuję.

ALEX

Ostatecznie to ciekawość sprawia, że postanawiam wejść do zniszczonego budynku po drugiej stronie ulicy. Nocna pora, więc jest ciemno, kiedy wracam do domu po kolejnym długim dniu pracy, czując, jak koszmarne zmęczone są moje stopy i nogi. Gdy zbliżam się do tej rudery, widzę błysk, taki sam, jaki widzieliśmy poprzedniego wieczoru, tata i ja: światło gaśnie i się zapala.

Coś zwraca moją uwagę.

Ptak, pospolity gwarek, siedzi na powykrzywianych płytkach dachowych, wyśpiewując chrapliwą, skrzekliwą pieśń, a jego opalizująca czarna głowa pobłyskuje w świetlistym blasku Księżyca. Przycupnął na starym zapadniętym dachu, wielkie paciorkowate oczy spoglądają w dół, ku ulicy, na mnie, ostro zakończony dziób jest obrócony w moją stronę. Ogarniam wszystko wzrokiem: lśniące ciało ptaka, połyskliwą ciemną głowę, długi i zwężający się łagodnie ogon, stopy brązowe i powykrzywiane jak dłonie starej kobiety.

Księżyc, doskonale okrągła kula, wznosi się wysoko na nocnym niebie, podczas gdy obok przepływają leniwe chmury.

Najpierw biegnę do domu po kilka narzędzi, a potem przyglądam się budynkowi po drugiej stronie ulicy, próbując wykombinować, jak najskuteczniej dostać się do środka. Chcę wiedzieć, kto tam mieszka i czy rzeczywiście jest to, jak uważa tata, jakiś squatter. Biorę ze sobą ciastko, które przyniosłem do domu z restauracji. To czekoladowy croissant wciśnięty w kieszeń. Ktokolwiek tam mieszka, może być głodny.

Przechodzę przez ulicę i zatrzymuję się na podniszczonym chodniku, widząc imiona pod stopami, imiona wyryte dziesiątki lat temu w twardniejącym betonie, jakby na dowód, że ktoś tu kiedyś mieszkał. Że ten dom nie zawsze był opuszczony.

Jest tak zwana niebieska godzina, czyli ta pora dnia, kiedy wszystko przybiera lekko granatowy odcień, a walący się dom też staje się niebieski. Kilka okien zabito sklejką, więc wejście tą drogą jest wykluczone. Nie zamierzam zмагаć się gołymi rękami ze sklejką. Jest przytwierdzona do wnęki okiennej zardzewiałymi gwoździami, więc mógłbym umrzeć z powodu tęcza, gdybym dotknął tego przeklętego żelastwa. Nie jest to coś, czego chciałbym doświadczyć – spazmy i sztywnienie mięśni, ryzyko śmierci – zatem posługuję się tym, co przyniosłem z domu, czyli wyciągaczem gwoździ, który należy do taty, i parą rękawic roboczych.

Wkładam te rękawice i za pomocą wyciągacza usuwam stare zardzewiałe gwoździe z zabitego dechami okna na tyłach budynku, gdzie jestem mniej widoczny, i odrywam sklejkę od żółtego sidingu. Rzucam ją na ziemię. Potem wchodzę na podnózek, który też ze sobą zabrałem, żeby wspiąć się do środka, i posługując się końcówką wyciągacza, wypycham z ram okiennych pozostałe kawałki szkła, żeby się nie pokaleczyć. Jest tu ciemno i trudno cokolwiek zobaczyć, a jednak gdy gramolę się do wnętrza, blask Księżyca pada na tyły domu, ja zaś uświadamiam sobie, że cały mój wysiłek był niepotrzebny, gdyż niespełna dziesięć metrów dalej znajduje się inne okno, z którego usunięto sklejkę, a szybę już wybito. Z pewnością to robota squatterów.

Wewnątrz sufit się zapada, kawały płyt kartonowo-gipsowych skruszały, odsłaniając szkielet domu. W środku jest ciemno, ale na szczęście mam latarkę. Obmacuję ścianę w poszukiwaniu kontaktu i jestem zaskoczony – i jednocześnie nie jestem – gdy stwierdzam, że nie ma tu prądu, który z pewnością wyłączono już lata temu. Oznacza to tylko, że nielegalni lokatorzy, którzy biwakowali tutaj, też posługiwali się latarkami, a ich blask widziałem z tatą przez otwarte okno. Błysk, ciemność. Latarka albo lampion. Może świeczka.

Wewnątrz odkrywam, że kiedy właściciele odeszli, musieli zrobić to w pośpiechu, bo nie zabrali ze sobą zbyt wiele. Ale tak czy inaczej, dom został ogołocony z urządzeń, z mebli, z tych wszystkich rzeczy, które inni ludzie mogli sprzedać i zarobić kilka dolców. Za to pozostało sporo przedmiotów o wartości sentymentalnej, ale bez wartości rynkowej. Wazon, szachownica, zepsuty zegar, którego wskazówki na zawsze utknęły na ósmej czternaście. Po kolei odcinano media z powodu zaległych rachunków, na końcu wodę, i to dopiero wtedy, gdy rury zamarły i popękały. Bank próbował sprzedać ten dom na aukcji, ale nikt nie był zainteresowany kupnem. Nie opłacało się zrównać go z ziemią i budować coś nowego, dlatego pozostał. Sąsiedzi byli bliscy tego, by podpalić budynek i patrzeć, jak płonie. Nie taki zły pomysł w moim przekonaniu. Nikt jednak nie chciał zadzierać z duchem Genevieve, z czymś, co nawet nie istnieje.

Na ścianach widnieją graffiti. Przez popękane ściany wnika do środka jakaś płożąca roślina. Trawnik to istny nieład, przerośnięte krzewy niemal przejmują we władanie fasadę domu. Na tyłach wszędzie widać powalone drzewa, ich pieńki przyczernia próchnica. W środku pozostały osobliwie normalne pozostałości zwykłego życia, na przykład stos pokrytych pajęczynami i odchodami gryzoni melaminowych miseczek na płatki owsiane w szafce kuchennej. Tam, gdzie sufit runął do wnętrza, walają się fragmenty płyt kartonowo-gipsowych, widać też

odślonięte dachówki, taki zaimprovizowany świetlik. Ze ścian sterczy izolacja, jak bebechy z rozdartego pluszowego misia.

Kiedy tak przemierzam na palcach ten dom w ruinie, spodziewam się zobaczyć jakiegoś squattera, może nawet całą rodzinę squatterów kulącą się pod kocami na podłodze. Albo nastoletnich chuliganów, którzy palą trawkę w przekonaniu, że nikt tego nie zauważy, lub też jakiegoś włóczęgę, który wpadł tu przejazdem i szuka ciepłego, suchego miejsca, żeby się przespać pod w miarę bezpiecznym dachem.

Może jednak nie jestem taki bystry, jak wielu mogłoby się zdawać, ponieważ nie przychodzi mi do głowy, i to ani przez moment, że mogę zobaczyć Perłę, która stoi w opuszczonym salonie, ale tak właśnie jest. Dostrzegam jej farbowane włosy, które spływają falami na plecy, rumieniec, który wykwita na policzkach, jakby ktoś trzepnął ją właśnie po twarzy. Kiedy tak patrzę, przyciska opuszki palców do tych policzków; mogę przysiąc, że są zimne. Nawet wewnątrz – w nieogrzewanym domu, przy wyłamanych oknach, które obejmują jesienną noc – są odrętwiałe z chłodu. Jej oczy błyszczą i zaczynają łzawić w zimnym listopadowym powietrzu. Tak jak i nos, podczas gdy z jej warg o łososiowym kolorze dobywają się kłęby pary, białawoszare kłęby niczym chmury.

I teraz, kiedy tak stoimy prawie w ciemności i słyhać przez otwarte okno, jak ptak, ten gwarek, znów zaczyna wyśpiewywać swoją niesamowitą małą elegię, a pulchny Księżyc w pełni świeci przez potłuczoną szybę, Perła zwraca się do mnie z uśmiechem.

– Cześć – mówi. – Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek przyjdziesz.

– Co tu robisz? – pytam.

– To samo co ty – odpowiada głosem spokojnym jak tafla jeziora. Jej ton jest poetycki, rytmiczny, a gdy wypowiada te słowa, obraca drobne stopy w moją stronę.

– Rozglądam się. – Wytycza palcem wskazującym linię w warstwie kurzu, który pokrywa gzymś kominka, a potem patrzy na brud na swojej skórze i wyciera go o nogawkę spodni.

W pokoju jest mroczno, nie czarno, ale wciąż mroczno, Księżyc w pełni stara się za wszelką cenę wniknąć do środka. Świeci zza opasyłych chmur, jego blask pojawia się i niknie, tak jak światło z latarki, którą trzyma w dłoni Perła, włączając ją raz za razem. Błysk, ciemność.

Myślę o tacie, który siedzi zupełnie sam w domu po drugiej stronie ulicy, obserwując te mignięcia przez okno. I niemal słyszę, jak mówi:

– Cholerni squatterzy. Cholerni squatterzy znów tam mieszkają.

Ale nie, myślę sobie. Nie squatterzy. Perła.

To wykluczające się nawzajem pojęcia, przynajmniej w moim przekonaniu. Ta dziewczyna nie jest squatterem, ponieważ, no cóż, ponieważ nie może nim być. Zasluguje na coś więcej, na coś więcej niż brud, paskudztwo, plugastwo. Na coś lepszego.

Wchodzę powoli do salonu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć albo zrobić. To salon, wiem, bo wciąż stoi tu kanapa, sofa w kratę, i pozostałości po niegdysiejszym kominku, wsadzie ogniowym z kutego żelaza, obramowanym marmurowym gzymsem i pokrytym warstwą kurzu. Palec Perły przesunął się po nim jak po mapie drogowej.

Na podłodze, u jej stóp, leży koc, dziurawy i zjedzony przez mole, i płaska poduszka, którą, jak się domyślam, Perła wzięła z sofy, żeby podkładać coś pod głowę. Materiał pasuje do kanapy, niebieska wiejska krata, trudno mi uwierzyć, że była kiedykolwiek w modzie. Ale była. Kiedyś. Dawno temu. Serce ściska mi się odrobinę, kiedy myślę o Perle, która kładzie swoją cudowną głowę na tej nędznej poduszce i przesypia noc na brudnej, twardej podłodze. Stojąc przede mną, obejmuje się ramionami i drży. Jestem pewien, że na dworze jest najwyżej dwanaście stopni Celsjusza. Mój wzrok znów wędruje w stronę kominka, pustego i zimnego paleniska.

- Śpisz tutaj? - pytam, choć odpowiedź jest oczywista.

Chcę jej powiedzieć o szcurach, robakach, o tabliczkach ostrzegawczych, na których jest napisane „Wstęp wzbroniony” i „Nie nadaje się do zamieszkania”, ale tego nie robię. Domyślam się, że ona wie już o tym wszystkim. Nie odpowiada na moje pytanie, tylko patrzy, jej oszałamiające oczy próbują za wszelką cenę odczytać to, co maluje się w moich, tak jak moje próbują odczytać to, co maluje się w jej oczach. Więc mówię tylko:

- Wiesz, że ten dom jest podobno nawiedzony. - Zastanawiam się przy tym, czy powinienem powiedzieć coś więcej, powiedzieć o Genevieve, małej dziewczynce, która umarła w wannie, a jej duch, jak powiadają, prześladowuje wszystkich, którzy wchodzą do tego domu. Ale nie robię tego. Nie mam na to czasu, bo Perła uśmiecha się do mnie, to uśmiech pełen pewności siebie, i oznajmia ze wzruszeniem ramion:

- Nie wierzę w duchy.

Odpowiadam jej uśmiechem, a potem mówię:

- Ja też nie. - Moje dłonie mimowolnie zanurzają się w kieszeniach i odnajdują czekoladowego croissanta. Lecz mój uśmiech nie ma w sobie żadnej pewności, a słowa dobywają się z moich ust stłumione i chrapliwe, jakbym połknął kłęb bawełny i miał trudności z mówieniem. Są też rozdygotane, jak moje dłonie.

Niewykluczone, że zacznę sapać.

Wyciągam croissanta z kieszeni, teraz już spłaszczonego i odrobinę żalosego, i podsuwam go Perle.

- Nie. - Kręci głową.

Stoi przede mną, taka pierwsza naiwna. W każdym razie tak jawi się w moich oczach. Dziewczyna z sąsiedztwa albo może dama w opałach, która czeka na swego rycerza. Coś w tym rodzaju... albo po prostu taką pragnę ją zobaczyć. Wygląda na zmęczoną, zmarzniętą i niewykluczone, że odrobinę wystraszoną. Teraz, z bliska, dostrzegam, że jej ubranie jest trochę obdarte - nie w jakiś modny sposób, oczywiście, ale taki, który każe sądzić, że wędrowała po kraju przez wiele dni, śpiąc na brudnych, zakurzonych podłogach. Mimo wszystko budzi we mnie introwertyka, antyspołecznego samotnika, który nie ma pojęcia, jak rozmawiać z dziewczynami. Nie ma to nic wspólnego z jej osobą, raczej z tym, że jest właśnie dziewczyną - kobietą - w dodatku ładną. To sprawia, że drżą mi ręce, że z trudem znajduję słowa, zaś mój wzrok kieruje się bezustannie ku odrażającej podłodze pod moimi stopami, a nie ku jej oczom.

- Jak masz na imię? - pyta.

A ja, obrzucając ją przelotnym spojrzeniem, wyjawiam:

- Alex.

Lecz gdy z kolei ja pytam ją o imię, odpowiada przemądrzałym tonem:

- Moja matka mówiła mi, żebym nie rozmawiała z nieznajomymi. - Uśmiech na jej wargach jest aż nadto wymowny.

Nie jest aż tak nieśmiałą osobą, za jaką próbuje w moich oczach uchodzić. Wychwytuje w tym wszystkim trochę figlarności, może nawet przebiegłości, ale nie mogę powiedzieć, bym miał coś przeciwko temu. Podoba mi się to na dobrą sprawę.

- Już ze mną rozmawiasz - mówię, ale ona nadal nie chce mi zdradzić swojego imienia.

A ja nie nalegam. Może istnieje mnóstwo powodów, dla których nie chce tego zrobić. Ucieka przed czymś i kryje się tutaj. Ma kłopoty z policją albo nawet z jakimś groźnym facetem. Nie mój interes. Myślę o niej i doktorze Gilesie, o tym, jak jej oczy spoglądały na niego przez szybę restauracji. O tym, jak widziałem ją wczoraj, gdy oddalała się ulicą, a on patrzył za jej sylwetką ginącą za wzgórzem na końcu miasta. Czy była już wcześniej u niego, w tym niebieskim domku, i rozmawiała z nim? Nie wiem. Domyślam się, że jej przebywanie tutaj ma z nim coś wspólnego, że może jest jego pacjentką, ale zważywszy na to, jak patrzy przez okno restauracji, z fascynacją i ciekawością, może nawet z odrobiną tęsknoty, myślę

sobie, że może chodzić o coś więcej. Tak, może chodzić o coś więcej, o coś, co wykracza poza relację lekarz - pacjent. Ale to tylko przeczucie, jakaś opowieść do poduszki wymyślona przeze mnie. Tak naprawdę nic nie wiem.

- Od jak dawna tu jesteś? - pytam.

- Dwa dni. - Wzrusza ramionami. - Tak sędzę.

W mieście jest tani motel, pensjonat *bed-and-breakfast* i hotele na dłuższy pobyt. Są do wynajęcia domy letniskowe, domy na plaży, kilka kampingów. Ale przypuszczam, że nie stać jej na takie lokum, więc nie mówię jej tego. Dałbym jej pieniądze, gdybym mógł, ale nie mam pieniędzy. Choć trudno dostrzec cokolwiek w tym mroku, mimo wszystko wypatruję śladów niewłaściwego traktowania albo przemocy, takich jak blednące sińce, połamane kości, utykanie. Czegoś, co by dowodziło, że ucieka przed czymś lub przed kimś, ale niczego takiego nie dostrzegam.

Właśnie w chwili, gdy obejmuje się tymi wiotkimi rękami i drży z zimna, mówię do niej:

- Szkoda, że nie możemy rozpalić ognia. - Wskazuję palcem rozwalający się kominek, który nie jest niczym więcej niż tylko brudną dziurą w ścianie.

Podchodzę do kominka i czuję, jak podłoga ugina się pod moimi stopami, więc poruszam się szybko, jakbym się bał, że jeśli pozostanę zbyt długo w jednym miejscu, to zniknę w ruchomych piaskach, w czarnej dziurze. Na szczęście nie znikam. Gdy nieruchomieję na chwilę, żeby odzyskać orientację - widząc, że podłoga pod moimi stopami zapadła się o dobre dwa centymetry - cieszę się, że wciąż tu jestem. „Nie nadaje się do zamieszkania”, jak głosi ostrzeżenie, i teraz wiem dlaczego. Zbliżam się do kominka i zaglądam do jego wnętrza, absolutnie przekonany, że w przewodzie kominowym roi się od gniazd ptasich i wiewiórczych, sadzy i gruzu. Nie jestem kominiarzem, ale mógłbym się założyć o wszystko, że brakuje tam cegieł, a zaprawa bezzwłocznie wymaga uzupełnienia. A to tylko na zewnątrz, natomiast wewnątrz pod postacią żelaznego wsadu jest pokryte taką warstwą brudu i sadzy, że prawdopodobnie od razu by się to zapaliło, gdybym spróbował rozniecić ogień, albo dom wypełniłby się czadem, i nim byśmy się obejrzeni, odpłynęlibyśmy w sen i umarli, przyłączając się w zaświatach do Genevieve.

- Jesteś pewien? - pyta, też spoglądając na kominek.

A ja rozważam to wszystko: ogień, czad, śmierć, i odpowiadam po prostu:

- To zły pomysł.

Ale przychodzi mi do głowy coś innego.

Rozpinam zamek błyskawiczny bluzy, zdejmuję ją i podaję Perle.

- Masz - mówię. - Włóż to.

Nie bierze jej od razu, tylko patrzy na bluzę tkwiącą w moich drżących dłoniach, a ja zaczynam się czuć niczym idiota, jakbym dopuścił się jakiegoś nietaktu. Myślę o tym, żeby włożyć bluzę z powrotem i udawać, że nic takiego nigdy się nie zdarzyło. Czuję, że jej oczy mnie obserwują, patrzą na odzież w moich rękach.

Potem bierze ją ode mnie i mówi:

- To miłe z twojej strony. Naprawdę. Ale czy nie będzie ci zimno?

Wzruszam ramionami i mruczę:

- Nie - ale oczywiście to nieprawda. Już jest mi zimno. Niebawem jednak udam się do siebie, do miękkiego łóżka z kocami, do domu, gdzie kaloryfer jest nastawiony na dwadzieścia stopni. Niedługo nie będę już czuł chłodu. Ale nie ona. Pozostanie w tym zimnym, walącym się budynku przez całą noc.

Gdy wciąga bluzę na swoją kurtkę, gdy jej długie, pofalowane włosy opadają na obszerny kaptur, a dłonie wsuwają się w miękką, wysłużoną bawełnę ogrzanych już kieszeni, coś sobie uświadamiam: podoba mi się, że moja bluza zapewni jej nocą ciepło.

Nie chcę zostać tu długo. Nie chcę nadużywać jej gościnności.

Ale co ważniejsze, nic jeszcze nie zrobiłem takiego, co by mnie poniżyło, i mam nadzieję, że nic takiego się nie stanie. Zostaję jednak przez parę minut. Zostaję i patrzę, jak sadowi się na podłodze, przykrywając ciało zjedzonym przez mole kocem. Zostaję, gdy krzyżuje nogi po turecku, jak to się mówi, i nuci coś pod nosem. Sam obejmuję się rękami, ogrzewany jedynie cienkim podkoszulkiem, i myślę sobie, że przy tacie i w moim garażu byłoby cieplej niż tutaj. Tak jak w naszej drewnianej szopie. Ale ta dziewczyna nic o mnie nie wie. Nie mieści mi się w głowie, by mogła spędzić noc w moim garażu.

Do diabła, biorąc pod uwagę, że tata jest nieprzytomny, mógłbym zabrać ją do swojego pokoju i tam, w moim łóżku, mogłaby się przespać. Byłoby jej wygodnie, przytulnie i ciepło, a ja oczywiście leżałbym na podłodze. Pozwalam, by ten obraz trwał jeszcze przez chwilę w mojej głowie.

Jednak Perła nie sprawia wrażenia aż tak naiwnej, więc nawet jej nie pytam.

Nie zgodziłaby się, a wtedy poczułbym się jak jakiś degenerat, żałując, że w ogóle uznałem to za dobry pomysł. Pomyślałaby, że jestem wrednym typem. Nieźle bym się wkopał.

- Jesteś stąd? - pytam.

A ona odpowiada powściągliwie:

- W pewnym sensie. Niezupełnie.

Uśmiecham się nieśmiało i pytam, co ma na myśli.

Wzrusza ramionami.

- Można chyba powiedzieć, że tak - odpowiada po chwili.

Ale ja wciąż się zastanawiam.

- Blżej Battle Creek? - indaguję, wiedząc, że to głupie tak pytać. W całym stanie Michigan jest z tysiąc miast i miasteczek, może nawet dwa tysiące. Dlaczego akurat Battle Creek? Ale i tak o to pytam, bo kiedy otwieram usta, dobywają się z nich te właśnie słowa. Ku mojemu zdumieniu kiwa beznamiętnie głową, a ja wiem, że albo był to szczęśliwy traf, albo chodzi o to, żebym się przymknął. - Lubisz pływać? - pytam, zmieniając temat i myśląc o tamtym dniu nad jeziorem

Ale zamiast odpowiedzieć tak albo nie, sama z kolei pyta:

- A ty?

To taka taktyka, odbijać jak piłkę moje dociekania, by niechcący nie zdradzić czegokolwiek o sobie. Zależy jej na tym, bym nic o niej nie wiedział.

- Lubię - odpowiadam. - Choć woda o tej porze roku jest dość zimna.

- Tak myślisz? - pyta.

A ja wciąż nie potrafię powiedzieć, czy się zgadza ze mną, czy nie, i widzę ją w wyobraźni, jak unosi się na powierzchni lodowatego jeziora Michigan, kiedy z bezsłonecznego nieba spadają krople deszczu. Nie jestem pewien, czy to pytanie, czy stwierdzenie, czy coś pośredniego, ale i tak kiwam głową.

- Owszem, tak myślę. Jest zimna.

- A ty jesteś stąd? - pyta.

- Tu się urodziłem i wychowałem. - Patrzę, jak pociąga za bransoletkę, która opina jej nadgarstek, to nałogowe skubnięcie-skubnięcie-skubnięcie, któremu zawdzięcza swój przydomek, dzięki temu została Perłą. Nie mam pojęcia, jak długo się przypatruję.

Kiedy kładzie głowę na niebieskiej poduszce w kratę, żegnam się i wychodzę. Ale jej oczy są już na wpół przymknięte i jeśli Perła się ze mną żegna, to ja tego nie słyszę. Oddalam się, obserwując przez ostatnią minutę, jak pogrąża się we śnie.

Gdy przemierzam stary dom, wracając tą samą drogą, przez wybite okno, wiem doskonale, że dzisiejszej nocy Perła zajmie poczesne miejsce w moich snach - jeśli w ogóle zdołam zasnąć. I coś sobie uświadamiam: może z oczu, ale nigdy z serca.

QUINN

Ben podtrzymuje mi włosy, kiedy rzygam.

Dobra wiadomość jest taka, że tylko skubnęłam kanapkę z rostbefem podczas lunchu. To, co ze mnie wypływa, to głównie kwas żołądkowy i żółć. I zdążyłam do łazienki na czas, więc nie ma bałaganu do posprzątania.

Siedzimy razem na podłodze, na czarno-białej terakocie, takiej samej jak w całym mieszkaniu. Są na niej kłębki kurzu i stary osad z mydła. Nie ma to większego znaczenia, bo i tak nie kąpiemy się na podłodze łazienki. Ale ten brud tu zalega. Jestem pewna, że na sedesie jest zaschnięty mocz, i przeklinam w duchu Londona albo Brandona, Aarona albo Warrena – jakkolwiek zwał się ten facet, którego przyprowadziłam do domu w sobotnią noc – bo tylko on mógł tak napaskudzić. Esther i ja nie sikamy na deskę klozetową. Nie przyszło mi do głowy, że sześćdziesiąt kilka godzin po naszej miłosnej schadzce będę wlepiła wzrok w szczyny kochasia, pochylając się nad muszlą klozetową i wymiotując. Niezły prezent pożegnalny.

Kiedy wymioty przechodzą w suche torsje i zamierają powoli, Ben przykłada do mojej głowy wilgotną szmatkę i przynosi puszkę 7-Up z różową plastikową słomką.

– Powinieneś już iść – mówię do niego szeptem, doskonale wiedząc, że zbliża się szósta.

Priya, czekająca w swoim mieszkaniu całe kilometry dalej, będzie się zastanawiać, gdzie jest jej ukochany. Nie mieszkają razem, ale Ben chciałby tego. Wyznał mi to kiedyś, a ja udawałam, że się tym przejmuję, wiedząc, że gdyby tak się stało, oszczędziliby na czynszu. Mnóstwo, jak twierdzi Ben. Ale Priya sprzeciwia się zdecydowanie. Zwierzył mi się, choć tylko raz, że to doprowadza go do szału – fakt, że Priya cały czas zachowuje dystans, jakby tkwiła tylko jedną stopą w drzwiach. Nie przed drzwiami – nie zamierza odchodzić – ale nie jest całkiem gotowa wejść do środka. Ben się zastanawia, czy kiedykolwiek będzie gotowa. Jest skrajnie niezależna, co intrygowało go od samego początku. Samowystarczalna i samodzielna, z rodzaju tych młodych kobiet, które nie uzależniają się od nikogo. Teraz się wydaje, że Ben chciałby kogoś, kto się uzależnia, albo raczej chciałby, żeby to Priya się uzależniła. A może chciałby po prostu, by potrzebowała go tak bardzo, jak on potrzebuje jej.

Mimo wszystko często jedzą razem kolację i dziś wieczór to Priya ma gotować.

Umówił się z nią na szóstą, a ona przyrządza *aloo gobi*, czyli kalafior w indyjskim wydaniu. Nie znaczy, bym o to pytała, ale i tak mi powiedział, choć było to jeszcze przed tym, jak wzmianka o jedzeniu sprawiła, że pognałam do kibla.

- Nigdzie się nie wybieram - mówi, potem przeprasza i wychodzi z pokoju. Słyszę jego głos, siedząc w łazience. Jest w korytarzu, tuż za drzwiami, podając swojej dziewczynie powód, dla którego musi zmienić ich plany. - Hej, kotku - zaczyna rozmowę, ale nie wspomina o mnie.

Ani o tym, że jest w moim mieszkaniu.

Ani o Esther.

Ani o zagadkowej śmierci jej byłej współlokatorki.

Wini dokumentację, która musi być wysłana kurierem, nim zamkną o dziewiątej biuro. Nie jest to zbyt naciągane; zdarzało się już wcześniej, dziesiątki asystentów biegało tam i z powrotem, żeby oznaczyć i skopiować dokumenty, by dotarły w wyznaczonym czasie do strony przeciwnej.

- Przykro mi - mówi. - Adwokat zlecił nam to dopiero po południu.

A Priya, jak to Priya - choć słabo ją znam - wybacz mu jego grzech.

- Dzięki za zrozumienie - mówi Ben i dodaje: - Jesteś nieoceniona - po czym kończy rozmowę słowami „kocham” i „cię”, a także przyprawiającym o mdłości cmoknięciem, które sprawia, że znów chcę rzygać, i robię to.

Wraca do łazienki i przyłącza się do mnie na podłodze.

- Jesteś gotowa o tym rozmawiać? - pyta, trzymając jak zawsze tablet pod ręką. - Powinniśmy o tym porozmawiać, nie sądzisz? - I oczywiście dodaje: - Kiedy już będziesz gotowa.

Mówię mu, że jestem gotowa, choć nie mam pewności, czy rzeczywiście tak jest.

Ben szuka w internecie i natrafia na artykuł, w którym napisano, że ratownicy medyczni odpowiedzieli na wezwanie na nasz adres, mój i Esther, że stwierdzili brak przytomności u Kelsey Bellamy, że została przewieziona do Szpitala Metodystów i tam stwierdzono zgon. Wyobrażam sobie, jak lekarze na oddziale nagłych przypadków starali się za wszelką cenę sprawić cud, nim na monitorze pojawiła się płaska linia, a posępny człowiek oświadczył obcesowo:

- Czas zgonu: ósma dwadzieścia trzy.

Choć nie wiem oczywiście, o której godzinie umarła.

A potem pojawia się inny obraz: konspekt wykładu o odczuwaniu smutku, o procesie jego narodzin, o jego siedmiu fazach. Czy Esther odczuwała żal, bo Kelsey umarła?

Przyjaciele i krewni na stronie Kelsey na Facebooku wymieniają jako przyczynę

śmierci beztroskę, niedbalstwo, całkowite lekceważenie. Ale dlaczego? Te posty są niezrozumiałe, mówiąc delikatnie, całkowicie pomijają informacje, do jakich przeciętny internauta nie miałby dostępu, na przykład ktoś taki jak ja, kto szuka na stronie Kelsey jakiegoś wyjaśnienia.

Nie była moją współlokatorką, nie była moją przyjaciółką, więc dlaczego, patrząc na zdjęcie Kelsey Bellamy, odczuwam smutek? W moich oczach pojawiają się łzy i gdy Ben podaje mi chusteczkę, ocieram je.

- Esther tego nie zrobiła - mówię, choć w głębi ducha oboje myślimy to samo. Zrobiła.

Esther ma w zwyczaju brać wszystko na siebie, dźwigać na swoich barkach problemy innych ludzi. Nie jest to zła cecha - gorliwiec z wielkim sercem.

Typowy przykład: Nancy z pierwszego piętra doszła do wniosku, że mieszkańcy naszego budynku powinni przywiązywać większą wagę do kwestii utylizacji odpadów. Nancy nie mogła znieść bezustannego widoku wyrzucanych do śmieci butelek po piwie i gazet, a pani Budny - stara pani Budny, i tak stojąca już nad grobem kobieta, która nie musi się martwić o ocalenie świata dla swoich dzieci albo dzieci swoich dzieci (których nie ma) - nie zamierzała nic z tym zrobić.

Nancy ograniczyła się do pozostawienia ulotki z adresami punktów utylizujących odpady, umieściła ją w holu na dole, obok skrzynek pocztowych, czyli tam, gdzie każdy mieszkaniec ją ignorował.

Esther jednak postanowiła pójść o krok dalej. Skontaktowała się z przedsiębiorstwami przerobu odpadów i zawarła z nimi umowę. Nabyła kilka pojemników na odpady - za swoje pieniądze, powinnam dodać - i wystawiła je na zewnątrz, obok cuchnącego kontenera w alejce za domem i w pralni. Wywiesiła tabliczki z wyszczególnieniem, co nadaje się do przerobu, a co nie, i jaki wpływ na nasz świat może mieć niesortowanie odpadów: przeładowanie wysypisk, konieczność tworzenia nowych. Zachęcała do posługiwania się trzema R: Redukcja, Recykling, Reaktywacja. Zaproponowała nagrodę dla mieszkańca, który okaże się najlepszym specjalistą od utylizacji odpadów (to nie byłem ja).

I w przeciwieństwie do mistrzowskiego planu Nancy, który sromotnie spalił na panewce, plan opracowany przez Esther powiódł się. Był to duży sukces. Okazało się, że sprawa recyklingu leży nam wszystkim na sercu.

To Esther zachęcała mnie, bym odżywiała się zdrowo, a także namawiała, bym zmieniła karierę zawodową. Zwykła uwaga z mojej strony:

- Nienawidzę swojej pracy - stała się dla Esther sygnałem do rozwiązania tego

problemu, wzięcia go na swoje barki.

Zaznaczam jednak, że Esther uczyniła to w sposób, który nie był autokratyczny, opresyjny czy irytujący, ale po prostu uroczy. Zdecydowała, że powinnam być nauczycielką, a nie ogłupiałą asystentką w firmie prawniczej. Niemal się roześmiałam na tę myśl: ja mam zostać nauczycielką? Wydawało się to niedorzeczne, a jednak to właśnie Esther mnie przekonała, bym spróbowała uzyskać uprawnienia do nauczania początkowego, kiedy zaczęłam z wolna zachwycać się tymi brzdącami, którym czytała na głos w swojej księgarni.

- Masz podejście do dzieci, Quinn - powiedziała mi. - Nie chcesz chyba siedzieć do końca życia w tej gównianej robocie, prawda? Stać cię na więcej.

- Nie jestem dość mądra, żeby być nauczycielką - odparłam, kiedy marudziłyśmy w księgarni po seansie głośnej lektury, ja na podłodze z jakąś nieznaną mi dziewczynką o kręconych włoskach, pomagając jej znaleźć najlepszą książeczkę o księżniczkach.

Nie znaczy to, bym tam pracowała ani nic takiego, bo przecież nie pracowałam, ale często uczestniczyłam w tych czytelniczych seansach i zaczęłam poznawać niektóre dzieci. Podobały mi się te opowieści, owszem, bardziej niż byłam gotowa to przyznać, ale jeszcze bardziej podobało mi się poczucie przynależności do świata Esther. Nigdy nie miałam takiej przyjaciółki. Jest jak siostra, i to taka siostra, którą wolę od swojej rodzonej siostry.

- Jesteś mądrzejsza od czterolatka, prawda? - spytała Esther, a ja wzruszyłam ramionami. Boże, jak głęboką miałam nadzieję, że jestem mądrzejsza od czterolatka. - Dasz radę - powiedziała.

Niespełna po tygodniu wyszukałam w internecie informację na temat kursów nauczycielskich w Chicago, Esther zaś zobowiązała się pomóc mi w przygotowaniach do Sprawdzianu z Podstawowych Umiejętności, który pozwala ocenić moją wiedzę - lub jej brak - jeśli chodzi o język, czytanie, pisanie i matematykę. Można go zdawać tylko pięć razy, a ja już raz go oblałam. Esther pomagała mi się uczyć. Przysięga, że następnym razem zaliczymy. My, czyli Esther i ja. Powiedziała mi z tuzin razy, że nie jest to coś, czego mogę dokonać sama. Tworzymy zespół, Esther i ja. To właśnie mi powiedziała.

A oto kolejny przykład przywódczej osobowości Esther. Chodzi o ten moment, kiedy wspomniałam, że chciałabym więcej ćwiczyć, odzyskać formę. Nie jestem drobną osobą, nie jestem niska, chuda ani po prostu filigranowa. Esther jest filigranowa, ale ja nie. Nie jestem mała. Ale nie jestem też gruba. W sekrecie ducha obwiniam swoich mitologicznych amazońskich przodków za wysoką postać i duże

kości, za to, że jestem potężna. Tak właśnie lubię to postrzegać: potężna. Do takiego samego wniosku dochodzę, kiedy robię zakupy w sieci i zgodnie z moim zamówieniem dostaję za identyczną sumę znacznie więcej swetra albo spódnicy, czyli znacznie więcej materiału, niż zapewnia, powiedzmy, firmowy rozmiar dwa. Ich strata, mój zysk.

Mimo wszystko nie staję się młodsza ani mniejsza, skoro o tym mowa, i popełniłam ten błąd – a może było to szczęście – że powiedziałam o tym Esther, a ona natychmiast opracowała plan fitness dla siebie i dla mnie. Nie jest gorliwą biegaczką, ale od czasu do czasu biega. Nie zamierza zgłaszać się do maratonu chicagowskiego ani nic w tym rodzaju, ale potrafi bez trudu pokonać dobrych kilka kilometrów, i to właśnie robiłyśmy. Esther nabrała zwyczaju wyciągania mnie z łóżka wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca, i podążałyśmy tą samą trasą, wzdłuż Clark aż do Foster, gdzie przebiegałyśmy pod Lake Shore Drive i skręcałyśmy w Lakefront Trail, wybrukowaną ścieżkę, która ciągnie się przez prawie trzynaście kilometrów, zmierzając z północy na południe wzdłuż brzegów jeziora Michigan. Nie pokonałyśmy całych trzynastu kilometrów, nawet małego ułamka tego dystansu. Praktycznie rzecz biorąc, nie jestem nawet pewna, czy biegłam. Bieganie ze swej definicji wymaga uniesienia jednocześnie obu stóp nad ziemią, a ja nie wiem, czy rzeczywiście się unosiły. Jeśli już, pokonałyśmy może trzy kilometry tej ścieżki, co przypominało zapewne szybki spacer; desperacko próbowałyśmy zachować twarz w tłumie tych wszystkich maratończyków czy niedoszłych olimpijczyków, którzy przemykali obok nas wzdłuż Lakefront Trail.

Nogi paliły mnie żywym ogniem, nabawiłam się skurczu, no, licznych skurczów, nie mogłam złapać tchu.

Ale Esther, jak to ona, dopingowała mnie, zachęcała.

– Dasz radę – powiedziała, zwalniając, bym mogła dotrzymać jej kroku i żebym nie czuła się jak idiotka.

Choć jestem pewna, że wyglądałam jak idiotka, zważywszy na to, że wymachiwałam rozpaczliwie rękami, przypominając zapewne ptaka, który zdycha i spada z nieba.

Esther jednak nie ustąpiła. Wyciągała mnie z łóżka dzień za dniem, dzień za dniem, choć próbowałam sprzeciwić się z całych sił, winiąc pęcherze na stopach, ból w stawach, mięśniach i więzadłach. Bolało mnie wszędzie. Z trudem mogłam kucnąć, żeby skorzystać z toalety albo wciągnąć skarpety czy buty. Lecz Esther nie dawała za wygraną.

– Pobudka, pobudka! – śpiewała mi codziennie, wywabiając z łóżka.

Przygotowywała gorącą kąpiel na moje obolałe nogi i w ogóle obolałą całość, dodając do wody sól gorzką, według niej panaceum na nadwreżone mięśnie. Kazała mi się przeciągać, pomagała włożyć skarpety, wiązała buty. I wyciągała na Lakefront Trail.

A ja biegałam.

To właśnie sobie uświadamiam, kiedy powracam do garderoby w swojej sypialni, a potem siedzę i wpatruję się w słowo wydrapane na ścianie z płyty kartonowo-gipsowej – Kelsey – jak na rozpaczliwe wołanie pomocy. Gdy Esther coś postanowi, nie ma rzeczy, której nie mogłaby zrobić.

Zastanawiam się jednak bezwiednie, co Esther tym razem postanowiła.

Po chwili Ben i ja przenosimy się do jej sypialni, gdzie pokazuję mu swoją ostatnią pracę w toku, czyli paski papieru fotograficznego porozrzucane na podłodze.

- Co to jest? - pyta.

Wyjaśniam, że powyciągałam te kawałki z niszczarki Esther.

- Może nic - dodaję. - Albo może coś. - Wzruszam ramionami, przyznając: - Jeszcze nie wiem - i bez jednego słowa siadamy jak zgodny tandem na podłodze i pośpiesznie składamy pocięte fragmenty łamigłówki, zżerani ciekawością, kto też jest na tym zdjęciu.

Pracujemy szybko w milczeniu. Nie musimy się odzywać. Czy to jest Esther, czy może, jakimś trafem, Kelsey Bellamy? Razem zaczynamy wznosić ten budynek, cegła po cegle, układać płyty betonu, i gdzieś pośrodku zaczyna się formować postać kobiety: same nogi, cieńsze niż typowe nogi mężczyzny, w rozszerzonych u dołu dżinsach. Nie ma jeszcze twarzy, niczego, co mogłoby nam powiedzieć, kto to jest, żadnych znaczących akcesoriów, które rzucają się na niepełnym obrazie w oczy. To zdjęcie zrobione z dali, nie w zbliżeniu, więc trudno dostrzec szczegóły. Siedzimy z Benem do późna, już dawno minęła pora spania, i wciąż mozolimy się nad swoją robotą.

Na zewnątrz widać Księżyc w pełni, złoty glob, który rzuca przez okno blask, zalewając podłogę światłem. Chmury, które przepływają obok, porywają ze sobą tę lunarną iluminację, a wtedy pokój pogrąża się w mroku i elementy układanki, które przed nami leżą, trudniej dojrzeć.

Potem jednak Księżyc powraca, drwi i naśmiewa się z nas, jego blask wybucha nagle na podłodze, a ja się zastanawiam, czy niegodziwa Esther też gdzieś tam jest, czy drwi i naśmiewa się z nas.

ŚRODA

ALEX

Budzę się wcześniej niż zwykle i jadę na rowerze do jedyne go całodobowego sklepu spożywczego w mieście. W naszej lodówce, mojej i taty, nie ma prawie jedzenia, a to, co zostało, jest pokryte zieloną pleśnią albo przeterminowane. Czeka mnie pięciokilometrowa jazda w obie strony, więc pedałuję tam i przywożę do domu dwanaście jaj, karton mleka, tarty ser i owoce, a wszystko to dynda w plastikowej torbie przy kierownicy. Niewiele jest świeżych owoców o tej porze roku, ale dostałem dwa jabłka i kiść czerwonych winogron. Musi wystarczyć.

Kiedy znów jestem w naszej kuchni, taty i mojej, zaczynam myć owoce i rozbełtuję jajka. Dodaję do nich mleko i ser, tak jak tata lubi, a do smaku sól i pieprz. Dom napęlnia się wonią swojskiego jadła, ale nawet to nie budzi taty, który śpi jak kamień, drzwi jego sypialni są starannie zamknięte. Przebieram w naczyniach, żeby znaleźć jakiś talerz, który nie jest pęknięty ani wyszczerbiony, i zaczynam nakładać przygotowane jedzenie, tu i tam, górę jajek, garść winogron. Kiedy już kończę, talerz wciąż sprawia wrażenie pustego. Wydaje mi się ogołoco ny i smutny, a nawet żaloszny. Wiem, że trzeba było przygotować coś więcej: grzan kę, bajgla, kiełbaski. Coś w tym rodzaju, ale tego nie zrobiłem. No dobra. Nalewam szklan kę mleka, potem się zastanawiam i dochodzę do wniosku, że powinienem był postarać się o sok. Albo o kawę. Albo o napój zbożowy. Pod wpływem impulsu wyjmuję z lodówki puszkę mountain dew, tak na wszelki wypadek. Nie wiadomo, czym lubi popijać jajka.

Potem biorę wszystko w ręce, wychodzę na dwór i przechodzę na drugą stronę ulicy. Zostawiam też tacie jedzenie na talerzu.

Perła wciąż śpi, kiedy wchodzę do środka, ale odgłos moich kroków ją budzi. I zapach jajek. Siada powoli na prowizorycznym łóżku, na podobieństwo starszej damy, rozprostowuje części ciała – ręce, nogi i resztę – jakby sprawiało to ból, kości i mięśnie wracają na swoje miejsce, ręce i nogi, które zdrętwiały i zatraciły czucie, ożywają ponownie.

- Dzień dobry – mówię może z przesadnym wigorem.

- Dzień dobry – odpowiada.

Jej słowa brzmią chrapliwie, głos wciąż jest ospały i otumaniony, ale i tak się uśmiecham.

Cieszę się, że wciąż tu jest.

Rozmyślałem o tym pół nocy, o owocach i jajkach, i czy zastanę dom opuszczony, kiedy rano tu wrócę. Rozważałem możliwość, że Perła może odeszła, że wędruje po ulicach miasta albo wsiadła do pociągu i w ogóle wyjechała stąd. Ale jest tutaj, we własnej osobie, włosy są splątane, na bladej skórze widać zmarszczki. Wciąż ma na sobie moją bluzę, na głowie kaptur. Gdy tylko się zjawiam, próbuje ją z siebie zdjąć – jakbym zjawiał się tu tylko po to, żeby odebrać swoją rzecz – ale szybko mówię:

– Nie, zatrzymaj ją. – A ona to robi. Ogoliłem się i ubrałem, mam na sobie nową bluzę, to znaczy taką samą znoszoną bawełnę, też w odcieniu szarości. – Przyniosłem ci śniadanie. – Stawiam tacę z jedzeniem na podłodze obok prowizorycznego łóżka. Obawiam się, że z każdego kąta pokoju wyłonią się szkodniki skuszone jedzeniem, ale ich nie widzę. W domu panują spokój i cisza.

Perła sięga po widelec i nabiera jajka, potem dmucha na jedzenie i wkłada je do ust. Słyszę, jak burczy jej w brzuchu. Orientuję się po wyrazie twarzy, że jej smakuje. A może jest tak wygłodniała, że zjadłaby wszystko i zapewniała, że jest pyszne.

– Smakuje mi – mówi. Potem na jej ładnej twarzy pojawia się coś innego, zaskoczenie czy wdzięczność, może nawet ufność, gdy ponownie się do mnie zwraca: – Ludzie zazwyczaj nie robią dla mnie nic miłego. – Kiedy milczę, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, dodaje: – Wiesz, że nie musiałeś tego robić.

– Tak, wiem – odpowiadam, ale czuję, jak moje serce napełnia się ciepłem, choć w zniszczonym domu wciąż panuje chłód. – Coś ci jeszcze przyniosę – dodaje, podczas gdy ona je. – Nie przeszkadzaj sobie, dokończ śniadanie w spokoju. – Przerywam na moment. – Nie bój się, zaraz wracam.

I wychodzę przez to samo okno na tyłach budynku. Na podwórzu, w gęstym poszyciu, które było kiedyś bez wątplenia ładnym ogrodem, ogarniam wzrokiem gęste krzewy, które trzeba ściąć. Podpełzają do budynku, wciskają się w każde możliwe zagłębienie, pod aluminiowy siding, który odchodzi od ścian. Na trawniku tkwią pieńki po obumarłych drzewach, ulegając po kolei grzybom i bakteriom.

Ale moją uwagę zwraca przede wszystkim huśtawka zrobiona z opony, stare gumowe koło, z którego już uszło powietrze, przywiązane do wiekowego dębu kawałkiem liny. Podchodzę do tej huśtawki i pcham ją delikatnie, a potem stoję i patrzę, jak kołysze się tam i z powrotem w szarym listopadowym powietrzu. Słyszę, jak nierzeczywiste dzieci piszczą z radości:

– Fiuuu! – I proszą: – Jeszcze raz, jeszcze raz!

Kiedyś tu były, ale teraz ich nie ma.

A potem przemykam do naszego garażu, żeby wziąć to, co potrzebne. Ulica jest

jak wymarła, jeszcze za wcześnie, żeby ktokolwiek już wstał.

Niewiele spałem zeszłej nocy. Na dobrą sprawę tyle co nic. Prawie cały czas myślałem o Perle leżącej na twardej podłodze i marznącej na kość. I wtedy przypomniałem sobie o grzejniku naftowym w naszym garażu i dwudziestolitrowym, wypełnionym do połowy kanistrze nafty, który tata trzymał pod ręką, kiedy nasze miasto nawiedzały przerwy w dopływie prądu, coś, co działo się tylko na skutek zamieci śnieżnych. Potrzebowaliśmy czegoś, żeby nas ogrzewało, gdy śnieg grzebał nas niemal żywcem, i to było właśnie to. Tata kupił grzejnik lata temu – dziesięć, może piętnaście – i przydał się wielokrotnie. Dawniej nie pozwalał mi dotknąć tego diabelstwa, twierdził, że jest zbyt niebezpieczne. Teraz to ja nie pozwalam mu się do niego zbliżać.

Targam nieporęczny, ciężki grzejnik do domu i wnoszę go do środka, gdzie siedzi ona, Perła, z talerzem na udach. Pochłonęła prawie wszystko i widzę, że jest nasycona, może nawet zadowolona. Patrzy na grzejnik, który dzierzę w dłoniach, i pyta:

– Co to jest?

A ja mówię, co to jest, nalewając nafty, a potem włączam grzejnik. Płomień nabiera pomarańczowej barwy i pokój zaczyna się nagrzewać, a na twarzy Perły pojawia się słoneczność, jakiej wcześniej nie widziałem. Uśmiecha się.

Ustawiam płomień na odpowiednią wysokość i coś jeszcze mówię, choć nie sędzę, by było to konieczne:

– Takie urządzenia mogą stwarzać zagrożenie. Trzeba mieć je na oku, pamiętać, żeby wyłączyć przed wyjściem z domu. – Potem jednak wzruszam ramionami i dodaję, by nie poczuła się jak matoł: – Jestem pewien, że już to wiesz.

Ale to u mnie druga natura, jak sędzę, efekt bezustannego przypominania tacie, że trzeba wyłączyć piecyk, zamknąć drzwi wejściowe, spuścić wodę w ubikacji.

Zamiast powiedzieć coś o grzejniku, Perła mówi:

– Podoba mi się twój naszyjnik.

Odruchowo podnoszę dłonie do paciorkowatego naszyjnika z zębem rekina, który przed wielu laty zrobiła dla mnie Ingrid.

– Dzięki – mówię, chłonąc wzrokiem odcień jej oczu, jasnobrązowy jak bursztyn.

– To od dziewczyny? – pyta bez ogródek, a ja jestem święcie przekonany, że moja twarz jest tak czerwona jak płomień w grzejniku.

Kręcę głową, sadowiąc się na podłodze.

– Nie, od przyjaciółki – mówię, ale mam ochotę powiedzieć coś więcej, powiedzieć o Leigh Forney, o tym, że w moim przypadku tak naprawdę nie ma żadnych

dziewczyn. Dla siły i ochrony, powiedziała mi Ingrid, ofiarowując przed laty ten naszyjnik, jak już zacząłem pracować u Priddy, żeby wesprzeć tatę. Zrobiła to, bo było jej z mojego powodu przykro, tak jak było przykro z mojego powodu połowie miasta. Matka mnie porzuciła, a ojciec pił. Takie życie.

Przesuwam dłońmi po zębie rekina i patrząc Perle w oczy, myślę sobie, że może to działa.

Ale nic jej nie mówię. Ograniczam się tylko do „od przyjaciółki” i pozwalam, by w pokoju zapanowały cisza i bezruch.

Są rzeczy, o które chcę ją spytać na początek: o imię i o to, co tu robi, tu, czyli w naszym mieście i w tym domu. Ale nie jestem w stanie. Otwieram usta, żeby przemówić, jednak dobywa się z nich tylko powietrze.

Ale zamiast mnie odzywa się ona:

- Mieszkasz po drugiej stronie ulicy.

Od teraz już wiem, że mnie obserwowała. Patrzyła na nas obu, na mnie i tatę przy kuchennym stole, skąpanych w jasnym świetle naszego domu. Może wie o mnie więcej, niż mi się wydaje.

- Tak - mówię.

- Z rodziną? - pyta.

A ja odpowiadam:

- Tak. - A potem: - Nie. - Decydując się wreszcie na: - Z moim ojcem. - Tak, jest moją rodziną, nie zrozumcie mnie źle. Choć z pozoru może wydawać się inaczej.

- Żadnych braci czy sióstr? - pyta.

A ja odpowiadam:

- Nie, żadnych.

A Perła znów pyta:

- Gdzie jest twoja matka?

Choć do głowy przychodzi mi mnóstwo fałszywych i łatwych odpowiedzi - nie żyje; znajduje się w przewlekłym stanie wegetatywnym w szpitalu w wyniku uszkodzenia mózgu; przebywa w więzieniu oskarżona o posiadanie narkotyków i morderstwo - żadna z tych odpowiedzi nie przeważa.

Zamiast tego wyznaję prawdę:

- Odeszła. - I sięgam po zapomniane grono na brzegu talerza Perły, po czym wsadzam je sobie w usta, dzięki czemu nie muszę mówić nic więcej.

Nie mam wielu wspomnień o mamie, ale kilka przetrwało. Nie są dobre. Stoję przy jej łóżku, bo właśnie przyśniło mi się coś złego. Płaczę. I nie jest to płacz marudny, tylko płacz pełen przerażenia, ponieważ pod moim łóżkiem kryją się

potwory, a ja chcę, by je przegoniła. Udaje, że śpi, nim siada na łóżku i mówi, żebym wrócił do swojego pokoju.

- Jest środek nocy, Alex - dodaje na koniec.

Nawet będąc pięciolatkiem, wiem, że w jej głosie nie ma współczucia, żadnej czułości. Jest zimna jak lód. Mówię jej, że się boję, ale zakrywa głowę kocem i udaje, że mnie nie słyszy. Tata pracuje na nocnej zmianie, nie ma go w domu. Dźgam placem w koc i błagam, żeby się spod niego wynurzyła, ale mocno odpycha mnie rękami. Nie wynurza się, a ja po pewnym czasie rezygnuję, ale tak czy inaczej, za żadne skarby świata nie wrócę do swojej sypialni. Nie będę tam spał razem z potworami. Śpię na podłodze na korytarzu. Rankiem, wciąż zdezorientowana, mama z na wpół otwartymi oczami potyka się o mnie, a kiedy płaczę, znów się na mnie wydziera. To wszystko moja wina.

Macierzyństwo cholernie ją przerażało. Nigdy nie chciała być matką. Jakakolwiek forma czułości też budziła w niej strach. Uśmiech rzadko pojawiał się na jej twarzy, a uściski były wstrzemięźliwe i zawsze towarzyszyło im napięcie czy też niepokój. Jakby obejmowanie kogoś przynosiło ból. Jakby wiązało się z cierpieniem. To tych kilka fragmentów, które zapamiętam ze swoich wczesnych lat. To, jak mama wykręcała się z moich objęć, kiedy otaczałem nieporadnymi dziecięcymi rączkami jej kolana albo talię - tak wysoko, jak mogłem sięgnąć - kiedy chodziłem za nią, drobiąc nóżkami, wyciągając ramionka, pragnąc więcej:

- Mamusiu, tylko jeden uścisk...

Aż wpadała w złość.

- Odejdź, Alex. Zostaw mnie w spokoju. Nie dotykaj mnie.

Pamiętam coś jeszcze. Drobne stopy matki, bosa, gdy stąpała po wytartej wykładzinie naszego domu, oganiając się ode mnie jak od muchy.

- Alex! - rzucała gniewnie głosem bliskim załamania, ale starając się za wszelką cenę nad sobą zapanować. - Mówiłam ci, żebyś sobie poszedł. Nie dotykaj mnie.

- Dokąd odeszła? - pyta Perła.

A ja odpowiadam po prostu:

- W siną dal - ponieważ, szczerze mówiąc, nie wiem, dokąd odfrunęła moja matka, i staram się o tym nie myśleć, nie rozważać możliwości, że ma inną rodzinę - kolejnego męża, kolejne dziecko - gdzieś tam w świecie.

- To wkurzające - oznajmia beznamiętnie, odsuwając talerz z jedzeniem. - Nieraz ludzie potrafią zachowywać się okropnie egoistycznie, nie sądzisz?

- Tak, tak właśnie sędzę - opowiadam, a potem z jakiegoś powodu wreszcie zbieram się na odwagę i pytam: - Co tu robisz?

Na jej twarzy znów pojawia się ten przebiegły uśmiezek.

- Mogłabym ci powiedzieć, Alex, ale wtedy musiałabym cię zabić.

Śmiejemy się i choć to stłumiony śmiech, śmiech pełen oporów, uświadamiam sobie, jaką sprawia przyjemność. Upłynęło dużo czasu od chwili, gdy po raz ostatni się śmiałem. Zbyt dużo. Ten dźwięk brzmi głucho w tym opuszczonym domu, odbija się echem od rachitycznych ścian i powraca do naszych uszu, ja zaś muszę sobie przypomnieć, że śmiech to coś dobrego. Oznacza, że jesteśmy szczęśliwi.

Zapomniałem już, jak to jest być szczęśliwym.

Dostrzegam też, że Perła ma piękny uśmiech. Prosty, towarzyszy mu widok małych kształtnych białych zębów, schowanych niemal za wargami. Nie ma w tym śmiechu zarozumiałości i jest słodki. Odnoszę wrażenie, że Perła też nie uśmiechała się od jakiegoś czasu, że się nie śmiała. W każdym razie autentycznym, szczerym, niewymuszonym śmiechem.

- Chcesz znać prawdę? - pyta, przerywając śmiech, i jednocześnie sięga nieulekłą dłonią na ponad pół metra przed siebie i przesuwa opuszkami palców po moim zębie rekina.

Czuję, jak moje ciało sztywnieje, krew w żyłach krzepnie, nabiera gęstości. Z trudem oddycham, nie mogę mówić, inaczej niż Perła.

- Jestem tu przejazdem - dodaje, choć po wyrazie jej oczu orientuję się, że chodzi o coś więcej, i w moich myślach znów pojawia się jeden człowiek, i tylko jeden: doktor Joshua Giles. Kiedy wzbiera we mnie fala zazdrości, odkrywam jeszcze jeden powód mojej niechęci do tego faceta.

Jest tu dla niego, podczas gdy pragnę ponad wszystko, by była tu dla mnie.

Zastanawiam się, co bardziej konkretnie oznacza ogólnikowe „jestem tu przejazdem”, i jak to jest, gdy ktoś nie potrafi nigdzie zostać na dłużej, musi się bezustannie przenosić w nowe miejsca, zupełnie sam, i jest wszędzie tylko przejazdem. I zastanawiam się, czy Perła ma gdzieś rodzinę, przyjaciół, chłopaka, kogoś, kto za nią tęskni, kto jej szuka.

Kogoś, kto myśli o niej tak, jak ja teraz o niej myślę.

- Jak długo tu pozostaniesz, zanim będziesz musiała wyjechać? - pytam.

- Nie śpieszy mi się. - Wzrusza ramionami.

Zastanawiam się, co to oznacza: dzień, tydzień, rok? Chcę ją o to spytać, chcę wiedzieć dokładnie, którego dnia zjawię się w tym opuszczonym domu, a jej tu nie będzie. Jutro? W piątek? W przyszłym tygodniu? Czy się pożegna przed wyjazdem? Czy poprosi, bym też z nią pojechał, bym towarzyszył jej w tej podróży? Wątpliwe, jednak mimo wszystko wolno mi marzyć.

Ale w ogóle o to nie pytam, tylko manipuluję przy grzejniku, żeby uniknąć podstępnego i przenikliwego wzroku Perły.

Nie zostaję dziś zbyt długo. Nie mogę. Patrzę na tani zegarek na lewym nadgarstku i sprawdzam godzinę. Niebawem mam być w pracy, kolejny dzień oporządzania stolików w restauracji Priddy za minimalną stawkę.

- Będziesz pamiętała, żeby wyłączyć grzejnik, zanim wyjedziesz? - pytam, a raczej przypominam, kiedy jej dłonie ześlizgują się z mojego naszyjnika.

- Tak, oczywiście - zapewnia.

Kiwam głową, po czym mówię:

- Muszę już iść.

Ale nim wyjdę, patrzę po raz ostatni przez ramię.

QUINN

Jest pewna potrawa, którą Esther serwuje. Przepis wegetariański, podsmażana fasola, brokuły i młoda kukurydza. Oraz tofu. Na dobrą sprawę powinno być to obrzydliwe, ale nie, wręcz przeciwnie, jest absolutnie wyborne. Do tego sos klasyczny, sos sojowy i ocet ryżowy.

I ćwierć filiżanki mąki orzechowej.

Co nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, całkiem inaczej niż w przypadku Kelsey Bellamy, dla której to miało znaczenie.

Gdy skończyła cztery lata, stwierdzono u niej alergię na orzeszki ziemne. To właśnie mówi mi Nicholas Keller, jej narzeczony, kiedy siedzę naprzeciwko niego przy kuchennym stole w odnowionym niedawno mieszkaniu w Hyde Parku. To niewielki stół o szklanym blacie, przy którym tak naprawdę wygodnie mieści się tylko jedna osoba.

On.

Oczy ma niepokieszone, piwne oczy, które wilgotnieją, ilekroć wymieniam to imię: Kelsey.

- Wcześniej jadła te orzeszki bez żadnych złych skutków - mówi mi - ale z czasem wszystko się zmienia, zwłaszcza w przypadku alergii. Miała cztery lata, gdy matka dała jej po raz pierwszy kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. I z miejsca, w każdym razie tak mi mówiono, Kelsey zaczęła mieć problemy z oddychaniem. Gardło spuchło, dostała pokrzywki. Anafilaksja. Od tej pory nosiła przy sobie EpiPen i benadryl. Zawsze była przygotowana na atak. Cały czas uważała, by trzymać się jak najdalej od orzeszków ziemnych. Rzadko jadałiśmy poza domem, było to zbyt ryzykowne. Czytała uważnie etykiety na każdym pojemniku. Na każdym bez wyjątku. Nie tknęła niczego, co powstawało na jednej linii z innymi produktami, bo bała się przypadkowego skażenia. Żadnych przerobionych zbóż, batonów z muesli, krakersów.

- Więc co się stało? - pytam.

Najpierw kręci głową, a potem mówi:

- To był wypadek, straszny wypadek.

Nietrudno było znaleźć Nicholasa Kellera. Ludzi o takim imieniu i nazwisku mieszka w Stanach tylko dwudziestu, i tylko dwóch w Illinois. Zadzwoiłam i od razu na niego trafiłam, prawdziwy łut szczęścia. Dojazd z Andersonville do Hyde

Parku zajął dobrą godzinę i kwadrans: jeden kurs koleją metropolitalną, dwa autobusami i spacer na dystansie ośmiuset metrów.

Czekałam do wieczora, by wrócił do domu z pracy. Wyczytałam w internecie, że Nicholas Keller to doradca finansowy, co potwierdza później w holu swojego domu podczas niezobowiązującej pogawędki, zanim wyjawiam cel swojej wizyty. Sprawia wrażenie purytanina, kogoś, kto nie bardzo pasował do Kelsey Bellamy, takiej, jaką sobie wyobrażam. Jednak, wedle znanego powiedzenia, przeciwieństwa się przyciągają.

- Chodziłam z Kelsey do podstawówki - kłamie. - W Winchesterze.

- Jesteś z Winchesteru? - pyta.

Mówię, że tak. Winchester, Massachusetts.

I dodaję:

- Kibicuję Red Soxom - bo nic nie wiem o Bostonie prócz tego, że ma dobrą drużynę futbolową. No i to, że piją tam, jak słyszałam, herbatę, nie kawę. Bostońską herbatkę.

- W ogóle nie masz takiego akcentu, jakim mówiła Kelsey - zauważa.

Wyjaśniam więc, że ojciec był wojskowym, a nasz pobyt w Massachusetts trwał bardzo krótko.

- Fort Devens? - pyta.

Najpierw kiwam głową, potem odpowiadam:

- Tak - choć nie bardzo wiem, co właśnie potwierdzam. Dodaję, że chodziłam z Kelsey do czwartej klasy. - Czwartej albo... - Urywam, udając zamyślenie. - Może piątej? Nie pamiętam dokładnie.

Ogarniam wzrokiem mieszkanie, dom na wskroś męski, lokum kawalera. Nicholas Keller opowiada, że planowali zagnieździć się tu wraz z Kelsey po ślubie. Kupili tę nieruchomość, ale mieszkali na dwóch przeciwległych końcach miasta, kiedy trwał remont - ona ze współlokatorką w Andersonville, on w wieżowcu w Bridgeport. Ten budynek był w kiepskim stanie, kiedy zobaczyli go po raz pierwszy, dawny magazyn przerobiony na lofty. Ale najważniejsze, że miał to wszystko, czego szukali: rozległe pokoje, odsłonięte rury i przewody, ceglane ściany, drewnianą obudowę. Kelsey zaś miała wizję, niestety umarła, zanim zdążyła ją zrealizować. I tak pozostała biednie urządzona przestrzeń z brudnymi naczyniami w zlewie i brudną bielizną na podłodze. I narzeczonym pogrążonym w żalu.

Mieli się pobrać po roku, licząc od dnia jej śmierci. Kelsey kupiła już sukienkę, a on mi ją pokazał, prosta tafta, która wisiała samotnie w garderobie, jasnoniebieska, ponieważ, jak powiedział mi Nicolas:

- Kelsey była zbyt dużą nonkonformistką, żeby zdecydować się na coś białego.

I nie było w tym przygany, raczej romantyczna nuta, jakby nonkonformizm Kelsey stanowił jeden z powodów, dla których ją kochał. To się nazywa smutek. Zarezerwowali wielką salę na ponad trzysta osób, które miały zjawić się na ich ślubie. Nie zdecydowali jeszcze, dokąd się wybiorą na miesiąc miodowy, wahali się między Rumunią a Botswaną.

- Kelsey nie musiała leżeć na plaży w bikini - mówi Nicholas. - To nie była jej bajka - dodaje.

- Tak, wiem - odpowiadam, choć przecież nie wiem. Ale widziałam to gotyckie zdjęcie, na którym była ubrana w czerń od stóp do głów, i widziałam jej skórę albinosa, więc mogę się z nim zgodzić. - Upłynęło sporo czasu - dodaję. - Ale właśnie się dowiedziałam o Kelsey. Tak mi przykro. Przez lata nie miałyśmy ze sobą kontaktu. Wiem, że w sumie to nie powinnam, ale musiałam tu przyjść i złożyć kondolencje.

Prowadzi mnie do stołu kuchennego ze szklanym blatem i opowiada o uczuleniu Kelsey na orzeszki ziemne. A potem pyta:

- Jak mnie znalazłaś? - Nie ma w tym nic mentorskiego, jakby przepytował mnie na lekcji, jest tylko ciekawość.

- Przyjaciel przyjaciela - mówię, choć wiem, jak banalnie to brzmi.

- To był John? Johnny Hacker?

- Tak - odpowiadam skwapliwie. Nie mogło pójść łatwiej.

- Tak myślałem. Tylko jego pamiętam ze szkolnych lat Kelsey. Trudno uwierzyć, że po tylu latach wciąż utrzymywali kontakt.

- Sama w to nie wierzę.

W mieszkaniu są zdjęcia Kelsey. Te same kruczoczarne włosy i zamglone oczy, ta sama popielata skóra, ale na tych fotografiach cały ten gotycki entourage został odrobinę stonowany, choć oczywiście Kelsey nadal odznacza się pewną wyrazistością, to nie ulega wątpliwości. Mnóstwo chorobliwej czerni w jej stroju, jednak żadnych czaszek ani skrzyżowanych piszczeli, żadnych modnych gorsetów ani czarnych botków wiktoriańskich. Żadnego steampunku, żadnego emo, tylko czerń. Na zdjęciach Nicholas i Kelsey stoją obok siebie przy Statui Wolności, nad Wielkim Kanionem, na Pikes Peak w Górach Skalistych. Wyglądają jak przeciwieństwa: on sztywny, ona bynajmniej.

Wyglądają też na zakochanych.

- Dostałem telefon od jej współlokatorki - wyjaśnia, a jego oczy napełniają się łzami. Niemal pytam: „Esther?”, ale powstrzymuję się w ostatniej chwili. -

Powiedziała, że dzieje się coś złego, że Kelsey nie oddycha. Od razu wiedziałem, co się stało. Kazałem jej znaleźć EpiPan. Wykrzyczałem, że Kelsey potrzebuje EpiPanu! Ale ona powtarzała tylko: „Za późno, Nick, za późno, Nick”. Raz za razem tak powtarzała, raz za razem. Kelsey już nie żyła.

Teraz to ja zaczynam płakać. Rzadko mi się to zdarza, nie załamuję się łatwo. Ale tak bardzo ulegam emocjom – gniewowi, strachowi, smutkowi – że tym razem się poddaję. Chcę posadzić przed sobą Esther i spytać:

- Co zrobiłaś? Jak mogłaś tak postąpić wobec Kelsey?

Ale Esther tu nie ma, za to Nicholas klepie mnie po rękę i mówi:

- Przykro mi. - Wstaje od stołu i przynosi mi chusteczkę. - Dla ciebie to też jest ciężkie. Czasem zapominam, że nie tylko mnie pozostawiła.

- Zjadła orzeszki ziemne, prawda? - pytam, kiedy już odzyskuję głos.

A Nicholas odpowiada:

- Tak. - Potem koryguje: - Nie. - A na koniec wyjaśnia: - Mąkę orzechową.

Opowiada o przepisie, o sosie sojowym, occie ryżowym.

I nagle przypominam sobie Esther, jak wraca z uczelni do domu, padając z nóg, kompletnie zmordowana. Jej głos to wypisz, wymaluj głos Hannibala Lectera:

- Koperek ma stać tutaj. A mąka orzechowa tutaj. - Umieszcza z łoskotem opakowania na półce szafki kuchennej, a żółtobrazowy proszek rozsypuje się na blacie. Była wściekła, że pożyczyłam jej koperek. Tak mi się wtedy wydawało. Nie miałam żadnej wątpliwości, teraz jednak nie jestem taka pewna. Może nie chodziło w ogóle o koperek.

- Więc była to pomyłka - mówię do Nicholas. - Straszny wypadek.

A on potwierdza z nutą wątpliwości w głosie:

- Tak, błąd... Straszny wypadek.

Ale czy rzeczywiście?

Bo Nicholas mówi dalej:

- Piły. Piły margaritę. Obie piły za dużo, jedna i druga. Współlokatorka Kelsey powiedziała, że zawsze zamieniała dla niej mąkę orzechową na uniwersalną. Zawsze... ale nie tamtego wieczoru. Tamtego wieczoru zapomniała. Piły - powtarza.

A potem znów, jakby do siebie, powtarza to słowo. „Błąd”. Ale odnoszę wrażenie, że nawet on w to nie wierzy. Kelsey zawsze trzymała w torebce EpiPen, bez żadnych wyjątków zawsze. Tyle że tamtego wieczoru nie było EpiPenu w torebce. Tamtego wieczoru nie można go było nigdzie znaleźć.

Esther dodała do potrawy mąki orzechowej, co stało się przyczyną śmierci Kelsey

Bellamy. Nie było pod ręką antidotum, EpiPan po prostu zniknął.

- Jeden błąd to się zdarza, to zrozumiałe, ale dwa błędy... - Jego głos milknie.

Wiem, co ma na myśli. Że Esther zabiła współlokatorkę, i ja też tak myślę.

- Kelsey nie ruszała się nigdzie bez EpiPenu - dodaje Nicholas Keller.

- Nie znalazłeś go? - pytam.

- Nie, nigdzie. - Na koniec ofiarowuje mi coś bardzo osobistego: - Nazywałyby się Kelsey Keller.

Gdyby mieli szansę kiedykolwiek się zobaczyć.

Uśmiecha się ze smutkiem, nostalgicznie, i opowiada, jak Kelsey uważała to za niebywale śmieszne.

- Kelsey Keller - mówi ze staranną dykcją.

Też się uśmiecham.

- Cała Kelsey - mówię, nawiązując do jej niesamowitego poczucia humoru, jakbym naprawdę ją znała.

ALEX

Spędzam dzień w pracy, patrząc przez okno, kiedy pacjenci doktora Gilesa zjawiają się i wychodzą. Ilekroć drzwi otwierają się ze skrzypieniem zawiasów, on pojawia się w wejściu do drewnianego domku, wesóły jak skowronek, z tym pociesznym nieznacznym uśmiechem na twarzy, gdy ściska im dłonie albo klepie po plecach, a potem zaprasza do środka.

A po chwili zamyka drzwi i spuszcza żaluzje, ja zaś się zastanawiam, co knują tam w środku.

Zauważam fakt, że to w większości kobiety, sporadycznie też jakaś dziewczyna w wieku nastoletnim albo młodsza. Niektóre rozpoznaję, inne nie. Niektóre mieszkają w mieście, ale inne pochodzą z daleka. Parkują samochody równolegle na ulicy, potem patrzą w obie strony i zacierają szybkim krokiem do gabinetu doktora Gilesa, dyplomowanego psychologa, niczym przedstawiciele śmietanki towarzyskiej wślizgujący się do sex-shopu i mający nadzieję, że nikt ich nie widzi.

Perła przychodzi dziś do restauracji, ale tylko na krótką chwilę. Pojawia się i niemal natychmiast znika, ale na tych kilka ulotnych minut swojej bytności zajmuje ulubione miejsce przy oknie i patrzy w stronę ulicy. Zamawia tym razem kawę i popija ją w zamyśleniu, spoglądając jednocześnie przez szybę na świat po drugiej stronie. Obserwuję ją z pewnej odległości. Wpatruję się w tył głowy, liczę starannie odmierzone łyki kawy, przyglądam się, jak odstawia z uwagą kubek na blat kontuaru, żeby nic się nie wylało ani żeby nie stuknął. Chłonę kolor jej skóry, wystające kości śródreczne, które napierają na cienką skórę, kiedy Perła podnosi kubek z kawą do ust i pije. Nie zostaje tu długo. Obserwuję ją z dystansu, nie mogąc odwrócić wzroku. Nie chcę zniweczyć tej chwili.

Tymczasem Priddy każe mi wracać do pracy. Krążę, zataczając cuchnącą ścierką przypadkowe koła na brudnych stolikach, przybliżając się coraz bardziej do miejsca, w którym siedzi Perła. Red przynosi jej rachunek, a ja z odległości dwóch stołów patrzę, jak Perła grzebie bezowocnie w swojej torbie płóciennej w poszukiwaniu pieniędzy. Kiedy wyciąga pustą dłoń, sięgam do portfela i wydaję banknot pięciodolarowy.

- Ja zapłacę - mówię, nim Perła w ogóle ma szansę wyjaśnić, że nie jest w stanie pokryć rachunku, i kładę pieniądze na blacie, po czym się cofam.

- Och, nie - mówi. - Nie mogę...

Jednak jej dłoń wynurza się z torby znów pusta, znów bez jednego choćby banknotu. Myśl, że pomogłem jej w jakiś drobny, nieznaczący sposób, wywołuje we mnie falę ciepła. Rumieni się i przyznaje ze wstydem, że nie ma przy sobie pieniędzy, nic prócz trzech ćwierćdolarówek, które w końcu wygrzebuje z dna torby. Trzy nędzne ćwierćdolarówki, siedemdziesiąt pięć centów.

Wzruszam ramionami.

- Drobnostka - rzucam nonszalancko, ale to żadna tam drobnostka. Zrobiłem coś dobrego.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem - mówi do mnie Perła, a jej dłoń muska brzeg mojej. A ja się nie odzywam, ponieważ jestem zbyt oszołomiony, żeby mówić, czyli doznaję nagłego ataku afazji i tracę zdolność mowy. Za to Perła znów mówi do mnie: - Jesteśmy przyjaciółmi, zgadza się? - Tym razem to ja się czerwienię. - Ty i ja. Przyjaciele.

Nie bardzo wiem, czy to ostatnie jest pytaniem, czy nie. Pyta mnie czy po prostu mi to oznajmia? Mówi, że jesteśmy przyjaciółmi?

Kiwam głową. Mówię, że tak. Albo może tego nie mówię, może tylko tak myślę. Nie wiem. Tak czy owak, jesteśmy przyjaciółmi. Odczuwam pragnienie, by to zapisać, zrobić zdjęcie, przypieczętować ten układ krwią, po prostu zdobyć się na coś, co spektakularnie potwierdzi, że to prawda. Perła i ja jesteśmy przyjaciółmi.

A potem Priddy psuje wszystko skutecznie, wołając mnie i wskazując okrągły stolik, który wymaga posprzątania. Odwracam wzrok na dziesięć sekund, najwyżej na tyle, a kiedy znów spoglądam w stronę okna, Perły już nie ma, po prostu zniknęła, a mój pięciodolarowy banknot leży pozostawiony obok rachunku. Na kontuarze znajduję puste różowe opakowanie po słodziku, co upewnia mnie, że tu naprawdę była. Ona, Perła. Nie jest jakimś przywidzeniem, jak podpowiadałby mi zdrowy rozsądek. Jest rzeczywista.

- Jesteśmy przyjaciółmi, zgadza się? Ty i ja. Przyjaciele.

Później, pod koniec dnia, kiedy Priddy pozwala mi wracać do domu, wcale tam nie idę, tylko tkwię pod restauracją, zabijając czas na wykładanej plastikiem stalowej ławce. Dłonie i uszy mam czerwone z zimna, zaczyna mi cieknąć z nosa, a ja czekam w nadziei, że Perła wróci. Mam nadzieję, że przejdzie tędy w drodze na umówioną wizytę u doktora Gilesa albo może znów wstąpi do restauracji, żeby mnie zobaczyć.

Nie zagląda jednak do restauracji. Nie przychodzi na spotkanie z doktorem Gilesem.

Nie jestem gotów wrócić do domu, więc wysiaduję na ławce i patrzę, jak listonosz

jedzie zygzakiem po ulicy brudnym furgonem, zabierając i dostarczając przesyłki. Nie śpieszy mu się. To późno jak na niego, prawie zmierzch, ale o tej porze roku wszyscy poruszają się wolniej. Sprawy mogą poczekać, ludzie chodzą wolniej, jedzą wolniej, mówią wolniej. Życie staje się jedną wielką stratą czasu, dopóki nie nadejdzie wiosna, a wtedy wszyscy znów zaczną się nagle śpieszyć.

Patrzę, jak jakiś bezdomny kot o różnobarwnej sierści przechadza się dumnie po chodniku obok przepelnionego śmietnika, z którego za chwilę zacznie się wysypywać. Właściciel sklepu wyrywa ze stojącej na zewnątrz ceramicznej donicy martwe chryzantemy, a na ich miejsce wkłada gałązki choinki i plastikowe jagody ostrokrzewu, widomy znak, że zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Pani Hayes, która prowadzi sklep z drobiazgami i kartkami z życzeniami, już szykuje się do Gwiazdki, choć jeszcze nie nadeszło Święto Dziękczynienia.

Kiedy niebo zaczyna ciemnieć i z wolna podpełza noc, daję za wygraną. Perła się nie zjawia, w każdym razie nie dzisiaj. Mimo wszystko nie jestem gotów pójść do domu. Nie chcę tam iść.

Tak więc wstaję z ławki i przechodzę na drugą stronę ulicy, potem sięgam do miedzianej skrzynki Ingrid, wydaję pocztę i pukam do drzwi domu w stylu Cape Cod.

- Ingrid! - wołam głośno, żeby mnie usłyszała przez grubą drewnianą płytę. Stukam do drzwi drugi raz, trzeci, i znowu wołam: - Ingrid, to ja! Alex Gallo.

Ze środka dociera dźwięk telewizora, który gra na cały głos, więc Ingrid z trudem cokolwiek słyszy. Naciskam dzwonek i wsłuchuję się w melodyjkę obwieszczającą moje przybycie, ten znamienity fakt, że stoję od bitych czterech minut na frontowym ganku i odmrażam sobie tyłek. Podskakuję w miejscu, próbując się rozgrzać, ale nie pomaga, nadal jest mi zimno. Czekaając, patrzę na plik korespondencji w mojej dłoni. Widzę „Clipper Magazine”, rachunki, miesięcznik na temat wystroju wnętrz, jakaś niewłaściwie zaadresowana koperta z Departamentu Stanu, nieprzeznaczona dla Ingrid, tylko dla jakiejś Nancy, dla pani Nancy Riese. Wydaję z siebie jęk, bo coś takiego nie dzieje się pierwszy raz. Ostatnimi czasy listonosz jest mocno rozkojarzony. Zaledwie w zeszłym tygodniu dostaliśmy przesyłkę dla Ibsenów, a tydzień wcześniej dla Sorensonów.

Kiedy Ingrid otwiera w końcu drzwi, wyjrzawszy najpierw przez boczną szybkę, by się upewnić, że to ja, jest uradowana widokiem korespondencji w moich dłoniach.

- Mój kochany - mówi do mnie, wydaję z moich rąk plik papierów. Stoi przede mną w błękitnym fartuchu, trzymając kuchenne nożyce. Właśnie szykuje kolację.

Wyczuwam woń czegoś ciepłego, smakowitego i domowego, ten zapach dochodzi z wnętrza domu, gdzie huczy telewizor głośno i wściekle, a głos Emeril Lagasse – wyraźny nowoorleański tembr i dobrze znane powiedzonka („Bam!”) – mówi nam, jak mamy gotować.

Po chwili Ingrid zachęca:

– Wchodź, wchodź, wchodź. – Ciągnie mnie za biały rękaw koszuli do przedpokoju, pośpiesznie zamyka i rygluje drzwi, po czym znów spogląda przez szybkę, by się upewnić, że nikt mnie nie ściga, a wiatr nie wtargnął za mną do środka.

Ruszam do kuchni śladem Ingrid, która zatrzymuje się przed piecykiem i zaczyna mieszać właśnie przyrządzany melanz. Wyczuwam czosnek, cebulę i oregano.

Potem popełniam błąd i mówię, że pachnie smakowicie, a Ingrid na to:

– Zostań. – I nie jest to pytanie ani nawet zaproszenie, lecz raczej nakaz, jakby powiedziała: „Zostajesz tu”.

– Och, nie mogę – dukam pośpiesznie. Chcę zjeść to, co pichci Ingrid, cokolwiek to jest, coś, co nie pochodzi z pudełka ani z puszki, a jednak nie mogę. Nie powinienem. – Mój ojciec... czeka na mnie w domu.

Na tym poprzestaję, zbyt zawstydzony, by wyjaśnić, że ojciec najprawdopodobniej znów zalewa się w trupa albo leży na sofie nieprzytomny po całym dniu chlania, że zapewne nie jadł od chwili, gdy wyszedłem tego ranka do pracy. Że muszę śpieszyć do domu, zanim postanowi przygotować sobie kolację i rozgrzać piecyk, choć już zapomniał, jak się go obsługuje. Nie byłby to pierwszy raz.

– Jest też mnóstwo dla twojego ojca. – Ingrid sięga do białych szafek kuchennych, po czym wyjmuje naczynia, po dwa z każdej sztuki. – Zostawimy mu trochę. Odeślę cię do domu z plastikowym pojemnikiem, będzie mógł sobie podgrzać.

Ingrid zapewnia mnie, że mogę zostać. Że powinienem zostać. I zanim mam czas zorientować się, co tu się dzieje, nakłada chochlą do miseczki porcję jakiejś potrawy. To sos pomidorowy, grzyby, cieniutki makaron. Nalewa mi też szklanę mleka. Tak jak powinna robić matka. Nie moja matka, tylko każda matka. Nie pamiętam nawet, by moja matka gotowała dla mnie. Ale musiała gotować, prawda? Musiała.

Po odejściu matki był taki czas, kiedy przywierałem do innych matek, matek innych ludzi, i robiłem to niestrudzenie. Po latach wiem, że Freud miałby na ten temat dużo do powiedzenia, ale wtedy nie widziałem innego wyjścia i nie przejmowałem się tym.

Kiedy miałem zaledwie sześć lat, wyszedłem z domu sam i zawędrowałem na plac

zabaw położył kilka przecznic dalej. Tata był w domu, ale już wlał w siebie mnóstwo i nawet nie wiedział, że gdzieś zniknąłem. I tam, na palcu zabaw, przyłączyłem się do chłopca mniej więcej w moim wieku, a jego matka siedziała na ławce i patrzyła, jak się bawimy, ale gdy nadeszła pora, by ten mały chłopiec wracał do domu, próbowałem pójść razem z nim. Gdy podbiegł do matki i chwycił jej wyciągniętą rękę, ja też pobiegłem i chwyciłem jej drugą rękę. Nie odepchnęła mnie, nie powiedziała:

- Nie dotykaj mnie.

Wtedy ta kobieta zorientowała się wreszcie, że jestem sam.

- Gdzie mieszkasz? - spytała.

A ja z kolei spytałem, czy mogę iść z nimi do domu. Powiedziała, że nie, ale w jej oczach malowały się serdeczność i troska, ale też nadzieja, że jak jakiś mały zagubiony psiak wróć po prostu do domu.

Nie był to jedyny raz, kiedy zdarzyło się coś takiego.

- Jedz - mówi Ingrid, patrząc na miseczkę, którą przede mną postawiła. - Proszę. Dla mnie toza dużo, a nie mogę pozwolić, by się zmarnowało. Zostaniesz, prawda, Alex? - pyta z pokorną prośbą w głosie, gdy stoję przy stole, patrząc na potrawę, którą mi podała, i śliniąc się zapewne jak głodny pies.

Kiedy spoglądam jej w oczy, znów przypominam sobie, jak bardzo są smutne. Ingrid ma oczy smutne i pełne samotności. Niechęć wobec marnowania jedzenia to powód, dla którego powinienem zostać, a jednak ten prawdziwy jest inny. Ingrid czuje się samotna. Nie ma z kim porozmawiać, nie ma z kim dzielić tego posiłku prócz celebrytów w telewizji, a ta jednostronna konwersacja z elektronicznym pudłem jest nie tylko smutna i samotna. Jest żałosna.

Więc siadam i jem. Najpierw zjadam makaron, potem placek brzoskwiniowy z waniliowymi lodami. Zostaję nakłoniony do partii remika. Tak trudno odmówić Ingrid i wraz z upływem czasu uświadamiam sobie, że nie chcę iść. Nie chcę. I nim w ogóle to sobie uświadamiam, razem z Ingrid oglądam telewizję z miejsca, gdzie siedzimy, to znaczy przy stole kuchennym, z odsuniętymi na bok naczyniami po kolacji.

Oglądamy powtórkę teleturnieju „Va banque” i oboje zgodnie wykrzykujemy odpowiedzi. Najpierw ona na pytanie dotyczące Burta Reynoldsa, a potem ja na pytanie dotyczące Prowansji. Wreszcie Ingrid sięga po talię kart i zaczyna rozdawać. Dziesięć dla mnie, dziesięć dla siebie.

Oto co znaczy czuć się częścią rodziny.

Wieczory spędzam na ogół sam. No, niezupełnie sam, tylko z tatą, co zasadniczo

stanowi ekwiwalent samotności. Bywa, że siedzimy w jednym pokoju, ale nigdy nie rozmawiamy, a czasami nawet nie siedzimy w jednym pokoju. Przyjaciele odeszli, dziewczyn nie ma. Ja, podobnie jak Ingrid, spędzam wieczory w towarzystwie telewizora, kiedy akurat nie śledzę psychologa wracającego do domu albo nie przekradam się do opuszczonego budynku.

Proponuję, że zostanę i pomogę przy zmywaniu, kiedy już teleturniej i partia remika dobiegają końca. Ingrid stara się za wszelką cenę odmówić.

- Jesteś moim gościem - mówi, ale ja nalegam, stojąc przy metalowym zlewie i patrząc, jak napełnia się opalizującymi bąbelkami płynu do zmywania; rozbijam je po kolei palcem wskazującym. Potem zanurzam w wodzie naczynia i zaczynam zmywać. Na suszarce szybko narasta grzechocząca góra, istna wieża mokrych naczyń, tak wysoka, że gdy stawiam na szczycie kolejny element, zaczynają się zsuwać, grożąc upadkiem.

- Gdzie są ścierki? - pytam, przetrząsając szuflady w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby mi wysuszyć naczynia.

Ale Ingrid ingeruje stanowczo.

- Zostaw je - nakazuje i zapewnia, że wyschną przez noc. - Pracujesz zbyt ciężko. - A po chwili dodaje: - Jesteś dobrym chłopcem, Alex. Wiesz o tym, prawda?

I widzę to wtedy, tę obwisłą skórę wokół jej oczu, skórę kurczącą się i coraz cieńszą. Ospalność tęczówek, czerwoność twardówki. Zapalenie spojówek. Alergię.

A może to po prostu ktoś, kto jest smutny.

Kiwam głową i mówię, że tak, wiem o tym, choć czasem nie jestem pewien, czy to prawda. Dobry czy niedobry, wciąż czuję się jak próżniak. Ta właśnie myśl prześladowuje mnie w środku nocy, taki oto fakt, że w moim przypadku jest to cała esencja życia. To jest to, ta esencja, czyli jedyne życie, jakie znam. Że nigdy nie będzie nic innego poza tym miastem, tą egzystencją, poza restauracją Priddy. Wieczne sprzątanie brudnych naczyń po innych ludziach. Słyszę, jak dziewczyna z moich snów woła do mnie:

- Chodźmy...

Czy kiedykolwiek będę miał szansę odejść?

- Twoja matka - mówi Ingrid, przyciszając głos, nim znajduje w sobie odwagę, by dokończyć, powiedzieć głośno to, co myśli - nie powinna była odchodzić.

Potem klepie mnie po ramieniu, kiedy się odwracam, zabierając ze sobą plastikowy pojemnik z resztą makaronu.

Kiedy idę, gdzieś w dali wyje kojot, a przez miasto przejeżdża pociąg, towarowy tym razem. Jest zbyt późno na osobowy. Ale przejechał godziny temu, ten osobowy.

Zastanawiam się, czy Perła wsiadła do niego, czy może wciąż tu jest i przemierza ulice miasta.

Jest dobrze po dziewiątej i miasto pogrąża się w głębokim śnie, w stanie hibernacji, aż do wiosny, jak to się z nami zwykle dzieje.

Gdy docieram do domu, tata śpi jak kamień na sofie, twarzą do dołu. Obok przewróconego piwa leży kolejne ostatnie wezwanie do zapłaty, wilgotne od fermentującego alkoholu. Przywiera do stolika, niewiele brakuje, by się podarło, kiedy je podnoszę i klnę głośno:

- Do diabła, tato.

Tym razem chodzi o prąd. Niedługo nie będziemy mieli światła. Mój wzrok przesuwają się po telewizorze, lampie oświetlającej pokój, czyli tym brzydkim plafonie sufitowym, ku otwartym drzwiom lodówki. Wszystko to włączone, wszystko zużywające energię. Udało mu się zostawić wszystko włączone i nabić rachunek. Będę musiał pracować po godzinach, żeby go spłacić, częściej wypruwać sobie flaki dla Priddy, podczas gdy tata będzie siedział w domu i się zalewał. No i pieniądze, które potrzebuje na piwo. To prawdziwa zagwozdzka. Tata nie ma pieniędzy na piwo. Od czasu do czasu rozwałił moją skarbonkę-świnę, dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem. Wiadomo też, że wyszukiwał i fałszował moje czekki od Priddy, i szedł do banku, żeby je zrealizować. Potem zaczął przekradać się do mojej sypialni i kraść moje rzeczy - dawne trofea bejsbolowe, pamiątkowy sygnet ze szkoły średniej - wszystko, co mógł sprzedać w sklepie z używanymi towarami. Teraz daję mu kieszonkowe, żeby zostawił moje rzeczy w spokoju. Ale i tak ich nie zostawia. Ledwie tydzień temu odkryłem, że nie ma mojej lunety. To kolejny skarb, który sprzedał, żeby mieć na alkohol.

Ale to dla mnie tylko przedmioty. Wszystko, co ma dla mnie prawdziwe znaczenie, nie jest warte więcej niż kilka dolców, ale trzymam to pod łóżkiem, by tata nigdy tego nie znalazł. Mojej kolekcji liliowców. Indiańskich paciorków z wybrzeża. Maleńkich skamielin w plastikowym woreczku. Tata może wziąć sobie tę lunetę, jeśli tak bardzo jej pragnie, ale liliowce są moje.

Jak można się było spodziewać, jeden z palników jest włączony, dom napęlnia się szybko zapachem przywodzącym na myśl naftę. Grillowany ser, całkowicie już szerniały, przypala się zapomniany na patelni, podczas gdy tata śpi i chrapie, strużki śliny spływają po brodzie na leniwą dłoń. Masło zostało wyjęte z lodówki i stoi na szafce obok paczki amerykańskiego sera. Jedno i drugie wygląda trochę nieświeżo, więc wrzucam je do kosza na śmieci. Drzwi lodówki są otwarte na oścież, jedzenie w środku robi się już letnie. Piwo rozlało się po podłodze, trunek

wsiąka w płytki, które wypaczają się na moich oczach.

Próbuję obudzić tatę, żeby posprzątał ten cholerny bałagan, jakiego narobił, ale nawet nie drgnie. Przyciskam ucho do jego piersi, by się upewnić. Wciąż oddycha. I dobrze.

Dzięki temu będę mógł go zabić, kiedy się w końcu obudzi.

Niewiele brakowało, by spalił cały dom.

Otwieram okna, żeby wywietrzyć zasmrodzone wnętrze, i zabieram się po raz kolejny do sprząwania bałaganu - bałaganu taty - a mój gniew jest przytłumiony przez fakt, że napełniłem sobie żołądek.

Dziś wieczorem zaopiekowała się mną i nakarmiła matka, jakaś matka, i nieważne, czy jest moja, czy nie.

QUINN

Jest już ciemno, kiedy wychodzę z mieszkania Nicholasa Kellera. Ciemniej niż ciemno. Już trwa czarna jak smoła bezgwiezdna listopadowa noc, niebo przypomina barwą atrament.

Wskakuję w Hyde Parku do autobusu linii 55, dobre dziesięć albo jedenaście kilometrów od centrum biznesowego. Mój dom, co najmniej piętnaście kilometrów na północ od centrum, wydaje się bardzo odległy. Znajduje się w całkowicie innym świecie, na innej planecie, w innej galaktyce, i choć bardzo pragnę się w nim znaleźć, zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie wydawał mi się domem.

Dojazd do mojego mieszkania, trwający ponad godzinę, nie przedstawia się różowo, jeszcze zanim się zaczyna. To powrót tą samą drogą, którą przebyłam, zmierzając do mieszkania w Hyde Parku, gdzie dotarłam niespełna godzinę temu, kiedy słońce już zachodziło na zimnym nocnym niebie. Dwa autobusy, potem metro i spacer na dystansie ośmiuset metrów.

Ale to było wcześniej, nim uzyskałam od Nicholasa Kellera potwierdzenie, że Esther zabiła jego narzeczoną, która obecnie spoczywa pod nagrobkiem z brązu na idyllicznym cmentarzu na przedmieściach Bostonu.

Wciąż nie rozumiem jednak, co te wszystkie dziwne wydarzenia mają ze sobą wspólnego: zniknięcie Esther, poszukiwanie nowej współlokatorki, wnioski o zmianę tożsamości, śmierć Kelsey Bellamy.

Jedna myśl nie daje mi spokoju. Czy Esther poluje na nową współlokatorkę, bo chce, bym i ja umarła?

Czy Esther próbuje mnie zabić?

Po plecach przebiega mi dreszcz, ja zaś wyobrażam sobie pająki wspinające się po moim kręgosłupie jak po schodach, tysiące pajaków mknących po skórze, poruszających ukradkiem długimi członowatymi odnóżami, wbijających głęboko szpony i przedających pajęczyny pod moją koszulą.

Czy Esther jest morderczynią?

Nagle ogarnia mnie strach.

I to wszystko wciąż nie wyjaśnia tożsamości Najdroższej Osoby. Kim jest Najdroższa Osoba? Kim, kim, kim? Pragnę to wiedzieć, chcę już teraz poznać wszystkie odpowiedzi.

Rozmyślam gorączkowo o mężczyznach, których Esther przyprowadzała do domu

podczas tych miesięcy, które spędziłyśmy razem. Nie było ich wielu, to jedno jest pewne. Był jeden, który lubił gotować, przystojniak o wysokich kościach policzkowych, silnie zaznaczonej szczęce i dużych uwodzicielskich oczach. Był też jakiś tajemniczy wielbiciel, który przysyłał jej kwiaty, tuzin czerwonych róż bez karteczki.

Czy któryś z tych mężczyzn był Najdroższą Osobą? Nie wiem.

I co to wszystko ma wspólnego ze mną?

Jedno wiem na pewno: dzieje się coś bliżej nieokreślonego. W moim uchu zaczyna rozbrzmiewać bezgłośnie syrena oznaczająca bliskie tornado. Syreny oznaczające nalot ostrzegają mnie przed zbliżającym się atakiem nuklearnym. Gdziekolwiek spojrzę, widzę gigantyczną czerwoną flagę. Zewsząd słyszę:

- Uwaga! Niebezpieczeństwo!

Boję się.

Wieczorne dojazdy zaczęły się i skończyły. Autobus nie jest tak zapchany jak zwykle, co stanowi jednocześnie błogosławieństwo i przekleństwo. Dla odmiany nie miałabym nic przeciwko gwarowi - ciałom napierającym na moje, wydzielającym trującą woń i zapach potu. Zaakceptowałabym to wszystko z jednego tylko powodu: w tłumie bezpieczniej.

Ale nie dziś wieczór. Dziś wieczór jestem sama.

Sama jak palec wślizguję się na podniszczone siedzenie, otulając się szczelniej płaszczem, żeby zachować ciepło, i patrzę przez okno w cienistą noc. Ale nic z tego. Z powodu lamp ledowych, które palą się w autobusie, trudno cokolwiek dostrzec. Światła miasta płoną w oddali, nasze Wielkie Jezioro to poczerniała otchłań, bezdenne dół. Zastanawiam się, co leży po drugiej stronie tego ogromnego, czarnego jeziora. Wisconsin. Michigan.

A dalej nie ma już nic, tylko ciemność.

Ale i tak wyobrażam sobie to, czego nie mogę zobaczyć.

Widzę Esther tu i tam, stojącą na poboczu Lake Shore Drive, schowaną za bezlistnym drzewem. Ogarnia mnie to nagle, niesamowite wrażenie, że jest gdzieś tam, że Esther, moja droga przyjaciółka Esther poluje na mnie. Jestem pewna, że dostrzegam ją na siedzeniu kierowcy samochodu z mechanizmem różnicowym o ograniczonym poślizgu, czerwonego dwudrzwiowego coupé, widzę kobietę, która patrzy na mnie przez okno autobusu, jej oczy są groźne, wrogie, podłe. Widzę kurtkę na przystanku autobusowym, który mijamy w drodze na stację metra czerwonej linii. To jej kurtka w czarno-białą kratę, dostrzegam też czarną czapkę na głowie. Wykręcam się na siedzeniu, pragnąc za wszelką cenę

uchwycić choć przelotnie postać kobiety, która ma na sobie te rzeczy, ale kiedy się odwracam, jej już nie ma. W miejscu tej kobiety, tam gdzie ona stoi, jak sobie wyobrażałam, dostrzegam kręcone czarne włosy jakiejś nastolatki. Bluza w paski zebry. Dzinsy.

Przyglądam się badawczo pasażerom autobusu, sprawdzam po kolei: nie Esther, nie Esther, nie Esther. Odhaczam ich w myślach. Obserwuję, gdy odliczają opłatę za przejazd i wsiadają. Robię to na każdym przystanku, mój wzrok zatrzymuje się na włosach, na oczach, szukając śladów Esther, upominając się w duchu, by patrzeć uważnie, przecież może być w przebraniu. Jakaś kobieta w średnim wieku obrzuca mnie złym spojrzeniem i pyta:

- Na co się tak gapisz, dziewczyno?

A ja odwracam wzrok, kiedy przechodzi obok mnie poirytowana i zajmuje miejsce za moimi plecami.

Kiedy nie dostrzegam Esther, mówię sobie, że być może wynajęła kogoś, żeby mnie załatwił. To głupie, a jednak nie tak bardzo głupie, kiedy kojarzę fakty. Esther zabiła Kelsey, a potem znalazła mnie. Uczulona na żywność Kelsey stanowiła łatwy cel, Esther mogła ją zabić bez większego wysiłku, z zamkniętymi oczami i rękami związanymi na plecach. Krok pierwszy: pozbyć się EpiPenu. Krok drugi: mąka orzechowa. Łatwizna, bułka z masłem.

Ale nie ja. Ja nie mam żadnej alergii.

I teraz Esther poluje na nową współlokatorkę, na Megan z Portage Parku. Jej czas ze mną dobiega końca. Tak sobie w każdym razie mówię, kiedy sparaliżowana strachem jadę autobusem. Esther próbuje mnie zabić.

Moja racjonalność wskazuje mi trop: Esther wynajęła płatnego mordercę, żeby mnie zabił. Nie może zabić mnie sama, więc wynajęła kogoś innego do tej roboty. Skąd by się wzięły te wszystkie wyciągi z bankomatu, które znalazłam w kuchennym kubku na śmieci? Trzy razy pobrała pieniądze w ciągu trzech kolejnych dni, zawsze po pięćset dolarów, łącznie tysiąc pięćset baksów.

Czy moje życie jest warte tysiąc pięćset dolarów?

Dla mnie tak.

Jak wygląda płatny morderca? - zastanawiam się, idąc od autobusu na stację metra czerwonej linii. Jest kiepsko oświetlona i obskurna, obraz przechodniów niewyraźny i rozmazany. Wszyscy się dokądś śpieszą. Przemykają obok mnie, by dotrzeć do jakichś miejsc, zobaczyć jakichś ludzi. Stoję oszołomiona, próbując odszukać bilet miesięczny, ale zamiast tego oceniam ludzi, którzy mnie otaczają, i czuję, jak moje stopy przymarzły do brudnego betonu. Ktoś wpada na mnie i rzuca

gniewnie:

- Stoi pani na drodze!

A ja i tak nadal nie mogę się ruszyć. Jak wygląda płatny morderca? - zastanawiam się ponownie, przygnieciona coraz większym strachem. Czy jest potężnie zbudowany i gburowaty, o głosie gardłowym i chrapliwym? Na myśl przychodzą mi zawodowi zapaśnicy WWF. Ale też szczapowaci mężczyźni z kolczykami na twarzy i tysiącem tatuaży. Uzależnieni od narkotyków, wychudzeni mężczyźni. No i ci łysiejący otyli mężczyźni w okularach. Oni też przychodzą mi na myśl. Czy płatny morderca jest którymkolwiek z nich, czy wszystkimi naraz, kombinacją tych cech? Czy to zawsze on, czy też czasem ona? Czy istnieje jakaś zasada, która określa, jak powinien wyglądać płatny morderca albo jak powinien się zachowywać, albo lepiej żeby nie rzucał się w oczy, na przykład ten gamoniowaty niezgrabny mężczyzna, nudny jak flaki z olejem, który stoi sobie jakby nigdy nic i czyta gazetę na środku peronu, kiedy pokonuję bramki i schodzę na dół. Czy to możliwe, że Esther wynajęła tego człowieka, by pozbawił mnie życia?

Podnosi wzrok znad gazety, kiedy się pojawia, i uśmiecha się. Czekam na ciebie, mówią jego oczy. Wypatruję jakiejś broni w jego kieszeni albo dłoni, czegoś, co zabije, a wtedy mi świta: wagon metra mnie zabije.

To jedyna myśl, jaka przemyka mi przez głowę, kiedy schodzę na peron, a moje oczy toczą wokół jak ślepie kameleona obdarzone polem widzenia o promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni; upewniam się, że nikt nie depcze mi po piętach. Czuję szybkie uderzenia serca. Upuszczam bilet raz, dwa razy, trzy razy, nim udaje mi się schować go do kieszeni torebki.

Dochodzi czasem do nieszczęśliwych wypadków, ktoś spada na szynę pod napięciem albo jest przejechany na śmierć przez nadjeżdżający pociąg. Zdarzały się już takie rzeczy. Widziałam to w wiadomościach. Nie jest to powszechne, ale zdarza się. Mężczyźni i kobiety porażeni prądem, który płynie przez trzecią szynę; mężczyźni i kobiety przejechani przez pociąg, niejednokrotnie samobójcy. Zarząd metra wstrzymuje ruch, żeby przeprowadzić śledztwo, a dla reszty świata to jedynie niedogodność. Coś wyjątkowo irytującego i grubiańskiego, że jakiś głupiec postanowił skończyć ze sobą migiem, już, teraz, w godzinach szczytu, na głównej trasie komunikacji miejskiej.

Ale nie o tym teraz myślę. Nie, w tej chwili myślę o tym, jak by to było spaść na dół, usmażyć się od tysiąca woltów elektryczności, być rozplaszczonym przez metro, które uchodzi za jedno z najszybszych na świecie. Nie żyć. O tym myślę, kiedy trzymam się z daleka od mężczyzny z gazetą, mężczyzny z tatuażami,

mężczyzny w okularach i z łysiejącą głową, od kobiety po pięćdziesiątce – tak, kobiety – z siwizną we włosach. Ostrożności nigdy za wiele.

Jak by to było – nie żyć.

Nad tym się zastanawiam.

Na stację wjeżdża pociąg czerwonej linii, a ja wsiałam do wagonu. Stoję, gotowa uciekać, gdyby zaszła taka konieczność.

Mogłam wziąć taksówkę. Dlaczego nie wzięłam po prostu taksówki? – zastanawiam się, ale prawda wygląda tak, że w tłumie bezpieczniej.

– W tłumie zawsze bezpieczniej – mawiała moja matka.

Może nie jest w końcu taka głupia.

Mówiła mi także, żebym nosiła przy sobie pojemnik z gazem łzawiącym, powtarzała to z tysiąc razy. A ja mówiłam, że zachowuje się śmiesznie. Histeryczka, tak ją nazwałam, kiedy zareagowała przerażeniem na wieść, że chcę porzucić bezpieczną przystań naszego podmiejskiego życia. Bała się wszystkich tych chuliganów, od których roi się w mieście, gangów, wysokiego współczynnika przestępczości.

– Wyluzuj, mamó – mówiłam jej. – Niepotrzebnie się zamartwiasz.

Teraz jednak nie jestem już taka pewna.

Potrzebuję gazu łzawiącego.

Co ważniejsze, potrzebuję matki.

Jeszcze raz wyliczam w myślach dowody: fakt, że Esther zaginęła, listy do Najdroższej Osoby, tajemniczy telefon na komórkę Esther z informacją, że nie zjawiała się na umówione spotkanie w niedzielę, wniosek o zmianę imienia i nazwiska, kwity z bankomatu, poszukiwanie nowej współlokatorki, kogoś, kto miał się pojawić po moim odejściu. Odejściu? Dokąd? No i śmierć Kelsey Bellamy, która w moim rozumieniu przebija pozostałe dowody, choć zastanawiam się siłą rzeczy, czy są to prawdziwe ślady i wskazówki, a może to tylko zwodnicze tropy, fortele wiodące na manowce, które mają wprowadzić mnie w błąd. Nie wiem.

Kiedy pociąg wjeżdża na stację, zostaje mi tylko kurs autobusem. Idę pośpiesznie ulicą w stronę przystanku. Dziękuję Bogu, że autobus podjeżdża w chwili, gdy się zjawiam, więc nie muszę czekać w tę zimną i ciemną noc. Gramolę się do środka i upatruję sobie miejsce tuż za kierowcą. Będzie mnie chronił, jak głupio sobie wmawiam.

Rusza, zanim mam czas usiąść. Niemal upadam pod wpływem gwałtownego ruchu. Już usadowiona, grzebię w torebce, szukając kluczy i wszystkiego innego, co może posłużyć do obrony życia: pilnika do paznokci, błyszczyka do warg, balsamu

do rąk. Myślę z wyprzedzeniem o następnych posunięciach. Kiedy autobus podjedzie na mój przystanek, pognam do domu i pokonam biegiem dwa piętra dzielące mnie od mieszkania 304. Zamknę drzwi, ale ponieważ Esther ma klucze, będzie to daremne, po prostu nic nie da.

Dlatego postanawiam, że zabarykaduję drzwi krzesłami, wszystkimi krzesłami, jakie tylko zdołam znaleźć. Modnym krzesłem w kratę, krzesłami kuchennymi, krzesłem, które stoi przy biurku Esther. Podeprę też drzwi kanapą, stolikiem do kawy, biurkiem. Wszystkim, co tylko możliwe.

Ale potem przypominam sobie, że Esther nie ma klucza do naszego mieszkania, przecież konserwator John wymienił zamki. W tym momencie wydaję z siebie nieznaczne westchnienie ulgi, wiedząc, że mimo wszystko zabarykaduję drzwi krzesłami i stołem. Tak na wszelki wypadek.

Nie będę nic jadła z obawy, że zostało zatrute rycyną albo cyjankiem. To kolejna podjęta przeze mnie decyzja.

No i są jeszcze schody pożarowe, gdyby Esther postanowiła wrócić tą samą drogą, którą wyszła, przez okno swojej sypialni, z powrotem do naszego domu. Okno jest zamknięte i zaryglowane, ale to nie oznacza, że Esther nie może sforsować ekranu z siatki i stłuc pięścią szyby.

Albo po prostu podpali cały ten cholerny budynek. To właśnie sobie wyobrażam, nasze mieszkanie w pomarańczowych płomieniach.

I wtedy to czuję.

Łagodnie głaskanie po moich długich blond włosach.

I tam, w autobusie, zaczynam krzyczeć.

ALEX

Tej nocy leżę w łóżku i gdy już zaczynam odpływać w sen, budzę się. Ten wstrząs elektryczny, który zdarza się przed zaśnięciem: ciało gotowe udać się na nocny spoczynek, a umysł jeszcze nie. A może odwrotnie? Odruch hipnagogiczny, nocny skurcz. To mnie budzi, w każdym razie tak mi się zdaje.

Panuje cisza, a potem nagle słyszę brzęk szkła uderzającego o szkło. Tak to brzmi w moich uszach. Potrzebuję minuty, żeby odzyskać orientację, aż wreszcie uświadamiam sobie, że ten dźwięk dociera od strony okna. Wstaję z łóżka, podchodzę do szyby i przez szparę w żaluzji widzę mały kamyk rzucony w jej stronę, śledzę trajektorię pocisku z ziemi ku szklanej tafli. Uderza w okno i spada w dół, zsuwając się po gonce ganku.

Podnoszę żaluzje i wlepiam wzrok w zachwaszczony trawnik, a ona tam stoi. Perła.

Jest okryta swoją kurtką w czarno-białą kratę, na głowie ma czarną czapkę. Ta noc jest mroczna, trudno zobaczyć cokolwiek wyraźnie. Ale widzę ją. Jest tam, stoi w cichej ciemności niczym postać na nieostrej fotografii. Mglista i niedoskonała, ale mimo wszystko doskonała pod wieloma względami. Macha, kiedy podnoszę żaluzje i wyglądam na zewnątrz, czując się trochę zmieszany. Dlaczego tu jest? Nie wiem dlaczego, ale co tam zmieszanie, żarliwie dziękuję niebiosom, że ona tu jest.

Przez całe życie marzyłem, że jakaś dziewczyna przyjdzie do mnie w środku nocy, i oto przyszła.

Podnoszę rękę i też macham, jakby niemrawo, choć wewnątrz czuję się zupełnie inaczej. Wewnątrz zapominam całkowicie, że jeszcze przed chwilą byłem na krawędzi snu, rozmyślając o tacie i niezapłaconym rachunku za prąd, o tym, że tata ukradł mi lunetę, użalając się nad sobą. I pragnąc czegoś innego niż to życie, wzbudzając w sobie taką nadzieję.

Podnoszę palec wskazujący i wymawiam niemal bezgłośnie słowa:

- Jedną chwilę - choć wątpię, czy ona to widzi, a już na pewno nie słyszy. Chwytam bluzę wiszącą na gałce garderoby i wypadam na zewnątrz, by Perła się nie rozmyśliła i nie odeszła.

Nie, nie odeszła. Spotykam się z nią na trawniku.

- Co tu robisz? - pytam, a mój głos to nieledwie szept.

Trawa jest mokra, pokryta rosą. Przenika podeszwy moich tenisówek, pokrywając stopy wilgocią i przyprawiając o chłód. Włosy Perły też są mokre, a ja chcę ponad wszystko dotknąć ich, przesunąć po tych farbowanych włosach opuszkami palców i sprawdzić, czy ich faktura zamienia się wraz z odcieniem: od ziarnistej poprzez szorstką aż po lepką i jedwabistą, jak welwet. Tak właśnie mi się jawią – welwetowo. Padało, myślę sobie, dlatego jej włosy są mokre. Ale nie słyszałem w ogóle deszczu. Na trawie jest rosa, ale betonowe chodniki i ulica są suche. Może ta dziewczyna znów pływała i brodziła po wodach jeziora Michigan. Może o to chodzi. Prawdopodobnie, dochodzę do wniosku. Pływała.

Ale nie pytam o to.

- Nudziłam się – wyznaje.

A więc dlatego tu jest. Nie wiem, co na to odpowiedzieć, co o tym myśleć. Jak bardzo musiała być znudzona, żeby przyjść tu i spotkać się ze mną?

Staram się jednak stłumić wątpliwości, nie ulegać im. Perła jest tutaj i tylko to się dla mnie liczy. Jest tutaj.

Odwraca się i idzie, a ja, niczym jakiś mały zagubiony szczeniak, podążam za nią. Powietrze tej nocy jest rześkie, miasto niesamowicie spokojne. Ciemność wypełnia się jedynie odgłosem naszych kroków, przypadkowym chrzęstem żwiru pod stopami, rytmicznym skrzypieniem jednego buta. Nie ma samochodów, pociągów, mew ani sów. Cały świat jest pogrążony we śnie oprócz nas dwojga – Perły i mnie.

Idziemy. Nie wiem dokąd i sądzę, że ona też tego nie wie. O ile mogę się zorientować, nie zmierzamy w konkretnym kierunku. Niewiele mówimy. Czasem tak jest najlepiej, więc nie mówię niczego głupiego, żeby wszystkiego nie schrzanić. Ale od czasu do czasu wygłaszamy jakąś bezowocną i niemądrą uwagę w rodzaju:

- To brzydki dom.

- Wygląda na to, że latarnie znowu się nie palą.

Czyli takie tam, po prostu wygadujemy bzdury.

Potem jednak, kiedy jesteśmy po raz drugi w połowie kwartału, wokół którego spacerujemy, mówi:

- Moi rodzice wyrzekli się mnie.

Te słowa przychodzą znikąd, choć jestem święcie przekonany, że tkwiły w zakamarkach jej umysłu od bardzo dawna, próbując wydostać się na zewnątrz, tak jak szczury laboratoryjne próbują wydostać się z labiryntu.

- Kiedy byłam małą dziewczynką – dodaje, a ja składam sobie w głowie jej słowa, jej wyznanie: „Moi rodzice wyrzekli się mnie, kiedy byłam małą dziewczynką”.

Takie zwierzenia wydają się łatwiejsze w ciemności, kiedy nie trzeba widzieć

żałosnego wyrazu czyjejś twarzy, wyrazu, który czasem sprawia, że człowiek czuje się gorzej, choć miał się poczuć lepiej.

- Co to znaczy, że się ciebie wyrzekli? - pytam. - Oddali cię do adopcji?

- Tak.

- Przykro mi - mówię, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Nie wydaje się zresztą, bym miał prawo wyciągać od niej coś więcej. Poprzestaję więc na apatycznym „przykro mi”, w nadziei że uzna to za szczere z mojej strony. Nie jest dzieckiem. Jest dostatecznie dojrzała, by można było sądzić, że już się z tym pogodziła, a jednak przypuszczam, że człowiek nigdy się z tym do końca nie godzi. Nie jest tak, że uporałem się z odejściem matki. To taki rodzaj bólu, który bardziej przypomina uporczywe rwanie niż gwałtowne ukłucie. Trwa wiecznie.

Wzrusza ramionami i mówi:

- W porządku. Pogodziłam się z tym.

Ale jakoś nie sądzę, by się pogodziła. Oceniam jej wiek na jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia osiem lat, a ona wciąż odczuwa gniew, że rodzice oddali ją do adopcji. To typowe w tego rodzaju sprawach. Rana jątrzy się. Taka jest ludzka natura, że żywi urazę. Trudno patrzeć przed siebie, kiedy nie można się zorientować, co człowiek zostawił za sobą, czy raczej co zostawiło jego. Moja matka jest nieobecna już od trzynastu lat, a nie ma dnia, bym nie doznawał z tego powodu żalu. Prawdę mówiąc, wciąż odczuwam gniew. I myślę o niej cały czas. Powiedziałbym Perle, że powinna zapomnieć o przeszłości i skupić się na przyszłości, ale, jak to się mówi, przyganiał kocioł garnkowi. Nie jestem hipokrytą. Czasem takie rzeczy łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- Jak to się stało? - pytam. - Jak to się stało, że twoi rodzice się ciebie wyrzekli?

Nie widzę tego, ale wyobrażam sobie, że wzrusza ramionami.

- Dlaczego ktokolwiek wyrzeka się dzieci? - mówi, jakby sama chciała wiedzieć.

Ale jest to pytanie retoryczne i czuję, że Perła nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. Ja też jej nie oczekuję, wiem, że po pytaniu nie nastąpi wyjaśnienie. Ale w głębi duszy zaczynam szukać wszelkiego rodzaju powodów, takich jak kłopoty finansowe, rozwód, młoda i niezamężna matka, brak wsparcia, po prostu jakaś nastolatka, która nie miała pojęcia, jak być mamą. Jestem absolutnie pewien, że Perła nie chce czegoś takiego słyszeć. W jej głosie pobrzmiwa rozżalenie, słyszę je, bez dwóch zdań. Jeśli już, to chce, żebym powiedział, że rodzice wyrzekają się swoich dzieci, bo są paskudnymi ludźmi i koszmarnymi rodzicami. Bo są po prostu podli. Ale nie mam szansy tego wyrazić.

- Zła dziewczynka - wyrzuca wtedy z siebie, a zawziętość jej słów sprawia, że się

wzdrygam. Są mocne i gniewne, i oto w nocnym powietrzu, nie mając nikogo konkretnego na myśli, celuje oskarżycielsko palcem i powtarza: - Zła dziewczynka. Jesteś złą dziewczynką.

Nie ulega wątpliwości, że to dziwaczne, ta jej deklaracja czy wspomnienie, czy cokolwiek, czego właśnie byłem świadkiem. Jasne, wiem już, że jest trochę stuknięta, co stanowi kolejny powód, by kwestionować jej normalność, a jednak, z jakiegoś niewiadomego powodu nie robię tego. Może to miłe przebywać w towarzystwie kogoś, kto nie przywiązuje wagi do norm społecznych, kto nie dba o to, co myślą inni ludzie. A jednak te słowa, to oświadczenie: „zła dziewczynka”, zapadają mi w mózg w tej skądinąd spokojnej nocy. „Jesteś złą dziewczynką”. To slogan, który przywiera do niej, tak jak mój slogan przywiera do mnie: „Odejdź, Alex. Zostaw mnie w spokoju. Nie dotykaj mnie”.

Nocna cisza się pogłębia. Wsłuchuję się w rytm naszych kroków, moje stopy dotrzymują tempa jej stopom. Idziemy powoli, bez celu, nawet nie w prostej linii. Przechadzamy się - to lepsze określenie. Przechadzamy się ulicą w nocnej ciemności pod baldachimem gwiazd i konarów. Gdzieś w dali przez las albo pole przebiega wataha kojotów, wydając z siebie przeraźliwe wycie i zbierając się w zwartą grupę, by dopaść ofiarę. Nasłuchujemy, widząc w wyobraźni stado drapieżników tropiących i osaczających pieska preriowego, kota, wiewiórkę.

- Tak mi przynajmniej bezustannie powtarzali. Jesteś złą dziewczynką - mówi ponownie, ale tym razem jej słowa są spokojniejsze, wypowiedane z rezerwą.

Chcę ją spytać, czy to prawda, czy była złą dziewczynką. Myślę, że może to prawda, ale też że nie. Może zostało to wyrwane z kontekstu lub wyolbrzymione, coś w tym rodzaju. Właściwie wszystkie dzieci są złe, czyż nie? Skoncentrowane na sobie i w ogóle. To leży w ich naturze. Domyślałem się, że i ja taki zapewne byłem, i dlatego moja matka postanowiła odejść. Nagle jednak, gdy okazało się, że rodzice wyrzekli się Perły, moja matka nie jest już taka godna potępienia za to, że mnie zostawiła. Przynajmniej wciąż mam tatę. Nie odebrała mnie tacie.

- Dowiedziałaś się tak po prostu? - pytam. - Że cię oddali?

- Nie, nie. Wiem o tym od pewnego czasu.

- Ktoś ci powiedział? - podsuwam.

- Nie, nie. Sama się domyśliłam.

A potem opowiada, że zaczęła mieć sny o innej matce, o innym ojcu. O palcach bezustannie w nią wycelowanych, gniewnych, oskarżycielskich palcach, i o tych samych trzech słowach, powtarzanych raz za razem, jak tekst na pękniętej płycie: „Jesteś złą dziewczynką”. Zdarzyło się to wiele lat temu, naprawdę dawno, wciąż

jeszcze mieszkała z ludźmi, których uważała za swoich rodziców. Powiedziała im o tych snach, choć właściwie nie musiała tego robić, bo już wcześniej słyszeli, jak woła przez sen. Wiedzieli o koszmarach albo o tym, co sama wówczas uważała za koszmary. Okazało się, że to retrospekcje. Przypominała sobie. Powoli, kawałeczek po kawałeczku, poskładała elementy i domyśliła się. Bezsporny był też fakt, że w niczym nie przypominała członków swojej rodziny – wysokich, dobrze zbudowanych, o rudawych blond włosach i jasnozielonych oczach. Różnili się od niej pod każdym względem. Była przybita, przygnieciona brzemieniem odrzucenia i smutku, i nie zniweczył tego fakt, że miała kochającą rodzinę. Czowała się zraniona, odrzucona przez rodziców, którzy się jej wyrzekli.

Ale nie tylko o to chodziło. Okłamano ją, zrobiono z niej głupca.

Przybrana rodzina wykazała skruchę.

- To byli dobrzy ludzie – mówi, kiedy idziemy podniszczoną ulicą. – Są dobrymi ludźmi.

Dzieli nas teraz mniejsza odległość, poruszamy się równolegle. Nie dotykamy się, w każdym razie nie rozmyślnie, ale co jakiś czas jej ręka, ruchoma ręka piechura, ociera się o moją rękę.

- Chcieli jak najlepiej – dodaje, mając na myśli przybranych rodziców.

Nie wymienia ich imion, w ogóle nic nie zdradza na ich temat, ale przyznaje, że nie szczędzili jej miłości ani czułości. Ani troskliwości, bo posłali ją na terapię.

Na wzmiankę o terapii w mojej głowie zapala się światełko.

Doktor Giles.

- Robili, co w ich mocy, zważywszy na okoliczności, rozumiesz? Byłam spaprany dzieciakiem. Wciąż jestem, jak sądzę. Często doprowadzałam ją do płaczu, to znaczy moją matkę. Ojca przyprawiałam o gniew, ale byli dobrymi ludźmi. Nie wrzeszczeli, nie bili mnie, kiedy zachowywałam się niewłaściwie. Nie przeprowadzili się do innego miasta i nie zostawili z nową rodziną, której nie znałam. Kto tak postępuje? – pyta z ironicznym śmiechem, a ja nic nie mówię, bo wiem, że Perła nie oczekuje, bym cokolwiek powiedział. – Byli na mnie skazani, wiesz? Zaadoptowali mnie. Podpisali dokumenty, choć zgotowałam im piekło. Wiem o tym. Nic nie mogłam na to poradzić, taka już jestem. Jestem, kim jestem. Ale kiedy skończyłam osiemnaście lat, poszłam po rozum do głowy i postanowiłam odejść. Nie potrzebowali mnie już, żebym się przy nich pałętała i wchodziła w paradę ich bliskim. To była w końcu ich rodzina, nie moja. Próbowałam odnaleźć moją – dodaje. – No, tę moją prawdziwą rodzinę. I odnalazłam.

Jej głos jest posepny i stłumiony, wyznanie przerywają długie chwile milczenia.

Odnoszę wrażenie, że to już wszystko, co Perła zamierza mi powiedzieć.

Próbowała odnaleźć swoją rodzinę i odnalazła.

Ale ja chcę wiedzieć więcej, chcę podpytywać, sondować. Jednak nie robię tego. Nie drążę dalej, wiedząc, że kiedy Perła będzie gotowa, to powie mi więcej.

Zdejmuję naszyjnik z zębem rekina i wręczam jej. Dla siły i ochrony. W tej chwili potrzebuję ich bardziej niż ja.

- Nie mogę - mówi cicho.

Ale i tak przyjmuje z moich drżących rąk ten specjalny naszyjnik.

Znów ruszamy w drogę, kontynuujemy wędrówkę w nocną ciemność, aż wydaje mi się, że już dalej nie dam rady, ale nawet wtedy nie chcę wracać do domu.

- Próbowałam odnaleźć moją rodzinę - powtarza po jakimś czasie, tak długim, że już myślałem, że nie powie mi nigdy. - I odnalazłam. Wytropiłam ją.

Słyszę jej oddech w sennej nocy, ciężki jak bryła błota. Dobywa się z trudem. Rezultat spaceru - a może stresu. Albo żalu.

- Ale nadal mnie nie chcieli - dodaje. - Po tych wszystkich latach wciąż mnie nie chcieli.

Serce mi się kraje, bo wiem, co czułem, kiedy matka mnie odrzuciła. Słucham, gdy Perła opowiada, jak znalazła swoją rodzinę, ale gdy tylko się to stało, ci ludzie z miejsca zaczęli stronić od niej, nie odbierali telefonów, proponowali, że zapłacą, byle tylko dała im spokój.

I ponownie to odrzucenie przez moją matkę, tylko matkę, nie wygląda tak fatalnie. Coś jednak sobie pomyślałem. Gdybym znów ją zobaczył, a ona odtrąciłaby mnie po raz drugi, to nie wiem, co bym zrobił. Myślę, że mógłbym dać się ponieść emocjom.

QUINN

- Przymknij się, młoda damo - mówi kierowca autobusu, potężny mężczyzna z jeszcze potężniejszym głosem. Ledwie obraca się na swoim fotelu, tylko tyle, by sprawdzić, czy nie jestem gwałcona pod groźbą użycia broni palnej. Nie zwalnia jednak. Nie naciska na hamulec ani nie sięga po walkie-talkie, żeby wezwać pomoc.

- Wszystko w porządku? - pyta głosem tak apatycznym, jakby chciał wiedzieć, czy mam ochotę na frytki do zamówionego dania.

Za mną siedzi włóczęga, który lubi dotykać moich włosów. I jest to natychmiastowe, to uczucie ulgi. Nie płatny morderca, mówię sobie, tylko ten śmieć.

Jednak ulga jest krótkotrwała.

Gdy włóczęga się uśmiecha, widzę, że brakuje mu połowy zębów. Pozostałe są żółte albo powykrzywiane. Też je straci, po prostu to wiem. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wcześniej patrzyłam mu w oczy. Zerkałam co najwyżej z ukosa i nalegałam:

- Proszę nie dotykać moich włosów.

Włóczęga budziłby lęk nawet w dobry dzień, ale ten absolutnie nie jest dobry. Budziłby lęk, gdyby świeciło słońce i było południe, ale to nie jest południe, a świat na zewnątrz jest cichy i ciemny. Tu i teraz ten człowiek jest po prostu przerażający.

Ma mnóstwo włosów na głowie, na twarzy. Są skręcone, posklejane, sterczą na końcach. Ledwie widzę jego dziobowatą twarz z powodu tych włosów. Nosi czapkę, granatową z daszkiem, która nie chroni uszu. Ma też plecak na szelkach, z paskiem na biodra, a także kijek turystyczny. Odzienie jest nędzne, bluza z tkaniny sportowej koloru grzybów. Na nogach tenisówki, pewnie zapomoga z jakiejś organizacji dobroczynnej, Goodwill albo Armii Zbawienia, a może dopisało mu szczęście, kiedy grzebał w kontenerze na śmieci. Ma brudne ręce, cuchnie. Na szyi nosi opaskę z identyfikatorem, na której jest napisane „Sam”. Mogę się założyć o wszystko, że nie tak ma na imię. Znalazł ten identyfikator albo, co bardziej prawdopodobne, ukradł.

Omijam go wzrokiem i uświadamiam sobie, że oprócz dwóch nastolatków w tylnej części autobusu, naśladowców jakiegoś stylu, jesteśmy jedynymi pasażerami. Nie zwracają na nas uwagi. Noszą w nocy okulary przeciwsłoneczne. Przesyłają sobie esemesy. Mają na uszach słuchawki i posługują się słowami, z których żadne nie ma

znaczenia określonego w słowniku. Jeden z nich wstaje i mówi:

- Muszę się zmywać.

- Najlepszego, przyjacielu - odpowiada drugi.

Nie mogą mnie ocalić. Nie ma mowy.

Resztę autobusu wypełniają rzędy pustych siedzeń. Nikogo, kto mógłby pomóc.

Wtedy ta łachudra mówi:

- Podobają mi się pani włosy.

I wyciąga rękę, żeby znów ich dotknąć, a ja cofam się pośpiesznie, upuszczając torebkę. Połowa zawartości wypada na podłogę autobusu: mój portfel, saszetka z kosmetykami, komórka. Wsuwam rękę pod brudne siedzenie autobusu, wsuwam jak najgłębiej, by się upewnić, że niczego nie przeoczę, ale wyciągam dłoń, która jest pusta. No cóż, nie ma tam nic prócz śliny z wyplutej i przeżutej gumy.

- Są ładne - mówi włóczęga.

- Niech pan mnie wypuści - zwracam się do kierowcy. - Muszę wysiąść z autobusu. Muszę wysiąść z autobusu natychmiast.

Zbieram swoje rzeczy z brudnej podłogi i pakuję do torebki.

A co kierowca mi mówi?

- Przystanek jest przy następnej przecznicy. - To właśnie mówi. - Jeśli nie ma sytuacji awaryjnej, musi pani poczekać.

Potem wrzeszczy na bezdomnego mężczyznę, żeby zostawił mnie w spokoju, a ten przez kolejne dwadzieścia sekund zostawia mnie w spokoju.

Przestaje dotykać moich włosów. Odchyła się na swoim siedzeniu i przestaje do mnie mówić.

Chwytam swoje rzeczy, wstaję i wciskam „stop”, ciesząc się, że to mój przystanek. Kiedy autobus się zatrzymuje, nie idę, ale biegnę.

Moje stopy walą o chodnik. Nie jestem tego wieczoru całkiem sama na ulicy, ale czuję się całkiem sama. Gdy wiem, że każda osoba, którą mijam, stanowi potencjalne zagrożenie, trudno się rozeznąć, kto jest dobry, a kto zły.

Komu mogę ufać.

Komu nie mogę ufać.

Omijam szerokim łukiem ludzi, tych, którzy wchodzą do sklepów i restauracji, i tych, którzy z nich wychodzą; kobiety wyprowadzające psy i mężczyzn w towarzystwie innych mężczyzn, pogrążonych w rozmowie i roześmianych. Obserwuję wszystkich i zastanawiam się: Ty nim jesteś? Ty? Ty?

To pytanie przebiega mi co chwila przez głowę: czy Esther wynajęła kogoś, żeby mnie zabił?

Przyglądam się dokładnie samochodom, dwa razy, trzy razy, nim przechodzę przez skrzyżowanie; obchodzę z dala kratki ściekowe i kanaliki burzowe, na wypadek gdyby ktoś je obluzował, żebym spadła i się zabiła. Czy można umrzeć w kanale ściekowym? Nie wiem. Nie sposób przewidzieć, jaki może mi się zdarzyć wypadek. Nie zbliżam się do budynków, których okna są zaopatrzone w urządzenia klimatyzacyjne, bo coś może być odkręcone i po lekkim pchnięciu zabójcy runąć mi na głowę. Traumatyczny uraz mózgu, który z pewnością doprowadzi do śmierci. Krwotok mózgowy. Ciśnienie śródczaszkowe.

Kiedy wydostaję się z bardziej gwarnych ulic Clark i Foster i ruszam w stronę sennych uliczek w rodzaju Farragut Avenue, jestem sparaliżowana strachem. Mam koszmarne pietra. Boję się.

Bardzo prawdopodobne, że zlałam się w majtki.

Chcę iść do domu. Chcę być w domu. I to nie w swoim mieszkaniu, w budynku bez windy, w lokum, które dzielę z Esther. Chcę być w rodzinnym domu, z rodzicami i siostrą Madison. Chcę stuknąć obcasami i powiedzieć trzykrotnie:

- Nie ma to jak w domu.

Ale nie idę do domu.

Drzewa chłozcze wiatr, mierzwiąc mi włosy i ciskając je w oczy, tak że prawie nic nie widzę. Ale w chwili gdy jestem gotowa ulec panice, wiatr porzuca moje włosy i zsuwa się po płaszczu spragniony dotyku nagiej skóry. Wzdrygam się, chcę wrzeszczeć na ten wiatr.

Z dali dobiega odgłos ruchu ulicznego. Zatrzymuje się przede mną jakiś mężczyzna w garniturze z kamizelką i pyta o drogę.

- Może mi pani powiedzieć, jak dojść do Catalpa Avenue? - prosi.

- Nie wiem - odpowiadam i powtarzam to trzy albo cztery razy, żeby dał mi spokój. Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Te słowa zlewają się w amalgamat. Mężczyzna obrzuca mnie złym spojrzeniem i rozplywa się w powietrzu.

I wtedy słyszę moje wysyczane imię:

- Quinn... Quinn... - Tak brzmi tchnienie wiatru albo tak przynajmniej słyszę.

A potem dobiega mnie śmiech, śmiech skręcający wnętrzności.

Ktoś wyłania się z cieni rzucanych przez drzewa.

To on.

Żółte zniekształcone zęby, kudłate włosy. Staje blisko, wyciągając do mnie brudną rękę, próbując dotknąć włosów. Cofam się szybko, ale potykam się o chodnik i padam na ziemię.

- Czego ode mnie chcesz?! - krzyczę, leżąc na zimnym betonie.

Nie odpowiada, tylko wyciąga brudną dłoń i próbuje pomóc mi wstać. Opieram się, nie chcę dotknąć tej dłoni, w ogóle nie chcę go dotykać. Dźwigam się na nogi, rozcinając sobie o chropowatą nawierzchnię chodnika dłoń, która zaczyna krwawić. W ciemności krew jest czarna. Rozcieram skaleczoną rękę, błagając ponownie:

- Zostaw mnie w spokoju.

Odwracam się, żeby uciec, ale oto jego dłoń już jest na moim ramieniu i trzyma mocno, redukując przepływ krwi.

- Puść mnie! - wrzeszczę, ale nie puszcza, a ja jestem wijącym się robakiem na haczyku wędki, wierzgam i drę się wniebogłoso.

I wtedy coś się pojawia w jego dłoni. To broń! Światło latarni oddalonej o dobre siedem metrów dobywa niewyraźny blask na lśniącej powierzchni, najpewniej stalowej. To broń palna, nóż? Nie wiem. Szarpie ręką, staram się za wszelką cenę uwolnić. Zaczynam płakać.

- Nie rób mi krzywdy - błagam. - Proszę, nie rób mi krzywdy.

Jego dłoń wbija się w moje ramię, sprawia ból, więzadła i mięśnie naprężają się nienaturalnie.

Ale on się tylko śmieje.

Chicago i jego okolice zamieszkują trzy miliony ludzi, a dziś wieczór, na tej ulicy, nie ma obok mnie ani jednego człowieka. Powinnam wrzeszczeć. To właśnie powinnam zrobić. Na pomoc! Na pomoc! Ale mój głos to nieledwie szept. Otwieram usta, żeby krzyczeć, ale nic się z nich nie dobywa.

- Skrzywdzić panią? - mówi. - Nie chcę pani skrzywdzić.

Znów powtarzam:

- Puść mnie, puść mnie, puść mnie.

- Zostawiła to pani w autobusie - mówi. - Chodzi tylko o to. Zostawiła to pani w autobusie.

I wtedy widzę ten przedmiot w jego dłoni. Wydaje z siebie cichy brzęk, nieznaczny hałas, ledwie słyszalny z powodu mojego krzyku. Nie broń, nie nóż. Telefon. Telefon Esther, który musiał wypaść, kiedy moja torebka znalazła się pod siedzeniem w autobusie, i którego nie dosięgłam, zbierając swoje rzeczy. Wyrывam mu telefon z dłoni, a wtedy puszcza moje ramię, a ja cofam się pośpiesznie, znów potykając się o własne stopy. Ale tym razem nie walę się na ziemię.

Właśnie nadeszła wiadomość.

Nie potrzebuję hasła, żeby ją odczytać. Oto jest, na ekranie telefonu.

Widzę ją, litera po literze:

Zapłacisz za wszystko.

ALEX

Siedzimy na zakurzonej brudnej podłodze starego domu, jednego z wielu identycznych przy tej ulicy. Te domy nie mają w sobie nic wyjątkowego. Sto identycznych wyrosło niemal w ciągu jednego dnia pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu, więc ten, w którym przebywamy, jest taki sam jak następny i następny, i jeszcze następny. Wszystkie są takie same, tyle że jeden może być brązowy, a drugi niebieski. Ale wszystkie są brzydkie, ciężkie, po prostu banalne. Tak jak mój dom po drugiej stronie ulicy. Też jest brzydki.

Na zewnątrz panuje ciemność, wciąż jest noc. Szliśmy, aż w końcu nie mogliśmy iść już dalej, i wtedy, zamiast wrócić do domu i położyć się do łóżka, przyszedłem tutaj, do domu Perły.

- Opowiedz mi o tym duchu - mówi.

Siedzi przede mną na podłodze z podwiniętymi nogami. Jak tu zawędrowałem, nie wiem. Po prostu zawędrowałem. Opiera dłonie na kolanach. Odrobina tego światła, które wkrada się między krawędziami zabitego deskami okna, odbija się od ostro zakończonych trójkątnych zębów, od mojego naszyjnika z kłosem rekina, który spoczywa na dekolcie jej podkoszulka. Jest tu ciemno. Przy zakrytych oknach i braku światła nie potrafię już odróżnić dnia od nocy. Straciłem wszelkie poczucie czasu. Perła siedzi zaledwie pół metra dalej, patrząc na mnie, aż w końcu ledwie przypominam sobie własne imię albo powód, dla którego tu jestem.

- Jakim duchu? - pytam, choć oczywiście wiem, co ma na myśli.

Wygląda na wykończoną. Wyobrażam sobie, że nie jest łatwo spać na twardej podłodze, kiedy przez cały dzień człowiek włóczy się po ulicach jakiegoś małego miasteczka.

- Jestem tylko przejazdem - powiedziała.

A ja się zastanawiam, ile czasu upłynie, zanim odjedzie. Nie dlatego, bym chciał, żeby odjechała, bo nie chcę, ale zastanawiam się, kiedy nadejdzie dzień, gdy pojawię się w opuszczonym domu, a Perły tu nie będzie.

Ale teraz jeszcze jest i kontruje moje pytanie:

- Przecież sam mówiłeś, że ten dom jest nawiedzony.

Nie uwierzy w żadne historie, które jej opowiem, zresztą sam w nie nie wierzę. Ale to rozmowa, niezobowiązująca pogawędka. Poza tym o wiele ważniejsza od samego ducha - albo głupiej koncepcji ducha, stworzonej przez mieszkańców

miasta - jest mała dziewczynka, która kiedyś istniała. Reszta to tylko zabawa. Ludzie lubią napędzać sobie stracha. Lubią też opowiadać historie, które straszą innych ludzi. Ale to wszystko jest tylko na niby.

Genevieve nie żyje od wielu lat, umarła, zanim się urodziłem. Wiem tylko to, co zasłyszałem. Podobno utopiła się w wannie w łazience hotelowej, podczas gdy jej matka przebywała w sąsiednim pokoju, zajmując się młodszym dzieckiem, nieświadoma tego, że pięcioletnia Genevieve wśliznęła się pod wodę i utopiła. Nie było krzyku, jak wtedy, gdy ludzie odnoszą rany albo są w niebezpieczeństwie, tylko milcząca śmierć, zanurzenie się i odpłynięcie w sen. Ani razu nie krzyknęła, ani razu nie zaczerpnęła powietrza. Tak przynajmniej mówią.

Z czasem relacje o śmierci Genevieve nabrały, mówiąc oględnie, romantycznego charakteru. Mała dziewczynka zanurzyła się w wodzie obficie zmieszanej z płynem do kąpieli i w bujnych mydlinach, tak że na powierzchni pozostało jedynie kilka kosmyków ciemnych włosów. Rodzina przebywała na wakacjach w luksusowym hotelu, a opis sceny śmierci był wonny: fioletowo-brązowe bąbelki o zapachu sorbetu malinowego, kremowa skóra dziewczynki zaczerwieniona od gorącej wody, choć żadnego z ludzi opowiadających tę historię nie było na miejscu i nie widzieli tego, co opisują: kilka srebrzystych bąbelków unoszących się w powietrzu i przywierających do kafelków, którymi była wyłożona wanna. Genevieve utopiła się, zapomniana w łazience z powodu berbecia w sąsiednim pokoju, jej siostry, w tamtym czasie zaledwie dwulatki, która spadła z łóżka i zaczęła płakać, odciągając uwagę matki od drugiej dziewczynki, tej w wannie.

Przewiezienie zwłok przez granice stanów było kosztowne, albo tak powiadają ci sąsiedzi, którzy są dostatecznie wiekowi, by pamiętać dzień, w którym na podjeździe żółtego domu pojawił się rodzinny samochód z dziewięćdziesięciocentymetrowym ciałem wetkniętym w bagażnik, by uniknąć procedur wymaganych przy transporcie ciała z jednego miejsca do drugiego. Sąsiedzi mówią, że nigdy nie zapomną, jak niepewnie stali na popękany betonowym podjeździe, czekając, aż będą mogli pomóc w wyjmowaniu z bagażnika wozu jakby zbitej na chybcika drewnianej trumienki i zanieść ją do dołu, który wykopali na miejskim cmentarzu. Wieść o śmierci Genevieve już dotarła, wyprzedzając znacznie jej zwłoki.

Ludzie byli wstrząśnięci. Małe dziewczynki nie umierają.

Pozostał tylko duch Genevieve, który rzekomo nawiedza mieszkańców miasta nawet podczas nocnego spoczynku. Ich sny są wypełnione wodą przelewającą się przez brzeg wanny, mała dziewczynka jest seraficko wzniosła, anielska - martwa.

Jej skóra popielata i biała, skrzydła wyrastają z ciała, włosy kruczoczarne i mokre.

Nie wierzę w to wszystko.

- Genevieve - mówię do Perły. - To jej imię, imię dziewczynki, która zmarła.

Przypuszczalnie imię ducha.

- Jest ładne - mówi. - To ładne imię.

- Owszem.

- I umarła?

- Umarła.

- Tutaj? - pyta Perła, obejmując pokój zamaszystym ruchem szczupłego ramienia.

Zaprzeczam ruchem głowy, podążam jednak wzrokiem za jej ręką, ku cieniom, które zalegają w każdym bez wyjątku kącie, ku pajęczynom, które zwieszają się z sufitu jak koronka. Jestem bliski tego, by przeprosić ją i wrócić tu z mopem i odkurzaczem, żeby doprowadzić to miejsce do porządku. Myślę, że zrobiłbym to dla Perły. Sprawiałbym, że to miejsce stałoby się znośniejsze i przyjemniejsze. Nie zrobiłbym tu wszystkiego na błysk, oczywiście że nie, ale mógłbym pozamiatać podłogi, wytrzeć kurze i omieść pajęczyny. Tego rodzaju rzeczy. Perła nie powinna przebywać w takiej norze.

To zimne pomieszczenie zamienia się dzięki grzejnikowi w gorące. Dostatecznie gorące, by Perła zdjęła kurtkę i moją bluzę i siedziała obok nich na podłodze w cienkim bawełnianym podkoszulku i dżinsach. Jej ręce poruszają się z wdziękiem typowym dla baletnicy, wykonując ewolucje w powietrzu. Chcę ją spytać, czy kiedykolwiek tańczyła, czy kiedykolwiek uczęszczała na lekcje baletu, jaki ma charakter jej związek z doktorem Gilesem. Ale nie robię tego. Oczywiście, że nie. To nie moja sprawa. Każdy ma swoje tajemnice. Perła nie pyta mnie o moje, więc ja będę taki sam wobec niej. Choć oczywiście powiedziałbym Perle bez wyjątku to wszystko, co chciałyby tylko wiedzieć.

- Jesteśmy przyjaciółmi, zgadza się? Ty i ja. Przyjaciele - tak przecież powiedziała.

Odganiam wspomnienie i skupiam się na aktualnej rozmowie.

- Nie - odpowiadam. - Nie tutaj. Genevieve nie umarła tutaj.

A potem mówię o rodzinnych wakacjach, o luksusowym hotelu. O obfitości płynu do kąpieli, mydlinach i całej reszcie. Widzę, jak twarz Perły pogrąża się w smutku wraz z moją opowieścią o śmierci małej Genevieve.

- Nie umiała pływać? - pyta.

- Najwidoczniej nie. - Wzruszam ramionami, bo to przecież oczywiste, że gdyby Genevieve umiała pływać, wstrzymałaby pod wodą oddech, a nie odetchnęła

głęboko, nabierając w płuca wody.

Spekulowano również, że dziewczynka próbowała stanąć w wannie i uderzyła się głową o kant, przez co straciła przytomność i w konsekwencji utonęła. To jedna z hipotez. Nie było tam nikogo, kto mógłby powiedzieć coś pewnego. Nikt nie widział, jak Genevieve umiera. Istnieje też przypuszczenie, że to była z jej strony gra, że próbowała się przekonać, ile sekund potrafi wytrzymać pod wodą, ale to woda zwyciężyła w ostatecznym rozrachunku. Brak tlenu, jak uważają, wywołuje odruch oddechowy, naturalne pragnienie ciała, by oddychać, nawet gdy jest się zanurzonym w mydlanej wodzie, przez co napętnia się płynem najpierw żołądek, a potem płuca. Setki tysięcy ludzi umiera corocznie z powodu utopienia. Ogromny procent stanowią dzieci w wieku pięciu lat albo jeszcze młodsze, jak Genevieve. Ludzie mogą utopić się wszędzie – w wannach, w toaletach, w kałużach. Myślę o tacie, który systematycznie zapija się niemal na śmierć. Naraża się na to, że pewnego dnia umrze w butelce piwa.

- Ciekawi mnie, co się dzieje, kiedy człowiek tonie – mówi Perła. – Zastanawiam się, czy to boli. – Patrzy na mnie, jej smutne oczy chcą wiedzieć.

- Nie wiem – odpowiadam. – Ale mogę się założyć, że tak. Mogę się założyć, że to przerażające... nie móc oddychać.

Nie są to słowa, które chce usłyszeć, wiem o tym. Chce, bym powiedział, że Genevieve po prostu zamknęła oczy i odplynęła w sen. Że Genevieve nie zdążyła się zorientować w sytuacji – rozbija mydlane bańki w wannie, a w następnej chwili jest już martwa. Przeniosła się do innego życia, do nieba, stanęła u bram raju i tak dalej. Nie wiedziała, że umiera. To właśnie Perła chce usłyszeć. Ale z takiego czy innego powodu mówię jej prawdę. Może dlatego, że jak mi się zdaje, okłamywano ją dostatecznie często, by już tego nigdy wobec niej nie robić, no i po prostu na tę prawdę zasługuje.

- Rzeczywiście przerażające – zgadza się ze mną Perła. – Czy widziałeś ją kiedykolwiek potem, no wiesz... potem?

- To znaczy jej ciało? Jak już umarła?

- Tak, o to właśnie pytam.

- Nie, nie widziałem. Nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy umarła. Wszystko znam tylko z opowiadań.

- Och... – Brzmi to tak, jakby była trochę zawiedziona, jakby chciała usłyszeć coś więcej. Jakby żałowała, że nie widziałem zwłok Genevieve. Ale nie mam jej nic więcej do powiedzenia. – Jestem pewna, że jej rodzinie było smutno – dodaje.

Kiwam głową i mówię:

- Tak, naprawdę smutno. - Ale tego też nie wiem. Nic nie wiem o rodzinie Genevieve, wyjechali stąd na długo przed moimi narodzinami. Potem zastanawiam się przez chwilę, a na koniec pytam: - Kiedy już się umrze, to myślisz... że się wraca jako duch?

To rzecz poniekąd marginalna i całkowicie hipotetyczna. Teoretyczna, spekulatywna i absolutnie fikcyjna. Oczywiście nie wierzę w duchy, ale i tak pytam o nie Perłę, byle o czymś rozmawiać.

- Nie - oświadcza zdecydowanie. - Wykluczone. Nie ma czegoś takiego jak duchy. Poza tym gdyby istniały, nie sądzę, by ktokolwiek się mnie przestraszył. - Podsuwa latarkę pod brodę i przybiera koszmarny wyraz twarzy, a z jej piersi dobywają się upiorne dźwięki: - Uhhh... Uhhh...

Wybucham śmiechem.

Nie jest w ogóle przerażająca, nikt by się jej nie wystraszył. Ton głosu, ciepły uśmiech i życzliwe oczy są wprost kojące. Łapię się na tym, że nie jestem już zdenerwowany. No, tak jakby. Wciąż boję się śmiertelnie, że powiem coś głupiego, coś, co spieprzy całą sprawę. Ale jej już tak bardzo się nie boję. Jest w niej coś, co mnie uspokaja.

- A ty? - pyta. - Czy powróciłbyś z za grobu i prześladował bliskich.

- Tak, ale niekoniecznie bliskich - odpowiadam. - Za to innych ludzi z miłą chęcią. Dręczyłbym wszystkich facetów, którzy czepiali się mnie w szkole. Dziewczyny, które mnie ignorowały. Moją szefową, panią Priddy, za to, że czasami zachowuje się wrednie. No, w ogóle coś w tym stylu. - Przez krótką chwilę rozkoszuję się myślą, że ja-zjawa prześladowuję Priddy z za grobu. Tak bardzo podoba mi się ten pomysł, że aż się uśmiecham.

- Myślisz o tym kiedykolwiek? - pyta Perła.

- O czym?

- O śmierci. O umieraniu.

- Nie - odpowiadam, energicznie kręcąc głową, a potem dodaję: - No, niezupełnie. Lepiej będzie, jak powiem, że staram się o tym nie myśleć. A ty?

- Ja tak - wyznaje cicho. - Wciąż o tym myślę, przez cały czas.

- Dlaczego? - Gdy zadaję to pytanie, czuję, jak Perła przysuwa się do mnie. Czy dzieje się to naprawdę, czy to tylko moja wyobraźnia? Nie wiem, ale wydaje się nagle, że ona jest na odległość ramienia, i gdybym tylko chciał, to mógłbym dotknąć jej ręki. Ale nie dotykam, choć wyobrażam sobie, że tak jest, że przesuвам opuszką kciuka po jej miękkiej gładkiej skórze. - Nie istnieje nic, co mogłoby temu zapobiec. Wszyscy pewnego dnia umrzemy.

- Tak, wiem. - Milczy przez chwilę. - Każdy wie, że stanie się to... kiedyś. Ale jeśli ten dzień jest już bliski?

- Nie jest bliski - zapewniam ją, ale oczywiście nie mam pojęcia, czy jest bliski. O ile wiem, akurat w tej chwili, jak i w każdej innej, może spaść wielki kawał ściany i nas zmiażdżyć. - Spróbuj tyle o tym nie myśleć. Ciesz się życiem i w ogóle.

- Ciesz się życiem - powtarza. - Żyj chwilą i ciesz się życiem. - A potem obraca się do mnie, a ja jestem niemal pewny, że dostrzegam w tym mrocznym pokoju promienny uśmiech na jej twarzy. - Jesteś bystry, wiesz?

Najpierw kiwam głową, a potem mówię:

- Tak, wiem. Jestem bystry.

Ale jak się okazuje, bystrość nie zawsze prowadzi człowieka tam, dokąd chce iść. Czasem trzeba mieć jeszcze odwagę. Tak więc biorę głęboki oddech i dotykam dłoni Perły. Robię to, nim każdy pojedynczy neuron w moim mózgu ma czas wydrzeć się na mnie: „Nie!”. Nim nadmiernie logiczna i wyważona strona mojej osobowości może przedstawić dziewięćdziesiąt dziewięć powodów, dla których może mi to nie wyjść: dziewczyna wybuchnie śmiechem, cofnie rękę, da mi w twarz, wyjdzie. Tymczasem opuszka mojego kciuka gładzi satynową powierzchnię jej skóry, i gdy Perła nie cofa ręki, uśmiecham się. Sekretnie, nieśpiesznie, ukradkiem. To bezbarwny, mięczakowaty uśmiech, którego nigdy nie chciałem jej pokazać, ale taki, który przenika każdy zakątek mojego jestestwa.

Jestem szczęśliwy w sposób dotąd mi niedostępny.

Perła nic nie mówi, nie śmieje się, nie wychodzi. W milczeniu siedzimy na podłodze starego i pogrążonego w ciemności domu, trzymając się za ręce, rozmyślając o czymś innym niż duchy, śmierć i umieranie. Ja w każdym razie myślę o czymś innym niż duchy, śmierć i umieranie, choć oczywiście nie wiem, o czym ona myśli, dopóki się nie odezwie.

- Chcę ją zobaczyć - oznajmia.

- Kogo zobaczyć?

- Genevieve.

- To znaczy ducha? Ducha Genevieve? - pytam, zarazem czując się całkowicie absurdalnie.

Nie trzeba nadmieniać, że to dziwna prośba. Perła oczekuje, że przywołam ducha Genevieve. Dawno temu miałem planszę ouija, ale jestem absolutnie przekonany, że gdzieś przepadła. Tak czy inaczej, moglibyśmy odbyć seans spirytystyczny. Zapalić świeczki, wziąć się za ręce i odstawiać wszystkie te idiotyzmy. Spróbować przywołać ducha Genevieve. Jawi mi się to jak stek bzdur, ale żadnej prośbie Perły

nie potrafiłbym odmówić.

Mimo wszystko odczuwam niejaką ulgę, kiedy zaprzecza.

- Nie - mówi. - Chcę zobaczyć jej grób. Miejsce, w którym ją pochowano - dodaje.

- Jest środek nocy. - Nawet już nie wspominam, że sam pomysł wydaje mi się dziwny. Dlaczego, u licha, pragnie zobaczyć grób Genevieve? Dlaczego właśnie teraz?

- Nie boisz się, prawda? - pyta mnie z uśmiechem, wysuwając dłoń z mojej i podnosząc się z podłogi. Staje przede mną, opierając ręce o biodra i czekając na moją odpowiedź. To wyzwanie.

Kręcę głową. Nie boję się. Ja też się podnoszę, otrzepując spodnie na tyłku. Jaki byłby ze mnie matoł, gdybym przepuścił rendez-vous z kobietą, i to na cmentarzu?

- Żyj chwilą - przypomina mi, kiedy wspinamy się na okno i wydostajemy na zewnątrz. - Ciesz się życiem.

- Ciesz się życiem - powtarzam jak papuga, kiedy idziemy ulicą.

Nocne powietrze ochłodziło się przez ten krótki czas, kiedy byliśmy wewnątrz domu, do tego wzmógł się wiatr. Jest zimno, ale jakimś cudem, gdy Perła jest przy moim boku, bliżej niż przedtem, czuję ciepło. Znowu ujmuję jej dłoń. Tym razem już się nie zastanawiam, po prostu to robię. Perła nie uwalnia się od mojego uścisku, więc tak kroczymy, trzymając się za ręce, środkiem ulicy, zmierzając w stronę miejskiego cmentarza. Perła w mojej ocenie musi być starsza ode mnie gdzieś tak z dziesięć lat, ale ani przez sekundę nie wydaje się to dziwne. Przeciwnie, wydaje się słuszne. Nie rozmawiamy, nie gadamy o bzdurach. Nic nie mówimy. Prowadzę Perłę, zamierzając jej pokazać, gdzie znajduje się cmentarz, choć chwilami odnoszę wrażenie, że to ona mnie tam wiezie. Chce zobaczyć, gdzie pochowano Genevieve.

Cmentarz jest stary. Jeden z dwóch w tych stronach, i ten jest starszy. Istniał, nim przed ponad dziesięciu laty założono cmentarz publiczny. O tym, że Genevieve jest tu pochowana, wiem tylko dlatego, że bawiłem się w tym miejscu z chłopakami w szukanie ducha, kiedy byliśmy małymi dziećmi. Oczywiście nie jest to gra, która wymaga cmentarza, ale dzięki temu mieliśmy więcej frajdy. Stary cmentarz przynależy do kościoła, małego budynku z dawnych czasów stojącego nieco z boku. Przechodzimy przez trawnik i ruszamy w stronę zapadającego się grobu Genevieve. Nie ma tu już miejsca na chowanie zmarłych, więc ci, którzy zostali na tym cmentarzu pogrzebani na wieczność pod kruchymi i pokrytymi mchem nagrobkami, są niejednokrotnie zapomniani, a ich potomkowie leżą po drugiej stronie miasta, w miejscu częściej odwiedzanym.

Nie zaglądałem tu od lat, od tamtego czasu, kiedy byłem małym chłopcem, może ośmioletnim, i krążyłem między grobami, żałując, że moja matka nie jest pochowana w jednym z nich. Bo tak byłoby lepiej. Śmierć stanowiłaby znacznie lepszą wymówkę niż po prostu odejście. Wolałbym śmierć sto razy bardziej niż porzucenie. Wybrałbym ją w ciemno.

Ale tu jest pochowana Genevieve, pod niewielkim nagrobkiem, w sam raz dla zmarłego zwierzaka. To cięty skośnie kamień, szary z czarnymi szczegółami, zatopiony w brązowiejącym, zamierającym trawniku.

Na mogile widać kwiaty, poznaję je, to rudbekie owłosione. Zostały wyrwane z jakiegoś trawnika, prezentują się niespecjalnie. Niewiele więcej niż zwiędłe kielichy leżące na ziemi. Karma dla ptaków udająca kwiaty. Kto jednak mógłby je tu zostawić? O ile wiem, prawie nikt nie odwiedza tych grobów, chyba że w czasie Halloween, w trakcie corocznego obchodzenia cmentarzy, żeby poczuć dreszcz niepokoju, ale niczego nie upamiętnić. Dziwne, jeśli mam być szczerzy.

Perła osuwa się na kolana na wilgotnym trawniku i zbiera łodygi rudbekii. Przesuwa palcami po wyrzeźbionych literach, robi to powoli, w zamyśleniu, jakby chcąc zapamiętać wszystkie szczegóły, nachylenie „G”, zawijas w kształcie „e”, śmiałe „v”.

I nagle coś mnie uderza. Ten napis: Genevieve. Samo imię, bez nazwiska. Dziwne, bardzo dziwne. Do tej pory wydawało to się oczywiste. Genevieve- duch, Genevieve- zjawia, taka istota nie potrzebuje nazwiska. Ale przecież chodziło o niegdyś całkiem żywą istotę, zmarłą tragicznie dziewczynkę. Nieszczęsną Genevieve pochowano szybko, niemal skrycie, a zaraz potem jej rodzina zniknęła. Uciekła po nowe życie bez Genevieve? Pewnie tak...

Odrzucam te myśli i skupiam się na Perle. Stoję w odległości mniej więcej pół metra, patrząc na nią, widząc smutek w jej oczach i myśląc sobie, że to naprawdę smutne, kiedy się wie, że zmarła mała dziewczynka. Jest to smutne, nieważne czy którekolwiek z nas znało Genevieve. Słyszałem opowieści, niemal wszyscy tutejsi mieszkańcy je znali. Ale ja sam nigdy nie znałem Genevieve, Perła też nigdy jej nie pozna, a jednak mimo wszystko to wciąż przygnębiające, kiedy się pomyśli, że jest tam, w dole, po prostu rozkładające się zwłoki, które leżą pod naszymi stopami, w miejscu, gdzie właśnie stoimy. To przygnębiające i dziwaczne.

Ale po chwili staje się to jeszcze bardziej dziwacznie.

Perła, która przykłękała na mokrej trawie, teraz się kładzie. Przekręca się na bok i leży zwinięta w kłębek na grobie Genevieve, jakby obejmowała małą martwą dziewczynkę, jakby ją tuliła. Jakby ją w jakiś osobliwy sposób pocieszała.

Po chwili zwraca się do mnie:

- Alex, chodź tutaj.

Robię to, oczywiście, ale nie mogę się zmusić do tego, żeby się położyć na cmentarzu. Tylko siadam czy raczej kucam. Kucam na trawniku, aż łydki zaczynają mnie palić żywym ogniem, i słucham, jak Perła zaczyna się modlić za zmarłą Genevieve.

- Gdy będziemy zasypiali... - recytuje modlitewnie.

A ja tłumaczę sobie łzy spływające z jej oczu empatią i współczuciem, ale może chodzi o coś więcej.

Może jest po prostu szalona, choć nie oznacza to, że podoba mi się nawet odrobinę mniej.

W jakiś osobliwy sposób oznacza to, że podoba mi się jeszcze bardziej.

QUINN

- Spokojnie - mówi do mnie Ben, kiedy siedzę na tweedowym kuchennym krześle w stylu Breuera, a on przykłada opatrunek do mojej dłoni. - Powiedz mi, co się stało.

Jego twarz znajduje się blisko, w odległości zaledwie piętnastu centymetrów, więc wyczuwam w jego oddechu woń sosu sojowego, kiedy mówi.

Do moich policzków przywierają zaschnięte łyzy, dłonie pokrywa krew.

Drżę, siedząc na kuchennym krześle. Ze strachu, a także dlatego, że jest mi zimno. Bo tu jest zimno. Kolana zakrywa koc, grubo tkana niebieska narzuta. Nie wiem, jak się tu znalazła. Nie wiem dlaczego, ale nie mam jednego buta. Koszula jest rozdarta na rękawie, tam gdzie bezdomny człowiek wykręcił mi rękę, naciągając mięśnie i więzadła, a skóra przypomina ognistą czerwień. Ben otwiera drzwiczki zamrażarki i sięga po lód, a potem napełnia nim plastikową torbę. Przykłada ją do mojego przedramienia, a ja blednę. Opatrunek jest zimny.

Drzwi, na moją prośbę, są zablokowane przez trzy krzesła. Ben ani razu nie powiedział, że to głupie czy choćby niemądre, nie spytał też, dlaczego o to poprosiłam. Po prostu to zrobił, ciągnąc przez całe mieszkanie krzesło w kratę, a potem udał się do sypialni Esther po krzesło IKEA-i stojące przy biurku.

O nic nie pytał. Po prostu to zrobił.

Komórka Esther leży na stole obok mojej ręki, wiadomość wciąż widnieje na ekranie, kiedy przyciskam odpowiedni klawisz.

Zapłacisz za wszystko.

Tyle głosi tekst przysłany z nieznanego numeru.

- Obserwuje mnie - mówię, kiedy Ben nalewa czerwonego wina i siada naprzeciwko mnie na swoim krześle.

Jego oczy emanują ciepłem, miły kontrast z moim chłodem.

- Wypij to - mówi. - Ukoi ci nerwy.

Podsuwa mi wino. Nie, to nie jest elegancki kieliszek, tylko czerwony plastikowy kubek. Mądry gest z jego strony, biorąc pod uwagę mój obecny stan. Drżą mi dłonie, kiedy podnoszę kubek. Ben dotyka pod stołem mojego kolana. Ten dotyk jest ciepły i kojący. Krzepiący.

- Ona mnie obserwuje - powtarzam.

Esther mnie obserwuje.

Ben i Priya raczyli się pierożkami na parze w knajpce w Chinatown, kiedy zadzwoniłam cała rozhisteryzowana i zapłakana.

- Co to znaczy, że nie możesz znaleźć tej teczki? - spytał mnie przez telefon. - Zostawiłem ci ją po południu na biurku. - Potem zwrócił się do swojej dziewczyny w zatłoczonej restauracji przy West Cermak Road, żebym mogła słyszeć jego chytre słowa przebijające się przez wrzawę: - Tak mi przykro, kochanie. Kłopoty w pracy. Zagubiona teczka. Muszę lecieć.

Zostawił Priyę w Chinatown i przywiózł mi jedzenie na wynos: chrupkiego kurczaka w sezamie i sajgonki. I butelkę czerwonego wina. Zjawił się pod moimi drzwiami, na twarzy miał oznaki zmartwienia: zmarszczki na czole, oczy pełne troski. Uśmiechał się, ale był to sztuczny uśmiech, obliczony na poprawę mojego nastroju.

- Przyjechałem tu jak najszybciej - powiedział głosem, w którym pobrzmiwało współczucie.

Zmienił urzędowy strój na coś mniej formalnego niż to, w czym widywałam go zwykle w pracy: na dżinsy i fioletoworóżową bluzę z kapturem. Ale włosy miał w idealnym stanie i roztaczał wokół siebie świeży, chłodny zapach wody kolońskiej, przyprawiający mnie o zawrót głowy i oszołomienie. Euforię.

- Mam nadzieję, że Priya nie była wściekła - powiedziałam, kiedy przyjechał, ale on tylko wzruszył ramionami i oznajmił, że to bez znaczenia.

Prawdę mówiąc, nie obchodziło mnie, czy Priya jest wściekła. Tak bardzo mi ulżyło, gdy się zjawił, po prostu uszczęśliwił mnie. Zresztą nie rozwaliałam jej żadnych planów. Właśnie kończyli posiłek, a potem Priya i tak zamierzała się zmyć, a to z powodu nawału prac domowych. Tak mi mówi Ben. zaproponował, że jej pomoże - albo przynajmniej dotrzyma towarzystwa - ale się nie zgodziła.

- Miała za dużo roboty - powiedział Ben, a ja udałam, że dostrzegam w jego oczach niejaką satysfakcję, że to ja go potrzebuję, że w przeciwieństwie do Priyi nie mogłabym uporać się z tym sama. Potrzebowałam jego pomocy i towarzystwa.

Potem opatrzył i obandażował moją rękę. Zablockował drzwi krzesłami. Przyłożył mi lód, nalał wina.

Mój rycerz w lśniącej zbroi.

I mówię mu, co się stało. Opowiadam o wizycie u Nicholasa Kellera, o powrocie do domu, o budzącym lęk bezdomnym człowieku dotykającym moich włosów, o wiadomości przesłanej na komórkę.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zamierzasz się spotkać z Nicholasem Kellerem? - pyta, siadając naprzeciwko z troską i serdecznością w oczach.

Przesuwa po moim ręku dłonią, nim kładzie ją z powrotem na swoim kolanie.

- Nie chciałam zawracać ci głowy. - I taka jest prawda.

Ben okazał mnóstwo dobroci, poświęcając tyle czasu i energii, żeby mi pomóc ustalić, dokąd udała się Esther i jakie są jej zamiary. Jest jego przyjaciółką, owszem, ale wydaje się, że to bardziej mój problem niż jego. Ale spotkanie z Nicholasem było też wynikiem impulsywnej decyzji z mojej strony. Nie bardzo wiedziałam, dokąd jadę, dopóki nie wyszłam z domu i nie wskoczyłam do pociągu czerwonej linii metra, by wywiózł mnie pod ziemię. Nie był to dobrze przemyślany plan, raczej spontaniczny, taki, który nagle objawia się jako głupi. Należało poprosić Bena, by ze mną pojechał. To obok niego powinnam była siedzieć przy stole kuchennym Nicholasa Kellera, to razem powinniśmy wysłuchać opowieści, jak Esther zabiła jego narzeczoną.

Ben nachyla się jeszcze bardziej, jego dłoń ugniata materiał moich dżinsów, a moje ledwie bijące serce niemal się zatrzymuje.

- Trzeba było z tobą jechać. Żaden kłopot, jeśli o mnie chodzi. Od tego są przyjaciele - oznajmia.

A ja kiwam leniwie głową, myśląc sobie, że rzeczywiście od tego są przyjaciele. Nie śledzą się nawzajem i nie próbują nawzajem pozbawić się życia.

A potem mówię po raz trzeci, a może czwarty:

- Obserwuje mnie.

A on na to:

- Może. - I oświadcza w ten swój rzeczowy, odpowiedzialny sposób, który tak mi się podoba: - Musimy zadzwonić na policję.

Cofa dłoń z mojego kolana i odchyła się na krześle. Nagle wydaje się bardzo odległy, zbyt odległy, piętnasto- czy dwudziestocentymetrowy dystans wydłuża się nagle do połowy metra, ciało jakby pozbywa się wypukłości, staje się wklęsłe. Nachylam się odruchowo, w nadziei że zmniejszę ten dystans. Wróc, Ben.

- Już to zrobiłam - mówię. - Poszłam na policję. Zgłosiłam zaginięcie.

Relacjonuję mu rozmowę z dyżurnym funkcjonariuszem, który poprosił o nazwisko Esther i jej zdjęcie. Obiecał, że się ze mną skontaktują, ale jak dotąd nikt się nie skontaktował.

- Może czas zgłosić popełnienie przestępstwa - mówi, choć oboje wiemy, że nie mamy nic prócz niepopartego dowodami przeczucia. Intuicji. Niepokojących podejrzeń.

Śmierć Kelsey Bellamy została uznana za wypadek. Od tej pory nie pojawiły się żadne dowody przestępstwa, więc żadnego przestępstwa nie popełniono. Taka jest

urzędowa wersja.

Przynajmniej na razie.

To znaczy przynajmniej na razie obowiązuje ta urzędowa wersja.

I przynajmniej na razie nie popełniono żadnego przestępstwa.

Tak czy inaczej, prześladowuje mnie – tylko irracjonalny – strach, że Esther chce mnie dopaść. Esther, moja droga przyjaciółka, moja dobra współlokatorka. Powtarzam w myślach, że Esther nigdy by mnie nie skrzywdziła, ale nie jestem tego taka pewna.

Dobrze zapowiadający się prawnik, jakim jest Ben, wie to lepiej ode mnie. Wie, że nie mamy dla policji nic konkretnego. Jakaś praca semestralna na temat straty i smutku, podanie o zmianę imienia i nazwiska, kwity z bankomatu. To bez znaczenia. Prawo nie zabrania zmiany imienia i nazwiska ani też nastroju pełnego smutku. Ani pobrania pieniędzy z własnego konta. Prośby o zmianę zamków w drzwiach swojego mieszkania. Esther nie zrobiła nic złego. A może jednak?

– Poza tym – mówię, patrząc w jego orzechowe oczy i mając nadzieję, że być może znajdę w nich odpowiedzi na wszystkie moje pytania – co będzie, jeśli się mylimy? Jeśli to wszystko jest jakąś głupią pomyłką, a my zawiadomimy policję, a ona uzna, że Esther jest winna? Wtedy pójdzie do więzienia. – Drży mi głos, gdy wyobrażam sobie Esther za kratkami, podczas gdy może, po prostu może nie zrobiła nic złego. – Esther jest za delikatna na więzienie – dodaję cichym głosem. – Zbyt miła.

Potem jednak wyobrażam sobie tę Esther, która celowo dosypała mąki orzechowej do posiłku Kelsey, by przerwać jej życie, a nie Esther, która śpiewa hymny w kościelnym chórze. Esther nie może być jednocześnie i taka, i taka.

Ale czy Esther zrobiła coś złego? Nie jestem pewna. Zadaję głośno to pytanie, by Ben je usłyszał:

– Zabiła ją? Czy Esther zabiła Kelsey Bellamy?

– Nie wiem na pewno – wzrusza ramionami – ale mam wrażenie, że tak.

Tym samym potwierdza podejrzenie, które gnieździ się w moim umyśle. Esther zabiła Kelsey i teraz próbuje zabić również mnie.

– A jeśli się mylimy i pójdziemy na policję z fałszywym oskarżeniem, że Esther to morderczyni? – pytam Bena. – Zniszczymy jej życie.

Ben zastanawia się nad tym.

– Chodziłem do szkoły z jednym facetem – oznajmia po chwili. – Nazywał się Brian Abbing. Mówiono, że włamał się pewnej nocy do drogiego sklepu z sukniami ślubnymi i wziął z kasy kilka tysięcy dolarów. Okno na tyłach było wybite. W sklepie

panował bałagan, poprzewracane manekiny, wszędzie podarte suknie. Nie było dowodu, że Brian cokolwiek zrobił, ale mimo wszystko to na niego ludzie wskazywali.

- Dlaczego? - pytam.

- Ktoś widział go, jak kręcił się na tej ulicy. No i był takim właśnie chłopakiem, takim, którego wszyscy się czepiali. Nigdy nie umawiał się z dziewczynami, seplenił, nie miał przyjaciół prócz Randy'ego Fukui, który był takim samym odludkiem jak Brian. Wszystko robili niewłaściwie. Rozumiesz, ubierali się niewłaściwie, słuchali niewłaściwej muzyki, mieli niewłaściwe włosy. Cały dzień gadali o grach wideo i przyjaźnili się ze starym nauczycielem prac ręcznych, weteranem z Wietnamu, który przez cały cholerny czas opowiadał o miotaczach ognia i granatnikach.

- Naśmiewano się z nich, ponieważ nosili nieodpowiednie ubrania? - pytam. Prawda jest taka, że słucham Bena, ale tylko jednym uchem.

- To była szkoła średnia.

No tak, to wyjaśnia wszystko, podsumowuję w duchu. Nienawidziłam szkoły średniej. Wszyscy jej nienawidzą z wyjątkiem tych, którzy przynależą do klik, złośliwych i płytkich - graczy hokeja na trawie, dziewczyn z zespołu cheerleaderek - tych, którzy kroczą dumnie po korytarzach, dając innym do zrozumienia, że są nic niewarci. Nie mogłam się doczekać, kiedy ukończę wreszcie tę szkołę.

- Co się stało z Brianem? - pytam.

Nagle odczuwam do niego sympatię. Dokuczano mi, kiedy byłam nastolatką, głównie z powodu bezdennej głupoty. Nie jest dobrze odznaczać się pustą głową, w dodatku kiedy ma się blond na głowie. Przezywano mnie różnie: idiotka, kretynka, bałwanica, a już żarty na temat blondynek były niewyczerpane.

- Policja nie ustaliła, kto to zrobił, w każdym razie nie dość szybko. Nie było śladów, odcisków palców, więc sprawa długo była otwarta. Ale rówieśnicy i tak go osądzili. Pokazywali go, wyzywali. Nawet Randy przestał z nim rozmawiać. Kiedy szedł na lekcje matematyki, połowa szkoły wyzywała go od złodziei i kleptomatów. Zanim policja jakieś pół roku później przyskrzyniła faktycznego sprawcę, Brian wspiął się na szczyt stacji przekaźnikowej i skoczył.

- Zabił się?

- Zabił się.

- Rany, Ben.

Wydaje mi się to nieco skrajne, ale myślę, że to jest coś, z czego człowiek nigdy tak naprawdę nie może się otrząsnąć, z wyzwisk, pokazywania palcem. Czasem, kiedy zamykam w nocy oczy, wciąż słyszę, jak cała klasa na zajęciach z ekonomii

śmieje się ze mnie, bo ilekroć nauczyciel wywoływał mnie do odpowiedzi, zapominałam języka w gębie, jakbym nagle oniemiała. Quinn, pobudka...

- To samo mogłoby się przytrafić Esther - mówi Ben. - Nie miałyby znaczenia, czy oczyszczono ją z zarzutów, czy w ogóle wysunięto jakieś zarzuty. Ludzie zawsze by o niej myśleli jako o morderczynie, bez względu na to, czy nią była, czy nie.

Kiwam apatycznie głową, myśląc dokładnie to samo.

Esther jest morderczynią.

- Raz morderczynie, zawsze morderczynie - mówię, a potem piję z plastikowego kubka. Drżą mi ręce, plamie blat stołu małymi kropelkami, czerwonymi jak krew. - Esther doznałaby krzywdy, gdyby się okazało, że się mylimy.

Nie wiem, czy to najlepszy moment, żeby się martwić o uczucia Esther, ale nie mogę się powstrzymać. Choć oczywiście gdybyśmy się nie mylili, to ja mogłabym doznać krzywdy, choć w zupełnie odmienny sposób niż Esther. A jednak wyobrażam ją sobie całkiem samą na szczycie wieży przekaźnikowej, jak Briana Abbinga, gotową spaść bezwładnie ku ziemi, a ja wiem, że nie możemy powiadomić policji. Przynajmniej na razie. Dopóki nie dowiemy się więcej.

- Nie ma wiarygodnych dowodów, nic konkretnego, żadnych świadków ani pogłosek - mówi Ben, potem sięga po serwetkę i usuwa bałagan, który narobiłam.

Gdyby wszystko było równie proste. Zgadza się ze mną i rezygnuje ze swojej rady, by iść na policję. Tak więc podejmujemy decyzję - złą czy dobrą - że nie będziemy dzwonić.

Siedzimy przy stole w nerwowym milczeniu. Ben wyciąga chrupkiego kurczaka w sezamie z papierowej torby i wręcza mi widelec. Napętnia mój kubek winem i sobie też nalewa, potem przysuwa się do mnie z krzesłem. Dotykamy się pod małym kuchennym stołem.

Pierwsza porcja wina jest, na dobrą sprawę, koszmar. Siedzimy, popijając w zamyśleniu drobnymi łyżkami merlota. Nie zwracamy uwagi na fakt, że drżą mi dłonie, kiedy podnoszę plastikowy pojemnik do ust i piję. Chcę krzyczeć. Chcę krzyczeć dostatecznie głośno, by wszyscy sąsiedzi słyszeli, by słyszała pani Budny, a zwłaszcza by słyszała Esther.

- Dlaczego? - chcę krzyczeć. - Dlaczego mi to robisz?

Po drugim kubku wina opuszczamy kuchnię i przenosimy się do salonu, gdzie siadamy obok siebie na małej sofie. Pojawia się jakiś żart i oboje parskamy sztywnym śmiechem, uważając w głębi duszy, że nie powinniśmy się w takiej chwili śmiać. Ale śmiech jest zaraźliwy, jeden wywołuje kolejny, a potem kolejny. Nastrój w pokoju staje się swobodniejszy i świat nabiera charakteru, w którym nie ma już

pośpności. Jest nam dobrze.

Gdy kubek napelnia się po raz trzeci, z trudem sobie przypominam, dlaczego mam podarte rękawy, a na dłoni widnieje wielki opatrunek z gazy i plastra. Przy czwartym jestem święcie przekonana, że nasze nogi splątały się na małej sofie jak w grze jenga, jego noga znajduje się na mojej, moja na jego, nogi, które bezustannie wysuwamy i układamy na nowo, jedna na drugiej, żeby było nam wygodnie. Nie jest to ani odrobinę erotyczne, raczej miłe i czułe, coś, co odrywa mój umysł od dziwnych wydarzeń, które przeniosły mnie z normalnej egzystencji do innej, kompletnie poplątanej i szalonej. Rozmawiamy o czymś innym niż Esther. Rozmawiamy o Anicie, naszej szefowej w pracy, której płaci się za to, żeby miała do czynienia z takimi beznadziejnymi asystentami projektu jak Ben i ja. Omawiamy sprawy w rodzaju kara śmierci i samobójstwo na życzenie, zastanawiamy się, czy cukierki pomarańczowe są najgorsze. Są (Ben się nie zgadza, choć oczywiście się myli). W pewnym momencie Ben pyta o moje życie miłosne albo o jego kompletny brak do tej pory (moje słowa, nie jego), a ja się krzywię i poruszam temat Priyi, rozochocona alkoholem na tyle, by zadać pytanie, które od miesięcy nie daje mi spokoju.

- Co ty w niej widzisz? - rzucam śmiało, choć nie chodzi o to, by brzmiało to trywialnie albo wrednie, ale tak wychodzi, i dziękuję za to alkoholowi, tak jak dziękuję mu za wiele innych rzeczy: za to, że Ben jest tutaj usadowiony wygodnie obok mnie; za to, że nie mam oporów, by sięgnąć do jego dłoni, nie przejmując się ani trochę, że nie odpowiada na mój gest; za to, że po raz pierwszy od wielu dni cierpnę ze szczęścia, a nie ze strachu.

- Wszystko - mówi Ben, a ja czuję, jak zamiera we mnie serce. Moja dłoń cofa się powoli, oddalając od jego dłoni. Lecz po chwili serce znów bije żywiej, gdy Ben wzdycha i koryguje: - Nic.

Nie bardzo wiem, w co mam wierzyć, we „wszystko” czy w „nic”, a może w coś pośredniego?

- Byłem z nią przez pół życia - wyznaje, patrząc na mnie tymi swoimi oczami, głos ma senny od wina, jego twarz jest dostatecznie blisko mojej, bym wyczuwała jego oddech, kiedy do mnie mówi. - Nie wiem, jak to jest być bez niej.

Myszę, że rozumiem. Myszę, że naprawdę rozumiem to poczucie swojskości i wygody, które wnika z czasem w związek, tłumiąc wszelką ekscytację i namiętność. Nie rozumiem tego osobiście, bo mój najdłuższy związek trwał siedemdziesiąt dwie godziny, ale rozumiem to. Widzę, że moi rodzice już się nie całują ani nie trzymają za ręce. Patrzę, jak mój ojciec sypia na gościnnym łóżku,

żeby chroniczna bezsenność mojej matki nie przeszkadzała im obojgu przez całą noc. Ben i Priya nie są nawet małżeństwem, a już nie ma między nimi ekscytacji, napiętności. Tak przynajmniej chciałabym uważać, ale kim niby ja jestem, żeby oceniać czyjeś prywatne życie?

Nie chcę jednak teraz o tym myśleć; nie chcę myśleć o Priyi. Przysuwam się do Bena, tak że siedzimy tuż obok siebie, nasze nogi spoczywają też obok siebie oparte o stolik do kawy, moje kostki krzyżują się z kostkami Bena.

Jakby to było coś normalnego. Jakby to było coś, co zwykle robimy.

Nie mam pojęcia, jak Ben spędzi tu noc, ale bardzo się cieszę, że to robi.

CZWARTEK

ALEX

- Halo? - wołam ostrożnie, wchodząc przez tylne okno do pogrążonego w ciszy domu i omiatam pokój światłem latarki. Jest wczesny ranek, słońce zaczęło właśnie wschodzić ku listopadowemu niebu. Wnętrze jest pogrążone w mroku, nieożywione przez poranną iluminację. Wszędzie panuje spokój. Niewykluczone, że Perła po prostu śpi, co nie byłoby takie złe. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby posiedzieć i na nią popatrzeć.

Myślałem o niej całą noc, od chwili, gdy ją odprowadziłem z cmentarza i gdy potem, na środku ulicy, w samym środku nocy pożegnaliśmy się.

Łapię się na tym, że nie mogę przestać o niej myśleć.

Krażę cicho po parterze z kubkiem kawy rozpuszczalnej w dłoni. Nie piję kawy, ale tylko ją znalazłem w naszym domu. Nie chcę budzić Perły, przynajmniej na razie, dopóki nie zobaczę jej we śnie. Kosmyk różnobarwnych włosów na poduszce w wiejską kratę, zjedzony przez mole koc podciągnięty pod brodę, skóra o różanej barwie, oczy wciąż poirytowane od snu. W domu jest ciepło dzięki grzejnikowi, w powietrzu wciąż unosi się nieznaczna woń nafty. I coś chemicznego i nieprzyjemnego, przywodzącego na myśl kulki naftalinowe i pleśń.

Kiedy jednak wchodzę do salonu, prowizoryczne leże jest puste, Perły nie ma tutaj. Grzejnik jest włączony, więc wiem, że przebywa gdzieś w domu. Nie zostawiłaby grzejnika bez dozoru, przecież ją ostrzegłem. A jednak nie ma jej tutaj, na podłodze, pogrążonej w głębokim śnie, tak jak się spodziewałem, w mojej bluzie, z moim naszyjnikiem na sobie. Kładę dłoń na legowisku. Jest zimne. I myślę, że odeszła, że mnie zostawiła, i czuję się smutny, zawiedziony. Zniknęła.

Wtedy jednak słyszę coś, co dociera z góry, jakiś dźwięk. Głos, który śpiewa. Sopran nucący piosenkę. Przystaję, żeby posłuchać, próbując uciszyć siłą woli bicie serca, żebym mógł wszystko wychwycić. To coś więcej niż mruczando, to, co rozbrzmiewa w pustym i wydrążonym domu, odbijając się echem od zniszczonych ścian i kruchych stopni pokrytych poprutym chodnikiem. Wstrzymuję oddech, próbuję usłyszeć cokolwiek pomimo dzwonienia w uszach.

To ona. To Perła, która śpiewa.

Zostawiam kubek z kawą i wchodzę na górę, stopień po stopniu, przyciągany tą melodią.

Na piętrze penetruję po kolei sypialnie, użalając się nad rodziną, która tu niegdyś

mieszkała, nad zapomnianymi lalkami i zwierzętami, nad dziecięcym rysunkiem, który wciąż wisi na gnijącej różowej ścianie. To smutne, żalosne w gruncie rzeczy, a najgorsze jest to, że ten, kto zwędził lodówkę, klimatyzator i miedziane rury, nie chciał mieć do czynienia z pluszowymi niedźwiadkami czy lalkami.

Na górze jest zimno, powietrze z dworu wdziera się niepowstrzymanie do środka. Stłuczone okna otwarte są na oścież, a ciepło grzejnika tu nie dociera.

Idę za głosem Perły i nim uświadamiam sobie w pełni, co się dzieje, wchodzę do sypialni, jej sypialni. Sypialni Genevieve. Wiem, że to sypialnia Genevieve, ponieważ na ścianie, zawieszona krzywo na gwoździu, wisi drewniana litera G. Obejmuję wzrokiem starą popękaną toaletkę, stłuczone lustro, ściany w kolorze przygaszonego różu. Przeszuję nad kawałkami szkła walającymi się na podłodze, przekonany, że zrobił to jakiś wandal, stłukł lustro, tym samym skazując się na siedem lat nieszczęść. Pozostały rzeczy nikomu niepotrzebne: lalka na podłodze, niesamowita upiorna lalka, która spogląda na mnie akryłowymi oczami; meble, czyli rozłupane łóżko i połamana toaletka, rzucone na pastwę szczurów i myszy.

I jest Perła.

Stoi po drugiej stronie pokoju, obrócona do mnie plecami. Nie wie, że tu jestem. Patrzy na lalkę, którą trzyma w ramionach, miękką szmacianą lalkę z nitkami niebieskiej przędzy zamiast włosów. Niebieskiej, tak, niebieskiej. Nie pytajcie mnie, dlaczego niebieskiej. Ale jeszcze nie to jest najbardziej dziwaczne.

Najbardziej dziwaczny jest wyraz oczu Perły, których odbicie dostrzegam w kawałku stłuczonego lustra leżącego na podłodze – patchwork czułości i smutku – gdy tuli lalkę w ramionach i przesuwając delikatną dłoń po włókienkach włosów. Gdy podnosi ją do ust i składa pocałunek na starym postrzępionym czole. Lalka jest ubrana w robioną na drutach zieloną sukienkę i tego samego koloru buty, a także w różowy sweter sięgający pozbawionych palców dłoni. Jest wykonana z materiału, uśmiech to po prostu pasek czerwonej przędzy. Oczy to paciorki, ale cała jest w strzępach, zniszczona i porzucona na wiele długich lat wraz z domem. Tak jak Perła.

I wtedy, gdy patrzę niczym głuchy oniemiały głupiec, Perła przyciska lalkę do piersi, otaczając ją opieką, tak jak matka otacza opieką swoje dziecko. Zamyka oczy i zaczyna kołysać biodrami, podejmując melodię, która poprowadziła mnie po połamanych schodach do sypialni. I wtedy sobie uświadamiam, że to nie jest jakaś tam piosenka, tylko kołysanka.

Kiedy Perła śpiewa lalce spoczywającej bezwładnie w jej ramionach, składam w jedną całość kawałki refrenu:

Nie płacz już,

Oczka zmruż...

Perła kołysze dziecko z czułością i oddaniem, ale jest w tym też coś, co przypomina prawo własności, zaborczość.

To dziwaczne.

Jestem oniemiały. Nie potrafię nic powiedzieć i przez dobre trzydzieści albo czterdzieści pięć sekund nie mogę się nawet poruszyć. Mogę tylko patrzeć, jak Perła ściska lalkę i kołysze się nieśpiesznie, w przód i w tył, w przód i w tył. Śpiewa, jej głos odznacza się doskonałą wysokością tonu. Jest na dobrą sprawę uwodzicielski, mógłby ukołysać mnie do snu:

Śpij, maleństwo moje.

Ale w tym wszystkim jest coś niewłaściwego. Czuję to całym sobą, to wręcz fizyczne doznanie. Moje ciało krzyczy, bym odszedł. Odejdź! Ale nie odchodzę. W każdym razie nie od razu. Nie mogę, ponieważ jestem całkowicie zauroczony i zahipnotyzowany miarowym kołysaniem bioder Perły i nieznacznymi, precyzyjnymi uderzeniami stóp, skrzypieniem desek podłogowych, które akompaniują jej przy każdym ruchu jak trzyosobowy zespół muzyczny. Jakąś częścią siebie pragnę coś powiedzieć, wyciągnąć rękę i dotknąć Perły, zamienić się miejscami z lalką, tak aby Perła zaczęła tańczyć ze mną. Zamykam oczy na moment, na jeden moment, i pozwalam sobie przywołać miękki dotyk jej dłoni wokół mojej szyi, poczuć ciepły oddech w uchu, nawet jeśli to tylko udawanie. Chcę jej powiedzieć, żeby przestała. Żeby odłożyła lalkę. Żeby zeszła ze mną na dół, byśmy razem udawali, że to się nigdy nie wydarzyło, że tego nie widziałem. Chcę usiąść na zjedzonym przez mole kocu i porozmawiać o duchach, śmierci i umieraniu. Chcę cofnąć się w czasie, choćby tylko o dziesięć minut. Chcę wrócić do chwili sprzed dziesięciu minut, kiedy to wszedłem radosny przez stłuczone okno z kubkiem taniej kawy w dłoni, sądząc, że może - po prostu może - będziemy się dziś całować.

Ale też jakaś częśćka mnie każe uciekać.

QUINN

Rano tańczymy two-stepa w mojej maleńkiej kuchni, przesuwając się to w jedną, to w drugą stronę. Depczemy sobie po stopach. Chichoczemy, czerwienimy się i mówimy jednocześnie:

- Przepraszam - i znów się śmiejemy.

Nalewam Benowi kawy, on wyjmuje cukier z puszki na blacie szafki. Jakbyśmy robili to wcześniej już z tysiąc razy.

Biedna Priya... To powinnam sobie myśleć, a tymczasem myślę: Jestem górą!

Nie spaliśmy ze sobą. Nie w sposób, jaki często oznaczają te słowa. Ale spaliśmy ze sobą. Rozumiem przez to dwa ciała pogrążone w głębokim śnie w niemal tej samej przestrzeni, ja na swoim łóżku, on na moim łóżku, od wezgłowia do nóg, od nóg do wezgłowia. Może doszło do pocałunku, a może nie. Ale trudno sobie z powodu wina przypomnieć.

A teraz, w blasku dnia, stojąc w kuchni, pytam:

- Masz ochotę na płatki zbożowe?

Otwieram lodówkę i uchylam drzwiczki szafki. Niewiele widać: płatki z cukrem należące do Esther, trochę owsianki, pojemnik mleka, które może być przeterminowane albo i nie.

- Nie - odpowiada Ben. - Nie jadam śniadań.

Zostaje przy kawie, podczas gdy ja napełniam miseczkę tymi płatkami Esther i jem je na sucho, tak dla bezpieczeństwa. Z pewnością nie zatrulaby własnych płatków.

A może?

Biorę kęs i wypluwam go po chwili wahania, dochodząc do wniosku, że być może też nie przepadam za śniadaniami.

- Powinienem już iść - mówi Ben, potem dodaje równoważniki zdań: - Pysznic. Praca.

W tym momencie sytuacja zaczyna być niezręczna.

Większość mężczyzn, którzy spędzają ze mną noc, znika przed nadejściem dnia, zresztą zazwyczaj na moją prośbę. Mówią, że zadzwonią, ale nigdy nie dzwonią. Czekam, aż telefon się odezwie, i użalam się nad sobą, kiedy milczy, a potem jestem na siebie zła za to, że uległam nadziei. Nawet za to, że sądziłam, że zadzwonią. Powinnam być mądrzejsza.

Ostatnimi czasy to ja pierwsza się żegnam, tak więc o świcie, nim słońce zdąży podkreślić ostatni błąd faceta, mówię mu, żeby sobie poszedł. Znacznie łatwiej odgrywać rolę szefa, kiedy mówi się mężczyźnie, żeby sobie poszedł, niż wtedy, gdy jest się zostawiana.

Jakbym słyszała sama siebie:

- Moja współlokatorka się obudziła. Musisz iść.

Z Benem jednak jest inaczej. Nie chcę, żeby poszedł. Nie chcę się żegnać. Chcę mu podziękować za to, że pośpieszył mi na pomoc, że mnie chronił, że opatrzył skaleczoną rękę. Za przetrwanie nocy, która w innych okolicznościach byłaby przerażająca. Za wino, jedzenie i towarzystwo, i może, po prostu może, za pocałunek. Chciałabym udawać, że do niego doszło, by mieć ten pierwszy niezgrabny pocałunek za sobą. Następny, mówię sobie, będzie znacznie łatwiejszy i przepełniony romantyczną namiętnością. Tak sobie w każdym razie mówię, patrząc, jak Ben wkłada płaszcz i wciąga na nogi buty.

Ale zdobywam się jedynie na sztywne i nieprzekonujące:

- Jesteś nieoceniony.

A on mówi:

- Ty też jesteś niezła - i wychodzi.

Ja zaś analizuję gorączkowo te cztery elementarne słowa: Ty też jesteś niezła. I aż się boję, że eksploduje mi mózg.

Biegnę do okna, żeby zobaczyć, jak Ben się oddala, i obśliniam szybę niczym pies odprowadzający wzrokiem swego pana. Kiedy już go nie ma, kiedy znika za rogiem, patrzę na zegar w mikrofalówce. Siódma pięćdziesiąt osiem. Patrzę na swój ubiór. Pizama. Mam siedemnaście minut, żeby wziąć prysznic i przebrać się do pracy. Cholera.

Chwytam brudne naczynia i wrzucam je do zlewu. Za żadne skarby świata nie chcę, by to mieszkanie wyglądało jak chlew, jeśli Esther postanowi wrócić do domu. Nie mam zamiaru podsycać jej gniewu, dostarczać kolejnych powodów, by się mnie pozbyła. Uchylam odrobinę okno w nadziei, że zniknie woń wczorajszego kurczaka na chrupko w sezamie, teraz twardniejącego na talerzu na stoliku do kawy. To też chwytam, mięso wrzucam do kosza na śmieci, a talerz stawiam obok zlewu. Gdy już mam iść pod prysznic, słyszę sygnał swojej komórki, która leży na szafce kuchennej obok butelki czerwonego wina, obecnie już pustej. Łapię ją czym prędzej i podnoszę, nie patrząc nawet na numer na ekranie.

- Halo? - pytam, przyciskając telefon do ucha. To na pewno Esther. Błagam, niech to będzie Esther.

Ale to nie Esther.

Z drugiej strony odzywa się twardy głos:

- Czy to Quinn Collins?

A ja, nim odpowiem, nasłuchuję śpieszących do pracy sąsiadów na korytarzu, trzasku drzwi któregoś mieszkania, pobrząkiwania kluczy.

- Tak, tu Quinn Collins - mówię, a mój umysł przewiduje, że zacznę być wrabiana w kupno nowej komórki albo przekazanie dotacji na badania związane z rakiem piersi.

- Panno Collins, tu detektyw Robert Davies. Chodzi o zaginięcie, które pani zgłosiła - oznajmia twardy głos, pozbawiony całkowicie charyzmy, jakiej spodziewałabym się po sprzedawcy.

Ten człowiek nie jest przyjazny, raczej obcesowy i groźny, dlatego w pierwszej chwili myślę, że zrobiłam coś złego, że przeoczyłam jakiś punkt protokołu, który dotyczy zgłoszenia zaginięcia, a który powinnam znać. Innymi słowy, wpakowałam się w kłopoty, znów coś schrzaniłam. Słyszałam już wcześniej ten ton u swojego ojca, u nauczyciela, u pracodawcy, zanim wywalił mnie za jakieś przewinienie albo po prostu za zwykłe lenistwo. Wygląda na to, że zawsze sprawiam komuś zawód.

- Tak - odpowiadam potulnie, przywierając plecami do żółtej ściany i przyciskając telefon do ucha, po czym przyznaję zażenowana: - Zgłosiłam zaginięcie.

Nie mogę tego zobaczyć, ale jestem pewna, że moja skóra robi się czerwona.

Słyszę po drugiej stronie szelest papierów i wyobrażam sobie, jak ten człowiek, jak ten detektyw Robert Davies przegląda formularz zgłoszenia, patrzy na nasze zdjęcie, moje i Esther, przekazane wydziałowi policji w Chicago: ja i Esther podczas Midsommarfest zajadające się tłustymi kolbami kukurydzy. Wygrzebuje wspomnienia o zachodzącym słońcu, jakimś zespole śpiewającym na scenie piosenki ABB-y, Esther śmiejącej się do obiektywu z włochatym kaczanem między ustami.

Gdzie jesteś, Esther? - pytam błagalnie w myślach.

- Pani jest współlokatorką Esther Vaughan? - pyta, a kiedy odpowiadam twierdząco, oznajmia, że ma do mnie kilka pytań, które chciałby zadać osobiście.

Czuję, jak ściska mnie w żołądku. Dlaczego? Dlaczego chce ze mną rozmawiać? I to osobiście. Nie może zadać mi tych pytań przez telefon?

- Czy mam kłopoty? - pytam tchórzliwie, a on wybucha śmiechem, ale nie takim, który wyraża rozbawienie, tylko ma zastraszyć.

I to działa. Jestem zastraszona.

Spoglądam na zegar. Zostało mi około czternastu minut do wyjścia z domu. Nie mam czasu wstąpić po drodze na posterunek, nie jestem nawet pewna, czy chcę

rozmawiać z tym detektywem sama. Potrzebuję Bena.

- Mogę spotkać się z panem po południu - mówię, choć oczywiście to ostatnia rzecz pod słońcem, jaką chcę zrobić. - Po pracy.

Ale detektyw mówi:

- Nie, panno Collins, to nie może tak długo czekać. Przyjadę do pani - oznajmia zdecydowanie.

Od razu pyta, gdzie pracuję - choć założę się, że to wie - ale nie zgadzam się, by pokazał się u mnie w biurze i zadawał pytania w miejscu, gdzie plotki i pogłoski rozchodzą się lotem błyskawicy. Ludzie zaczną gadać, że była tu policja i przesłuchiwała Quinn Collins. Pojawią się zmyślane szczegóły: kajdanki, odczytywanie podejrzanemu jego praw, kaucja w wysokości miliona dolarów. Nim dzień dobiegnie końca, wszyscy dojdą do wniosku, że to ja zabiłam swoją współlokatorkę, a także Kelsey Bellamy na dokładkę.

Kręcę głową. Stanowczo odmawiam.

- Mogę się z panem spotkać za godzinę - mówię mu i umawiamy się w Millennium Parku.

- Niech będzie za dwie - proponuje jako człowiek, który zawsze musi mieć ostatnie słowo. Tak w każdym razie go oceniam.

Spotkamy się za dwie godziny w Millennium Parku. Detektyw Davies i ja. Jawi się to jako coś dziwnego, a także bolesnego i przerażającego, jak wizyta u dentysty. Wzdycham, rozłączając się, a potem najpierw dzwonię do pracy, żeby powiedzieć, że jestem chora - drugi atak grypy żołądkowej, jak przekazuję swojej szefowej Anicie, która nie jest najwyraźniej zachwycona - a potem dzwonię do Bena, brak jednak z jego strony odpowiedzi na moje żale.

Ale jedna rzecz jest naprawdę dziwaczna, choć oczywiście wszystko, co dotyczy tego dnia, w ogóle tego tygodnia, jest dziwaczne. Kiedy zadzwonił do mnie detektyw Robert Davies, już po kilku słowach nabrałam pewności, że już kiedyś rozmawialiśmy. Jego głos brzmiał mi znajomo jak piosenka sprzed kilkadziesiąt lat, której słów nigdy się nie zapomina.

Nie muszę się już śpieszyć. Teraz mam dużo czasu, z którym muszę coś zrobić, dwie godziny do spotkania z detektywem. Ruszam do pokoju Esther i osuwam się na podłogę, by ocenić zdjęcie, które uporczywie składam, wszystkie te posiekane kawałki papieru fotograficznego dopasowywane po kolei: rękaw śliwkowego swetra, czerń buta. Kosmyki blond włosów, które w niesamowity sposób przypominają moje, gruby sweter z dekoltem sięgającym ramion. Zaczynają drżeć mi palce, kiedy chwytam więcej skrawków i układam na właściwym miejscu. Praca,

kiedy jest już prawie skończona, znacznie przyspiesza. Nie zostało już wiele fragmentów w tym wzgórku na podłodze, a ja stałam się ekspertem zdolnym odróżnić błękit nieba od błękitu koszuli z krótkimi rękawami jakiegoś mężczyzny w tle stojącego pod markizą sklepu, też oczywiście błękitną. Zbieram elementy jeden po drugim i układam je na właściwym miejscu, przyglądając się obrazowi, który się wyłania. Jest to scena uliczna. Nie przepadam za fioletem, ale to mój ulubiony sweter, z szerokim do ramion dekoltem, odsłaniającym ciało na wysokości obojczyków. Nigdy nie udało mi się wyglądać bardziej seksy. To ciemny fiolet, nic zbyt kobiecego czy delikatnego jak lawenda czy fiołek, raczej dojrzała śliwka. Zostałam na tym zdjęciu uchwycona w pół kroku, jak idę ulicą. Nie uśmiecham się, nie patrzę nawet w obiektyw. Nawet nie wiem, że ktoś mnie fotografuje, a ponieważ otoczona jestem tłumem przechodniów równie nieświadomych obecności aparatu co ja, wyobrażam sobie Esther, która chowa się gdzieś po drugiej stronie gwarnej i zatłoczonej ulicy i robi zdjęcie przez teleobiektyw.

Ale dlaczego?

Odpowiedź się pojawia, gdy składam drżącymi rękami kilka ostatnich skrawków. Zaczynam rozumieć, kiedy dopasowuję ostatnie paseczki skóry - skóry, która nie jest już pokryta letnią opalenizną, tylko traci szybko kolor i przechodzi ku zimowej bieli, tak jak teraz. Moja twarz nabiera kształtu: płaskie czoło, cienkie brwi, duże oczy. Komponuję nos i wargi, posuwając się ku dołowi, i gdy docieram do odsłoniętej szyi nad kołnierzem tego śliwkowego swetra, widzę, że ktoś nakreślił czerwonym długopisem żelowym wyraźną linię na wysokości dekoltu.

ALEX

Uciekam bezgłośnie z tego domu, ale nie wracam do siebie, tylko chowam się w gęstych zaroślach na zewnątrz. Nie wykombinowałem jeszcze, co mam właściwie robić, więc obijam się i myślę, myślę i obijam się. Ale nie mogę zajmować się zbyt długo jednym i drugim. Nim w ogóle dostrzegam, co się dzieje, od strony okna starego domu dochodzi jakiś hałas. Odgłos kroków na trawniku. Chrzęst kruchych jesiennych liści pod stopami. A potem ukazuje się Perła i podejmuje za mnie decyzję.

Ma na sobie kurtkę i czapkę, w rękę trzyma szpadel. Szpadel? – zastanawiam się, ponownie patrząc na przedmiot w jej dłoniach. Tak, to szpadel ogrodowy.

Rusza przed siebie. Nie widzi mnie, gdy podążam za nią w odległości co najmniej dwudziestu kroków, gdy idziemy ulicą, zagłębiając się w miasto, znów zmierzając w stronę starego cmentarza. Idę na palcach, starając się za wszelką cenę stłumić odgłos własnych kroków. Perła natomiast idzie tak, jakby unosiła się w powietrzu.

Patrzę bez tchu, jak otwiera skrzypiącą żelazną furtkę, a potem rusza po kobiercu spadłych liści. Idę za nią. Wciąż jest wczesny ranek, słońce nie poskromiło jeszcze ciężkiej mgły, która przenika ziemię, przemieniając powietrze w chmury. Idziemy przez nie bezustannie, Perła z przodu, ja z tyłu, podczas gdy świat materializuje się przed nami w trzymetrowych fragmentach, my zaś jesteśmy całkowicie nieświadomi tego, co istnieje poza tą widzialną granicą. Przynajmniej ja jestem nieświadomy. Nie mam pojęcia, co tam jest albo czego nie ma, jakbym był Krzysztofem Kolumbem, niemal przekonany, że w obrębie tych trzech metrów spadnę poza krawędź płaskiej Ziemi i zginę. Czerń przechodzi w szarość – kora drzew, żelazo furtki obmywane przez mgłę. Wszystko jest blade i wybielone. Konary drzew i stuletnie nagrobki stają się nienamacalne, ich krawędzie tracą wyrazistość. Znikają na moich oczach, zagubione w białych oparach. Palą się latarnie, ich światło przygasa szybko w obrębie trzymetrowych interwałów, tak jak drzewa, ogrodzenie i nagrobki, które omijam z trudem, potykając się o kamienie i korzenie w trakcie wędrówki, która wiedzie ku miejscu spoczynku Genevieve, ku jej mogile.

Perła nie ma pojęcia, że tu jestem.

I gdy zachowuję bezpieczną odległość, spowity całkowicie gęstą mgłą i równie gęstymi zaroślami, widzę, jak wbija ogrodowy szpadel w ziemię i zaczyna kopać.

QUINN

Dzień jest zimny. Świeci słońce, ale to niewiele znaczy. Promienie odbijają się od szkła budynków i obezwładniają mnie, zmuszają do zwolnienia kroku. Uderzają prosto w oczy, więc nic nie widzę, a chcę widzieć, kiedy mknę przez masy ludzi, patrząc przed siebie, patrząc za siebie, śpiesząc w stronę Millennium Parku. Obracam się szybko, by się upewnić, że nikt za mną nie idzie.

Temperatura utrzymuje się na poziomie siedmiu stopni Celsjusza, gdy wzdłuż całej Michigan Avenue robotnicy wieszają na budynkach i drzewach lampki świąteczne. Jest na to za wcześnie, dopiero listopad, a jednak za kilka dni zjawia się Myszka Miki i Myszka Minnie, żeby poprowadzić paradę, festiwal świateł, na który wybrałyśmy się razem w zeszłym roku, ja i Esther.

Ale w tym roku nie pójdziemy.

Myślę o czerwonej linii przecinającej moją szyję na poszatowanej fotografii, a wniosek nasuwa się sam: w tym roku mogę być martwa.

Na ulicach panuje gwar. Umiejscowione między porannym szczytem a godziną dwunastą, wciąż są zapchane ludźmi, którzy roją się na skrzyżowaniach, chcąc przejść na drugą stronę. Obok przemykają taksówki, przekraczając dozwoloną prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ja też stoję na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło. Widzę, jak jeden z taksówkarzy hamuje ostro, strasząc kobietę na środku jezdni. Kobieta upuszcza matę do jogi i pokazuje środkowy palec, ale on wymija ją szybko, niczym się nie przejmując.

Ruszam w stronę Millennium Parku.

To ogromniasty park w samym sercu centrum biznesowego z ogrodem, muszlą koncertową, lodowiskiem, podświetlaną fontanną i oczywiście słynną rzeźbą, czyli legendarną Fasolą. Ma swoją nazwę, o której teraz nie myślę, gdy mijam ją pośpiesznie, ale my, mieszkańcy Chicago, ochrzciliśmy ją trafnie mianem Fasoli. Wygląda jak fasola. Jeśli coś mówi jak fasola i chodzi jak fasola, to zapewne jest to fasola.

Każdego dnia w Millennium Parku gromadzą się tłumy ludzi, zarówno miejscowi, jak i turyści. To modne miejsce spotkań. Dzieciaki brodzą w podświetlonej sadzawce, opluwane wodą tryskającą z ust twarzy na dwóch cyfrowych ekranach. Niektórzy leżą na plecach pod Fasolą, żeby zobaczyć swe zniekształcone odbicia w stalowych płytach, jak w salonie krzywych zwierciadeł. Przesiadują

w chodnikowych restauracjach; słuchają muzyki na żywo, siedząc na trawie pawilonu, kąpiąc się w promieniach ciepłego, letniego słońca. Spacerują ścieżkami i po mostkach ogrodu, jedzą lody pod wysokimi drzewami.

Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj jest za zimno.

Nie pomyślałam o tym, wybierając miłe miejsce publiczne na spotkanie z detektywem.

Zjawiam się na miejscu za wcześnie. Czekając na detektywa, próbuję się schować między nagimi listopadowymi drzewami, ale są przezroczyście, przejrzyste. Nie stanowią skutecznej zasłony. Obok przechodzą turyści z aparatami i proszą, żebym zrobiła im zdjęcie. Wycofuję się. Mówię, że mi się śpieszy, nie mogę zwlekać.

Postanawiam przekraść się do miejscowej kawiarni, żeby zabić czas. Zamawiam latte i zajmuję miejsce na tyłach lokalu. Na stoliku leży gazeta, którą ktoś pewnie zostawił, więc trzymam ją przy twarzy, żeby nikt mnie nie widział. Myślę o zdjęciu w milionie kawałków rozrzuconych po podłodze sypialni Esther. To groźba, ewidentna groźba. Chce mi odebrać życie. Esther zrobiła to zdjęcie, a potem oznaczyła je czerwonym żelowym długopisem, kreśląc na mojej szyi cienką linię – wiadomy znak, że chce, bym umarła.

Piję latte, dłonie drżą mi tak bardzo, że tylko cudem nie rozlewam kawy. Unikam wzroku innych ludzi. Trzykrotnie sprawdzam komórkę, zadając sobie pytanie: gdzie jest Ben?

Kiedy nadchodzi pora, śpieszę, by spotkać się z detektywem tam, gdzie się umówiliśmy, czyli po zachodniej stronie Crown Fountain. Są tam drewniane ławki, które otaczają sadzawkę. Kiedy zjawiam się na miejscu, detektyw już tam jest. Wiem, że to on, ponieważ, no cóż, ponieważ wygląda jak policjant. Jest wielki, krępy i posępny. Podejrzewam, że byłby koszmarnym nudziarzem podczas świątecznych przyjęć, ale to bez znaczenia. Nie ma na sobie płaszcza, jakby jesienne powietrze, które normalnych ludzi prawie unieruchamia, na nim nie robiło większego wrażenia. Nosi koszulę z kołnierzykiem na guziki i czarne dżinsy. Czy ludzie wciąż noszą czarne dżinsy? – zastanawiam się, gdy okrążam zwierciadlaną sadzawkę fontanny i obieram kurs na detektywa Roberta Daviesa. Najwidoczniej noszą.

Jestem zdenerwowana, zdrętwiała na dobrą sprawę. Zadaję sobie siłą rzeczy pytanie, czego detektyw Davies ode mnie chce. Czy to standardowa procedura w przypadku zaginięcia jakiejś osoby? Nie wiem. Tak bardzo chciałabym, żeby Ben odpowiedział na mój telefon, żeby był teraz przy mnie, pół kroku dalej, gdy wyciągamy ręce i przedstawiamy się sobie, ja i makabryczny detektyw.

Ale go nie ma. Bena nie ma tutaj, więc muszę radzić sobie bez niego. Choć mój rycerz w lśniącej zbroi jest wspaniały, tym razem sama muszę ratować swój tyłek.

Siadam obok detektywa na zimnej drewnianej ławce. Podaję mu swoje imię i nazwisko, a on swoje, choć już je oczywiście znam. To miejsce nie jest całkiem puste, są też inni ludzie, to w końcu Chicago. Ale jest ich niewielu, no i wszyscy są zajęci swoimi sprawami: robią zdjęcia dużych budynków, karmią gołębie frytkami, kłócą się z dziećmi. Nikt nie patrzy na mnie ani na detektywa.

Detektyw Robert Davies traci włosy. Męska łysina, tak to się chyba nazywa. Lecą mu zakola. Ale włosy ma brązowe, ani śladu siwizny, więc nie wątpię, że jest z tego powodu szczęśliwy. Ciężko się starzeć.

Wyjmuje maleńki notatnik.

- Od jak dawna Esther się nie pojawiła? - pyta.

- Od niedzieli - odpowiadam.

Potem jednak dodaję, czując większy ciężar winy z powodu tego wyznania, z powodu faktu, że upłynęło pięć dni, od kiedy widziałam Esther na własne oczy:

- Może od sobotniej nocy.

Wtedy mój wzrok spoczywa na rękach, na pierścionku z niebieskim chalcedonem na mojej prawej dłoni, na owalnym kamieniu osadzonym w standardowym srebrze. Nie mam odwagi spojrzeć detektywowi w oczy.

Wracają do mnie słowa Esther:

- Popsuję ci tylko przyjemność, Quinn. Idź beze mnie. Będziesz się lepiej bawić.

Bar Martini przy Balmoral, wielkie otwarcie. Tam zamierzałam iść, ale ostatecznie nawaliłam się w jakimś innym lokalu z karaoke. To, co pamiętam. Pamiętam też, jak Esther siedziała sama na kanapie, w piżamie, okryta miękkim kocem o barwie sepiolitu. Ostatni raz, kiedy ją widziałam.

- Rozmawialiśmy już wcześniej - mówi porozumiewawczo, kiedy waham się przez ułamek sekundy, nie mając pewności, czy chcę powiedzieć o zniknięciu Esther za oknem prowadzącym na schody pożarowe. Oczy ma przenikliwe jak u orła albo jastrzębia. Czoło znaczą linie, nos jest wydatny. Mogłabym się założyć, że się nie uśmiecha. Nigdy. - Ty i ja... rozmawialiśmy już wcześniej - mówi znowu.

A ja mówię, że wiem.

Oczywiście, że tak. To było rano, przypominam mu naszą rozmowę telefoniczną sprzed zaledwie dwóch godzin, kiedy stałam w swoim mieszkaniu, przygotowując się do tego małego tête-à-tête w parku. Jestem niemal pewna, że wyrывa mi się nieznaczne prychnięcie albo przynajmniej przewracam oczami. Detektyw nie jest chyba aż tak niekompetentny, by nie pamiętać o naszej rozmowie z rana! A on...

Wielkie nieba! Uśmiecha się.

Modłę się, by nie był to zwiastun tego, co ma nastąpić.

- Rozmawialiśmy jeszcze wcześniej, Quinn - mówi ironicznie, a ja przypominam sobie tę pierwszą myśl, która przyszła mi do głowy podczas tamtej rozmowy telefonicznej: słyszałam już ten głos.

Ale kiedy?

Próbuję się zorientować, umiejscowić jego głos gdzie indziej, dopasować do innego głosu, i wtedy wraca to do mnie, wracają te słowa:

- To sprawa poufna. Mieliśmy się spotkać dziś po południu. Nie przyszła.

Mężczyzna, który dzwonił na komórkę Esther w sobotę po południu, kiedy znalazłam zapomniany telefon w kieszeni tej czerwonej bluzy. To detektyw Robert Davies był tym rozmówcą, tym, który nie chciał zostawić wiadomości.

- Zadzwoń ponownie - powiedział.

Ale nie zadzwonił. Nie wtedy, w każdym razie. Aż do dzisiaj, w związku z moim zgłoszeniem zaginięcia. Nie zadzwonił jednak do Esther, tym razem zadzwonił do mnie.

- Dzwoniłeś tamtego dnia do Esther - mówię. - Mieliście się spotkać. Byliście umówieni.

- Tak. - Detektyw Davies kiwa głową. - Ale nie przyszła.

- Już jej nie było - przyznaję szczerze. - Dlaczego zamierzaliście się spotkać? - pytam, ale domyślam się, że mi nie powie z powodu poufności.

„To sprawa poufna”.

Jednak ku mojemu zdumieniu robi to, ale dopiero wtedy, gdy przekazuję mu wszystko, co wiem. Tym razem niczego nie ukrywam. Zniknięcie z wykorzystaniem schodów pożarowych, dziwne listy, śmierć Kelsey Bellamy. Potem pokazuję detektywowi komórkę Esther i wiadomość zawierającą groźbę, wciąż widoczną na ekranie:

Zapłacisz za wszystko.

Przez jedną przelotną chwilę wydaje się poruszony. Przysuwa komórkę do oczu, żeby dokładniej widzieć słowa. Wydaje się, że i wzrok mu się pogarsza. Starczowzroczność, tak to się nazywa - widziałam reklamy szkieł progresywnych - i znów jestem poruszona faktem, że starzenie się musi być do niczego, choć osobiście tego nie zaznałam.

- Esther mi to przysłała - mówię.

- Dlaczego tak twierdzisz? - Spogląda na mnie pytająco. - Dlaczego sądzisz, że to Esther przesłała tę wiadomość na własną komórkę?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Dlaczego Esther miałyby przesłać tę wiadomość na swój telefon? Dlaczego nie na mój?

- Trudno mi powiedzieć - mówię. - Może wie, że mam ten telefon. Albo - zaczynam szybko, ale urywam i daję sobie spokój. Nie wiem, dlaczego Esther miałyby przesłać ten tekst na swój telefon. - Zabiła współlokatorkę - wyznaję cicho, a same słowa brzmią jak zdrada wobec Esther. Wypowiadam je szeptem, by Esther nie mogła mnie słyszeć. - Kelsey Bellamy - wyjawiam i oznajmiam na koniec: - Mnie też próbuje zabić.

Opowiadam o pociętej fotografii, o ukradkowym zdjęciu, na którym idę ulicą w śliwkowym swetrze, o czerwonej kresce przecinającej na pół moje gardło. O groźbie.

Oto co mi odpowiedział:

- Esther nie próbuje cię zabić. - Zabrzmiało to, jakby był pewien, jakby nie żywił co do tego żadnych wątpliwości. Jakby wiedział.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pytam. - Skąd wiesz?

A on zaczyna wyjaśniać.

Detektyw Davies po raz pierwszy spotkał Esther mniej więcej rok temu, kiedy prowadził śledztwo w sprawie śmierci Kelsey Bellamy.

Sprawa wydawała się jasna i prosta. Kelsey Bellamy miała uczulenie na niektóre składniki pokarmowe, o czym już wiem. Zjadła coś, na co była uczulona, i nie dostała na czas odpowiedniego leku. Setki ludzi umiera co roku z powodu anafilaksji. Nie jest to takie powszechne, ale się zdarza. Tak twierdzi detektyw. Owszem, zaniedbanie mogło przyczynić się do śmierci Kelsey Bellamy, i w tamtym czasie na Esther spadło całe odium.

- Ludzie ją obwiniali - opowiada detektyw. - Ludzie zawsze chcą kogoś obwiniać. Potrzebują kogoś, kto ponosi winę.

Lecz gdy śmierć Kelsey została uznana za wypadek, życie Esther i detektywa Daviesa potoczyło się dalej. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Esther nie podała jej szkodliwego posiłku celowo.

- Widziałem mnóstwo kłamców - zapewnia mnie. - Ale Esther nie zaliczała się do nich. Śpiewająco przeszła test na wariografie, współpracowała przy śledztwie. Była wzorowym świadkiem, jej skrucha była szczera. Czuła się okropnie po tym, co stało się z Kelsey. Od razu się przyznała, że dodała do posiłku mąkę, nigdy się od tego nie odżegnywała. Nie mogę tego samego powiedzieć o większości świadków, zwłaszcza o tych, którzy w czymś zawinili. - Przerywa, żeby odetchnąć. - Esther niespodziewanie zadzwoniła do mnie w sobotę wieczorem. Nie rozmawialiśmy już

od dłuższego czasu, prawie od roku. Ale chciała mi coś pokazać. – I po chwili dodaje: – Wydawała się przestraszona.

W jego głosie pobrzmiewa taka pewność, że wstrzymuję oddech, zapominając o nim. Esther była wystraszona. Ale dlaczego? Na samą myśl o tym chce mi się płakać. Esther była smutna, Esther się bała, a ja nie miałam o tym pojęcia.

Dlaczego nie miałam pojęcia?

Co ze mnie za przyjaciółka?

– Niewiele zdradziła przez telefon, chciała pomówić ze mną osobiście. Dostała coś, jakiś list. Mogę tylko przypuszczać, że dotyczył panny Bellamy – mówi detektyw Davies.

Czuję, jak przyspiesza mi serce, a moje dłonie w rękawach niebieskiego swetra zaczynają się pocić.

– Kiedy do ciebie dzwoniła? – pytam.

– W sobotę wieczorem, około dziewiątej.

Około dziewiątej. Krótco po tym, jak poszłam do tego głupiego baru karaoke, zostawiając Esther w piżamie i z kocem. Czy Esther specjalnie zaczekała, aż wyjdę, żeby zadzwonić do detektywa? Czy w ogóle była chora?

Esther dostała list, zastanawiam się. Ale nie. Myślę o listach do Najdroższej Osoby. Te listy napisała Esther. Davies musi się mylić. U dołu widniało wyraźnie:

Z miłością, EV

Esther Vaughan.

Podpisała się pod tymi listami. To jej listy. Czyż nie?

Czy to możliwe, by Esther była tą Najdroższą Osobą?

Jestem sceptyczna, delikatnie mówiąc.

– Mam listy – mówię detektywowi Daviesowi, sięgając do torebki, a potem wsuwam mu w dłonie dwie pokryte pismem maszynowym kartki. – Przyniosłam je ze sobą.

Noszę je w torebce od dawna, bo nie przyszło mi do głowy żadne bezpieczne miejsce, w którym mogłabym je zostawić. Ale czytałam je oczywiście wiele razy i w żadnym nie ma słowa o Kelsey Bellamy. Kiedy detektyw Davies przegląda z uwagą listy, wydaje się nieporuszony, choć pyta mnie, czy może je zatrzymać. Kiwam głową i patrzę, jak wsuwa ostrożnie kartki do woreczka na dowody rzeczowe, a ja wyobrażam sobie, że posypują je proszkiem, żeby zdjąć odciski palców, a jakiś technik kryminalistyki będzie próbował zidentyfikować model maszyny do pisania, na której wystukano litery.

Są kompletnie wariackie, nie zrozumcie mnie źle. Są. Ale nie zawierają jakiegos

wielkiego wyznania, nie ma tam słowa o Kelsey Bellamy. Jakimś cudem detektyw zrozumiał wszystko opacznie. Pewnie pojął niewłaściwie to, co powiedziała Esther, albo może kłamała, czy też w najlepszym razie naciągała prawdę. Może Esther starała się sprowadzić detektywa na fałszywy trop. Ale dlaczego?

- Nie było nic więcej? - pyta.

Mówię, że nie.

- Musi być coś więcej - upiera się, a ja zapewniam, że nie.

Wyraz, który pojawia się przelotnie na jego twarzy, dowodzi, że znów mi nie wyszło. W jakiś sposób go zawiodłam.

A może po prostu zawiodłam Esther. Trudno w tej chwili powiedzieć cokolwiek z całą pewnością.

- A to zdjęcie? - pytam. - To, na którym jestem? To, które Esther włożyła do niszczarki... to, na którym mam przecięte gardło? To była wyraźna groźba. Chce, żebym umarła.

- Albo... - wysuwa przypuszczenie detektyw Davies, a ja czuję, jak wzbiera we mnie żółć niczym aktywny wulkan. - Może ten, kto przesłał jej te listy, zrobił ci też zdjęcie. Może to on chce, żebyś umarła.

ALEX

Grunt wygląda na twardy. Nie zmarznięty na kość, ale twardy. Górna warstwa, darń, wydaje się najtrudniejsza do pokonania, kiedy Perła zaczyna wkopywać się w zimną poranną glebę ogrodowym szpadlem, naciskając jego ostrze podeszwą zamszowego buta. Darń jest zwarta, tysiące źdźbeł trawy przywierających do siebie, stawiających opór. To ciężka praca, Perła jednak robi uparcie swoje, dobywając ziemię kawałek po kawałku. Patrząc z podziwem, jak nabiera kolejne porcje zimnej, twardej gleby na łopatę i rzuca je na wzgórek, który urasta za jej szczupłą sylwetką. Zaczyna się pocić, to zimny pot, który ścina się na skórze i przyprawia ją o dreszcz, i gdy tak obserwuję Perłę z pewnej odległości, zdejmuję kurtkę, potem czapkę i ciska je na pokryty rosą trawnik, ja zaś przypominam sobie tamten dzień nad jeziorem, gdy Perła rozbierała się nieśpiesznie, a potem weszła do lodowatej wody.

Gdy ostrze szpadla wreszcie przebija się przez górną warstwę gleby, praca staje się lżejsza. Ziemia stawia mniejszy opór, wzgórek zaczyna rosnąć. Perła kopie i kopie, a ja, obserwując ją, tracę wszelkie poczucie czasu. Jestem zahipnotyzowany jej ruchami, ale też nieco przerażony. Kim jest ta kobieta i co robi? Dlaczego wykopuje szczątki martwej Genevieve? Nagle to, że dotarłem tu jej śladem, wydaje się wariackie, niespodziewanie głupie. Jakbym ocknął się z amoku i zrozumiał, jakie durnoty w tym amoku popełniłem. Każdy człowiek obdarzony odrobioną rozumu natychmiast zawiadomiłby policję albo pognał w przeciwnym kierunku, zamiast podążać za Perłą. Ale jestem tu i teraz, ukryty w krzewach opuszczonego przez żywych cmentarza, podczas gdy jakaś psycholka wykopuje z ziemi zwłoki. Kucam na twardej zimnej ziemi, by mieć pewność, że gdy mgła się uniesie, nie zostanę dostrzeżony. Chwilowo zarośla zachowają mój sekret wyłącznie dla mnie.

Kiedy tak patrzę z pewnej odległości, staram się przywołać całą wiedzę o małej dziewczynce, którą pochowano w tym grobie. Niewiele wiem, przecież odeszła, nim się urodziłem, słyszałem jednak co nieco. Po śmierci Genevieve mieszkańcy miasta dźwignęli prostą drewnianą trumnę z bagażnika rodzinnego samochodu, a potem spuścili ją do tego dołu na cmentarzu. Zrobili to pośpiesznie, bez zwyczajowego wystawienia zwłok, bez pogrzebu, bez konduktu. Ciało zabrano czym prędzej spod domu i zaniesiono do tej mogiły, i nikt nie spytał nawet, dlaczego tak się stało. Ludzie byli zadowoleni, że Genevieve odeszła. Choć miała zaledwie pięć lat, była

już winna pewnych, nazwijmy to, wykroczeń. Było to dziecko, które siało spustoszenie, jeśli chodzi o ich własne dzieci i domostwa. Prześladowała rówieśników, niszczyła posesje, dręczyła psy z sąsiedztwa. Tak przynajmniej słyszałem. Nie znaczy to, by ktokolwiek pragnął śmierci małej Genevieve, ale jednak wszyscy byli zadowoleni, kiedy odeszła.

- Matka miała z nią skaranie boskie - powiadali sąsiedzi przez lata, patrząc na porzucony dom i mamrocząc pod nosem coś, co sprowadzało się do stwierdzenia: - Co za wstyd.

O ile wiem, nikt nie przychodzi na grób Genevieve. Mogę się tylko domyślać, że jej rodzina rozpadła się, gdy tylko opuściła ten stary dom i pogrzebała swe dziecko w ziemi.

Po pewnym czasie szpadel Perły zaczyna dobywać z ziemi muł i piasek, wreszcie glinę, gliniastą glebę koloru terakoty, a potem - tuż przed tym, jak stalowe ostrze uderza głucho o drewno - kawałki skały szarej jak kamień. Ma postać brył, odłamków, które dobywa się z trudem. Muszą być ciężkie i gdy się przyglądam Perle, tempo jej pracy znacznie spada.

Potem jednak słyszę dźwięk metalu uderzającego o drewno i wiem, że dotarła do swego celu, że jest to powód, dla którego się tu zjawiała.

Na cmentarzu panuje spokój, ciszę zakłóca jedynie oddech Perły, która z trudem łapie powietrze. Walczy o tlen w nieruchomej listopadowej aurze. Domyślam się, że jej gardło jest równie suche jak skalne podłoże. Nawet mnie chce się pić, a przecież to nie ja odwalam tę robotę. Perła poci się obficie, podczas gdy lodowata temperatura otoczenia mrozi mi płuca, przyprawiając je o ból i ogień. Jest chłodno, zima nadchodzi szybko. Zbyt szybko. Otaczająca nas trawa ma barwę spłowiałej zieleni, szarej zieleni. Traci pośpiesznie swój kolor, pogrążając się we śnie przed rychłymi mrozami. Jest krucha w dotyku, nie wyrasta już bujnie z ziemi. Niebawem przykryje ją śnieg. Mgła zaczyna się unosić i jednocześnie materializuje się przede mną świat: granitowe i marmurowe nagrobki, groteskowe, pozbawione właściwych proporcji drzewa i sam kościół. To mały, jednoizbowy prostokątny kościół protestancki, biały, na podmurówce z wapienia, z drewnianym oszalowaniem ścian. Okna są proste, bez jakichkolwiek ozdób, podobnie jak cały budynek. Konstrukcja została wzniesiona w 1800 roku, a potem zepchnięta w cień przez bardziej nowoczesne, supermodne kościoły wyrastające wokół miasta. Nie jestem nawet pewien, czy ktokolwiek jeszcze korzysta z tego przybytku. Może stoi już tylko na pokaz, martwa struktura, trup, tak samo wydrążony jak te wszystkie ciała spoczywające pod ziemią.

Nagle Perła odrzuca szpadel i przestaje kopać. Dotarła do skrzyni, drewnianej skrzyni, która sama w sobie też niemal całkowicie uległa zniszczeniu. Nie może jej podnieść – jest zbyt głęboko wbita w ziemię, w ostatnim stadium rozkładu. Rozpada się w jej dłoniach na kawałki, więc Perła odsuwa na bok to, co pozostało z wieka, i zagląda do środka.

Ze swego miejsca nie widzę, co znajduje się wewnątrz grobu Genevieve, ale obserwuję reakcję Perły. Dostrzegam na jej twarzy wyraz satysfakcji, jakby miała nadzieję udowodnić coś światu, i właśnie to uczyniła. Opiera dłonie na biodrach i uśmiecha się.

Zostawia szpadel tam, gdzie go położyła. No i niebotycznie wysoki wzniesienie ziemi oraz mogiłę, jakby po to, by cały świat mógł ją zobaczyć.

Potem ociera rękawem pot z czoła i podnosi kurtkę oraz czapkę, zbierając się do odejścia.

Ale nie odchodzi. Przynajmniej na razie. Najpierw przesuwam spojrzeniem po cmentarzu, od starego kościoła do wiekowych nagrobków i do mnie. Przez sekundę jestem niemal przekonany, że jej wzrok spoczywa na mojej kryjówce za zimozielonymi drzewami i bezlistnymi krzewami, gdzie kulę się i próbuję rozpaczliwie pozostać niewidocznym. A Perła kręci głową. Uśmiecha się sardonicznie. Wzdycha.

Lecz jeśli mnie widzi, to nie daje tego po sobie poznać. Czekam długą chwilę, aż jęk żelaznej bramy cmentarza mówi mi, że Perła odeszła na dobre. Czekam jeszcze trochę, tak na wszelki wypadek. Dopiero wtedy dźwigam się na drżące nogi, żeby zobaczyć, co odkryła wewnątrz grobu.

Nic. Absolutnie nic. Oto co Perła odkryła.

Drewniana skrzynia rozpadająca się w twardej ziemi jest całkowicie pusta.

QUINN

Zanim wsiadam do samochodu detektywa Daviesa, nalegam, by pokazał mi prawo jazdy i jeszcze jeden dokument tożsamości ze zdjęciem. Dowód rejestracyjny i ubezpieczenie. Nigdy za dużo ostrożności w takiej sytuacji. Widziałam dostatecznie dużo prawniczych thrillerów i kryminałów, by wiedzieć, że policjant nie zawsze jest dobrym facetem. W tym wypadku jednak sędzę, że jest. Oto dlaczego: wcale nie jest miły. Wcale nie jest przyjacielski.

- Wystarczy? - pyta detektyw Davies, podając mi kartę kredytową State Farm Bank.

- Tak, wystarczy - mówię, otwierając drzwi i wsiadając do nieoznakowanego forda crown victoria, który stoi na publicznym krytym parkingu przy Columbus.

Wnętrze wozu cuchnie fast foodem, którego otwarta torebka leży na siedzeniu pasażera. Zabiera ją, nim mój tyłek ma szansę zgnieść opakowanie na płasko, i wrzuca do pobliskiego kosza na śmieci. W samochodzie, gdzie nie ma wiatru ani zimna, jest znacznie cieplej, ale posępna aura krytego garażu jest wciąż niepokojąca.

Detektyw Davies wyjeżdża zbyt szybko z wąskiej zatoczki, a potem z rampy. Tak szybko, że przewracają się we mnie wewnętrzności. Rozlega się ryk jego klaksonu - policjant ostrzega innych, że pędzi na złamanie karku - gdy wypada na Columbus i odwozi mnie do domu.

Podczas jazdy w mojej piersi znów wzbiera żółć, aż w końcu czuję, że mogłabym wymiotować. Trzęsą mi się ręce, to drżenie sprawia, że jestem wyczerpana i kręci mi się w głowie. Moje serce wypuściło skrzydła i może latać. Tkwi w klatce piersiowej, uderzając ptasimi skrzydłami i grożąc, że wydostanie się z ciała.

Myślę o Esther, smutnej i wystraszonej, i o tym, że nie wiedziałam. Czy naprawdę była smutna i wystraszona, czy też wszystko to stanowiło farsę? Kim tak naprawdę jest Esther? Czy ona to w ogóle Esther, czy Jane? Te pytania szturmują mój umysł, w końcu nie jestem w stanie rozumować jasno, ledwie mogę myśleć.

Detektyw Davies wysadza mnie pod drzwiami wejściowymi mojego domu. Zanim się odwracam, żeby się z nim pożegnać albo podziękować za podwiezienie, odjeżdża szybko wraz z komórką Esther i listami do Najdroższej Osoby. Zamierza sprawdzić, co technicy policyjni są w stanie wydobyć z tego telefonu, z połączeń, poczty głosowej, wideo i zdjęć.

Trzymam w rękę jego wizytówkę, a w głowie polecenie:

- Dzwon, jeśli cokolwiek się wydarzy, jeśli cokolwiek znajdziesz, jeśli Esther się odezwie, jeśli Esther się pojawi. Po prostu dzwon.

Spoglądam w stronę okna naszego mieszkania, Esther i mojego, gdzieś w głębi duszy nieśmiało mając nadzieję, że ją zobaczę, jak stoi tam i patrzy na mnie. Ale oczywiście Esther tam nie ma. Matowe okno jest nagie, a na mnie patrzą jedynie zasłony i odbicie przeciwległej strony Farragut Avenue.

Potem jednak dostrzegam kobietę, która stoi pod zamkniętymi drzwiami i przyciska raz po raz guzik domofonu. Przytupując, czeka na odpowiedź, która nie nadchodzi. Stoi przed drzwiami i ścisza w dłoniach okrytych skórzanymi rękawiczkami coś, co rozpoznaję. To bladoniebieska pikowana torba Esther. Kobieta jest bardzo niska, ma nie więcej niż metr czterdzieści pięć centymetrów wzrostu i odznacza się bujnymi włosami, które muszą ważyć tyle co ona. Dałabym głowę, że waży około czterdziestu kilo. Wszystko, co ma na sobie, jest obcisłe: obcisłe spodnie, obcisły płaszcz, obcisłe buty.

- Mogę w czymś pomóc? - pytam pośpiesznie, a mój wzrok przywiera do tej torebki.

Nachodzi mnie nagle i niemal niepowstrzymana chęć, by chwycić ją, zatrzymać. To należy do Esther, chcę wrzasnąć głośno, groźnie, i patrzę na swoje dłonie, które zaczynają się trząść. Martwię się, bardzo się martwię o Esther. Opowieść detektywa sprawia, że odczuwam panikę i zagubienie jeszcze bardziej niż dotychczas. Co za dziwny obrót wydarzeń, który prowadzi mnie od gniewu, poprzez strach, aż do troski. Zamiast myśleć, że ktoś na mnie poluje - że Esther na mnie poluje - martwię się o nią.

Jednak wciąż tyle pytań kłębi się w mojej głowie: Co z Kelsey Bellamy? Dlaczego Esther zmieniła imię i nazwisko na Jane Girard? Dlaczego szukała na moje miejsce współlokatorki? Dlaczego wzięła z bankomatu tysiąc pięćset dolarów? Nie widzę w tym wszystkim sensu, żadnego sensu.

- Czy pani jest Jane... - zaczyna kobieta przy domofonie, potem urywa, żeby spojrzeć na jakiś kartonik w rękę, i dodaje: - Girard?

Czy pani jest Jane Girard? - powtarzam w myślach.

Kim jest Esther Vaughan? - zastanawiam się. Czy w ogóle znam jakąś Esther?

Kręcę pośpiesznie głową, a potem mówię:

- Nie, to nie ja, ale jestem współlokatorką Jane. Nazywam się Quinn, Quinn Collins. - Mówię to, choć domyślam się, że nie obchodzi jej ani moje imię, ani nazwisko. Przyszła tu do Jane.

- Och, to dobrze - mówi, a po jej napompowanej twarzy... wielkie oczy, wielki uśmiech, wielkie włosy... przesuwa się ogromna fala ulgi. - Znalazłam to w koszu na śmieci. - Wciska mi w rękę bladoniebieską torbę.

Biorę ją, ciesząc się, że mam coś, jakąś część Esther. Przyciskam ją mocno, wdycham woń Esther, woń, która zaczyna zanikać, stłumiona przez syfiasty zapach miasta zmieszany z silnym zapachem kobiety, z odorem perfum o ciężkim akcencie jaśminu i róży.

- Znalazła pani jej torbę w pojemniku na śmieci? - powtarzam, żeby mieć pewność.

A ona kiwa głową i opowiada, jak miała właśnie wyrzucić plastikowy kubek po kawie, kiedy zobaczyła torbę leżącą na wierzchu niezliczonych opakowań po fast foodzie.

- Niebieski kolor przyciągnął mój wzrok, to ładna torba - mówi. - Za ładna, żeby wyrzucić ją na śmietnik. Pomyślałam, że znalazła się tam przez omyłkę. - Potem tłumaczy, jak bardzo nie chciała, by moja współlokatorka się martwiła. - Sama bym się martwiła, gdybym nie mogła znaleźć swojej torby.

- To naprawdę miłe z pani strony - mówię, i tak rzeczywiście jest, oczywiście że tak, jeśli nie przyświeca jej jakiś ukryty cel. W tej chwili nie jestem pewna niczego, pomijając to, że czuję się zmęczona i jednocześnie podenerwowana. Boli mnie głowa, a ręce drżą. Jeśli w moim umyśle pojawią się kolejne pytania, to być może eksploduje.

Jak torba Esther znalazła się w śmietniku?

- W którym śmietniku? - pytam.

- Tam. - Wskazuje w stronę Clark Street, ale nie podaje żadnych szczegółów.

- Znalazła ją pani dzisiaj? Teraz? Przed kilkoma minutami?

- Nie, nie, to było ze dwa dni temu. - Wzdycha. - Miałam ciężki tydzień. Naprawdę ciężki tydzień. - Jakby to wyjaśniało, dlaczego zwlekała z oddaniem torebki całe dwa dni. - Mieszkam niedaleko. To po drodze. - Dodaje, że Jane powinna bardziej uważać na torebkę, i mówi na koniec: - Szczególnie gdy nosi się ze sobą tyle gotówki.

Wiem dwie rzeczy: po pierwsze, ta pani grzebała w torebce Esther, i po drugie, kiedy zajrzę do środka, znajdę zapewne tysiąc pięćset dolarów.

Esther pobrała pieniądze z bankomatu, ale nigdy ich nie wykorzystowała. Nie wynajęła zabójcy, żeby mnie wykończył. Nie jest na wakacjach w Punta Cana i nie popija truskawkowego daiquiri.

Gdzie jest Esther?

Nagle przychodzi mi do głowy kolejne pytanie, kiedy tak stoimy na schodach wejściowych otoczone zimnym jesiennym powietrzem:

- Skąd pani wiedziała, gdzie mieszkamy?

- Adres jest na prawie jazdy - wyjaśnia. - Nie grzebałam w jej torebce - zarzeka się, nim mam czas spytać o cokolwiek, a jej ton jest jednocześnie skruszony i wyzywający. Grzebała, oczywiście że grzebała. - Próbowałam zwrócić torebkę. Odda ją pani? Odda Jane?

- Tak, oczywiście. - Żegnam się, po czym wchodzę do budynku i cicho zamykam za sobą drzwi.

Nasze mieszkanie, moje i Esther, jest puste, kiedy wchodzę do środka, ale pachnie jak Esther: aromat gotowania, woń mgiełki do ciała o nucie peonii. Zalewa mnie fala tęsknoty.

Zmierzam w stronę jej drzwi i gdy przekraczam próg mikroskopijnego pokoju, widzę martwą molinezję, która unosi się na dnie akwarium. Przysuwam się do bocznej ściany pojemnika i gaszę oświetlenie, żeby nie widzieć biednej martwej rybki na różowych kamykach. Szemranie filtra sprawia, że wygląda, jakby oddychała, ale jestem pewna, że nie oddycha. Jej ciało leży bezwładnie, pokrywając się bielą - to oznaka rozkładu - i gdy stukam w szybę, nie porusza się. Nie żyje. Ryba Esther nie żyje. Od jak dawna jest martwa?

Wymawiam bezgłośnie:

- Przepraszam, rybko.

Nie bardzo wiem, co zrobiłam, ale jestem pewna, że zrobiłam coś niewłaściwie.

Przystępuję do trzeciej penetracji mieszkania, idąc po własnych śladach, które pozostawiłam już dwukrotnie. Narasta we mnie desperacja. Tak, jestem bardzo zdesperowana. Musi być tu coś więcej, coś, co przeoczyłam. Znow przetrząsam biurko Esther i szuflady komody, zaglądam do jej garderoby. Chwytam na chybił trafił poszczególne rzeczy i ciskam je na podłogę, nie przejmując się bałaganem. Gniotę papiery, wysuwam szuflady biurka z IKE-i i szukam jakiejś skrytki. Oddycham ciężko, harując jak wół.

Nie ma tam niczego.

Zamieniam pokój Esther w pobojowisko. Zła i nierozważna, zrzucam kubek z ołówkami na podłogę, nerwowo przeglądam stos podręczników, potem odrzucam jeden za drugim, a one lądują z hukiem na deskach podłogi. Mieszkająca niżej pani Budny sięgnie pewnie za dwie sekundy po mopa, ale nic mnie to nie obchodzi.

Dzwoni moja komórka. Jestem pewna, że to Ben, który odpowiada wreszcie na

mój telefon, ale nie chcę przerywać poszukiwań. Muszę odnaleźć Esther. Kiedy już docieram do dolnej warstwy stosu podręczników, wstaję i przechodzę przez pokój, deptając brudnymi butami niebieską narzutę Esther i jej pomarańczową kołdrę, pozostawiając na materiale brudne ślady. Przypominam sobie słowa Esther:

- Koperek ma stać tutaj. A mąka orzechowa tutaj.

Nie podobałoby się to jej ani trochę.

- Nic tu nie ma - mówię do siebie głośno, podnosząc ręce w geście rezygnacji.

Atakuję zawzięcie salon i kuchnię, przetrząsając każdą szufladę, każdy niedopasowany do reszty mebel, zaglądam za ramy obrazów, pod chodnik. Wsuwam dłoń za poduszki kanapy i tam też szukam. Ostukuję ściany i nasłuchuję, czy nie kryją się za nimi jakieś schowki. Sprawdzam w przewodzie wentylacyjnym, czy nie ma tam jakichś przedmiotów, ale okazuje się, że nie. Tylko kurz, brud i martwe powietrze.

A potem wpadam na pomysł, przypominając sobie jedno miejsce, którego jeszcze nie spenetrowałam. Wspinam się na blaty szafek kuchennych i przeszukuję tę ponadcentymetrową przerwę między nimi, chcąc znaleźć sekretny schowek. To ostatnia próba odkrycia jakiejś wskazówki, jakiegokolwiek wskazówki. Czegokolwiek. Zostawiam brudne ślady butów na laminacie, ale nie zważam na to.

Wciąż niczego nie ma.

I nagle widzę to z wysokości szafek, podczas gdy moja twarz jest czerwona i spocona od buszowania po mieszkaniu w trakcie kolejnej bezowocnej misji, serce wali jak młot, oddech jest wysilony i nierówny. Podciągam rękawy swetra do łokci, dostrzegając jasnoniebieski przedmiot na podłodze, tuż obok drzwi, dokładnie tam, gdzie go zostawiłam.

Torebka Esther.

Zeskakuję z blatu - moje kolana wydają jęk - i rzucam się biegiem w stronę torebki. Jak to możliwe, że aż do tej chwili nie pomyślałam, by do niej zajrzeć? Odwracam ją do góry nogami i wysypuję zawartość na podłogę, potem jeszcze potrząsam, by się upewnić, że wszystko wypadło. Odkładam torebkę na bok, ale najpierw rozpinam kieszenie, macając podszewkę w poszukiwaniu sekretnych schowków. Ale w środku zostaje tylko listek gumy do żucia.

Oto co znajduję rozrzucone na drewnianej podłodze naszego mieszkania: igielnik, opaskę na czoło, podręczne lusterko, trzy tampony, kilka miętusów, jasnoniebieski pikowany portfel Esther - pod kolor jasnoniebieskiej pikowanej torby - chusteczki higieniczne i kilka kluczy. Klucz do głównego wejścia, klucz do naszego mieszkania, klucz do kłódki schowka w magazynie.

I jeszcze jedna zapisana kartka z notatnika, złożona trzykrotnie.

Zaadresowana do Najdroższej Osoby i podpisana:

Z miłością, EV

ALEX

Zjawiam się jako pierwszy w bibliotece, tuż przed otwarciem. Czekam na szczycie niewielkiej klatki schodowej, obok białych kolumn, kiedy bibliotekarka zмага się z drzwiami. Nie śpieszy się, wsuwając klucz do zamka, a potem patrzy na zegarek, żeby się upewnić, że już dziewiąta. Punkt dziewiąta, ani chwili wcześniej. Potem otwiera bibliotekę, a ja przemykam do środka, wdychając intensywną woń lakieru do włosów bibliotekarki, która mówi do mnie:

- Jesteś tu pierwszy - jakby nie było to dostatecznie oczywiste, ten fakt, że zjawiłem się jako pierwszy i jedyny.

Mamrocze pośpiesznie:

- Tak - i ruszam dalej, do jednego z terminali komputerowych, którego nie zarezerwowałem wcześniej.

Po prostu nie przyszło mi to do głowy. Choć jestem tu sam, bibliotekarka i tak mnie tropi i ogląda z uwagą moją kartę, bo jak zauważa, zasady to zasady. A ja już złamałem jedną z dwudziestu siedmiu zasad obowiązujących podczas korzystania z komputera. Widzę, jak posyła mi pełne dezaprobaty spojrzenie i znika z pola widzenia. Tego ranka są tu jeszcze obecne tylko dwie inne bibliotekarki, starsze kobiety, które wkładają do wózka zwrócone książki. Znikają między półkami i ustawiają poszczególne tomy w porządku alfabetycznym, żeby ludzie mogli je potem przestawiać. Przypuszczam, że doprowadza je to do szału.

Nie dysponuję zbyt wieloma informacjami, ale wiem, że ten grób, w którym miała zostać pochowana Genevieve... jest pusty. Samo imię, bez nazwiska, pusty grób. Próbuję ekshumować z pamięci wszelkie historie o małej pięcioletniej Genevieve, zanim utopiła się w wannie. Nie przyszedłem jeszcze na świat, nikt mnie nawet nie planował. Genevieve zawsze jawiła mi się jako duch. Nigdy nie była dzieckiem, tylko widmem w oknie domu po drugiej stronie ulicy, zjawą w bieli przemykającą od pokoju do pokoju i wołającą matkę. Ale inni uważali ją za dziecko.

Zaglądam do internetu i oto czego się dowiaduję. Za trzydzieści cztery dolce mogę zwrócić się do archiwum stanu Michigan o wydanie świadectw urodzenia i zgonu, ale muszę przesłać drogą mejlową prośbę, zapłacić dodatkowe dwanaście dolarów za dostarczenie i czekać. Nie mam czasu na czekanie. Potrzebuję odpowiedzi od razu. Jak się wydaje, archiwum może przesłać potrzebne mi informacje, albo i nie. Wydaje się, że większość, a już zwłaszcza akty urodzenia,

jest zastrzeżona. Nie potrzebuję tak naprawdę aktu urodzenia Genevieve, ale akt jej zgonu by się przydał, pomógłby mi zrozumieć, dlaczego trumna jest pusta.

Próbuję od innej strony. Szukam informacji dotyczących starego domu, mając nadzieję, że znajdę nazwiska kolejnych właścicieli i wytropię rodzinę, która tam mieszkała z małą Genevieve. Niestety, ten dom opuszczono na długo przed epoką internetową. Bankructwa i egzekucje mienia, jakie udaje mi się wyszukać, pochodzą z ostatnich dwóch lat. Chodzi o zaniedbane mieszkanie dwupokojowe w zachodniej części miasta, slums w części wschodniej, do tego wykaz dwudziestu kilku innych tego typu nieruchomości. Znak czasu, jak myślę. To smutne, że ci wszyscy ludzie zostali wyrzuceni ze swoich domów, bo nie mogli zapłacić rachunków. Niebawem ja i tata też będziemy stać na jakimś ruchliwym skrzyżowaniu z tekturowymi tablicami, na których umieścimy napisy „Bezdomni” i „Pomóżcie”, rozdając ukłony i podziękowania za parę dolarów.

Próbuję sprawdzić nekrolog Genevieve, mając nadzieję, że wreszcie znajdę nazwisko rodziny Genevieve, znajdę jej nazwisko. A co znajduję? Nic, zero. Wpisuję jej imię, a potem słowo „nekrolog” i sprawdzam dwukrotnie, czy nie zrobiłem błędu ortograficznego. Dodaję nazwę naszego miasteczka, żeby zawęzić pole poszukiwań, ale nic nie wychodzi. No, niezupełnie. Jak często bywa, pojawia się mnóstwo niepotrzebnych śmieci: pani w średnim wieku z Hamilton w Ohio, zakonnica dominikanka z Nashville w Tennessee, zmarła w wieku dwudziestu ośmiu lat. Nie moja Genevieve. O ile mogę się zorientować, nigdzie nie ma nekrologu małej dziewczynki. Może chodzi o to, że upłynęło dwadzieścia kilka lat od jej śmierci, a może o coś zupełnie innego.

Obok mnie przechodzi bibliotekarka, a ja pytam ją o mikrofilmy, licząc na to, że uda mi się znaleźć w lokalnej gazecie nekrolog sprzed dwóch dekad. Stoi przede mną z okularami na srebrnym łańcuszku, jej włosy przypominają kratownicę bieli. Może i jest najstarszą osobą, jaką kiedykolwiek widziałem, myślę sobie, gdy podążam za nią do czytnika mikrofilmów ukrytego gdzieś po drugiej stronie pomieszczenia. Mijam przy tym po drodze dwie młodsze bibliotekarki, które są bez wątpienia szybsze i technicznie biegłejsze od niej, dlatego dochodzę do wniosku, że tylko niepotrzebnie marnuje czas. Okazuje się jednak, że wiekowa bibliotekarka jest tą właśnie osobą, której potrzebuję.

Nim docieramy do czytnika, pyta mnie:

- Szukasz czegoś?

A ja odpowiadam:

- Można by tak powiedzieć.

- O jakie informacje ci chodzi? - zwraca się do mnie gotowa do pomocy, profesjonalnie, nie ma w tym wścibstwa, niezdrowej ciekawości.

Choć się waham, w końcu wyjawiam, w czym rzecz:

- Próbuję dowiedzieć się czegoś o tym opuszczonym domu przy Laurel Avenue.

Przystaje i pyta:

- Jakich informacji szukasz?

Skupiam na sobie jej uwagę, ale nie wiem, czy pragnę tego, czy nie. Nie mam jednak pojęcia, jak posługiwać się przeglądarką do mikrofilmów, więc tak czy inaczej będę potrzebował pomocy.

- Próbuję ustalić, kto tam mieszkał - mówię od niechcienia, jakby nie chodziło o nic ważnego.

Jednak odpowiedź bibliotekarki całkowicie mnie zaskakuje. Jej głos i zachowanie zmieniają się diametralnie, patrzy na mnie jak na idiotę albo kogoś nie z tej ziemi.

- Nie potrzebujesz do tego przeglądarki. - Nachyla się do mnie, a woń lakieru do włosów przyprawia mnie niemal o torsje. - Mogę ci powiedzieć, kto tam kiedyś mieszkał.

Jej twarz dzieli od mojej kilka centymetrów, tak że widzę nadźarte zęby i przezroczystość pomarszczonej skóry. I choć niby wiem, czego się spodziewać - przecież to oczywiste, że usłyszę tajemniczą i mroczną opowieść o duchu Genevieve - to słowa bibliotekarki wywracają mój świat do góry nogami i każą wątpić we wszystko, co uważałem kiedyś za prawdę.

Do Najdroższej Osoby.

Odebrałaś mi rodzinę i teraz musisz się dowiedzieć, jak to jest, gdy traci się coś, co się kocha. To przez ciebie musiałam odejść. Chcę mieć pewność, że wiesz. Powiedzieli mi, że jestem złą dziewczynką i dlatego nie mogę zostać. Obie jednak wiemy, że to nieprawda.

To nie była wina tamtej dziewczyny. Powinnaś o tym wiedzieć. To była twoja wina. Chciałabym móc powiedzieć, że obchodzi mnie, że odeszła, ale nie powiem. Należało to zrobić. To było proste w gruncie rzeczy, jeden nieznaczny ruch ręki: zamiana mąki, kiedy byłaś w pracy. Naprawdę musisz zamontować sobie w drzwiach lepsze zamki, moja droga. Nie chcesz chyba, żeby po twoim domu kręcili się obcy, kiedy cię tam nie ma.

To było bezcenne, widzieć ze swego punktu obserwacyjnego, jak wsypujesz do miseczki tę mąkę, a potem karmisz nią swoją biedną, nieświadomą niczego przyjaciółkę. To, jak chwyta się za krtań, jak wymiotuje, jak wszystko zaczyna się wymykać spod kontroli. To było lepsze, niż mogłam się kiedykolwiek spodziewać. Bezcenne, po prostu bezcenne. Musiałam czekać przez wiele dni, żebyś posłużyła się tą niewłaściwą mąką, ale warto było. Warto było czekać, gdy potem patrzyłam na tę scenę, która się przede mną rozgrywała, jak na przedstawienie według mojego scenariusza. Absolutnie doskonale.

Pechowo, naprawdę pechowo, że pozbyłam się także EpiPenu. Przydałby się wtedy, prawda? Należy teraz do mnie.

To twoja wina, że wróciłam, wiesz o tym. To ty mnie odnalazłaś. Mogłaś mi pozwolić po prostu być. Gdyby nie ty, nigdy bym nie odkryła, że już nie żyję.

Gdybyś mogła mnie teraz zobaczyć, słodka Esther. Gdybyś mogła zobaczyć, kim się stałam.

Obserwuję cię już od jakiegoś czasu, dostatecznie długo, by znać twoje nawyki, zwyczaje, codzienną rutynę. Podążałam za tobą do pracy, na uczelnię. Podczas sprawunków. Widziałaś mnie? Wiedziałaś, że jestem w pobliżu?

Robię zakupy w sklepach, w których ty je robisz, i ubieram się tak, jak ty się ubierasz. Te same buty, ta sama kurtka, te same włosy. Nie było to trudne. Kiedyś byłaś jedyną Esther Vaughan, ale teraz ja też jestem Esther.

Wydawało ci się, że możesz zmienić tożsamość, że możesz po prostu zniknąć. Że możesz mi zapłacić, bym odeszła. Jakże to naiwne z twojej strony.

Zawsze byłaś jej ulubienicą, ale jeśli stanę się tobą, to może mnie też pokocha.

Z miłością,

EV

ALEX

Przez całą drogę biegnę, moje stopy uderzają hałaśliwie o chodnik, ale jestem jak w narkozie. Nic nie czuję.

Walę w drzwi, kiedy docieram na miejsce – raz, dwa razy, trzy razy – widząc, jak metalowa bariera drga we framudze od siły moich uderzeń. I znowu, znowu.

Otwiera mi, na jej twarzy maluje się zdziwienie. Staje przede mną, włosy ma odsunięte sprzed oczu, łagodne dłonie splecione na brzuchu.

– Alex. – Brzmi to zarówno jak pytanie, jak i stwierdzenie, gdy wchodzę do środka i zamykam drzwi. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Coś się stało?

Nie potrafię odpowiedzieć, brakuje mi słów. Staram się odzyskać oddech, kiedy Ingrid przemyka przez przedpokój i wchodzi do kuchni. Słucham odgłosu jej kroków, niezdolny wydusić z siebie cokolwiek, bo nie mogę złapać tchu. Zginam się w pół, opierając dłonie o kolana, a potem, kiedy to nie pomaga, kucam na podłodze.

– Dam ci trochę wody – mówi Ingrid.

Nim mam szansę się odezwać, do moich uszu dociera dźwięk wody lecącej z kranu do zlewu, grzechot kostek lodu wypadających do szklanki, dobiegający z dali krzyk mew, hałas ciężarówki, która przejeżdża wyludnioną ulicą, dźwięk kół toczących się po granitowej kostce.

Oddychaj, mówię sobie. Po prostu oddychaj.

– Nie wiedziałam, że miałaś dziś przyjść – woła Ingrid z kuchni. – Trzeba było mi powiedzieć. Upiekłabym coś. Chleb bananowy albo...

Jej głos rozbrzmiewa dalej, ale ja słyszę tylko odkrywcze słowa bibliotekarki, słowa o posmaku zarazem sensacyjnym, jak i plotkarskim.

– Mieszkała tam Ingrid Daube – powiedziała, kiedy stałem z rozdziawionymi ustami w starej bibliotece. – To był jej dom. Nazywała się Vaughan, dopóki nie umarł jej mąż, potem wróciła do nazwiska panieńskiego, Daube. To holenderskie nazwisko, jak sądzę. Daube. Oczywiście nikt nie wspomina o tym, że był to dom Ingrid. Wydarzyła się tam straszna tragedia. Wiesz o tej małej dziewczynce, Genevieve?

Bibliotekarka trajkotała dalej, ale ja już zacząłem biec, uświadamiając sobie, że za każdym razem, kiedy Perła siedziała przy oknie restauracji i patrzyła ku drugiej stronie ulicy, jej wzrok nigdy nie był skierowany na dom doktora Gilesa.

– Nie jestem głodny – wyduszam z siebie.

Dźwigam się z wysiłkiem i człapię do kuchni, stawiając kolejno stopy i przytrzymując się ściany dla zachowania równowagi. Pokój wiruje wokół mnie. Mam nieprzepartą ochotę wsunąć głowę między nogi, sprawić, by krew znów napłynęła mi do mózgu. Jestem oszołomiony, zamroczony, z trudem oddycham.

Ingrid jednak zdaje się tego nie dostrzegać.

Robię ledwie cztery kroki, kiedy z kranu przestaje lecieć woda i dom pogrąża się w ciszy, i właśnie wtedy słyszę nuconą piosenkę, posępną piosenkę, smutną piosenkę, tę, którą Ingrid nuciła już wcześniej.

Jeszcze kilka dni temu powiedziałbym, że jej nie znam, ale teraz znam. Rozpoznałbym tę kołysankę wszędzie.

- Nie płacz już, oczka zmruż - mówię, tkwiąc między kuchnią a przedpokojem, i obserwuję Ingrid, która staje przede mną ze szklanką wody w dłoniach. Wypowiadam te słowa, ale ich nie wyśpiewuję, głos mi drży, choć staram się stłumić ten falujący efekt wyprostowaną postawą, prężąc grzbiet niczym wystraszony kot, by wydać się większym, niż jestem w rzeczywistości.

- Znasz tę piosenkę? - pyta Ingrid z uśmiechem zadowolenia, a gdy kiwam głową ofermowato i ulegle, wyczerpany, wystraszony i zagubiony jednocześnie, wyznaje: - Śpiewałam ją swoim córkom, kiedy były małe.

I bezzwłocznie zaczyna śpiewać głośno:

Śpij, maleństwo moje...

A ja widzę tylko Perłę przyciskającą do piersi starą szmacianą lalkę, powolny ruch bioder, gdy kiwa się tam i z powrotem na zmurszałych deskach podłogi starego domu. Dawnego domu Ingrid.

Nim jej oczy mogą ujawnić zbyt dużo, Ingrid odwraca się do mnie plecami i wciąż zawodzi kołysankę, którą śpiewała, kołysząc w ramionach małe córeczki do snu. Zmywa przy zlewie naczynia, podczas gdy ja stoję niepewnie obok, wciąż łapiąc oddech i nie mając pojęcia, co powiedzieć albo co zrobić. Powiedzieć cokolwiek? Zrobić cokolwiek? Powiedzieć Ingrid o młodej kobiecie mieszkającej w jej starym, zniszczonym domu, o tej młodej kobiecie, która wykopała pustą trumnę z grobu Genevieve i która śpiewa tę samą kołysankę, którą teraz śpiewa Ingrid?

Czy też powinienem się odwrócić, udając, że nie widzę tego, co mam przed oczami - jak wszystko układa się w jedną całość, jak wszystkie elementy zaczynają do siebie pasować?

- Moi rodzice wyrzekli się mnie - powiedziała Perła, kiedy spacerowaliśmy leniwie po ulicy.

Ale ja nie mam już takiej pewności.

Jest południe, słońce znajduje się w najwyższym punkcie nieba, w porze dnia, gdy wchodzi nieproszone przez okna. Kiedy tak stoimy w kuchni, wewnątrz domu Ingrid owiewa fala chłodnego powietrza. Ponad dźwiękiem ciekącej z kranu wody słyszę, jak skrzypią otwierane drzwi, opierając się ciężarowi wiatru, który wprawia ściany w zawodzenie.

- Drzwi, Alex - mówi Ingrid, drgając gwałtownie. W jej oczach pojawia się przerażenie. - Zamknąłeś drzwi frontowe. Zamknąłeś je na zamek.

Ale nie wiem, czy to zrobiłem.

Gdy talerz o ząbkowanym brzegu wysuwa się z mokrych dłoni Ingrid i rozpada na podłodze na tysiące kawałków, z jej ust dobywa się krzyk.

- Esther - mówi, spoglądając ponad moim ramieniem na niską kobietę, po czym wydaje z głębi krtani cichy jęk i cofa się pośpiesznie, depcząc szklane odłamki. Z kranu wciąż leci woda, wzbijając w zlewie tysiące błyszczących bąbelków, które grożą przelaniem. Bąbelki jak w płynie do kąpieli. - Och, nie - zawodzi Ingrid. - Nie, nie, nie.

Odwracam się i widzę, że stoi za mną Perła.

- Alex, jak to miło, że przyszedłeś - mówi, ale w ogóle na mnie nie patrzy, ponieważ wlepia wzrok w Ingrid.

- Wyglądasz jak ona - bełkocze Ingrid, jej głos jest oddalony, jakby znajdowała się pod wodą, jakby tonęła w kuchennym zlewie. - Wyglądasz jak ona. Niemal myślałam, że jesteś...

Robi kilka kroków, mijając mnie, i tchórzliwie wyciąga rękę, żeby pogłaskać pofalowane kosmyki wielobarwnych włosów.

Perła uśmiecha się najbardziej szczęśliwym uśmiechem, niczym dziecko, które właśnie znalazło sobie nowego przyjaciela. Przesuwa dłonią po farbowanych włosach, po czym kłania się ostentacyjnie, tak że brzeg kurtki w kratę sięga teraz jej kolan.

- Tak pomyślałam, że ci się spodoba - mówi rozpromieniona. - Zawsze była twoją ulubienicą. Przyszło mi do głowy, że może i mnie polubisz, jeśli będę ci ją przypominała.

A potem sięga po nóż.

QUINN

Kiedy dochodzę do końca listu, wyrywa mi się bezwiedny krzyk. Nie mogę się powstrzymać. Po prostu dobywa się ze mnie. Moja dłoń wędruje instynktownie do ust.

List drży w moich rękach jak liść na wietrze. Nie mogę zapanować nad ich drżeniem. Próbuję przetrwać to, co właśnie przeczytałam, ponownie przeczytać list, ale słowa rozmazują mi się w oczach, w końcu nie potrafię odróżnić „a” od „o” ani wymawiać słów. Litery i słowa łączą się ze sobą, kiedy na nie patrzę, stają się jednością. Flirtują i skaczą na zadrukowanej stronie, szydząc ze mnie. Nie złapiesz mnie – zdają się mówić.

A jednak udaje mi się wydobyć z listu dwie informacje. Kimkolwiek jest EV, zabiła Kelsey Bellamy i całkiem prawdopodobne, że zrobiła coś, by skrzywdzić Esther. Udaje, że sama jest nią, krążąc po mieście, wyglądając i zachowując się jak Esther. Kim jest? W liście wspomina o rodzinie. „Odebrałaś mi rodzinę”, to są słowa z listu, a jednak nie wydaje się, by było to coś, co zrobiła Esther. Nigdy nie rozmawiała ze mną o swojej rodzinie. Gdyby nie było to niemożliwe, powiedziałabym, że nigdy jej nie miała, że została wychowana przez krasnali w leśnej chacie krytej strzechą. Esther chowała się w swojej skorupie, kiedy zadawałam pytania. Zatrzasnęła wieko pudełka ze zdjęciami, na które natknęłam się w tamtym magazynie, zdjęciami rodzinnymi, a kiedy spytałam, kim są ludzie uwiecznieni na tych fotografiach, powiedziała, że nikiem.

Ale było jasne, że nie są nikiem. I teraz odczuwam przemożne pragnienie, by jeszcze raz obejrzeć te zdjęcia, chcę za wszelką cenę ujrzeć wizualizację rodziny Esther, i zastanawiam się, czy osoba, która napisała ten list, znajduje się na tych fotografiach. Muszę to zobaczyć. Przebiegam wspomnienia zgromadzone w swoim umyśle, ale niczego nie znajduję. Nie potrafię wydobyć na powierzchnię tych zdjęć, zresztą Esther nie dała mi szansy przyjrzenia im się bliżej tamtego zimowego dnia, gdy stałyśmy w schowku, szukając choinki. Było wtedy zimno, a na dworze śnieg padał grubymi płatkami. Stałyśmy w zimnym magazynie i choć rozgrzane, czułyśmy chłód bijący od betonowych ścian i podłogi. To chyba gdzieś tutaj, powiedziała Esther, mając na myśli choinkę, ale ja podniosłam wieko pudła ze zdjęciami. Tak, węszyłam, a jednak nie miałam takiego wrażenia, przebywając z Esther w jednym pomieszczeniu. Nie wydawało mi się, by miała coś przeciwko temu.

Ale miała.

I teraz serce wali mi jak młot, kiedy pokój niknie i pojawia się przed moimi oczami, różana sofa oddala się i powraca. Okna są tak blisko, że nagle wydaje mi się, jakbym mogła ich dotknąć, a po chwili po prostu znikają. Mój słuch też się przytępia i wyostrza, jakbym była uwięziona pod wodą albo cierpiała na zapalenie ucha zewnętrznego. Nie słyszę.

„Nigdy bym nie odkryła, że już nie żyję”.

To zdanie z listu przebiega mi co chwila przez głowę. Co to znaczy? Co znaczą te słowa?

Patrzę na przedmioty porozrzucane po podłodze i widzę klucze Esther, trzy niklowane mosiężne klucze na wysadzonym paciorkami kółku: klucz do głównych drzwi domu, klucz do naszego mieszkania, klucz do kłódki od schowka.

Klucz do kłódki od schowka.

Dźwigam się z podłogi, biorąc ze sobą torebkę Esther i myśląc wyłącznie o tych zdjęciach.

Muszę zobaczyć te zdjęcia.

Przemykam ulicami Chicago obok sklepów i restauracji, obok wiaty autobusowej – maleńkiej przestrzeni, która udaje, że walczy z chicagowskim wiatrem, ale nie walczy. Ten wiatr miota stronicami „Chicago Tribune” zostawionymi na ławce przystanku, kiedy przebiegam obok, zmierzając do magazynu przy Clark Street. Sam magazyn przyprawia mnie o dreszcz – mnóstwo drzwi, puste pomieszczenia, mało ludzi. Na dobrą sprawę nie ma ich w ogóle, oprócz kiepsko opłacanego i siedzącego przy biurku introwertyka, który też wzbudza we mnie dreszcz. Nie chcę się jednak poddawać, nie mogę pozwolić, by mnie to powstrzymało.

Posługując się kartą magnetyczną znaną z portfela Esther, otwieram drzwi magazynu i wchodzę do środka. Dyżur pełni jeden człowiek, mężczyzna za szybą, wystukujący coś na komputerze. Nie podnosi wzroku, by spojrzeć mi w oczy.

Mijam drzwi migdałowego koloru, raz za razem, wzdłuż długiego, pustego korytarza. Podłoga jest betonowa, to jakiś rodzaj wypolerowanego betonu, który w ogóle nie tłumi odgłosu moich ciężkich kroków, kiedy zmierzam szybko przed siebie, ledwie mogąc odróżnić jeden schowek od drugiego, choć byłam tu już wcześniej. Wytężam pamięć, żeby sobie przypomnieć, który składzik należy do Esther. Wsuwam klucz do kolejnych kłódek, małych krążków, ale nie otwiera żadnej. Upominam się w duchu, że przecież już tu byłam. Myśl, Quinn, myśl, przypomnij sobie. To te drzwi o barwie migdałów czy te? Jest ich chyba setka, setka

migdałowych drzwi o identycznych zamkach. Tysiące! Wszystkie wydają mi się takie same. Przenoszę się w czasie, próbuję powrócić pamięcią do tego jednego dnia, kiedy byliśmy tu razem. Podążam tą samą drogą, co wtedy, i wypatruję wskazówek: szeregu mniejszych schowków, potem tych większych, o drzwiach dużych jak bramy garażowe, a także zainstalowanej na ścianie kamery monitoringu, przed którą tańczyłyśmy. Uśmiecham się na to wspomnienie – ja i Esther odstawiające irlandzki taniec dla faceta przy wejściu, roześmiane, rozbawione.

I wtedy dociera do mnie, że to schowek 203. Ten sam adres co mój dom rodzinny, ten, w którym wciąż mieszkają moja matka i mój ojciec. Los, jak nazwała to Esther, ale ja powiedziałam jej, że to bardziej głupi zbieg okoliczności. Widzę te cyfry w swojej wyobraźni, tak jak wtedy, kiedy stałam tam w grudniu zeszłego roku w odległości metra i patrzyłam, jak Esther otwiera drzwi.

Odnajduję schowek 203.

Wsuwam klucz do kłódki – i kłódka się otwiera. Presto! Udało się.

Podciągam ciężkie drzwi i gdy tylko zaglądam do środka, zaczynam krzyczeć. I nie jest to po prostu krzyk. To pełen rozpaczony falsetowy krzyk, natychmiast przyciągający uwagę dyżurnego pracownika, który przybiega do mnie szybko, ale nie dość szybko, by mnie złapać, zanim tracę świadomość otaczającego mnie świata i padam na podłogę z głośnym łoskotem.

Moje klucze i komórka lecą w różne strony. Mięśnie pęcherza moczowego kurczą się, kiedy uryna ścieka po wewnętrznej stronie moich nóg, mocząc pończochy. Kostki wykręcają się od ciężaru stawów i kości. Krzyczę z bólu. Głowa uderza o podłogę, podskakując na betonie niczym piłka na boisku. Nie mam czasu zareagować, i już leżę jak długa na ziemi kilka centymetrów od Esther, dostatecznie blisko, bym mogła jej dotknąć.

Wciąż jest w tej piżamie, wygodnej bawełnianej piżamie, którą miała na sobie, kiedy rozmawiałyśmy po raz ostatni, kiedy siedziała w naszym salonie otulona ciepłym kocą o barwie morskiej zieleni i powiedziała do mnie:

– Popsuję ci tylko przyjemność, Quinn. Idź beze mnie. Będziesz się lepiej bawić.

Tak właśnie powiedziała, a ja poszłam. Poszłam bez niej i dobrze się bawiłam. Teraz się jednak zastanawiam, co by się stało, gdybym została w domu. Och, gdybym tylko została... czy zdołałabym ocalić Esther przed jej losem?

Mój wzrok obejmuje pudła, które są porozrywane, a ich zawartość rozrzucona bezładnie wokół Esther. Albumy ze zdjęciami, dzienniki, dziecięce książeczki Esther, te, które jej matka gromadziła sumiennie, kiedy córka była małą dziewczynką. Zdjęcia Esther w wieku niemowlęcym, w pierwszych latach życia

i w latach młodszych. Zdjęcia wyjęte teraz z plastikowych koszulek i podarte na drobne strzępy. Kto zrobiłby coś takiego?

No i jest jeszcze Esther, oczywiście, leżąca obok mnie, jej ciało bezwładne, oczy zamknięte.

Tuż przy kredowobiałej dłoni spoczywa pojedyncza fotografia dwóch młodych dziewcząt, jednej dużej i jednej małej, ze słowami nakreślonymi flamastrem wzdłuż górnej krawędzi:

Genevieve i Esther.

ALEX

W moich żyłach gęstnieje krew, nie dostarczając już tlenu do mojego ciała. Drętwieją mi nogi, zaczynają mrowić. Kolana się uginają, grożąc bezwładnością.

- Nie wyglądasz za dobrze, Alex - mówi, trzymając w dłoni nóż, błyszczący nóż, ponad trzydzieści centymetrów solidnej stali o superostrej krawędzi.

To nóż szefa kuchni wyjęty z kuchennego kompletu Ingrid. Perła prowadzi nas do salonu i każe usiąść. Moje kroki są głośne, kiedy przechodzę przez pokój, rozbrzmiewają niczym huk broni palnej na strzelnicy, eksplodują z siłą stu pięćdziesięciu decybeli albo jeszcze głośniej. Jak korek wyskakujący z butelki szampana. Jak grzmot samolotu przekraczającego barierę dźwięku. Jak grom. Jak uderzenia deszczu o stalową maskę samochodu, głucho, uporczywe i donośne.

- Nie chcesz tego zrobić - mówię do niej, kiedy przystaje na środku pokoju z nożem w dłoni.

Ma w sobie pewność - naprawdę chce to zrobić - a jednak towarzyszy temu szaleństwo, delirium. Jest obłąkana. Genevieve jest obłąkana. Przytupuje, jej nogi drżą, źrenice poruszają się w oczodołach niespokojnie. Dłonie, te dłonie, w których dzierży broń, trzęsą się. Trzyma nóż nie jak ktoś, kto zamierza pokroić kawałek mięsa albo tort urodzinowy, ale raczej ktoś, kto chce przebić skórę, ludzką skórę. Ścisła rękę mocno, ciało jest naprężone, żyły i arterie odznaczają się wyraźnie.

- Byłaś tam, prawda? - mówi Ingrid. - Widziałam cię na targu. Wiedziałam, że to ty.

- Oczywiście, że wiedziałas. Chciałam, żebyś mnie zobaczyła - mówi Genevieve.

- Po tylu latach... Jakim cudem zapamiętałaś?

- Jak mogłabym zapomnieć? Jesteś moją matką - mówi Genevieve. - Dziewczynka nigdy nie zapomina swojej matki.

Ingrid ma w oczach rezygnację, która dowodzi, że wiedziała, iż prędzej czy później do tego dojdzie. Że nie było takiej szansy, by jej sekret na zawsze pozostał sekretem.

Targ. Miejsce, w którym Ingrid doznała ataku paniki. Ostatnie publiczne miejsce, w którym się znajdowała, nim na dobre zamknęła się w domu. Kiedy jej się przytrafił ten atak, świadkowie twierdzili, że wyrzucała z siebie słowa:

- Odejdź! Daj mi spokój! Nie dotykaj mnie!

Mówili, że Ingrid krzyczała.

- Szłam za tobą - mówi Genevieve, a jej znudzony głos, ledwie słyszalny, unosi się w powietrzu.

- Wyglądałaś wtedy inaczej - mówi Ingrid. - Wyglądałaś jak...

- Wyglądałam jak ja - mówi Genevieve. - Ale teraz wyglądam jak ona. Tak podobam ci się bardziej, prawda? Zawsze kochałaś ją bardziej. Ale nie chcę rozmawiać o Esther. Nie teraz. Jeszcze nie.

A potem zaczyna mówić o tym dniu, w którym odszukała Ingrid na miejskim targu. Obserwowała, jak Ingrid przemierza alejki z koszykiem na zakupy, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Podążała za nią przez bardzo długi czas. Opisuje, jak Ingrid upuściła swój koszyk, kiedy dostrzegła ją, dostrzegła Genevieve. Koszyk spadający na ziemię, dłoń chwytająca za serce, przeraźliwy krzyk.

- Skąd wiedziałaś, że to ja? - pyta Genevieve.

- Matka nigdy nie zapomina swojego dziecka - odpowiada z powagą Ingrid.

Genevieve chodzi po pokoju tam i z powrotem. Jej kroki są miarowe, podczas gdy my oboje, ja i Ingrid, siedzimy na sofie. Ingrid jest opanowana, ja nie. Ingrid się boi, tak, choć to przemijający strach, widoma oznaka porażki. Poddaje się. Siedzi nieufnie, wyprostowana, z dłońmi na kolanach. Włosy są ułożone. Jej oczy ani na chwilę nie odrywają spojrzenia od Genevieve, nie zerkają w bok, nie mrugają. Nie płacze. Nie prosi, by jej darować, podczas gdy ja, z drugiej strony, chcę robić to wszystko, ale nie robię. Nie mogę. Nie jestem w stanie się odezwać.

Potem dostrzegam podobny kształt ich oczu, nosów, nieobecność uśmiechu. Wszystko zawiera się w drobnych szczegółach: w cienkich wargach z ostrymi kącikami, w zadartych nosach. W ostrych rysach twarzy przypominającej kształtem romb, w szerokich kościach policzkowych, w spiczastych brodach. W barwie źrenic.

- Musisz zrozumieć - mówi Ingrid, a jej głos drży jak osika. - Robiłam, co w mojej mocy. Próbowałam wszystkiego. Wszystkiego - powtarza.

Genevieve wciąż chodzi tam i z powrotem. Mógłbym rzucić się na nią, obezwładnić albo zwalić z nóg, ale nie sposób przewidzieć, gdzie wyląduje nóż. W moich płucach, nerkach, brzuchu.

- Sprawy wyglądały wtedy inaczej - mówi Ingrid. - Dzisiaj u każdego dziecka wynajduje się jakieś zaburzenie. Autyzm, Zespół Aspergera, ADHD. W tamtych czasach te dzieci były po prostu złymi dziećmi. Ty, Genevieve, byłaś złą dziewczynką. Dzisiaj zaprowadziłabym cię do psychologa, a on postawiłby diagnozę i kazał ci brać jakieś pigułki. Ale wtedy, ponad dwadzieścia lat temu, było inaczej. Tyle o tym gadali, Genevieve. O tym, co robisz dzieciom w szkole. Ludzie gadali.

A ma dopiero pięć lat, mówili, wyobrażając sobie, co będziesz wyprawiała, kiedy dorośniesz i staniesz się jeszcze bardziej bezduszna i wyrachowana. Ludzie bali się wyobrazać to sobie. Ja bałam się to sobie wyobrazać. Wiesz, co robili, kiedy źle się zachowywałaś? Nauczyciele, sąsiedzi? Patrzyli na mnie z góry – wyjaśnia Ingrid, gdy z jej oka dobywa się łza i spływa po policzku. Potem wisi na drgającym policzku nieskończenie długo.

Patrzę, wciąż starając się pojąć tę skruchę w słowach Ingrid, fakt, że nie jest ani trochę zdziwiona, że w tym pokoju stoi przed nią żywa, oddychająca Genevieve. Wiedziała cały czas, że żyje, że ciało, które rzekomo przywieziono z hotelu, nie było ciałem jej martwej córki. Pozwoliła, by ludzie z miasta pogrzebali pustą trumnę, by uwierzyli w śmierć Genevieve. By jej współczuli.

Jednocześnie wyrzekła się Genevieve, tak po prostu.

Jaka matka robi coś takiego własnemu dziecku?

- To niełatwe być matką – powiedziała mi.

A teraz mówi do Genevieve, do swojej córki:

- Nie mogłam sobie z tobą poradzić, a to było, jeszcze zanim miałam Esther. Obie wiemy, jak ją traktowałaś, Genevieve. To, co jej robiłaś... była tylko niemowlęciem. Jak mogłaś robić Esther takie rzeczy? – pyta błagalnie, a wraz z tymi słowami jej głos przechodzi w nicość. Zamienia się w parę. W powietrze.

Ingrid nie odzywa się i przez chwilę w pokoju panują cisza i bezruch.

Po pewnym czasie znów zaczyna mówić, jej słowa są urywane niczym klekot klawiszy w maszynie do pisania, wystukującej opowieść, której słucham. Genevieve była czymś więcej niż zmartwieniem dla Ingrid. Czymś więcej niż utrapieniem. Miała w sobie rys podłości, coś obłąkanego, nawracającą wściekłość. Tak właśnie mówi Ingrid.

- Pamiętasz to wszystko, co robiłaś Esther? – pyta Ingrid. – Oczywiście, że tak. Musisz pamiętać.

I przypomina jej, na wypadek gdyby córka jakimś cudem zapomniała. Przypomina jej, jak raz próbowała udusić małą Esther, gdy ta spała w kołysce. Gdyby szczęśliwym zrzędzeniem losu Ingrid nie dotarła do łóżeczka na czas, dziecko poddałoby się ciężarowi poduszki, brakowi powietrza. Tak mówi Ingrid, a jej słowa przeplata teraz gniew. Wtedy próbowała za wszelką cenę jakoś to wytłumaczyć, wmówić sobie, że Genevieve nie wiedziała, co robi, kładąc poduszkę na pogrążoną we śnie twarzyczkę dziecka i naciskając, ale gdzieś w głębi serca czuła, że Genevieve wiedziała, co robi. Nawet w wieku czterech czy pięciu lat Genevieve zdawała sobie sprawę, że ten jeden drobny akt może to dziecko zabić. I tego

właśnie chciała. Chciała, by dziecko umarło.

W pokoju zapada milczenie. Nic nie słyhać, tylko nieznaczny płacz Ingrid. I zegar na ścianie, szybkie tik-tak – akompaniament moich pośpiesznych uderzeń serca – gdy duża wskazówka obiega tarczę. A potem rozwierają się maleńkie drzwiczki i ukazuje się w nich ptak. Zegar z kukułką obwieszczającą swoim kukaniem godzinę dwunastą. Południe. W pokoju nie jest już cicho. Kuku, kuku. Dwanaście razy. W restauracji naprzeciwko panuje niewyobrażalny gwar, ludzie wchodzą i wychodzą, całkowicie nieświadomi tego, co się tutaj rozgrywa. Moją jedyną nadzieją jest Priddy. To, że Priddy pakuje lunch dla Ingrid, kiedy tu rozmawiamy. Pakuje kanapkę z boczkiem, sałatą i pomidorem z górą frytek i jakąś marynatą do tego.

- Wiedziałam, że nie mogę cię zatrzymać. Było to niebezpieczne dla Esther, niebezpieczne dla mnie. Zrobiłam to, co mogłam zrobić najlepszego. Znalazłam godną zaufania agencję adopcyjną, która wyszukała ci odpowiedni dom. Twoja przybrana rodzina to byli dobrzy ludzie, Genevieve. Mogli się tobą zająć znacznie lepiej ode mnie.

- A może nie chciałaś nawet spróbować – odwarkuje Genevieve.

- Próbowałam – mówi cicho Ingrid. - Och, jak bardzo próbowałam... - A po chwili pyta: - Jak nas odnalazłaś? - Wyciąga drżące palce ku perłowej bransoletce na cienkim nadgarstku Genevieve. Perła. Bransoletka jest mocno naciągnięta, między paciorkami widać elastyczną gumkę, która wrzyna się w skórę. - Wciąż to masz? - pyta Ingrid, a potem wyjaśnia albo tylko przypomina Genevieve: - Zrobiłam to dla ciebie, kiedy byłaś małą dziewczynką. Wciąż to masz.

Genevieve nie zwraca na to uwagi. Wyrywa dłoń z delikatnego uścisku Ingrid, a potem mówi:

- Chcesz raczej spytać, jak Esther znalazła mnie. Tak, zgadza się, to Esther mnie znalazła, przez internet. Chciała do mnie dotrzeć, ale potem chciała po prostu, żebym odeszła. Próbowała mi zapłacić. Możesz w to uwierzyć? Ale widzisz, nie chciałam odejść. Chciałam być ze swoją rodziną. Z tobą i z Esther. A kiedy Esther odmówiła, pomyślałam, że może mogłabym być z tobą. Że gdybym wyglądała jak Esther, zachowywała się jak Esther, to może też byś mnie pokochała. Zawłaszcza gdyby Esther już nie było.

- Co jej zrobiłaś? - pyta zaniepokojona Ingrid.

Genevieve najpierw wzrusza ramionami, a potem odpowiada:

- Sama zobaczysz. - Potem ponagla Ingrid, żeby dokończyła swoją opowieść o tym, jak to się stało, że przywiozła z hotelu do domu pustą trumnę, twierdząc, że

jej mała córeczka poniosła śmierć w tragicznym wypadku podczas kąpieli.

- Genevieve, to nie zmienia faktu, że twoi potencjalni przybrani rodzice... twoi nowi rodzice byli wyjątkowi. Widziałam dokumenty. Byłam za kulisami, kiedy spotkaliście się po raz pierwszy. On lekarz, ona nauczycielka. Wiedziałam, że się tobą zaopiekują. Myślałam, że tak będzie najlepiej. Myślałam, że zaopiekują się tobą skuteczniej, niż ja mogłabym to kiedykolwiek zrobić.

- Powiedziałaś mi, że masz do załatwienia sprawunki. Zostawiłaś mnie z jakimś mężczyzną, którego nie znałam. Bądź dobrą dziewczynką, powiedziałaś. A potem sobie poszłaś.

- Byłam tam, Genevieve. Patrzyłam przez okno. Zobaczyłam, jak przychodzą, a niedługo potem zobaczyłam, jak odchodzisz. Twoja nowa matka trzymała cię za rękę, kiedy odchodziłaś. A ja... - Zaczyna się, potem znowu mówi: - Ja... - Głos niknie, nim Ingrid kończy myśl, osuwając się na poduszki sofy, jej sztywne dotąd ciało wiotczeje. - Nigdy nie czułam takiej ulgi. Odeszłaś... I było już po wszystkim.

- Nigdy nie było po wszystkim - mówi Genevieve, która znów zaczyna chodzić tam i z powrotem. - Zostawiłaś mnie. Oddałaś. Z nas dwóch wybrałaś Esther, to właśnie zrobiłaś. Zależało ci tylko na Esther. Esther, Esther, Esther. Nigdy na mnie.

- Nie sądziłam, że będziesz pamiętać - wyznaje Ingrid. - Byłaś zbyt mała, żeby pamiętać, co robiłam. Myślałam, że będziesz szczęśliwa.

- Nigdy nie byłam szczęśliwa - mówi Genevieve.

Rozważam swoje opcje, zastanawiając się, czy dam radę powalić Genevieve. Myślę o naczyniach krwionośnych, które naruszyłby nóż przebijający elastyczny materiał, o krwi wyciekającej z układu naczyniowego i przenikającej w inne części mojego ciała. Myślę, że miałbym szczęście, gdyby Genevieve trafiła w aortę albo tętnicę wątrobową, w coś, co spowodowałoby szybką śmierć, natychmiastową, a nie powolny wyciek krwi z wątroby, nerek, płuc.

Myślę też o swojej nowej przyjaciółce, o Perle. O tym, że wciąż jakąś cząstką samego siebie chcę dotykać jej włosów, trzymać ją za rękę. Ale nie mogę tego zrobić. Oczywiście, że nie mogę, ale w głębi duszy tego właśnie chcę. Dotykać jej włosów, trzymać ją za rękę, zniknąć za frontowymi drzwiami z Genevieve, ściskając jej dłoń i podążając przed siebie środkiem ulicy.

Ingrid wciąga głęboko powietrze, starając się zapanować nad oddechem. Jest urywany, a czasem w ogóle się nie dobywa. Chwilami po jej twarzy przesuwa się cień przerażenia. Nie może złapać powietrza, nie może dłużej oddychać, ale potem oddech powraca i uspokaja ją na chwilę.

- Mogę oddychać - jak mówi sobie zapewne, kładąc drżącą dłoń na klatce

piersiowej i upominając się, by zaczerpnąć w płuca powietrza.

Ingrid krzywi się, kiedy Genevieve siada obok niej i przykłada jej do szyi zimną twardą stal, a potem podciąga rękaw koszuli i odsłania rządęk niebiesko-szarych żył na jasnej skórze Ingrid, gotowych do rozerwania. Śmierć przez wykrwawienie. Tak się to nazywa. Upływ krwi. Genevieve nachyla się do Ingrid i syczy jej w ucho:

- Nie ruszaj się. Nie chcesz chyba, żeby drgnęła mi ręka. - Potem dodaje: - Tylko mi nie mów, że zamierzasz odmówić, tak jak zrobiła to Esther.

Nie mogę siedzieć z boku i patrzeć, jak się to dzieje. Ingrid jest dobrą osobą, choć w tej chwili trudno mi w to uwierzyć.

Choć jestem śmiertelnie przerażony, staram się z całych sił zachować spokój i nerwy. Panować nad sobą.

- Nikogo jeszcze nie skrzywdziłaś - tłumaczę Genevieve, choć czy jest to prawda, nie potrafię ocenić.

Z pozoru jestem rozluźniony, ale w głębi serca podejrzewam, że nigdy już nie będę taki sam. Coś się zmieniło. I nie jest to związane tylko z Genevieve, z kobietą, którą przez ostatnie czterdzieści osiem godzin uważałem za kobietę ze swoich marzeń. Jest to też związane z Ingrid. Zmieniłem się.

- Ingrid nic się nie stało - mówię jej. - Tobie i mnie też się nic nie stało. - Wskazuję palcem najpierw siebie, potem ją. Ale tak naprawdę nie jestem pewien, czy nic mi się nie stało. - Wciąż możesz zmienić zdanie. Nie wiem nawet, czy czekają cię jakieś kłopoty, biorąc pod uwagę to, co ona ci zrobiła, co ci zrobiła twoja matka. Poza tym - ciągnę, wskazując palcem na ostry niczym brzytwa przedmiot, który błyszczy w dłoni Genevieve - to nie jest nawet broń, tylko nóż. Nóż kuchenny. Rozumiesz, co mam na myśli? - Siedzę na sofie obok Ingrid. - Policja jest już w drodze - kłamię. - Domyśliłem się wszystkiego, zanim tu przyszedłem. Wezwałem policję.

Z dali dobiega dźwięk syren, choć nikt tu nie jedzie. Nie zawiadomiłem policji. Mogłem to zrobić w drodze z biblioteki, ale nie zrobiłem. Przyszedłem od razu tutaj.

- Najmądrzejsze, co możesz teraz zrobić, to się poddać - mówię, licząc na to, że ta subtelna taktyka się sprawdzi. - Albo uciec - dodaję. - Mogłabyś uciec. Jeśli teraz odejdziesz, nigdy cię nie złapią. Mam pieniądze - mówię, po czym sięgam do kieszeni i wyciągam rękę. Trzymam w niej dwie dwudziestki. Ani grosza więcej.

Domyślałem się jednak, że to więcej, niż ma Genevieve. Wystarczy na bilet na pociąg. Wyglądam przez okno i w tym momencie widzę kłęby gęstego czarnego dymu wypełniające powietrze na drugim końcu miasta.

Pożar, coś się pali.

Genevieve tylko się jednak śmieje, to wprost niesłychany, wyjątkowo odrażający śmiech, który już zawsze będzie nawiedzał moje sny. Jej oczy o barwie błotnistego brązu wodzą spojrzeniem między mną a Ingrid.

- Albo mogłabym zabić was oboje, od razu. - Jej słowa padają szybko, bardzo szybko. - Muszę się tylko pośpieszyć. Zrobić to, zanim zjawi się policja. Potem zabiorę twoje pieniądze i ucieknę - dodaje, wskazując gotówkę w mojej dłoni.

Kiwam głową. Moje kolana zaczęły drżeć, wiem, że trudno mi będzie wstać. Nie mogę jednak teraz o tym myśleć. Muszę skupić się na zadaniu.

- Albo mogłabyś to zrobić - przyznaję. Ale wcale tak nie uważam. Oczywiście, że nie. To strategia, podstęp. Buduję relacje z Genevieve, starając się zdobyć jej zaufanie. Moje słowa, ton mojego głosu są nieśpieszne i spokojne. Liczę na to, że Genevieve pójdzie za moim przykładem. Że jej słowa, a co ważniejsze, działania i zachowanie będą równie nieśpieszne i spokojne jak moje. - Masz pełne prawo odczuwać złość, Genevieve.

- Zgadza się. - Przysuwa się do Ingrid jeszcze bardziej, cały czas trzymając nóż w dłoni. Patrzy matce w oczy. - Odczuwam złość.

To ten wyraz rezygnacji we wzroku Ingrid przeraża mnie najbardziej, to, że mogłaby się w tej chwili poddać. Pozwolić, by Genevieve odebrała jej życie. Ingrid sprawia wrażenie zmęczonej, przygnębionej, wyczerpanej. Jej ciało zapada się w sobie, jest przygnieciona brzemieniem, drewniany uśmiech, który zwykle widnieje na jej twarzy, jest już nieobecny. Nie ma nawet siły ani chęci krzywić jej w udawanym uśmiechu. Przesuwa dłonią po włosach, podnosząc je przy tym, i w ciągu dziesięciu, dwudziestu albo trzydziestu minut zaczyna się starzeć, o dekady za jednym zamachem. Ingrid na moich oczach kończy sześćdziesiąt, potem siedemdziesiąt, potem osiemdziesiąt lat. Przybiera postać zniedołężniałej starej damy.

- I tak nie ma to znaczenia - mówi Genevieve. - To nie są syreny wozów, które tu jadą. - Jej spojrzenie podąża za moim wzrokiem w stronę okna i dymnego całunu. Pożar. Płomienie, czerwone i pomarańczowe serpentyny, jak sobie wyobrażam, sięgające w niebo jakiś kilometr stąd. Ale z miejsca, w którym stoję, widzę tylko dym. - Wydaje się, że ktoś zostawił włączony grzejnik w tym starym opuszczonym domu.

Śmieje się.

Spaliła ten przeklęty budynek, zniszczyła go raz na zawsze.

- Gdzie jest Esther? - pyta Ingrid, jej słowa dobywają się pełnym rozpacz

szeptem.

A Genevieve nadal się śmieje, aż wreszcie mówi:

- Esther nie żyje. - I powtarza z mocą: - Esther nie żyje.
- Nie - mówi Ingrid. - Nie mogłabyś tego zrobić. Nie zrobiłaś.
- Ależ zrobiłam - zapewnia z okrutnym uśmiechem Genevieve.

I wtedy sytuacja zaczyna się szybko sypać, znika jakakolwiek nadzieja na ratunek. Ingrid łka, wymawiając raz po raz z płaczem:

- Moje dziecko! Moje dziecko!

Natomiast Genevieve drze się na nią dziko, że też była kiedyś jej dzieckiem. Że też jest jej dzieckiem. Ale potem Ingrid ją porzuciła i gdy ta zdrada zostaje wypomniana po raz drugi, trzeci i czwarty, Genevieve traci wszelki rozsądek, jej gniew i szaleństwo narastają. Próbuję z całych sił skupić na sobie jej uwagę, w ogóle na czymś innym. Na pieniądzach w mojej dłoni, na tym, że jeszcze nie zrobiła nam nic złego, że wciąż może uciec. Taktyka negocjacyjna w przypadku zakładników: dać się jej wypowiedzieć, ale też starać się ją uspokoić. Nie pozwolić na słowotok. Słowotok może doprowadzić tylko do utraty panowania nad sobą, stanowi niekontrolowany rozpęd albo katalizator, czynnik zapalny, który sprawi, że Genevieve w chwili uniesienia albo lekkomyślności wpakuje nóż w ciało Ingrid albo w mój brzuch.

Jednak Ingrid nie posługuje się dobrą taktyką negocjacyjną. Czerpie siłę z rozpacz, z tej niespodziewanej świadomości, że Esther nie żyje. Ingrid krzyczy strasznie głośno:

- Zabiłaś moje dziecko!

Co za fatalny dobór słów, który tylko nakręca wściekłość Genevieve.

Próbuję desperacko naprawić tę pogarszającą się sytuację.

- Powiedz mi, co mogę dla ciebie zrobić, Genevieve. Potrzebujesz czegoś? Czegoś, co pomoże ci stąd uciec? - pytam głosem silniejszym niż głos tych dwóch kobiet, ale jednocześnie tracąc spokój, gdy cała ta scena rozpada się na moich oczach w kawałki.

Mówię Genevieve, że mam przyjaciela, który jest pilotem i właścicielem małego prywatnego odrzutowca. Mówię, że pomoże jej uciec. W Benton Harbor znajduje się niewielkie lotnisko, zaledwie trzy, cztery kilometry stąd. Zadzwonię. Poproszę przyjaciela, żeby się z nami tam spotkał.

Genevieve patrzy na mnie, potem wyrzuca z siebie:

- Kłamiesz, Alex, kłamiesz. Nie masz żadnych przyjaciół.

Oddech utyka mi w krtani; myślę sobie, że lepsza byłaby już rana od noża.

Byłaś moją przyjaciółką, chcę jej powiedzieć. Myślałem, że jesteś moją przyjaciółką. Ale te słowa nie pomogą. Muszę zachować rozsądek i zapomnieć, że w całej tej poplątanej sprawie też zostałem skrzywdzony. Tu nie chodzi o mnie. Tu chodzi o Ingrid, Genevieve i Esther. To ich historia, nie moja.

- Genevieve - mówię tylko, starając się przyciągnąć jej uwagę, jak w grze „przechwycić flagę”.

Wydaje mi się przez ułamek sekundy, że dostrzegam kątem oka jakiś kształt w oknie, dwoje oczu, które na mnie patrzą. Kredowobiała skóra, włosy ufarbowane na czerwono, papieros mentolowy między cienkimi popękkanymi wargami, kłęby dymu unoszące się w jesiennym powietrzu.

Red.

Ale potem znika.

- Genevieve - mówię ponownie, starając się ominąć swoimi słowami rozpaczliwe zawodzenie Ingrid, które robi więcej złego niż dobrego. - Genevieve. Posłuchaj mnie, Genevieve. Pomogę ci się stąd wydostać - zapewniam ją. - Dokąd chcesz pojechać? Zabiorę cię tam... dokąd tylko zechcesz. Mogę cię tam zabrać. - Mówię to raz, a potem znowu, trochę ciszej. - Mogę cię tam zabrać.

Ale nikt już nie słucha tego, co mam do powiedzenia. Nasza uwaga jest skupiona na Genevieve, która raczy nas opowieścią o nocy, kiedy to wspięła się na pewien budynek mieszkalny po północnej stronie Chicago i dostała się do pokoju sypialnego przez okno. Było zamknięte, ale sforsowała je dzięki śrubokrętowi i odrobinie wysiłku. Wgramoliła się do środka przez framugę, znalazła się w pokoju, a tam, pogrążona w głębokim śnie, leżała na łóżku jej młodsza siostra Esther. Nie zobaczyła jej po raz pierwszy, oczywiście. Spotkały się wcześniej podczas próby ponownego nawiązania relacji, która to próba spełzła na niczym, gdy Genevieve zagroziła, że powie o tym, co zrobiła Ingrid. Od tej chwili Esther nie chciała mieć z nią nic do czynienia. Chciała, by Genevieve odeszła, ale ona nie chciała odejść. Chciała, by znowu stały się rodziną.

- Esther - wyrzuca z siebie wściekle Genevieve. - Esther - powtarza ze wstrętem, którym ocieka jej język. - Esther odmówiła. Nie zamierzała tego zrobić. Powiedziała, że nie może tego zrobić - mówi, patrząc w zrozpaczone oczy Ingrid. - Miałabyś kłopoty, gdyby ludzie się dowiedzieli, że nie umarłam. „Co by sobie pomyśleli, gdyby poznali prawdę?” - spytała mnie Esther. Sądzisz, że obchodzi mnie, co kto myśli? Więc ją zabiłam. - Unosi dłonie, jakby przyznawała się do jakiejś nieuwagi, zaniedbania, prostego błędu, coś w stylu: „Ojej, zapomniałam kupić karton mleka” albo „Zostawiłam zapaloną świeczkę”. Przeciąga nożem po

swojej szyi, bliźniutko, ale nie na tyle, by się skaleczyć czy choćby zostawić drobny ślad. – O tak. Oto co zrobiłam.

Pokój na długie pięć sekund pogrąża się w ciszy i martwocie.

Pięć sekund, cztery, trzy, dwie, jedna.

Bang.

Ingrid porusza się pierwsza, zrywa się z sofy niczym futbolista i rzuca na Genevieve, choć żadna z nich nie pada na podłogę ani nóż nie wysuwa się z dłoni Genevieve. Patrzę i czekam, i mam nadzieję, że tak się stanie, że stanie się niebawem, ale nie staje się. Zmagają się dwie kobiety w niezgrabnym zwarciu, walcząc o broń. I gdy tak się nie staje, gdy nóż nie spada, wiem, że muszę się ruszyć i działać szybko, muszę coś zrobić. Ocal Ingrid! – krzyczy w mojej głowie jakiś głos. Ocal Ingrid! Jestem boleśnie świadomy, że Ingrid przegra za chwilę tę walkę. Nie mogę siedzieć beczynnym i patrzeć, jak Ingrid umiera. Ingrid jest dobrym człowiekiem. Tak, jest. Zmagają się przez jedną sekundę, nim włączam się do starcia, trzy ciała splecione ze sobą, z nożem gdzieś między nimi.

To nieuniknione, że ktoś zostanie ranny.

Tak musi się stać.

I wtedy, gdy nóż przebija moją skórę z taką samą łatwością, z jaką stopa wsuwa się w skarpetę albo w but, słyszę to: niewyraźne dźwięki zawodzących na ulicach syren wozów policyjnych, które śpieszą, by mnie ocalić.

I wtedy, gdy krew zaczyna sączyć się z otworu w mojej skórze, czuję to: piekący ból, który mnie paraliżuje. Nie mogę się ruszyć, choć osoby wokół mnie zaczynają odpływać, patrząc okrągłymi, pełnymi przejęcia oczami. Usta mają rozwarte, palce wycelowane. Ingrid i Genevieve, ich postaci tracą ostrość. Nóż wciąż tkwi we mnie, stercząc z mojego brzucha, i gdy patrzę na niego, uśmiecham się z wolna. Kiedy całe to zamieszanie dobiegnie końca, to właśnie ja odejdę z nożem.

Jestem zwycięzcą, ten jeden raz w życiu wygrałem.

Pokój wokół mnie zaczyna narastać i opadać niczym jezioro podczas przypływu. I oto co widzę: jezioro Michigan, moją ostoję. Kamień węgielny mojej egzystencji, mój filar.

Powiadają, że w tych ostatnich minutach przed śmiercią całe życie przesuwa się przed oczami.

Oto co widzę:

Otoczający mnie pokój robi się niebieski i zaczyna spływać falą ze ścian, po drewnianej podłodze, ten grzywacz zmierza w moją stronę, moje stopy zapadają się w piasek. I zanurzam się w wodzie, niebieskiej wodzie jeziora, która może mnie

utopić albo zanieść do domu. Dom. Jezioro, jezioro Michigan, mój dom.

Nagle, nim udaje mi się pojąć, co się dzieje, znowu mam trzy lata i po raz pierwszy drepczę po plaży, zbierając kamyki do plastikowego wiaderka. Geody, fulguryty i kwarcy. Kamyki, wszystko są to kamyki, które sprawiają, że moje wiaderko nabiera z czasem ciężaru. Moja matka też tam jest, zastygła w miejscu, gdzie woda styka się z piaskiem, siedzi na plaży, jej stopy giną w jeziornej fali. Piasek przywiera do jej stóp, nóg, dłoni. Nosi obcięte džinsy i niemodny podkoszulek, który należał niegdyś do taty. Szorty sama zrobiła, obcinając nogawki między talią a kolanami, ich krawędzie szmacieją. Rąbek się strzępi, zwisają z niego białe nitki i spływają po chudych nogach mojej matki.

Najbardziej lubi szkiełka, więc kiedy je znajduję, biorę w swoją pozbawioną oporów dłoń, bladoniebieskie i wyblakłe zielone. Matka uśmiecha się do mnie, to bojaźliwy uśmiech, taki, który mówi, że nie przychodzi jej to łatwo. Ale mimo wszystko się uśmiecha, to wymuszony uśmiech, którym próbuje mnie przekonać, że się stara. Przesuwa pełną wahania dłońią po mojej i wyjmuję mi z ręki wiaderko. Zachęca, bym usiadł obok niej, a potem razem przeglądamy kamienie, układając je według wielkości i koloru. Matka też ma dla mnie kamień, maleńki brązowy krążek, który kładzie na mojej ubrudzonej dłoni, mówiąc przy tym:

- Trzymaj mocno. Nie zgub go. - I dodaje: - To indiański paciorek, łodyga liliowca. Crinoidea.

Jestem za mały na takie słowa, a jednak znajdują drogę do mojego serca jak węzowate korzenie drzewa przytwierdzające mnie do ziemi i karmiące moją duszę.

Trzymam mocno; nie zgubię go.

A potem raz-dwa! - i mam już osiem lat. I jestem smutny, samotny i nieporadny, chłopiec zbyt wysoki jak na swoją chudą postać. Siedzę w pojedynkę na plaży, kopiąc gołymi stopami w piasek, moje oczy szukają odruchowo łodyg liliowca. Patrzą, jak granulki piasku wznoszą się ku górze i opadają, rozpraszając się w powietrzu niczym nasionka dmuchawca. Znowu, znowu i znowu. Wznoszą się i opadają, wznoszą się i opadają. Wykopałem dziurę w ziemi starą łopatką, którą zostawił tu jakiś dzieciak. Myślę, że mógłbym zakopać tu samego siebie. Zakopać siebie i nigdy więcej nie wyjść na powierzchnię. Chcę tylko swojej matki, ale mojej matki tu nie ma. Patrzą tam, gdzie woda spotyka się z piaskiem, gdzie fale rozbijają się o brzeg. Robię to, żeby się upewnić, ale oczywiście jej tam nie ma. Nigdzie jej nie ma.

Są za to inne matki, które obejmuję po kolei wzrokiem, pragnąc, by każda z nich była moja.

A potem nadchodzi pora nocy i świat wokół mnie jest niemal czarny. Mam dwanaście lat i patrzę przez lunetę, u mojego boku stoi Leigh Forney. Nie dotyka mnie, a mimo to w jakiś sposób czuję jej skórę, ale tylko ledwie, ledwie, czuję mglisty dotyk skóry na skórze. Nigdy wcześniej tego nie czułem. To coś innego, coś nowego. Podoba mi się to wrażenie, kiedy stoję na brzegu jeziora, patrząc w niebo, słuchając fal i przypominając sobie, bym oddychał. To noc powierzana pamięci, szczegóły zgromadzone w bezpiecznym miejscu, z którego można czerpać w chwilach potrzeby. Kostium, który ma na sobie Leigh, fioletowo-szary strój składający się z połączonych szortów i podkoszulka, ściąganych w talii tasiemką. Jej gołe stopy. Para sandałów dyndających na wyciągniętym palcu. Na włosach: przepaska. W oczach: podniecenie i strach, tak jak w moich. Noc jest ciemna, świecą tylko gwiazdy. Księżyc jest zamglony i niewyraźny. I Leigh mówi do mnie głosem żartobliwym i jednocześnie czystym:

- Założę się, że dobiegnę pierwsza do karuzeli.

I ot tak, zwyczajnie, rzucamy się przed siebie biegiem, stopy zanurzają się w piasku, potem pędzimy przez parking, pokonujemy pomarańczowe ogrodzenie i dopadamy uspionej karuzeli, i właśnie tam, kiedy wchodzę do rydwanu w kształcie węża morskiego, a pogrążone w letargu urządzenie zaczyna się obracać, otaczający mnie świat znika z moich oczu.

Pokój się ściemnia, iluminacja sufitu przypomina nocne niebo, tchórzliwy uśmiech mojej matki jest rozsiany po ścianie niczym konstelacja. Mam pięć lat, a świat wokół mnie jest bez wyjątku czarny. Wciąż trwa wieczór, śpię w swoim łóżku nieczuły na pełną wahania dłoń, która głaszcze w ciemności moje włosy, nieświadomy bolesnych słów matki wypowiedzianych mi szeptem do ucha, nim odejdzie:

- Zasługujesz na znacznie więcej niż tylko na mnie.

Ale teraz je słyszę, słowa, które bez trudu docierają do mojej anamnezy, do tej duchowej sfery poznania wszystkiego, gdy linia między tym życiem a następnym traci wyrazistość i ostrość.

I upadam.

QUINN

Stoimy na rogu ulicy, a wokół nas kręcą się zaaferowani mężczyźni i kobiety w uniformach. To policjanci, ratownicy medyczni, detektywi po cywilnemu. Poruszają się szybko między punktami zbornymi a punktami docelowymi: samochodami, wnętrzem jednokondygnacyjnego otynkowanego budynku, prowizorycznego centrum dowodzenia, gdzie stoi detektyw Robert Davies, mówiąc pozostałym, co mają robić. Magazyn jest odgradzony żółtą taśmą. „Nie przekraczać”, jest na niej napisane. A jednak stoję tam pod grubym kłującym kocem wełnianym i patrzę, jak tuzin albo więcej umundurowanych mężczyzn i kobiet przechodzi pod tą taśmą. Obserwuję, jak wchodzi do środka, a potem obserwuję, jak wychodzą na zewnątrz, pchając nosze z kółkami, na których spoczywa postać unieruchomiona za pomocą elastycznych opasek i przykryta kocem.

Esther.

Zmierzch zapada szybko. Liczba samochodów na ulicach wzrasta gwałtownie, zwyczajowy tłok pory dziennej przechodzi w ślimaczą jazdę zderzak przy zderzaku, w korek chicagowskich godzin szczytu, co pogarsza jeszcze zamieszanie na chodniku: policjanci, ratownicy medyczni, detektywi, na których kierowcy przejeżdżających samochodów chcą popatrzeć, i dlatego zwalniają, wstrzymując tylko ruch. Niektórzy gapią się na mnie, kiedy tak stoję pod szorstkim wełnianym kocem, przyciskając do głowy worek z lodem. Gapią się na Esther wynoszoną z magazynu. Gapią się na ekipy telewizyjne z mikrofonami i kamerami, na mężczyzn i kobiety, którym każe się zostać poza obrębem żółtej taśmy policyjnej, skąd nie mogą dotrzeć do detektywów ani pracownika magazynu - który też okrywa się szorstkim wełnianym kocem - ani do mnie.

Trąbią klaksony.

W Chicago w listopadzie zmierzch zapada przed godziną siedemnastą. Słońce zniża się na zachodzie, na przedmieściach, gdzieś nad dwupoziomowym domem mojej matki i mojego ojca, zabierając ze sobą iluminację, pozostawiając jedynie skąpe ślady światła i kobaltowe niebo. Obok mnie stoi Ben i trzyma na moim ramieniu dłoń, choć ledwie czuję jej ciężar. Nie wiem, jak tu dotarł; nie przypominam sobie, żebym do niego dzwoniła. Ale może dzwoniłam.

Mogę tylko patrzeć na Esther leżącą na noszach, kiedy próbuje podnieść się do pozycji siedzącej, choć brakuje jej sił. Ratownik medyczny kładzie mocną, ale

delikatną dłoń na jej ramieniu i nakazuje, by się nie ruszała.

- Spokojnie - mówi. - Proszę się odprężyć.

Łatwo powiedzieć.

Esther była przetrzymywana w schowku przez pięć długich dni. Przez pięć dni nie dostawała jedzenia, podsunięto jej tylko wodę, ten jeden raz, kiedy prześladowczyni się zjawiała.

- Była tutaj, Genevieve tu była - mówi mi Esther, a ja nie jestem pewna, czy Genevieve rzeczywiście tu była, czy tak naprawdę to tylko sen, iluzja, trik umysłu Esther. - Dała mi wodę. Letnią wodę, żeby mnie dręczyć, drażnić, przedłużać to, co miało być pewną śmiercią.

Esther leżała na betonowej podłodze przez pięć dni zmarznięta, sama i przerażona. Tak mi powiedziała, kiedy też tam leżałam, na podłodze razem z nią, czekając na przybycie ratowników medycznych i otulając ją swoim ciałem, żeby dać jej trochę ciepła. Nie miała pojęcia, jaki jest dzień ani która godzina. Pokrywały ją jej własne odchody, w ustach tkwił knebel, żeby nie mogła krzyczeć ani wołać. Pracownik magazynu niewiele mógł zrobić, choć wezwał pomoc i zwiększył ogrzewanie, starając się podnieść temperaturę w budynku, żeby Esther przestała się trząść. Ale temperatura się nie podniosła, nie dość szybko w każdym razie. Okryliśmy Esther własnymi swetrami i płaszczami, wszystkim, co mieliśmy pod ręką. Mężczyzna dał Esther odrobinę wody, przyciskając butelkę do jej ust, ostrzegł jednak, że zbyt duża ilość płynu może wywołać torsje. Nie wiedziałam, czy rzeczywiście tak jest, ale gdyby zależało to ode mnie, pozwoliłabym jej wypić dosłownie wszystko.

A potem przybyli ratownicy medyczni oraz policja, a pracownika magazynu i mnie odsunięto na bok.

Tu, na chodniku, Ben znów mnie obejmuje i przyciąga do siebie. Drżę z zimna, ze strachu. Ben mówi mi to, kiedy przywieram do niego i błagam, by przestało wiać.

- Drżysz.

Włosy oplatają mi głowę, chłód przenika do kości. Dziś wieczór spodziewany jest śnieg, pierwsze przelotne opady o tej porze roku. Nic, co się dłużej utrzyma, ale mimo wszystko będzie padać. Myślę o kaloryferze w naszym małym mieszkaniu, zastanawiam się, czy zdoła ogrzać pokoje. Myślę o samym mieszkaniu, z całym naszym dobytkiem, moim i Esther. Opuszczam głowę na zgięte kolana i zaczynam cicho płakać. Z moich oczu spływają niepowstrzymane łzy, ale Ben chyba ich nie widzi.

Nie pojedę tego wieczoru do domu. Tego wieczoru zostanę z Esther.

- Chce z tobą rozmawiać - mówi ktoś do mnie, i gdy się odwracam, widzę detektywa Roberta Daviesa.

- Ze mną? - pytam nieco zdziwiona, a moje spojrzenie podąża za jego wzrokiem, w stronę noszy, na których leży Esther, wewnątrz karetki z otwartymi drzwiami. Zajmuje się nią jeden z ratowników, podając jej płyny. Wkrótce zawiozą ją do szpitala na dalsze badania, spędzi tam najbliższą noc.

Przechodzę przez teren odgrodzony policyjną taśmą i zbliżam się do drzwi karetki.

- Co z nią? - pytam ratownika, który przyciska stetoskop do piersi Esther, by zbadać tętno, i mówi mi, że wszystko będzie w porządku.

Nie mogę spojrzeć Esther w oczy. Nie widzę żadnych ran, skaleczeń ani krwi, a mimo to wyobrażam sobie, że w środku ma wszystko połamane.

- Nie byłam dobrą współlokatorką - wyznaję, patrząc na nią z ukosa.

Na jej umęczonej twarzy pojawia się zdziwienie. W tej chwili sprawia wrażenie tak mizernej, osłabionej i wystraszonej. Delikatnej jak nigdy. W oczach ma znużenie, włosy - oleiste i brudne - leżą długimi kosmykami na ramionach. Wymagają przycięcia. Wyciągam rękę i gładzę te włosy, nie wierząc, że zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu byłam przekonana, że mnie prześladowe, że próbuje mnie zabić.

Teraz jednak to widzę: nie moja Esther. Nie, Esther nigdy nie uczyniłaby mi krzywdy.

Dopiero teraz wiem, że to prawda.

- Co masz na myśli? - pyta jakby szeptem, bo niemal straciła głos. Podnosi dłoń do gardła. Boli ją. - Jesteś dobrą współlokatorką, Quinn. Znalazłaś mnie - mówi chrapliwie. - Ocaliłaś.

Przy słowie „ocaliłaś” zaczyna kasłać.

- Esther, nie musimy teraz rozmawiać. Powinnaś odpocząć.

Jednak gdy się odwracam, wyciąga do mnie rękę.

- Nie odchodź - prosi.

Biorę głęboki oddech i przyznaję się do wszystkiego, co robiłam; opowiadam, jak przeszukiwałam jej sypialnię, raz, dwa razy, trzy razy, jak znajdowałam rzeczy, których nigdy nie chciałyby mi pokazać. Nie muszę jej mówić, co odkryłam, przecież sama to wie. Kiwa ze zrozumieniem głową, a ja wymawiam:

- Jane Girard.

Nowe imię i nazwisko Esther. Wyznaję też, że zadzwoniła do niej kobieta, niejaka Meg, która odpowiedziała na jej ogłoszenie w „Readerze”. Kobieta, która chciała

być jej współlokatorką zamiast mnie. Staram się nie okazywać zbytniego żalu, przecież Esther przeszła dostatecznie dużo. A jednak czuję ból, kiedy jej to mówię, kiedy przyznaję, że wiem, iż zamierzała wymienić mnie na inną współlokatorkę.

- Och, Quinn - mówi i resztkami sił ściska mi dłoń. - Dałam ogłoszenie ze względu na ciebie - dodaje, a jej słowa wprawiają mnie w osłupienie. - To ja zamierzałam odejść.

I wyjaśnia.

Kiedy była małą dziewczynką i miała około roku, jej siostra utopiła się. Umarła. Esther nic o swojej siostrze nie wiedziała, choć były zdjęcia, które widziała, a także opowieść, którą przekazywano jej latami: przebywały w apartamencie hotelowym - Esther, jej matka i siostra Genevieve, i gdy Genevieve została na kilka minut sama w łazience, zanurzyła się pod wodę w kąpieli i utonęła. Powód, dla którego zostawiono ją samą w tym pomieszczeniu? Esther. Tak jej opowiadano, choć matka zawsze dodawała na koniec:

- To nie twoja wina, Esther. Byłaś tylko dzieckiem. Nie mogłaś wiedzieć.

A jednak Esther dorastała w przekonaniu, że to jej wina. I z poczuciem, że brakuje jej jakiejś części samej siebie. To przez nią zginęła jej siostra. Trudno było sobie radzić ze smutkiem, więc poszukała pomocy. To był psycholog, ten, którego wizytówkę znalazłam. Nazywał się Thomas Nutting. Pomagał, ale tylko trochę, nigdy wystarczająco. A smutek pojawiał się i znikał, raz po raz, zadrezczając Esther. Miała kłopoty z oddychaniem. Aż do dnia, w którym matka jej wyznała, że Genevieve nigdy tak naprawdę nie umarła.

- Okłamała mnie - mówi, patrząc na mnie i nie kryjąc żalu. - Okłamała wszystkich. Nigdy nie mogłam jej wybaczyć tego, co zrobiła.

I Esther, która niczego nie czyni połowicznie, postanowiła odszukać Genevieve. I udało jej się. Znalazła ją mniej więcej półtora roku temu. Zlokalizowała na jakiejś internetowej stronie adopcyjnej i zaplanowały spotkanie. Szczęśliwy powrót na łono rodziny, jak wyobrażała sobie Esther. Nie posiadała się z radości.

Jednak podczas tak wyczekiwanego spotkania doszło do szantażu i grózb. Genevieve zamierzała ujawnić to, co zrobiła matka: oddanie do adopcji, mistyfikacja, porzucenie. Zaczęła prześladować Esther, wydzwaniać, choć Esther dwukrotnie zmieniała numer telefonu. Genevieve uparcie ją odnajdywała. Zjawiała się pod drzwiami mieszkania, przysyłała listy. Esther nie zamierzała do tego dopuścić, nie mogła przyłożyć ręki do ujawnienia matczynego postępu bez względu na to, jak bardzo była zawiedziona. Genevieve powiedziała, że chce, by znów tworzyły małą szczęśliwą rodzinę, Esther jednak wiedziała, że to niemożliwe.

Postanowiła więc zniknąć. Zmieniła nazwisko, wyrobiła paszport. Chciała wyjechać i zacząć gdzieś wszystko od nowa, bez matki i Genevieve.

- Nie mogłam cię w ten sposób porzucić - mówi mi. - Nie chciałam zostawiać cię samej. Szukałam dla ciebie współlokatorki.

Esther rozmawiała z kandydatkami, żeby znaleźć dla mnie najodpowiedniejszą.

Chciała się upewnić, nim wyjedzie, że wszystko jest okej. Rzecz jak najbardziej podobna do Esther.

- Ale Genevieve zaczęła wysyłać listy.

Nieszkodliwe z początku, jak twierdzi, ale zawsze dziwne. Większość wyrzucała do kosza, przekonana, że Genevieve nie jest zdolna do tego, by wprowadzić swe groźby w czyn. Genevieve była stuknięta, tyle wiedziała, sądziła jednak, że stanowi tylko niegroźne utrapienie. Że jest nieszkodliwa. Dopóki nie przyszedł list, w którym siostra przyznawała się do zamordowania Kelsey.

- Kelsey... - Esther zaczyna płakać. Uważała, że Kelsey umarła przez nią. Że się do tego przyczyniła. Mądra i dobra Kelsey za nic nie zasłużyła sobie na taki los, na taki koniec. - Wtedy zrozumiałam, że muszę iść na policję. Że sama sobie z tym nie poradzę. To zaszło za daleko.

Wyznaje w tym momencie, że być może jej matka wcale się nie myliła. Że może postąpiła słusznie, pozbywając się Genevieve.

W sobotę wieczorem, w dniu, w którym przyszedł ostatni list, skontaktowała się z panią Budny, żeby wymienić zamki w drzwiach, aby Genevieve nie mogła wejść do mieszkania i mnie skrzywdzić. Esther próbowała mnie chronić. Zadzwoiła do detektywa Daviesa i powiedziała, że muszą się spotkać. Miała mu coś pokazać. List.

I w tym momencie wszystko zaczyna idealnie pasować.

Tamtej nocy, kiedy Esther zamknęła drzwi i położyła się do łóżka, Genevieve uparcie dzwoniła domofonem, a gdy Esther nie otwierała, pojawiła się pod oknem jej sypialni i wyciągnęła na zewnątrz.

- Albo pójdziesz ze mną - powiedziała, wlokąc Esther po schodach pożarowych - albo...

Po prostu zagroziła, że mnie też skrzywdzi. Na dowód pokazała zdjęcie, to, na którym idę ulicą w liliowym swetrze i które Genevieve wsadziła do niszcarki, nim opuściły sypialnię. Śledziła mnie. Esther próbowała mnie chronić.

Nie miała pojęcia, dokąd idą, ale jedno wiedziała: Genevieve zamierzała podawać się za nią.

- Próbowała być mną - mówi. - W nadziei, że nasza matka bardziej ją pokocha. „Zawsze byłaś jej ulubienicą”, powiedziała, ale skąd mogłam o tym wiedzieć? Byłam

maleńkim dzieckiem, kiedy odeszła – wyjaśnia z płaczem.

Przez pięć długich dni i nocy Esther leżała na betonowej posadzce, oddychając przez nos, ponieważ knebel w ustach nie przepuszczał powietrza.

– Nie może być nas dwóch, prawda? – powiedziała Genevieve, nim zamknęła Esther w składziku. – Wydawałoby się to dziwne.

I tak Genevieve pozbyła się Esther, żeby sama nią zostać. E.V. Esther Vaughan.

W tym momencie pojawia się detektyw Davies z komórką Esther w dłoni. Tą samą, którą wcześniej skonfiskował do badań kryminalistycznych.

– To do ciebie – mówi ze sztywnym, znużonym uśmiechem, a potem pyta, czy Esther czuje się na siłach rozmawiać.

Esther kiwa nieznacznie głową i patrząc w moją stronę, prosi, żebym pottrzymała jej telefon.

– Jestem zmęczona – wyznaje, co widać gołym okiem. – Jestem taka zmęczona.

– Oczywiście. – Nachylam się i przyciskam komórkę do jej ucha, dostatecznie blisko, by mogła słyszeć dokładnie każde słowo. To jej matka, matka Esther, z którą przez tyle lat nie utrzymywała kontaktów.

Esther wydaje z siebie głębokie westchnienie ulgi na dźwięk matczynego głosu, a potem zaczyna szlochać.

– Myślałam, że cię straciłam – mówi.

A jej matka, też płacząc, wypowiada te same słowa:

– Myślałam, że też cię straciłam.

Następują przeprosiny, padają obietnice. Wszystko zostaje wybaczone, czas na nowy początek.

Nie podsłuchuję, w każdym razie nie w sensie dosłownym, ale przebywając w zasięgu głosu, rozumiem z grubsza, co się wydarzyło. Genevieve, kiedy już zamknęła Esther w składziku na terenie magazynu, odszukała ich matkę. Zaczęła jej grozić, powiedziała, że Esther nie żyje. Ocalił ją jakiś chłopak z sąsiedztwa, oddając za nią życie.

– Alex Gallo – mówi matka. – Pamiętasz go?

Esther kręci głową, nie pamięta.

– Jest bohaterem... – słyszę w telefonie głos matki Esther, a potem jeszcze słowa: – Ocalił mnie. Gdyby nie on, już bym nie żyła.

Potem następuje przerwa – krótka przerwa, pełna szlochania i smutku – nim matka oświadcza zdecydowanie:

– Genevieve nigdy więcej nam nie zagrozi.

Jak się okazuje, najpewniej spędzi resztę życia w więzieniu w związku z zarzutem

zabójstwa.

- Musimy zabrać ją do szpitala - mówi ratownik medyczny.

Kiwam głową i odsuwam telefon od ucha Esther, po czym mówię kobiecie po drugiej stronie, że jej córka oddzwoni, kiedy tylko będzie mogła. Obiecuję Esther, że z nią zostanę, będę tuż obok. Nie musi przechodzić przez to sama. Jestem tutaj.

Wracam do Bena w chwili, gdy zaczyna dzwonić jego komórka. To Priya. Wyjmuje telefon z kieszeni, przeprosza i oddala się w spokojne miejsce, gdzie może porozmawiać. Ben niebawem odjedzie, a kiedy policja oświadczy, że i ja mogę odjechać, też to zrobię. Udam się do szpitala, żeby być z Esther.

Patrzę, jak Ben i Priya rozmawiają, i czuję się bardziej samotna niż przedtem, chociaż jestem otoczona przez tych wszystkich ludzi.

Kiedy Ben wraca, mówię do niego:

- Nie musisz ze mną zostawać. - Wskazuję na telefon w jego dłoni. - Jestem pewna, że Priya czeka na ciebie.

Kiwa głową leniwie i apatycznie.

Priya rzeczywiście na niego czeka.

- Tak - mówi. - Tak, powinienem już iść - dodaje prozaicznie.

Mówi, że Priya przygotowała kolację. Czeka na niego. Ale nie chcę, żeby odszedł. Chcę, żeby został. Zostań, błagam bezgłośnie.

Ben jednak nie zostaje.

Obejmuje mnie po raz ostatni tym finalnym gestem, otaczając przytulnymi ramionami, jakby pochłaniał mnie całkowicie, jakby ogrzewał samym sobą. Potem odsuwa się na odległość kilku centymetrów i mówi:

- Do widzenia.

Ja zaś patrzę w te wspaniałe oczy, widzę nieznaczny zarost na brodzie, ujmujący uśmiech.

Zastanawiam się jednak, czy to bardziej „do widzenia, moja miłości”, czy też „do zobaczenia, kumpelko”.

Tylko czas to pokaże, jak przypuszczam, zegnając się z nim, a potem patrzę, jak odchodzi, jak obraca się na pięcie i oddala w stronę następnej przecznicy.

Potem jednak zniecka odwraca się i rusza z powrotem, i tam - na rogu ulicy, otoczeni przez mężczyzn i kobiety w mundurach, przez natłok popołudniowego ruchu, przez reporterów z kamerami, nagrywającymi materiał do wieczornych wiadomości - całujemy się po raz pierwszy.

A może po raz drugi.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować genialnemu zespołowi redakcyjnemu - Ericie Imranyi i Natalie Halak, których pracowitość i mądra rada pozwoliły nadać tej książce blask - a także mojej agentce, Rachael Dillon Fried, której niezmiernie emocjonalne wsparcie i zachęta dodawały mi sił.

Dziękuję zespołom Harlequin Books i HarperCollins za pomoc w sprowadzeniu niniejszej książki na świat, zwłaszcza Emerowi Flaundersowi za niewiarygodną publicity, a także wspaniałym ludziom ze Stanford Greenburger Associates.

Liczne podziękowania pod adresem rodzin Kubiców, Kyrychenko, Shemanek i Kahlenberg, również drogim przyjaciołom za wsparcie i niewyczerpane słowa otuchy; za pomoc okazaną moim bliskim, kiedy nie mogłam im towarzyszyć; za uśmiechy w trakcie spotkań z czytelnikami; za setki mil, które pokonywali, by usłyszeć ode mnie w kółko to samo; za dostarczanie butelek wina, kiedy najbardziej ich potrzebowałam. I za znoszenie mojego zapominalstwa i bezustannego braku czasu. Nie wiem, jak mam wam dziękować za miłość, wsparcie i cierpliwość.

Wreszcie, na koniec, pragnę podziękować swojemu mężowi, Pete'owi, i dzieciom, mojej własnej Quinn i mojemu własnemu Alexowi, którzy inspirują mnie każdego dnia. Bez was nie dokonałabym tego.